

J o a n n a J a x

ZEMSTA I PRZEBACZENIE

Tom II

Otchłań nienawiści



J o a n n a J a x

ZEMSTA
I PRZEBACZENIE

Tom II

Otchłań nienawiści

V I D E O G R A F

Lecz kto nienawidzi brata swego, w ciemności jest i w ciemności chodzi, a nie wie, gdzie idzie, iż ciemność zaślepiała oczy jego

1 J 2,9–11

Ewie i Dorocie. Ukochanym Siostrom

1. Warszawa, 1941

Zimowy wieczór był mglisty i ponury. Nawet księżyc i gwiazdy jakby zapomniały zabłysnąć, żeby nieco rozświetlić niebo swoim blaskiem. W takiej aurze Warszawa wydawała się jeszcze bardziej nieprzyjazna i mroczna. Ruiny roztrzaskanych przez wrześnieowe naloty budynków sprawiały wrażenie potworów, straszących mijających je ludzi, że oto wszystko w ich życiu się zmieniło, a oni mieli więcej szczęścia niż ci, którzy w tych domach zginęli. Dla kogoś, kto zetknął się z tymi widokami po raz pierwszy, było to dramatyczne przeżycie. Jakby niegdyś kolorowe, tętniące życiem miasto nagle zamieniło się w cmentarzysko.

Zbliżała się godzina policyjna, dało się zauważyć pośpiech mieszkańców zmierzających do swoich domów, byle zdążyć i nie narazić się na problemy. Na ich twarzach jednak nie było widać tragizmu wojny, jakby już przywykli do otaczającej ich rzeczywistości i próbowali się w niej odnaleźć. Nie wzruszał ich już widok zrujnowanych kamienic czy kościołów, oni chcieli przeżyć i na tym się skupiali, idąc niemal marszowym krokiem, wskakując w biegu do riksza albo znikając w bramach budynków. A pośród tych śpieszących się ludzi słychać było głośne rozmowy niemieckich żołnierzy patrolujących ulice, warkot samochodów poruszających się po brukowanych ulicach i zwiastujących, że oto może nadchodzić niebezpieczeństwo. Dlatego co niektórzy chowali się wówczas w cichych bramach i czekali, aż owe dźwięki umilkną, a oni bez przeszkód powrócą do swoich domów.

Julian Chełmicki, będąc za granicą i słuchając wiadomości, wielokrotnie próbował sobie wyobrazić, jak Warszawa wygląda po wrześnieowych nalotach i wejściu okupanta, ale nie sądził, że będzie to tak przygnębiający widok. Jakby wkroczył do zupełnie innego świata. Nie poczuł takiego frywolnego zgiełku, jak przed wojną, ale lęk. Nie wiedział, czego może się spodziewać za kolejnym zakrętem czy na następnej ulicy. Był tutaj kimś obcym.

Dotarcie z miejsca zrzutu do Warszawy zajęło mu trzy dni. Nie miał pojęcia, jak to się stało, że zamiast w okolicach stolicy, wylądowali pod Cieszynem. Stamtąd czekała ich żmudna przeprawa przez granicę Rzeszy i wiele kilometrów, by dojechać tam, gdzie powinni. Rozdzielili się niemal natychmiast i każdy z nich, niczym pielgrzym idący do sanktuarium, musiał dotrzeć do Warszawy na własną rękę.

Chełmicki zapukał do drzwi mieszkania w eleganckiej kamienicy przy Hożej. Po chwili usłyszał chrobot przekręcanego klucza i w wąskiej szparze ukazała się twarz kobiety o ciemnych oczach.

– Pan do kogo? – zapytała niezbyt uprzejmie.

– Przywiozłem list ze Skierniewic, od wuja Bolesława – powiedział Julian.

Kobieta otworzyła szerzej drzwi i uśmiechnęła się czarująco.

– Mam nadzieję, że ciotka Ludwika już czuje się lepiej. Proszę wejść.

– Robert Jaworski – powiedział Chełmicki.

Kobieta, zamiast zwyczajowego podania ręki, uściśniła przybysza. Julian roześmiał się i od razu poczuł się niemal jak u siebie w domu.

– Martwiłam się o ciebie. Czekam od pięciu dni, codziennie chodziłam w umó-

wione miejsce... Ale cieszę się, że już jesteś. Rozbierz się, zaraz przygotuję herbatę i coś do zjedzenia, a potem pokażę ci pokój. Mam na imię Weronika.

Chełmicki zdjął ciężką skórzaną kurtkę, szalik i powiesił na fikuśnym wieszaku. Był zziębnięty, głodny i zmęczony. Miał nadzieję, że zaraz po posiłku gospodyni pozwoli mu się umyć i przespać.

Weszli do jasnej, dużej kuchni, w której pachniało rosołem i świeżym chlebem. Julian stanął w progu i mimo głodu postanowił najpierw się umyć, aby nie odstraszyć pani Weroniki, która sprawiała wrażenie dobrze wychowanej damy. Na pewno była już grubo po trzydziestce, ale miała nieskazitelną wręcz figurę i piękną twarz o ciemnych skośnych oczach i idealnie wykrojonych ustach. Włosy upięła w ciasny kok, co podkreślało jej nietuzinkową urodę. Należała do tych kobiet, które samym wyglądem potrafią onieśmielać mężczyzn.

Kiedy Julian powrócił z łazienki, na stole stał już parujący talerz rosółu, a Weronika krzątała się, sprawiając wrażenie nieco zmieszanej obecnością młodego i nad wyraz przystojnego oficera. Po kilku minutach usiadła w końcu naprzeciwko niego i uśmiechnęła się.

– Już myślałam, że nie dotrzesz.

– Było trochę problemów, ale na szczęście już jestem. Cały i zdrowy. A twój rosół jest wyśmienity. Słyszałem, że w Polsce jest bardzo źle z żywnością, a tu proszę... – powiedział, również uśmiechając się do kobiety.

– Tak, my, Polacy, niezbyt sobie chwalimy angielską kuchnię, dlatego chciałam cię ugościć takim prawdziwym rosołem z tłustej kury, tylko ten „kartkowiec” jest paskudny – stwierdziła ze śmiechem, po czym dodała, poważniejąc: – Jest bardzo źle. Ja mam więcej szczęścia niż inni, bo wdzięczni pacjenci ofiarowują mi to, co w dzisiejszych czasach jest na wagę złota. Jedzenie.

– Jesteś lekarzem? – zapytał Julian.

– Tak, jestem chirurgiem w Dzieciątku Jezus. Tam byłam praktykantką, stażystką, a wreszcie pełnoprawnym pracownikiem. Mam blisko do pracy, co jest wielką zaletą. A ty co robiłeś przed wojną? Wiem, że nie możesz zdradzać szczegółów, ale opowiedz chociaż tak w dużym uogólnieniu...

– Od zawsze w wojsku, chociaż ojciec koniecznie chciał, żebym kiedyś przejął jego interesy. Teraz to już bez znaczenia, bo chyba każdy mężczyzna w moim wieku jest dzisiaj żołnierzem. – Uśmiechnął się smutno.

– Nie każdy, Robercie, nie każdy – westchnęła. – Są tacy, którzy tylko patrzą jak przetrwać tę wojnę. Najchętniej w ogóle nie wychodzą z domu, żeby się nie narażać. Mój mąż, Tadeusz, był wojskowym lekarzem. Zginął we wrześniu, ale ja wciąż uważam, że należy próbować. Takie życie, to nie życie. – Uciekła wzrokiem gdzieś w przestrzeń.

– Masz dzieci? – zapytał Julian.

– Tak, mam syna, ale jak tylko Niemcy weszli do Warszawy, wywiozłam go do swoich rodziców. Mieszkają w Bełchatowie, a tam spokojniej niż tutaj. Wiem, mogłam wyjechać razem z nim i pozostać w swoim rodzinnym mieście, w końcu wszędzie potrzebują lekarzy, ale nie mogłam tak po prostu tego wszystkiego zostawić. Po wrześniu mieliśmy wielu rannych... Teraz też mamy ręce pełne roboty. Jestem im potrzebna. – Weronika jakby próbowała się tłumaczyć.

– Dobrze, że są takie osoby jak ty. Inaczej wszystko straciłoby sens. – Julian

próbował dodać jej otuchy.

– Dziękuję. – Spuściła wzrok i wstała od stołu.

– Mam dzisiaj dyżur, muszę już iść. Pokażę ci pokój i uciekam – powiedziała cicho.

Zaprowadziła go do niewielkiego pokoju, który najpewniej należał niegdyś do jej syna, bo wszędzie poustawiane były zabawki, dziecięce książki i niskie, jasne meble. Na szczęście łóżko było pełnowymiarowe, a duża szafa mogła pomieścić także jego skromną garderobę, którą ułożył obok męskich swetrów i koszul, należących zapewne do nieżyjącego męża Weroniki.

Chełmicki zasnął niemal natychmiast, zastanawiając się przez chwilę nad tym, co go czeka. Za kilka dni miał spotkać się z dowództwem i otrzymać dalsze instrukcje. Starał się nie myśleć ani o Alicji, ani Adriannie, ale wciąż, mimo zakazu, rozważał wyjazd do Chełmic i wizytę u rodziców.

Przez kolejne dni jednak nie doszło do żadnego spotkania z dowództwem. Weronika przyniosła informację, że musi jeszcze poczekać, a wolny czas wykorzystać, by nauczyć się na nowo życia w okupowanej Warszawie, która w niczym już nie przypominała frywolnego, tętniącego życiem miasta, jakim była przed wojną. Przechadzał się więc ulicami stolicy, jeździł tramwajami i chłonał wszystko, co opowiadała mu Weronika. Teoretyczną wiedzę zdobył w Wielkiej Brytanii, ale praktyka okazała się dużo bardziej zawiła.

– Teraz nic nie jest pewne i stałe. Wychodząc z domu, nigdy nie wiesz, czy do niego wrócisz. Łapanie, wywózki, egzekucje i aresztowania. To może spotkać każdego. Wystarczy, że ktoś na ciebie doniesie albo znajdziesz się w niewłaściwym miejscu o niewłaściwej porze. I po tobie. Dlatego nie waham się, nie poddaję, bo nie można żyć, siedząc w szafie. Nade mną mieszka rodzina folksdojczów. Donieśli chyba już na wszystkich sąsiadów. Mnie oszczędzili, bo ich dzieciak zadławił się kiedyś landrynką i w panice przybiegli do mnie. Oczywiście, pomogłam dzieciakowi, co on winien, i dzięki temu zostawili mnie w spokoju. Powiedziałam, że jesteś moim kuzynem, ale Grabkowa i tak podejrzewa nas o romans. Nawet mi to schlebia, że mogłabym mieć tak młodego kochanka. – Uśmiechnęła się smutno.

– I niech tak myśli. Ale ja bym ich zastrzelił na miejscu za donosy. Czy oni mają świadomość, że to nie żarty? – zdegustował się Julian.

– O tak, pewnie. A potem za takich pół ulicy pójdzie pod mur. Nie bądź taki chojrak, Robercie, tutaj za wszystko ponosi się konsekwencje, dlatego trzeba agresję dawkować z rozsądkiem. Dzisiaj wieczorem napijemy się wina. Prawdziwego, porządnego wina. Dostałam od wdzięcznego oficera gestapo za udaną operację, chociaż, Bóg mi świadkiem, miałam ochotę zaszyć mu w bebechach nożyczki chirurgiczne – powiedziała z goryczą.

– I trzeba było – mruknął Julian.

– Oj, ty mój narwańcu... Gdyby umarł, ja i połowa szpitala znaleźlibyśmy się na Szucha – powiedziała, głośno wzdychając. Jej podopieczny musiał się jeszcze wiele nauczyć o życiu w okupowanej Warszawie.

Wieczorem siedzieli w przestronnym salonie i pili wino, a gdy butelka została opróżniona, Weronika wyciągnęła z kredensu karafkę z malinową nalewką. Nie wie-

dzieć czemu Julianowi rozwiązał się język i zaczął opowiadać Weronice o swoich miłosnych perypetiach. Chciał usłyszeć coś pogrzbajającego od osoby postronnej, jakiś swoisty wyrok w sprawie, która wciąż tkwiła w jego sercu niczym zadra.

– Nie jestem Adrianną i nie jestem Alicją. Nie czuję się na siłach, żeby kogośkolwiek osądzać – powiedziała spokojnie. – Wiem tylko, że najlepszym lekarstwem na jedną miłość jest inna. Wtedy człowiek przestaje myśleć o tym, co złe. Bardzo przeżyłam śmierć Tadzia i wciąż za nim tęsknię, ale myślę, że gdy ponownie się zakocham, pogodzę się z jego utratą.

– Mogłabyś mieć każdego – wybełkotał nieco pijany Julian.

– Może i mogłabym, ale nie każdy mógłby mieć mnie. – Roześmiała się i pogłaskała go po dłoni, po czym zmieszana swoim gestem, wstała z kanapy i zaczęła zbierać ze stolika puste kieliszki.

Julian patrzył na Weronikę zamroczonym wzrokiem i zaczął zastanawiać się, czy piękna pani doktor mogłaby stać się antidotum na jego rozterki. Była już dojrzałą kobietą, pełną spokoju i mądrości. Miała to wszystko, czego brakowało jej poprzedniczkom. A jednak to Alicja, zwariowana, nieprzewidywalna, pełna sprzeczności dziewczyna, wciąż tkwiła w jego sercu. Kochała go, a jednak zraniła tak okrutnie, że nie potrafił pouklądać sobie tego w sercu. Tak bardzo zabołał go jej czyn, że w obawie przed kolejnym rozczarowaniem nawet nie był w stanie wyciągnąć ręki po tak ponętą kobietę, jaką niewątpliwie była Weronika.

Wracał też myślami do Adrianny. Była mu kiedyś bardzo bliska, ale nie budziła w nim takiej namiętności jak bezczelna Alicja. Obie jednak okazały się kobietami o wątej moralności. Julian był zdania, że jemu, jako mężczyźnie, wolno było więcej, ale kobieta powinna emanować niemal świętością, tymczasem i Adrianna, i Alicja zamiast aureoli miały diabła za skórą. Zastanawiał się, czy kiedyś uda mu się spojrzeć na każdą z nich jak na zwykłego człowieka, pełnego ułomności i wad.

Niecierpliwił się coraz bardziej siedzeniem w domu i spacerami po Warszawie, bo to zmuszało go do myślenia o sprawach, o których myśleć nie chciał. Wiedział, że najlepszym lekarstwem będzie zajęcie się czymś innym. Prawdziwą walką, która pozwoli mu skupić się na czymś ważniejszym niż rozterki miłosne. Rozkazy jednak wciąż nie nadchodziły, dlatego wpadł na pomysł, że pojedzie do Chełmic. I tak to planował, więc uznał, że lepiej to uczynić w okresie stagnacji i względnego spokoju. Później mogło być różnie, a los mógł rzucić go do zadań, które wykluczą jakiegokolwiek podróżowanie w rodzinne strony.

Do Chełmic przyjechał o zmierzchu. Przeszedł kawałek torami i dotarł do zagajnika znajdującego się na krańcu miasteczka. Ruszył przed siebie, przyświecając latarką, i w końcu znalazł się na dobrze znanej mu Wierzbowej Drodze, która prowadziła wprost do domu rodziców. Minęło wiele miesięcy od czasu, gdy ostatni raz tędy przechodził, ale doskonale pamiętał, jaka towarzyszyła mu wówczas myśl, że mimo wszystko uda się wygrać z wrogiem, dzięki pomocy aliantów. Tymczasem nikt nie przyszedł z odsieczą, przegrali w nierównej walce, a on musiał tułać się za granicą. Z taką dumą nosił mundur, w którym przybywało dystynkcji, a teraz nawet nie mógł się pochwalić przed rodzicami, bo zmuszony był zamienić go na normalne ubranie.

Dotarł do dworku i zapukał kołatką do drzwi. Poczekał przez chwilę, gdy

w końcu otworzyły się i stanęła w nich Ludmiła. Spojrzała na Juliana i jej twarz zmieniła oblicze ze znużonego na zdziwione. Kobieta przeżegnała się, po czym powiedziała cicho:

– Wszelki duch... Pan Julianek...

– Dobry wieczór, Ludmiło.

Uśmiechnął się i wszedł do środka. Uściskał gospodynię, zdjął kurtkę i zaczął chodzić po pokojach. W jednym z nich zastał matkę, siedzącą w fotelu, niczym posąg, i wpatrzoną w płomień kominka. Podeszedł do niej i pochylił się, bo ta zdawała się nawet nie zauważyć wejścia swojego jedynaka.

– Mamusiu, jestem – powiedział z czułością.

Izabela odwróciła głowę w jego kierunku, popatrzyła na niego i przycisnęła swoją dłoń do ust. Zaczęła drżeć, a w jej oczach pojawiły się łzy.

– Synek? Julianek? Przecież ty nie żyjesz – wyłkała.

– Żyję, mamó. Cały i zdrowy jestem. Dlaczego myślałaś, że nie żyję? – Roześmiał się.

– Zniknij, maro, idź sobie precz! – wysyczała Izabela.

Julian wyprostował się, nieco skonsternowany reakcją matki, i zaczął rozglądać się po pokoju, szukając kogoś, kto wyjaśni mu jej zachowanie. Jego pytający wzrok spoczął na stojącej w drzwiach Ludmile.

– Niech pan Julian przyjdzie do kuchni... – powiedziała z westchnieniem. – Miałam nadzieję, że jak pana zobaczy, to jej rozum wróci...

– Nie rozumiem, co też Ludmiła wygaduje? – Chełmicki zmarszczył czoło.

– No co mam wygadywać? Pani Izabela całkiem zmysły potraciła. Gada do siebie, znajomych nie poznaje, a jak widzi mundur, to klęka i błaga o litość. Ostatnio nawet do naszego listonosza, starego Kołodzieja, krzyczała, żeby jej nie mordował – powiedziała Ludmiła.

– Coś złego się wydarzyło w domu? – zapytał z trwogą Julian.

Kucharka machnęła ręką.

– A co się miało wydarzyć? To się wydarzyło, co i wszędzie. Wojna, panie Julianie. Pan Julian wyjechał i się państwu świat zawalił, ot co.

– A ojciec? – zapytał.

– Jest w sypialni. On nie zwariował, ale podupał na zdrowiu, odkąd pana nie ma. Nawet gorzelnią i polami się nie interesuje, tylko pyta o pana i o swoje konie. A z koni to się tylko jeden został, stara szkapa Siwka, co to ją Majkowski nawet do bryczki boi się zaprzęgać, żeby nie padła w drodze. Idzie pan do pana Antoniego, może sił nabierze, jak syna zobaczy – westchnęła Ludmiła.

Julian wszedł powoli po schodach, obawiając się tego, co może zastać. Czuł, jakby nie był w domu całe lata. Otworzył cicho sypialnię i ujrzał swojego ojca, czytającego Mickiewicza. W istocie wyglądał źle. Bardzo schudł, a twarz miał kredowobiałą. Antoni rozpoznał jednak syna od razu i na jego twarzy odmalował się uśmiech.

– Wróciłeś, synu. Wróciłeś nareszcie – niemal wykrzyknął.

– Witaj, tato. – Julian podeszedł do ojca i uściskał go.

– Opowiadaj, co się z tobą działo. Nie jesteś ranny, głodny, chory? – wypytywał Antoni.

– Nie, wszystko ze mną w porządku. Trochę mnie drasnęli skubańcy we wrześnie, ale zagoiło się jak na psie. Lepiej powiedz, co u was. Mama zachowuje się tro-

chę dziwnie... – powiedział Julian, marszcząc czoło.

– No cóż, mój synu... Ja już odliczam dni do śmierci, w końcu trochę po tym świecie chodziłem, więc tym bardziej cieszę się z twojego powrotu. Trzeba interesami się zająć, bo wiesz jak jest, gdy obcy pilnują. Nie ich, to nie bardzo się przejmują. A matka jak to matka. Przejdzie jej, jak trochę w domu pobędziesz. Gdy cię urodziła, też miałem z nią krzyż pański, ale minęło jej po pewnym czasie. Izabela jest bardzo wrażliwa, gdy coś ją niepokoi, zamyka się w swoim świecie, gdzie królują koszmary, nieszczęścia i całe zło świata. Tak to jest, kiedy się jest chowanym pod kloszem, z dala od kłopotów i życiowych wstrząsów. Bo człowiek się wtedy nie hartuje i potem wszystko urasta do rozmiarów katastrofy. Dlatego pozwoliłem ci na tę wojskową szkołę, żebyś posmakował nieco twardego życia, chociaż wymarzyłem sobie coś innego dla ciebie. Teraz jednak myślę, że dobrze się stało, bo jakby cię takiego surowego na wojaczkę wzięli, to kto wie, czy nie skończyłbyś jak matka.

– Tato, ja nie zostanę w Chełmicach. Muszę wracać jutro do Warszawy – powiedział cicho Julian.

– Po co? – zapytał chłodno ojciec. – Tutaj jest spokojnie, z Niemcami mamy dogadane dostawy z gorzelnii, więc pracujemy normalnie. Tylko gospodarza brakuje, żeby tych obiboków pilnował.

– Mam swoje sprawy... – wydukał.

Antoni popatrzył na syna i jego twarz spochmurniała.

– Wszystko na zmarnowanie pójdzie... Komu to przekażę, jak oczy zamknę?

– I tak nie robiłbym interesów ze Szwabami – zirytował się Julian.

– Oj, Julianie, ty jak zwykle żyjesz z głową w chmurach. A co by było z gorzelnią? Z naszymi uprawami? I z ludźmi w Chełmicach? Pomyślałeś o tym? Ideałami głodnych nie nakarmisz! – warknął Antoni, ale Julian jedynie wzruszył ramionami. – Skoro nie jesteś zainteresowany losami naszego majątku, będę musiał sprzedać gorzelnię. Nawet kręci się tu taki bogaty folksdojcz z Katowic... Na opiekę dla Izabeli wystarczy, zresztą mam oszczędności. W Londynie i w Bernie.

Antoni nie chciał wszczynać kłótni. Obawiał się jednak, że jego syn chciał zrobić coś niebezpiecznego i postanowił go skusić pieniędzmi ulokowanymi za granicą. Po chwili dodał:

– W porządku. Nie rozumiem, ale akceptuję twoją decyzję. Proszę cię jednak o jedno: wyjedź stąd. Jak najszybciej. Najlepiej do Szwajcarii. Dam ci pełnomocnictwa do kont, pieniędzy ci wystarczy na kilka lat, a wtedy może wojna już się skończy.

Julian Chełmicki zamyślił się. Nie miał najmniejszego zamiaru wyjeżdżać z Polski, do której niedawno powrócił, bo chciał walczyć. Ale zastanawiał się nad czymś innym... Gdyby okłamał ojca i matkę, że wyjeżdża do neutralnego kraju, gdzie będzie żył niczym pączek w maśle, może byliby spokojniejsi o niego. A jeśliby coś się wydarzyło i gestapo węszyło za nim, byliby przekonani, że ich syn jest bezpieczny.

– Dobrze, tato, może i wyjadę do Szwajcarii – powiedział, siląc się na stanowczość, aby jego deklaracja zabrzmiała wiarygodnie, po czym zmienił temat, żeby ojciec nie drażył już tej kwestii. – Tato, muszę cię o coś zapytać...

– Pytaj, synu, pytaj. I nie kombinuj, tylko wyjeżdżaj. Nie mamy szans w starciu z wielką Rzeszą i Związkiem Radzieckim. Jesteśmy dla nich jedynie pyłkiem,

który mogą zdmuchnąć jednym rozkazem. Czasami musimy spojrzeć prawdzie w oczy, po prostu. Trzeba wiedzieć, kiedy należy się poddać i jedyne, o co zaważyć, to o siebie, swoją rodzinę i dobre życie. Nie wszyscy mają tyle szczęścia, co ty. Więc, na Boga, synu, docień to.

– Tak, tato, doceniam to. Wszystko, co dla mnie zrobiłeś, odkąd przyszedłem na świat. Tak... Mój brat nie miał tyle szczęścia... – mruknął.

Antoni zmieszał się i uciekł wzrokiem. Wiedział, że musi powiedzieć prawdę i jakoś wytłumaczyć się przed Julianem. Sprawy zabrnęły zbyt daleko. Wielokrotnie zastanawiał się, w jaki sposób przekazać swoje uczucia, rozważania i dylematy. A miał ich wiele, odkąd Emil pojawił się u niego pewnego dnia, po śmierci Anki. Co mógł zrobić, oprócz finansowej rekompensaty, jeśli nie żywił żadnych uczuć do Emila, a i jemu zależało tylko na pieniądzach? Czy jego drugi syn przyszedłby do niego, gdyby był biedny, czy z dumą nosiłby nazwisko Lewin? Gdyby tego dnia w inny sposób z nim rozmawiał, być może teraz sytuacja wyglądałaby zupełnie inaczej. Emil miał żal, że nie pomógł Ance, gdy była chora. Ale ona nigdy się o taką pomoc nie zwróciła. Miał pójść do chałupy Lewinów, sypnąć złotem i powiedzieć, że chce tym faktem pozbyć się wyrzutów sumienia? Lewinowa rozumiała, że oboje popełnili grzech, i próbowała egzystować, jakby cała sprawa nigdy nie miała miejsca. Dopiero u schyłku życia opowiedziała wszystko Emilowi. Może dlatego, że miał zadatki na złodzieja, i obawiała się, że jego chciwość zaprowadzi go do więzienia.

– To nie jest takie proste, Julianie. Tak, miałem romans z Anką Lewinową, ale oboje mieliśmy rodziny i nie chcieliśmy przysparzać im cierpień. Plotkować mogli, w końcu dla Chełmickich to nic nowego, ale ustaliliśmy, że tak będzie lepiej dla wszystkich i nic nikomu nie powiemy. Zresztą mężczyzna nigdy nie wie do końca, czy jest ojcem... – zaczął tłumaczyć się Antoni.

– Ale dlaczego Emil Lewin nienawidzi mnie? Niczego złego mu nie zrobiłem – rozpaczliwie stwierdził Julian.

– Kto wie, co siedzi w głowie tego człowieka... Gdy zmarła jego matka, przyszedł do mnie po pieniądze. Nie po to, by porozmawiać, wyzalić się, on chciał jedynie majątku. A gdy odmówiłem, zaczął mnie straszyć, że zepchnie naszą rodzinę na dno. Nawet gdybym wtedy chciał się zbliżyć do niego, zapewne i tak chowałby urazę. Co do ciebie zaś... po prostu kochał się w Adriannie i myślał, że stoisz mu na przeszkodzie, by mógł ją zdobyć. Wystrzegaj się go, Julianie, to nie jest dobry człowiek. Może i płynie w nim moja krew, ale co z tego, gdy charakter ma wypaczony.

– Ciekawe, jaki byłby Emil, gdybyś uznał go za syna. Może byłby zupełnie innym człowiekiem... – Julian wzruszył ramionami.

– Tego pewnie nigdy się nie dowiemy – westchnął stary Chełmicki i szybko dodał: – Mam nadzieję, że mi to wybaczysz, mój synu. Czasami trzeba dokonywać trudnych wyborów, płacić za grzechy młodości, świat nie jest taki czarno-biały, jak ci się wydaje.

– O tak, tato, nie jest. Miałem okazję boleśnie się o tym przekonać – pod nosem powiedział Julian.

Tego wieczoru już nie wrócili do tematu. Siedzieli we troje w salonie, gdzie Julian próbował nawiązać jakąś nić porozumienia ze swoją matką. Izabela jednak wciąż tkwiła we własnym świecie, znacznie gorszym niż ten, który ją otaczał. Syn poił ją ziołami, trzymał za rękę i mówił cichym, spokojnym głosem. Chwilami Izabe-

la jakby wracała ze swoich koszmarnych myśli, uśmiechając się delikatnie i przymykając powieki, ale nie mówiła prawie nic i trudno było odczytać, co wywoływało ów krótki, melancholijny uśmiech.

Opuścił rodzinny dom następnego dnia wieczorem, z pełnomocnictwami do bankowych kont za granicą, zostawiając rodziców w przeświadczeniu, że za kilka dni najpewniej wyruszy do Szwajcarii. Nie chciał pozostawiać ich z myślami pełnymi trwogi i lęku o ukochanego syna. Nie wiedział, co będzie robił i na ile to będzie niebezpieczne, ale nasłuchiwał się dość ponurych historii od Weroniki, aby zrozumieć, że terror w okupowanej Polsce jest niewyobrażalny. A brat Emil? Nie był jeszcze gotowy na przyjęcie go do swojego serca i potraktowanie jak członka rodziny. To, co uczynił ojciec, nie było godne pochwały, ale Lewin nie okazał się lepszy. Kto wie, może gdyby oddał mu pełnomocnictwa i pozwolił korzystać z posiadanych dóbr, Emil nie czułby już takiej nienawiści, w tym momencie jednak nie to było najważniejsze. Był ciekawy, a jednocześnie nieco przestraszony, jakimi zadaniami obarczy go dowództwo, jakich ludzi dostanie i jak to będzie poczuć namacalny lęk przed zdekonspirowaniem.

– Cholera jasna! – burknęła ze złością Alicja, miotając się niczym zwierzyna, która wpadła we wnyki.

Nikt jednak nie słyszał jej słów, wokół panowała niemal grobowa cisza. Było też kompletnie ciemno, co z jednej strony dawało szansę, że nikt jej nie zobaczy, z drugiej nie potrafiła ocenić odległości, jaka dzieliła ją od ziemi. Stało się to, czego najbardziej się obawiała. Zamiast na gołej polanie wylądowała w lesie, zaczepiając czaszą spadochronu o konary drzew. Podczas ćwiczeń zdarzało jej się to kilka razy, ale wówczas mogła liczyć na kompanów. Tymczasem Wiktor, który skakał wraz z nią, przepadł bez śladu. Straciła go z oczu niemal od razu i nie miała pojęcia, gdzie wylądował. Zaczęła się szamotać, gotowa nawet na złamanie nogi, byle w końcu znaleźć się na twardym podłożu i uwolnić się od uciążliwej uprzęży spadochronu. Kiedy wygięła rękę i zaczęła grzebać w kieszeni plecaka, by znaleźć nóż i odciąć krępujące więzy, wśród gęstwiny dostrzegła błysk latarki. Zamarła w bezruchu, aby sprawdzić, czy ma do czynienia z jednym człowiekiem, czy też większą ich liczbą.

– Daisy... Aldona... – Ktoś próbował jednocześnie wołać i szeptać.

Odetchnęła z ulgą. To był na pewno jej kompan.

– Tutaj jestem – powiedziała głośno.

– Gdzie, Chryste Panie? Nie widzę cię. Poświeć latarką – przemówił zdeorientowany Wiktor.

– Ty poświeć wyżej, to mnie zobaczysz, ja nie mogę dosięgnąć do swojej latarki – warknęła.

Wiedziała, że nie obędzie się bez komentarza. Wiktor był tak samo przystojny, jak nieprzychylnie nastawiony do kobiet biorących udział w walce. Według niego miejsce niewiasty było w łóżku i kuchni, ewentualnie, gdy była zamożna, mogła zamienić kuchnię na salon fryzjerski.

Chwilę potem Wiktor wznosił latarkę ku górze i oślepił Alicję.

– A co tam robisz, księżniczko? – zapytał z sarkazmem.

– Oglądam Wielką Niedźwiedzicę – burknęła i dodała, niemal błagalnie: – Po-

móż mi zejść.

– A co ja jestem małpa, żebym wspinał się po drzewach? Odetnij się. Złapię cię.

– Musimy zdjąć spadochron, nie możemy go tak zostawić. Dobrze, to lecę. – Alicja przecięła nożem troki od spadochronu. Wrzasnęła i po chwili runęła na ziemię.

– Nie drzyj się, bo się zaraz cała wieś zleci – warknął Wiktor.

– Chyba skręciłam kostkę – jęknęła. – Miałeś mnie łapać.

– Próbowałem, ale jakoś tak poleciałaś... Nie w tę stronę, co potrzeba. Tak to jest z babami, same kłopoty. Powinnaś za mąż wyjść i dzieci rodzić, zamiast spadać z drzew – mruknął.

– Proszę, nie gadaj tyle, tylko pomóż mi wstać, a potem zrób coś z tą białą szmatą – powiedziała lekko zdenerwowana Alicja.

– Księżniczka zaczęła wydawać rozkazy giermkowi? – Podał jej rękę.

Wstała z ziemi. W istocie nie mogła stanąć na nodze i obawiała się, że będzie miała problem z marszem. Wiktor jednak nie przejął się zbytnio jej stanem, tylko usiłował wdrapać się na drzewo i zdjąć spadochron. Chciała powiedzieć mu coś uszczypliwego, ale dała sobie z tym spokój. Wyjęła z plecaka cywilne ubranie, dokumenty i saperkę. Wykopała niewielki dołek i ułożyła w nim plecak. Po kilkunastu minutach jej kompan ściągnął spadochron i oboje zaczęli gorączkowo kopać nieco większą jamę, aby ukryć czaszę. Potem rozpalili niewielkie ognisko i dotrwali do świtu, rozmawiając, na zmianę patrolując okolicę albo drzemiąc, oparci o zimne pnie drzew.

Gdy zrobiło się jasno, ruszyli drogą w kierunku wsi. Nie mieli pojęcia, jak daleko od Warszawy wylądowali. Alicja z trudem pokonywała kolejne metry i z utęsknieniem wypatrywała jakiegoś drogowskazu. Miała także nadzieję, że nie natkną się na żaden niemiecki patrol, bo co prawda dokumenty mieli doskonałe, ale fakt, że nie wiedzą, w jakim miejscu się znajdują, mógłby się wydać nieco podejrzany.

– Zagórze... – wybełkotał Wiktor. – A gdzie to jest, u licha?

– Nie mam pojęcia. Tam jest jakieś gospodarstwo, zapytajmy – powiedziała nieco zrezygnowanym tonem Alicja.

Podeszli do niewielkiej zagrody. Wokół panowała cisza, nie licząc psa, który nawet nie szczekał, a jedynie warczał i rzucał się w ich kierunku, niemal wrywając łańcuch przytwierdzony do budy. Zaczęli się rozglądać i nagle ujrzeni starszego mężczyznę z wycelowaną w ich stronę dubeltówką. Odruchowo oboje podnieśli ręce.

– Czego tu węszyć? – zapytał ostro mężczyzna.

– Samochód nam się zepsuł kilka kilometrów stąd i jeszcze pobłądziliśmy. Daleko to, gospodarzu, do Warszawy?

Mężczyzna opuścił broń i odetchnął z ulgą, że ma do czynienia z przypadkowymi osobami.

– A ze dwadzieścia kilometrów będzie.

– Moja narzeczona skręciła kostkę, nie wie pan, gdzie tu można jakiś transport do stolicy załatwić? – ochoczo zapytał Wiktor, widząc, że mężczyzna już nie był tak wrogo do nich nastawiony, jak jeszcze kilka chwil wcześniej.

– A co? Z samolotu skakała? – zapytał podejrzliwie mężczyzna.

Wiktor zmieszał się.

– Z jakiego znowu samolotu? Nie widzi pan, jakie pantofelki włożyła? Na sko-

ki i piesze wędrówki to nie za bardzo się nadają. Co też panu do głowy przyszło?

– A to mi przyszło, że w nocy słyszałem samolot. Myślałem, że nas Szwaby znowu łomotać będą. Ale wy chyba nie żadne folksdojcze? – Gospodarz znowu zrobił się czujny.

– Jakie folksdojcze, panie kochany. Narzeczoną do rodziców wiozłem przedstawić, żeby po Bożemu było. Od kumpla samochód pożyczyłem, starego gruchota, którego nawet Szwaby wziąć nie chciały, a teraz będę chyba musiał z mechanikiem z Warszawy przyjechać. Jestem stolarzem, a narzeczona nauczycielką miała zostać. Tylko teraz to za bardzo gdzie uczyć nie będzie miała. – Wiktor nie tracił zimnej krwi.

– Kochanie... – zwróciła się do Wiktora Alicja – pan gospodarz chyba nas bierze za szpicli, chodźmy stąd.

– E, zaraz za szpicli. Sprawdzam, bo to dzisiaj nie wiadomo. Albo Szwaby się panoszą, albo folksdojcze donoszą, albo szabrowniki z Warszawy przyjeżdżają. – Gospodarz machnął ręką.

– Albo partyzanci – mruknął Wiktor.

Mężczyzna najwyraźniej miał coś na sumieniu, bo ponownie podniósł broń.

– Wynocha, ale już! – krzyknął.

– Mój narzeczony to zawsze coś musi chlapnąć – próbowała rozluźnić atmosferę Alicja. – Proszę nam powiedzieć, czy jeżdżą stąd jakieś furgonetki albo wozy do Warszawy.

– Idźcie zapytać we wsi o młodego Karasia. On jeździ z drewnem do stolicy, bo ludzie na węgiel nie mają, to od klientów opędzić się nie może. Jak zapłacicie, to was zawiezie.

– Dziękujemy i schowa pan tę dubeltówkę, bo jeszcze niechcący wystrzeli – złośliwie powiedział Wiktor i podtrzymując Alicję, ruszył w stronę wsi.

Młody Karaś w istocie wybierał się do Warszawy i za czterdzieści złotych zgodził się zabrać przybyszy do stolicy. Była to kwota dość wygórowana jak na podróż furmanką.

– Gdyby nie noga mojej narzeczonej, to w życiu bym tyle panu nie zapłacił. – Wiktor był nieco zdegustowany pazernością przewoźnika.

– Panie ładny, a ja tam wiem, kto wy jesteście? Ja tu z władzą dobrze żyję, a jak wy trefni, to mi mogą się do dupy dobrać. A ja szóstkę dzieci i żonę mam na garnuszeku. – Karaś wzruszył ramionami i dodał: – Nie chceta, to nie jedźta, ja tam was zabierać nie muszę.

Alicja szturchnęła swojego towarzysza.

– Zapłacimy. Musimy dostać się do Warszawy.

Usiedli na koźle przykrytym starą derką i ruszyli. Kilka kilometrów dalej minęli gazik wojskowy, który zatrzymał się z piskiem opon. Dwóch niemieckich żołnierzy doskoczyło do furmanki.

– Kto to jest, Karaś? Dokumenty proszę – powiedział jeden z żandarmów, zwracając się do Alicji i Wiktora.

– Ich samochód *kaput*, to podwożę ludzi.

– A gdzie ten samochód się zepsuł? A pozwolenie mieli? – zapytał podejrzliwie żołnierz.

Alicja już chciała otworzyć buzię, ale Karaś ją uprzedził.

– Kilka kilometrów za wsią. – Karaś machnął ręką w bliżej niesprecyzowanym kierunku, po czym odwrócił się na koźle i sięgnął między poukładane polana drewna. Wyciągnął kankę i podał żołnierzowi.

– Pierwsza klasa, panie Horst.

Żołnierz przestał studiować dokumenty Alicji i Wiktora, rozpromienił się i po-kiwał głową.

– *Gut*, Karaś, mi nie musisz tego mówić. Jechać. I uważajcie na wjeździe do Warszawy, patrole stoją. Kogoś szukają.

– Kogo? – wyrwało się Alicji.

– Podobno Anglików – roześmiał się Horst i poszedł w stronę gazika.

Alicja wymieniła spojrzenia z Wiktorem. Nie uszło to uwagi Karasia.

– Co, te czterdzieści złotych już się nie wydaje taką straszną kwotą? – Puścił oko w kierunku siedzącej pary, po czym dodał: – Przed rogatkami was wysadzę. Pójdziecie kawałek takim sosnowym zagajnikiem i potem znowu wsiądziecie. Jak drogi pilnują, to tam może się nie będą wypuszczać. Ja tam nie chcę mieć żadnych kłopotów, lepiej, żeby mnie z nikim obcym nie widzieli.

– Jest pan pewien, że nie będą płatać się po lesie? – zapytał nieco zatrwożony Wiktor.

– A kto ich tam wie, ale jakby jeszcze po każdym lesie mieli się pałętać, to by musieli cały Wehrmacht ściągnąć – mruknął Karaś.

Gdy byli już blisko miejsca, gdzie miał stać patrol, zsiadli z wozu i udali się do lasu po lewej stronie drogi. Oddalili się nieco, ale cały czas mogli obserwować, co dzieje się na drodze. Kilkaset metrów dalej, gdy dostrzegli stojących żołnierzy, weszli głębiej w zagajnik.

– Ciekawe, skąd wiedzieli, że będziemy skakać? – zapytała jakby siebie Alicja.

– A co, mało to życzliwych? Pewnie zobaczyli kilku naszych, jak skaczą, to donieśli.

– Przecież wylądowaliśmy jakieś piętnaście kilometrów od właściwego miejsca... – Alicja ponownie się zamyśliła.

– Dlatego czekają na nas tutaj, a nie w tym lesie, co zwisałaś z drzewa – powiedział ze śmiechem.

– Ciszej! – syknęła Alicja. – Chcesz, żeby nas usłyszeli?

Wiktor już się nie odzywał, tylko podążył zagajnikiem, delikatnie odsuwając gałęzie i starając się bezszelestnie stawiać kroki. Gdy minęli patrol, przesunęli się bliżej drogi i kawałek dalej dostrzegli furmankę Karasia.

Dotarli do mostu Poniatowskiego i tam pożegnali się z furmanem. Potem rozdzielili się i każde z nich udało się do wyznaczonej kwatery. Alicja nie wiedziała, gdzie zamieszka Wiktor, jej lokum mieściło się na Krakowskim Przedmieściu, w mieszkaniu wykładowcy matematyki z Uniwersytetu Warszawskiego. Szła Nowym Światem do mieszkania profesora Litwina i patrzyła na ulicę, która niegdyś była jej bardzo bliska. Przed wojną codziennie przyjeżdżała tu tramwajem na próby do Czarodziejskiego Fletu, a na początku wojny mieszkały w pobliżu z Hanką. Myślała o niej równie często, co o dziadkach i matce. Odkąd przyjechały do Warszawy w poszukiwaniu szczęścia, Hanka stała się dla niej niczym siostra. A potem zniknęła. Mia-

ła nadzieję, że przyjaciółka znajduje się w bezpiecznym miejscu i gdy tylko będzie taka możliwość, zobaczą się.

Tęskniła za tamtym życiem, zanim brutalna wojna nie odebrała jej domu, pracy, przyjaźni i radości z tych wszystkich rzeczy, których na co dzień nie doceniała. Gdy los wydziera coś po kawałku, można przywyknąć, ale nagle cały świat, w którym żyła, obrócił się w perzynę. A jednak czuła ulgę na myśl, że nie straciła nikogo z bliskich. Dom można odbudować, pracę znaleźć, inną albo taką samą, a nawet przywrócić na usta uśmiech, jednak życia już wrócić się nie da. Najcenniejszy skarb, największa wartość, tak bardzo teraz zdewaluowana.

Tęskniła także za Julianem, za jego czułością, spojrzeniem i obecnością. Nie była jednak przygnębiona jak niegdyś, gdy jego serce należało do innej kobiety. Miłość jest prosta. Jeśli czujesz, że ktoś cię kocha, zawsze jest nadzieja na pojednanie. Przypomniała sobie słowa pewnego szlagieru przedwojennej gwiazdy estrady – „Miłość ci wszystko wybaczy” – i nucila sobie pod nosem tę piosenkę, niczym mantrę. Była przekonana, że pewnego dnia ta cudowna miłość wybaczy także i jej.

Profesor Litwin przypominał z wyglądu dobrodusznego dziadka, który opowiada dzieciom bajki przy kominku. Wrażenie było tym silniejsze, im częściej zwracał się do Alicji „moje drogie dziecko” i klepał czule po dłoni. Gdy jednak zaczęli rozmawiać, powracał uniwersytecki wykładowca.

– Jest wysokie prawdopodobieństwo, że Hitler zaatakuje Stalina. Dla niego Polska to jedynie korytarz, żeby dobrać się do wielkiego imperium radzieckiego.

– Może to i lepiej, jak się za łby chwycą. Wtedy będzie nadzieja, że nas zostawią w spokoju. – Alicja napychała buzię chlebem z marmoladą i popijała łąpczywie herbatą. Jedno i drugie smakowało paskudnie, ale tak dawno nie miała nic w ustach, że posiłek wydawał się niebiański.

– Ten chleb to coraz gorszy robią, Bóg raczy wiedzieć, co tam jeszcze upychają, oprócz trocin i kory. Niedługo będą gwoździami nabijać, żeby tylko był cięższy – westchnął profesor.

– Trzeba się i z takiego cieszyć, słyszałam, że są coraz większe problemy z aprowizacją – powiedziała Alicja z pełną buzią.

Znała smak „dźwiękowca” i paskudnej marmolady, ale odkąd nawiązała romans z Grossem, jadła dużo wytworniejsze posiłki i braki w zaopatrzeniu dotknęły ją na bardzo krótko.

– W Warszawie można kupić wszystko. Mięso, słodczyce, nawet prawdziwego szampana. Ale co z tego, jeśli ceny są monstrualne. Kercelak po bombardowaniach znowu tętni życiem i nielegalnym handlem, tylko że ja, odkąd nie pracuję na uniwersytecie, żyję bardzo skromnie i stać mnie tylko na kartkowe frykasy – ze smutkiem powiedział profesor.

– Jak tylko rozeznam się na nowo w Warszawie, to nie będę pana objadać. Zresztą pewnie nie zagrzeję u pana miejsca. – Alicja uśmiechnęła się do profesora.

– Zazdroszczę ci tego młodzieńczego optymizmu. Ja widzę ten świat w dużo ciemniejszych barwach. Nie mam złudzeń, że kiedyś będziemy wolni, ale niech chociaż Niemcy pocują, jak to jest żyć w ciągłym strachu. – Zacisnął zęby i dodał, nieco cieplejszym tonem: – Idź spać, pewnie zmęczona jesteś. Jutro pójdziemy na spa-

cer.

Nie musiał długo namawiać Alicji, po męczącej i nerwowej podróży ledwo patrzyła na oczy, a posiłek i ciepła herbata sprawiły, że zasnęła niemal natychmiast, nie zastanawiając się ani przez moment nad tym, co ją czeka.

2. Moskwa, 1941

Śnieg skrzypiał pod butami Igora Łyszki, rozpraszając nocną ciszę Moskwy. Był to jeden z tych mroźnych wieczorów, gdy najlepszym sposobem na rozgrzanie wydaje się szklanka wódki. Łyszkin wolał stakan herbaty z miodem albo konfiturami. Tego dnia jednak, jadąc pociągiem w kierunku Moskwy, musiał zadowolić się „rykowką”, wypitą z metalowej piersiówki współpasażera. Może dzięki temu szło mu się całkiem znośnie w tym siarczystym mrozie.

Igor zmierzał w kierunku mieszkania, którego adres znalazł w dworcowej skrytce. Znajdowało się w Rzewskim Zaułku, dzielnicy Arbat, gdzie zamieszkiwali radzieccy dygnitarze. Wielu z nich jednak po ostatnich czystkach musiało opuścić swoje wykwintne lokale i ślad po nich zaginął. Igor czasami zastanawiał się nad poczynaniami Stalina. Czy w istocie ci ludzie byli zdrajcami narodu, czy może wódz wykazywał się przesadną ostrożnością? Coraz częściej skłaniał się ku tej drugiej możliwości, aczkolwiek owa mania prześladowcza w najmniejszym stopniu nie dotyczyła Adolfa Hitlera. Stalin, mimo niepokojących doniesień swoich najlepszych wywiadowców, wciąż uważał, że Hitler nie zaatakuje Związku Radzieckiego. Czy ufał mu, czy też był zbyt pewny siebie, tego Łyszkin nie mógł rozgryźć. Robił swoje, a teraz wracał ze spokojnej placówki w Sztokholmie, by przyjąć kolejne zadania od swoich zwierzchników.

Mieszkanie, które przez jakiś czas miał zajmować, było elegancko urządzone, jeśli nie luksusowo. Igor pomyślał przez chwilę, że w żaden sposób nie licowało to z ideą równości. Radziecki robotnik nie mógłby pozwolić sobie na złocene klamki i żyrandole przypominające barokowe kandelabry. Mimo niewielkiej powierzchni mieszkania poprzedni lokator nadał temu miejscu charakter lokum pełnego przepychu. Może więc zaprzedał swoje idee wrogom w zamian za drogie wzorzyste dywany i bogato rzeźbione kredensy z kolorowymi szybami, za którymi poustawiana była prawdziwa porcelana i rżnięte kryształy.

Łyszkin zdjął grubą, watowaną kurtkę i ciężkie buty i potarł zmarznięte dłonie. Dotknął pieca i z ulgą stwierdził, że ktoś zadbał o to, aby po przybyciu miał ciepło. Wszedł do dużej kuchni i zobaczył samowar, a obok słoik z liśćmi herbaty, miód i wszystko, co niezbędne, aby zaparzyć jego ulubiony napój. Wyjął z kredensu stakan i podstakannik, po czym rozpałił ogień pod samowarem. Słuchając bulgotu esencji w czajniczku, myślał o Hance. Wiele by dał, aby teraz siedziała obok. Pokazałby jej, jak się robi prawdziwą rosyjską herbatę, która gromadziła wokół stołu rodzinę i przy której gwarzyło się o ważnych i mniej ważnych sprawach.

Nie miał pojęcia, gdzie teraz dowództwo go skieruje. Miał jednak nadzieję, że dadzą mu chwilę wolnego, a wtedy bez względu na grożące mu niebezpieczeństwo ruszy do Warszawy, by odnaleźć Nadię. Popełnili szkolny błąd, angażując postronną osobę w swoją działalność. Łyszkin, przekonany o trwałym i mocnym sojuszu Związku Radzieckiego z Niemcami, czuł się stosunkowo bezpiecznie. Bardziej martwili go Polacy, którzy nienawidzili komunistów. Jednak z czasem okazało się, że ów sojusz to tylko atrapa, a Niemcy szukają tylko okazji, aby wytropić wśród Rosjan

szpiegów i bolszewików. Nie potrafił także wybaczyć Mozelowi, który dość niefrasobliwie zaangażował Hanę, a potem po prostu chciał ją zostawić na pastwę losu i okupanta. Zastanawiał się, czy Jakub próbuje cokolwiek zrobić, żeby pomóc Lewinównie, czy może sam był w niebezpieczeństwie, ponieważ kontakt z nim, podobnie jak z wieloma towarzyszami, po prostu się urwał. A może Hanka już dawno nie żyła...

Popijając gorący napar, który rozgrzewał mu ciało, myślał tylko o tym, aby rozgrzał i duszę, ale wewnętrzny spokój, którego tak łaknął, nie nadchodził.

Następnego dnia stawił się w biurze Golikowa, który chodził nerwowo po swoim gabinecie przy placu Łubiańskim i w niczym nie przypominał człowieka, z którym Igor spotkał się kilka miesięcy wcześniej. Zachłannie zaciągał się papierosem, jakby oczekiwał, że wciągnięty dym przyniesie mu ukojenie. Wyciągnął dłoń w kierunku Łyszkin, po czym mocno ją uściśnął i powiedział:

– Dobra robota, kapitanie Łyszkin. I gratuluję awansu.

– Przypisujecie mi, generale, nie moje zasługi. To moi poprzednicy zwerbowali tego szwedzkiego urzędnika. Ja po prostu miałem szczęście – skromnie odpowiedział Igor.

– Tak, tak, to praca całego zespołu... – mruknął na odczepnego Golikow i dodał: – Mamy problem, Łyszkin.

– Jakiej natury? – zapytał zaniepokojony Igor.

– Otóż towarzysz Stalin, mimo że nie ma zaufania do kanclerza Niemiec, wciąż nie wierzy, że ten odważy się podnieść rękę na Związek Radziecki. Wasze raporty, zarówno z Polski, jak i ze Sztokholmu, nie przekonały go. Uważa nadal, że współpraca jest możliwa. Musimy zdobyć żelazne dowody na to, że Hitler nie zadowolony się jedynie Europą Zachodnią. Nasz kraj to niezliczone pokłady ropy, węgla i gazu. Łakomy kęs dla takiego dyktatora jak kanclerz. A towarzysz Stalin nie słucha, nie wierzy nawet Żukowowi. Powstał więc nowy pomysł... Może wyda się on wam szalony, ale ma duże szanse, żeby się powieść. Nadaliśmy akcji kryptonim „Klasztor”. Wraz z kilkoma oficerami utworzycie antybolszewicką organizację „Tron”, skupiającą w swoich szeregach byłych ziemian i popleczników carskiej Rosji. Nawiążecie kontakt ze strukturami władz Niemiec, najlepiej poprzez ambasadę, i może wtedy dowiemy się, jakie są prawdziwe intencje tego oszusta, Hitlera, zdobędziemy żelazne dowody i prześlemy naszemu wodzowi. Może wtedy uwierzy...

– Dobry pomysł, generale. Prosty i genialny. Wśród Rosjan jest wielu wrogów, którzy chętnie widzieliby nas pokonanych – powiedział Łyszkin i zaczął się zastanawiać, kto wpadł na taki pomysł.

Golikow jakby czytał w myślach Igora.

– To nie jest nasz pomysł. Ci dranie, Ukraińcy, próbują podobnych sztuczek, podlizując się Führerowi, niczym dzieci Dziadkowi Mrozowi. Liczą, że pomoże im odzyskać niepodległość. Swoją drogą, niewdzięczny naród. A tego Banderę należało od razu powiesić. Jestem przekonany, że kombinuje coś razem z nazistami. Ale mniejsza o Banderę i jego rzezimieszków. Podsunął nam pomysł i zamierzamy wcielić go w życie. Wy, Łyszkin, byliście naturalnym kandydatem. Wykształcony, obracaliście się w kręgach bogatych i szlachetnie urodzonych Rosjan, znacie języki i nic

was nie zaskoczy.

– Chyba pierwszy raz moje pochodzenie nie będzie wadą, a zaletą. – Igor uśmiechnął się i zapytał: – A jeśli uda się nawiązać stosowne kontakty, co dalej?

– Pojedziecie do Berlina albo Monachium... Jeśli was zaproszą – burknął Golikow, który rzadko kiedy żartował.

Łyszkin opuścił biuro Golikowa i rozpoczął swoją misję. Wśród agentów, którzy wywodzili się, podobnie jak on, z bogatych albo arystokratycznych rodzin i których nie dosięgnęła czystka Stalina, nie brakowało takich, którzy mieli liczne kontakty za granicą. Igor pomyślał o swoim kompanie, Walterze von Lossowie, i jego ojcu, ale uznał, że nie chce mieszać w te sprawy przyjaciół. Cokolwiek by się stało, nie potrafił myśleć o młodym Lossowie jak o swoim wrogu. Nie umiałby nim manipulować i oszukiwać go. Miał nadzieję, że gdy świat się nieco uspokoi, spotkają się we trójkę – on, Chełmicki i Lossow, i jak za starych czasów będą pili wódkę, grali w karty i plotkowali o dziewczynach. Walter może się w końcu zakocha, a Julian znajdzie sobie nieco miłszą kobietę niż ta królowa śniegu, Adrianna Daleszyńska.

Przez kolejne dni wraz z innymi towarzyszami preparował statut organizacji, wysyłał listy i czekał na odzew kogoś ważnego, kto ujawni rzeczywisty stosunek Hitlera do Rosjan i prawdziwe intencje polityków. Wśród członków fikcyjnej organizacji „Tron” znajdowali się ludzie, których rodziny należały niegdyś do rosyjskiej arystokracji. I mimo że w tym momencie byli już zdeklarowanymi komunistami, wielu mogli się jawić jako osobnicy tęskniący za dawnym ustrojem i stylem życia, które zniweczyły zdobycze rewolucji październikowej. Historie ich rodów do chwili upadku stanowiły idealną wręcz przykrywkę i usprawiedliwienie dla podobnych działań, a przy tym wypadały nad wyraz wiarygodnie.

Łyszkin wracał do swojej kwatery wyczerpany umysłowo, co miało tę dobrą stronę, że już nie miał siły myśleć o niczym innym. Ani o Hance i Nadii, ani o rodzicach. Czekał na moment, gdy otrzyma rozkaz wyjazdu do Rzeszy, a wtedy uda się najpierw do Warszawy, by spotkać się z bliskimi i spróbować odnaleźć dziewczynkę, którą pokochał jak własną córkę. A może Hanka wciąż żyła i należało jej pomóc i wydostać z rąk gestapo? Żywił się tą nadzieją, karmił się nią, mimo iż rozsądek podpowiadał mu, że jego ukochanej już nie ma wśród żywych. Zastanawiał się niekiedy, czy lepiej byłoby zyskać pewność i opłakiwać swoją miłość, czy żyć w zawieszaniu, jak teraz? Chyba wolał miotać się w niepewności, ale też mieć złudzenia, że to jeszcze nie koniec. Hanki Lewin-Niechowskiej nie była w stanie zastąpić żadna kobieta.

Miłość jest prosta – jeśli kogoś kochasz naprawdę, nikt inny nie wypełni pustki po utracie ukochanej osoby.

3. Warszawa, 1941

Rotacja w więzieniu przy Pawiej była większa niż w stołecznych szpitalach. Osadzone albo przenoszono do obozów, albo na tamten świat. Jednak codzienna rutyna wciąż pozostawała niezmienna. Pobudka, liche śniadanie, praca, spacer i oczywiście przesłuchania na Szucha.

Hanka Lewin patrzyła na więzienne życie oczami pełnymi obojętności. Była w tym miejscu już ponad pół roku i nic nie wprawiało jej ani w zdumienie, ani zderwienie. Gdy inni żyli poza murami, kochali, nienawidzili, bali się albo narażali życie, ona wegetowała w jednostajności i beznadziei więziennej egzystencji. Dla niej czas zatrzymał się w miejscu, a monotonia i zniewolenie przybijały bardziej niż niebezpieczne życie zwykłych mieszkańców Warszawy. Kolejne kobiety, które pojawiały się w jej celi, witała z rezerwą i stawiała się wręcz odpychająca, gdy któraś próbowała nawiązać z nią bliższe relacje. Tak było bezpieczniej.

Pierwsze dni, które spędziła w więzieniu, były czasem trwogi i niepewności, ale miała w sobie jeszcze jakieś uczucia i emocje. Zaprzyjaźniła się z współsadzonymi i głęboko przeżyła śmierć zdrajczynie, Czapli, oraz wywózkę do obozu Bogusi i Stefanii. Czuła także ból i tęsknotę. Teraz, po wielu miesiącach, nie czuła nic, jedynie nieposkromioną ochotę na śmierć. Pewnie mogła walić głową w obskurną ścianę albo zdobyć jakieś narzędzie, żeby podciąć sobie żyły, ale w pewnym momencie nawet to stanowiło wysiłek zbyt duży. Czekwała na moment, aż znajdzie w sobie siłę, żeby zrobić to, co zaplanowała.

Nie pamiętała, jaka była wtedy pogoda na zewnątrz, ale na pewno było chłodno, bo marzły jej dłonie i stopy. Nie wiedziała, jak nazywała się dziewczyna, która pobita do nieprzytomności zmarła w nocy tuż obok jej pośłania. Nie obchodziło jej to. Tego dnia po prostu coś w niej pękło. Idąc wraz ze strażniczką do pracy w pralni, w pewnej chwili z rykiem zranionego zwierzęcia rzuciła się jej do gardła.

Renate Zoll była młodą, piękną dziewczyną o ogromnych błękitnych oczach i długich blond włosach. Miała smukłą figurę, zgrabne nogi i była najbardziej sadystryczną strażniczką, z jaką Hanka miała do czynienia. Kobiety nazywały ją „Białą Suką”. Gdy przybyła na Pawię, od pierwszej chwili chciała zaskarbić sobie względy przełożonych, okrucieństwem, wyzwiskami i poniżaniem więźniarek. A może po prostu lubiła mieć władzę i czuła ekscytację, gdy bite skórzaną pałką albo kopane kobiety wyły z bólu i zebrały o litość. Wybór Hanki był jednak instynktowny. Nie było dla niej istotne, czy obok idzie znieawidzona Renate Zoll, czy ktoś o nieco łagodniejszym charakterze. Po prostu nadszedł ten moment, gdy dochodzi się do punktu zapalnego.

Lewinówna przycisnęła strażniczkę do ściany i zacisnęła dłonie na jej szyi. Chciała zabić, bo wiedziała, że wtedy i ona zostanie pozbawiona życia. Renate miotała się przez chwilę, zaskoczona wybuchem dotychczas spokojnej więźniarki, ale nie minęło wiele czasu, gdy z impetem odepchnęła ją i sięgnęła po broń. Przeładowała ją i wycelowała w Hankę.

– Co tu się dzieje?! – usłyszała ryk kierownika zmiany, Hermana Rilkego.

– Ta szmata rzuciła się na mnie! Chciała mnie udusić. Ścierwo! – wrzasnęła Renate.

– Nasza gwiazda pokazała pazurki – złośliwie skomentował Rilke. – Nie możesz jej zastrzelić, ci z Szucha obdarliby nas ze skóry. Ale załatw to po swojemu. Tylko pamiętaj, nie przesadz.

Rilke odszedł, pozostawiając kobiety same. Renate schowała do kabury pistolet, uśmiechnęła się złośliwie i podniosła z podłogi skórzaną pałkę, którą upuściła, gdy więźniarka niespodziewanie się na nią rzuciła. Podeszła do Hanka i chwyciła za ramię. Popchnęła ją w stronę korytarza, gdzie ulokowano karcery dla najbardziej krnąbrnych więźniów. Otworzyła jeden z nich, pociągnęła za rękę Lewinównę i z impetem zaczęła okładać ją pałką. Gdy Hanka upadła i skuliła się pod wpływem razów Renate, ta zaczęła ją kopać. Była w jakimś ślepych amoku, bo przestała dopiero wówczas, gdy pojawiły się na jej czole krople potu. Przetarła je rękawem i wyszła z celi.

Hanka Lewin przez kilka godzin leżała na zimnej posadzce i czuła ból na niemal każdym centymetrze swojego ciała. Nawet oddychanie sprawiało jej trudność. Z nosa sączyła się krew, miała rozbity łuk brwiowy, a wokół niej utworzyła się kałuża moczu. Miała nadzieję, że umrze, a jej gehenna właśnie dobiega końca. Szeptala słowa, które tak bardzo chciałyby powiedzieć swojej córeczce, Igorowi i swojemu bratu. Wyobrażała sobie, że usłyszą ją w końcu, czując, jak bardzo za nimi tęskni i wierzą, że tam, po drugiej stronie, wciąż będzie ich kochać. Szukała w swoim umyśle i duszy tych magicznych drzwi, przez które będzie mogła przejść do miejsca, gdzie nie ma bólu. Ani tego fizycznego, ani tego duchowego.

– Zabierz mnie w końcu, Boże. Nie chcę już żyć, chcę być tam, gdzie rodzice... Chcę poczuć ten spokój albo nicość. Zabierz mnie, Boże...

Po chwili straciła przytomność.

Renate Zoll szła korytarzem i rozcierała sobie szyję, na której wciąż czuła zadziergnięte palce Hanka Lewin. Była wściekła, bo ta kobieta powinna zginąć za atak na niemieckiego funkcjonariusza. Tak bardzo chciałyby zobaczyć w oczach tej dziwki śmierć. Zamglone spojrzenie i twarz, z której uchodzi życie. Przypomniała sobie moment, gdy pierwszy raz zabiła więźnia. Trochę drżała jej ręka, gdy naciskała na spust i niezbyt dobrze uchwyciła moment, gdy skonał, ale w chwili, gdy upadł na betonowy plac, poczuła podniecenie. Nie umiała określić, co było w tym ekscytującego, ale chyba władza. Ten fakt, gdy decydujesz o czyimś życiu i śmierci.

Uśmiechając się na to wspomnienie, weszła do pokoju Rilkego.

– Jeśli będziemy im pobłażać, to następnym razem wydarzy się jakieś nieszczęście. To był zły przykład dla innych więźniarek. Napadnij na strażnika, a nic ci się nie stanie – z wyrzutem powiedziała Renate.

– Nie miała broni ani żadnych niebezpiecznych narzędzi. Jest wycieńczona i chyba obłąkana. Cóż mogłaby ci zrobić? – Roześmiał się.

– Ale... – zaczęła, ale Herman nie pozwolił jej skończyć.

– Ta osoba to bardzo cenna zdobycz gestapo. Nie możemy jej stracić tylko dlatego, że poczułaś się poniżona napaścią przez to polskie ścierwo. Musisz patrzeć nieco dalej niż czubek własnego nosa – burknął Rilke. Mimo że Renate była piękna i pociągająca, nie była tyle warta, aby narażać się przełożonym. Po chwili zapytał po-

dejrzliwie: – Mam nadzieję, że nie przesadziłaś z karą dla niej?

– One padają jak muchy. Od byle czego. – Renate wzruszyła ramionami i opuściła pokój Rilkego, jeszcze bardziej wściekła niż w chwili, gdy wychodziła z karceru Hanki Lewinówny.

Zeszła do pralni i chwyciła wiszący na gwoździu pęk kluczy. Podeszła do jednej z kadzi, gdzie dwie więźniarki prały na tarkach prześcieradła, i zaczęła je okładać po głowie i twarzy ciężkimi kluczami.

– Brudne, brudne! Słyszycie? Brudne! – krzyczała, bijąc coraz mocniej.

Gdy dała upust swojej złości, odwiesiła pokrwawione klucze i bez słowa wyszła z pralni. Zarówno więźniarki, jak i pilnujące je strażniczki stały przez chwilę oniemiałe, nie rozumiejąc wybuchu Renate Zoll. W końcu jedna ze strażniczek ocknęła się i warknęła:

– Wracajcie do roboty. A ty... – zwróciła się do młodej dziewczyny o ciemnych oczach – powycieraj krew. Zaraz zababrzecie wszystko.

Pobite dziewczyny zaczęły wycierać siebie i wszystko wokół, nie chcąc przysparzać sobie dodatkowej pracy i ewentualnej kary za poplamione prześcieradła.

Gdy Renate Zoll skończyła służbę i zamieniła mundur strażniczki na elegancki kostium, postanowiła sprawić sobie przyjemność i kupić jakiś ładny fatalaszek. Nie miała zbyt wielu pieniędzy, ale wiedziała, że w Warszawie jest takie miejsce, gdzie sprzedawano całkiem szykowne ubrania za niską cenę. Polacy byli coraz biedniejsi i głodni, dlatego wyprzedawali wszystko, co najcenniejsze, aby nasycić swoje żołądki czymś pożywniejszym niż marmolada z buraków czy paskudny chleb na kartki.

Gdy jako folksdojczka przyjechała z Katowic, by podjąć pracę strażniczki na Pawiej, nie spodziewała się, że mimo wojny Warszawa jest jednym z najlepiej zaopatrzonych w towary miastem Europy. Tutejsi szmuglerzy swoje rzemiosło opanowali w sposób mistrzowski. Na rynku można było kupić dosłownie wszystko. Oczywiście ceny były powalające dla przeciętnych polskich obywateli, ale ona zarabiała niemieckie pieniądze i żyła jak Niemcy. Znała także polski, co sprawiało, że bez lęku muszkowała w zacisznych budkach stołecznych handlarzy.

Idąc w stronę rynku, zastanawiała się, czy kupić sobie nową apaszkę, czy może pudełko szwajcarskich czekoladek. Po kilku minutach doszła do wniosku, że zasłużyła sobie i na ładny fatalaszek, i na coś słodkiego.

– A co ty, Lewin, masz minę, jakby ci kto w dupie koły łamał? – zagadnął Franek „Diamentowa Rączka” Lewina.

Ten tylko machnął ręką i skrzywił się jeszcze bardziej.

– Chodziłem po tym piekle ze cztery godziny, a Mozela nie znalazłem – skłamał.

Franek ściszył głos.

– Nie dziwota, jak go Szwab jakiś gołymi rękami zadusił i jak worek kartofli do piwnicy wrzucił. Albo i nie Szwab...

– Naprawdę? – Emil udawał zdziwionego, po czym dodał, jakby od niechcenia: – A kto niby miał go zabić jak nie Szwaby?

– A bo to mało pejsaków w getcie, co by za bochenek chleba zadusili gołymi rękami? Ale co mi tam żałować Żydziaka i w dodatku czerwonego. Szkoda tylko, żeś

swojej sprawy nie załatwił jak potrzeba. Ale słuchaj, jest taki jeden, Perełka na niego mówią, bo frant sobie taką sztuczną szczękę wstawił, że z daleka widać. Dostał kiedyś w cyferblat od Mańka Druciarza, bo go orznął na ruskim złocie i musiał wstawić sobie sztuczną klawiaturę, ale nie w tym dzieło... Perełka zna takiego jednego oficera z Pawiaka, co zwolnienia załatwia. Tylko mu posmarować trzeba.

Ten temat zainteresował Emila. To była jakaś szansa.

– Ile bierze? – zapytał, zaintrygowany.

– No, jak za kogo ważnego, to i ze trzydzieści tysięcy.

– Ile? Przecież to fortuna – prawie krzyknął Lewin.

– No dużo, ale... Nie chcę ci tu, Emil, błagować, ale może twoja siostra to już u świętego Piotra kwiatki zrywa. Oni tak długo ludzi nie trzymają. Albo zakatują, albo do obozów wysyłają. A tam wiadomo, że grób i mogiła.

– Żyje... Wiem, że żyje, jeden taki się dowiedział.

– To dobrze, Lewin. A co, szkoda ci mamony na kochaną siostrunię? – zapytał.

– Franek, jakbym miał, to bym i pół miliona zapłacił. Ale nie mam. Z mojego mieszkania mnie wyrzucili, bogaty szwagier zwinął żagle do Anglii, a ja z małych oszczędności żyję. Ale i one mi się kończą. Sądziłem, że posprzedaję parę wartościowych rzeczy, ale teraz to tyle za nie płacą, że szkoda gadać – powiedział z desperacją w głosie Emil.

– Jakbym ja miał trzydzieści tysięcy, tobym nawiał za granicę, gdzie Szwabów nie ma... – rozmarzył się Franek. – Trochę szmugluję żarcie ze wsi, ale pieniądze z tego małe. Jestem zwykła płotka, ale są tacy, co fortuny się na szmuglu drobili. Całe wagony i ciężarówki żarcia wożą z Karczewa albo Rzeszy. Bracie, szampany, kawior, kawę prawdziwą... Mówię ci, takiego bogactwa się dorobili, że mucha nie siada.

– To czemuś ty się, Franek, tym nie zajął, tylko łba nadstawiasz za pół prosiaka? – zapytał.

– Chłopie, kapitalik jakiś trzeba mieć na początek i porządne dokumenta, żeby do Rzeszy jeździć. A to kosztuje. Ostatnio to już w portki narobiłem, jak nas Niemcy z rąbanką przydupili w pociągu. Z tego cykora to żem przez okno cały towar wyrzucił i potem pół dnia szukałem przy nasypach. Dobrze, że nikt nie laźł i nie trafił na to, boby miał na miesiąc wyżery. – Franek przewrócił oczami.

Lewin zamyślił się. To był doskonały pomysł. Wszyscy szmuglowali do Warszawy towary deficytowe i co cwańsi zbijali fortunę. Mógłby zaryzykować, a nawet dogadać się z kilkoma znajomymi z gestapo, ale Franek miał rację: potrzebne były pieniądze na pierwszy duży transport, a jego portfel świecił pustkami. Nie miał nawet pięknej Adrianny, którą oddawał znajomym za niewielką gratyfikację. Teraz jednak, gdy była w ciąży, nie byłaby zbyt przydatna.

Przyszedł mu jednak do głowy inny pomysł. Jego prawdziwy ojciec był bogaty przed wojną. Miał gorzelnię, dużo ziemi i prowadził rozliczne interesy. Być może dogadał się z Niemcami, a nawet jeśli nie, musiał mieć spore oszczędności. Nie wyobrażał sobie jednak, że jedzie do niego i prosi o wsparcie, nawet dla Hanki nie byłby w stanie kolejny raz narazić się na poniżenie. Ale przecież... Franek był złodziejem. Mogli włamać się do dworku w Chełmicach i zmusić starego do oddania wszystkiego, co miał. Musiał jednak udać się do swojej rodzinnej miejscowości i zrobić dyskretne rozeznanie w obecnym życiu swojego ojca. A potem... No cóż, jeśli miałby

wybierać pomiędzy życiem Hanki i starego Chełmickiego, z pewnością wybrałby życie siostry.

Postał jeszcze chwilę przy budce z pieczywem i bezwiednie przyglądał się ludziom krążącym wokół straganów. Niekiedy przystawali przy jakimś stoisku, pytali o cenę, po czym kiwali głowami i ze smutkiem odchodzili, szukając czegoś, na co mogliby sobie pozwolić. Nagle w potoku ludzi Emil dostrzegł młodą kobietę, która wyglądała niczym gwiazda amerykańskiego kina. Miała upięte w elegancki kok włosy, spojrzenie, które wbiłoby w ziemię każdego mężczyznę i poruszała się z gracją, jak baletnica na deskach teatru. Przystanąła przy jednym z handlarzy i dotykała długimi palcami apaszek, niedbale przewieszonych przez jego ramię.

– Panienko, to najprawdziwszy jedwab z Milanówka. No, pomaca pani, nawet pani skórka nie jest taka gładka – zachwalał swój towar handlarz. – A i cena okazjna, bo teraz to każdy pieniądze na węgiel i jedzenie wydaje.

– Ach, widzę – mruknęła dziewczyna. – Zastanawiam się tylko, którą wybrać. Tę w niebieskie kwiaty czy w żółte.

– Do pani oczu zdecydowanie bardziej będzie pasował błękitny, chociaż trudno będzie pani znaleźć tak piękny kolor – zagadnął Emil, podchodząc do nieznajomej.

Zmierzyła go od góry do dołu i wydeła wargi, jak niegdyś czyniła to jego piękna Adrianna. Musiała być folksdojczką, bo ubrana była zbyt elegancko jak na wojenne warunki. Poza tym Polki rzadko kupowały tak luksusowe rzeczy, wydając każdy grosz na jedzenie, którego było w Warszawie sporo, ale ceny dochodziły do monstrualnych kwot.

Pochodzenie pięknej dziewczyny nie miało dla Emila znaczenia. Chciał jedynie nasycić wzrok jej nietuzinkową urodą. Milczała. Nieco spłoszona, wzięła chustkę w żółte kwiaty, zapłaciła handlarzowi i ruszyła dalej.

– Czy powiedziałem coś niewłaściwego? – Emil nie odpuszczał.

Zatrzymała się i przyjrzała się bliżej natrętowi. Był niezwykle przystojny, dobrze ubrany i bardziej przypominał eleganckich Niemców niż niechlujnych Polaków. Może byłby w stanie ukoić jej wściekłość, która w ten dzień wyjątkowo nie chciała minąć, mimo że w torbie niosła pudełko pierwszorzędných pralinek, prawdziwą kawę i jedwabną apaszkę. Ale ona chciała poczuć się kimś ważnym. Wciąż była kompletnie rozbita sytuacją sprzed kilku godzin, jakby w istocie coś zaczynało jej się wymykać z rąk, a ona traciła władzę i panowanie nad własnym życiem. Było to irracjonalne, każda ze strażniczek w tym przypadku musiałaby odpuścić, ale Renate potraktowała to jako swoją osobistą porażkę.

– Chodź – powiedziała nagle, zupełnie nieskrępowana.

„O, chyba trafiłem na prostytutkę” – pomyślał Emil i pożałował, że nie ma pieniędzy na podobne rozrywki, bo chociaż stronił od takich kobiet, dla tej zrobiłby wyjątek.

– Nie stać mnie na panią – wydukał.

– Ale mnie stać na ciebie – burknęła, a widząc jego zaskoczoną minę, dodała: – To idziesz czy nie?

Kompletnie zdezorientowany podążył za piękną dziewczyną, która zaczęła iść coraz szybciej, poszturchując ludzi i objając się o krawędzie budek i ław.

– Ej, ej, co się dzieje? – Lewin złapał kobietę za rękę.

– Nic. Widzę, jak na mnie patrzysz. Chcesz mnie, prawda? A ja potrzebuję

mężczyzny. Układ jest prosty. Coś jeszcze chcesz wiedzieć? – warknęła ze złością. Nie miała ochoty wdawać się w żadne rozmowy z tym Polaczkiem, pragnęła jedynie rozładować swoje napięcie.

– Na przykład jak masz na imię? – Roześmiał się, z ulgą przyjmując fakt, że nie zażądała pieniędzy.

– Renate – mruknęła i znowu szybkim krokiem ruszyła przed siebie.

Tym razem jednak Emil nie próbował jej zatrzymać, tylko podążył za nią.

– Ja mam na imię Emil – wysapał, gdy zatrzymali się pod drzwiami mieszkania w jednej z kamienic.

– Hm... Ładnie – bąknęła Renate i przekręciła klucz w drzwiach. – Dobry wieczór, pani Hakielowa! – krzyknęła gromko.

Odpowiedziała jej cisza.

– Nie ma mojej gospodyni. Pewnie dzisiaj na popołudnie miała – powiedziała Renate i dodała bezceremonialnie: – Idę do łazienki, a ty poczekaj w moim pokoju. To ten ostatni po lewej stronie.

– Boże... – wyrwało się Emilowi.

Dotychczas to on traktował kobiety przedmiotowo, gdy tymczasem padał ofiarą podobnego traktowania. A on chciał wiedzieć trochę więcej o tej zjawiskowo pięknej kobiecie, zanim pójdzie z nią do łóżka. Nie odważył się jednak zaoponować, gdyż obawiał się, że jego randka, czy jak to tam nazwać, zakończy się szybciej, niż się zaczęła. Niepewnie wszedł do wskazanego pokoju, gdy tylko jego towarzyszka powiesiła na wieszaku płaszcz i zniknęła za drzwiami łazienki.

Biorąc pod uwagę zachowanie pięknej Renate, Emilowi wydawało się, że trafił na kobietę wampa, perwersyjną i bezpruderyjną, podobną do Heleny Ducret. Już za chwilę miał się jednak przekonać, jak bardzo się mylił. Mimo obcesowego zachowania Renate była delikatna, słodka i upajająca. Absolutnie doskonała. Gdy jednak ich długi akt miłosny dobiegł końca, powróciła poprzednia, ostra i niezbyt miła dziewczyna.

– Idź już... – burknęła.

– Renate... po naszymu Renatka albo Renia. – Emil próbował rozluźnić atmosferę.

– Wiem, mieszkałam trochę na Śląsku i tak na mnie mówili. Możesz mnie nazywać jak chcesz i tak już się więcej nie spotkamy. Idź już. – Renate Zoll wciąż była opryskliwa, jakby to, co się wydarzyło między nimi kilka minut wcześniej, nigdy nie miało miejsca.

– Dlaczego? Przecież wiem, że ci się podobam. – Uśmiechnął się.

– Tak, podobasz mi się i dlatego chcę, żebyś już sobie poszedł.

– Ktoś cię skrzywdził? Nic o tobie nie wiem...

– I nie musisz. Nikt mnie nie bił, nie gwałcił i nie znęcał się nade mną. Jasne?

– Więc dlaczego taka jesteś?

– Bo nie chcę być męskim popychadłem. A wy wyobrażacie sobie, że jeśli kobieta się w was zakocha, to możecie jej rozkazywać. Znam ja ten wasz męski świat! – wykrzyczała z goryczą w głosie.

– A jednak cię ktoś skrzywdził. – Lewin nie dawał za wygraną. – Bo wiesz, ja też miałem trudne dzieciństwo.

– Jedyna przykreść, jaka mnie spotkała, to śmierć mojej matki, gdy miałam je-

denaście lat. To się zdarza. Zostałam z ojcem i dwoma starszymi braćmi. I w naturalny sposób musiałam zastąpić matkę w tych wszystkich czynnościach, które ona do tej pory robiła. Przychodziły ciotki, sąsiadki i uczyły mnie gotować, szyć i cerować. Robiłam to, co matka, babka i każda kobieta w rodzinie. Ale ja miałam jedenaście lat. Chciałam się uczyć, tańczyć i bawić się. Nic z tego. Usługiwałam ojcu i braciom, i tak wyglądało moje dzieciństwo. Więc nie dorabiaj do tego mrocznej historii. Byłam jak inne dziewczynki w moim wieku, z tym że nie miałam matki i musiałam usługiwać trzem chłopom. – Uśmiechnęła się gorzko i dodała: – A teraz się wynoś. I tak powiedziałam ci więcej, niżbym chciała.

Emil Lewin nie chciał kolejny raz usłyszeć, że ma się wynosić, więc wstał z łóżka, ubrał się i opuścił mieszkanie Renate Zoll. Zanim jednak to zrobił, odwrócił się do niej i powiedział:

– Jeszcze się kiedyś spotkamy, Renate. Mnie można wyrzucić z życia tylko wtedy, gdy sam będę tego chciał. Ale nie obawiaj się, udowodnię ci, że mężczyzna może traktować kobietę jak księżniczkę.

Wracał do swojego mieszkania i powinien być zły, ale nie był. Bo rozumiał Renate bardziej niż ktokolwiek inny byłby w stanie. Traktowana niczym służąca ojca i braci, musiała gromadzić w sobie gniew i nienawiść, że zmuszano ją do życia, jakiego nie chciała. Postanowił, że tym razem nie odpuści, bo Renate Zoll wydała mu się więcej warta niż Adrianna i jej nieskazitelne, błogie dzieciństwo, gdy nauczono ją, że niektórymi można pogardzać, inni zaś istnieją jedynie po to, aby jej służyć.

Główna ulica warszawskiego getta na jeden dzień została zamieniona w plan filmowy. Władze okupacyjne Warszawy postarały się, aby to miejsce w niczym nie przypominało codziennej rzeczywistości. Zniknęli żebracy i wygłodniałe dzieci, uprzątnięto śmieci i pozostawiono jedynie osoby wyglądające zdrowo i pogodnie. Inicjatorzy tego spektaklu, który miał odbyć się na użytek ekipy filmowej z Międzynarodowego Czerwonego Krzyża oraz biura propagandy III Rzeszy, zadbali, aby występujący aktorzy otrzymali tego dnia podwójną ilość chleba i frykasy, których na ogół nie jadali. Była to zapłata tak cenna, że żadna z osób, która pozostała tego dnia w miejscu, gdzie był kręcony film dokumentalny, nie odważyła się poskarżyć, a nawet wykrzywić twarzy w grymasie. Oprócz jedzenia otrzymali także nowe, bardzo przyzwoite ubrania, które mogli zachować po zakończeniu zdjęć.

Walter von Lossow, któremu powierzono opiekę nad ekipą ze Szwajcarii, z uśmiechem obserwował główną reżyserkę i inicjatorkę filmu, Amerykankę Holly Evans.

– Ten celibat rzuca mi się na głowę – mruknął do siebie, bo Holly była zupełnie nie w jego typie.

Miała figurę dorastającego chłopaka, była wąska w biodrach i płaska niczym deska. Jej twarz nie nosiła śladu makijażu, a na głowę naciągnęła ogromną futrzaną czapkę z króliczego futra, spod której wystawały jasne kosmyki cienkich włosów. Walter jednak nie mógł oderwać od niej wzroku. Odkąd wprowadziła się do niego Adrianna, nie sprowadzał do swojego mieszkania kobiet, z burdeli bał się korzystać i być może dlatego na każdą napotkaną kobietę patrzył jak pies na smakowitą kość.

– A dlaczego nie możemy wejść dalej? – zapytała Holly, pociągając nosem. –

Chciałabym pokazać jakieś podwórko, gdzie bawią się dzieci. No, takie normalne życie...

– Panno Evans, mamy zimę i mało śniegu. W taką pogodę dzieci siedzą w domach – mruknął von Lossow, którego zadaniem było między innymi uniemożliwienie ekipie Holly Evans dotarcia do miejsc, które chciano ukryć przed światem.

– Mam bardzo mało materiału, podobno ten teren ma kilka tysięcy metrów powierzchni, a my możemy kręcić jedynie tutaj, na dwóch ulicach – burknęła, niezadowolona.

– A co pani chciałaby jeszcze zobaczyć? Mieszkańcy nie chcą brać udziału w tym cyrku, chcą mieć spokój. Dlatego schronili się pod naszymi skrzydłami, bo za bramami spotkać ich mogą jedynie szykany i represje ze strony Polaków – gładko skłamał von Lossow.

– Ludzie chcą zobaczyć, jak dbacie o bezpieczeństwo Żydów w Warszawie. Nie muszę wdzierać się do mieszkań, chcę, rozumie pan, nakręcić taki jakby spacer po tym miejscu. Od czasu do czasu może jakaś rozmowa z przypadkowym przechodniem, rozumie pan? – Holly nie odpuszczała. – Moi przełożeni życzą sobie pełny obraz miasteczka, rozumie pan?

Walter zirytował się.

– Panno Evans, proszę nie pytać mnie co chwilę, czy rozumiem. Zostałem oddelegowany do pani dyspozycji właśnie dlatego, że znam pani język i jeszcze kilka innych, na przykład francuski. Natomiast mam wrażenie, że pani nie rozumie. Judenrat czy – jak pani woli – Żydowska Rada Starszych nie wyraziła zgody na kręcenie filmu poza wyznaczonym obszarem. Ale zapewniam, panno Evans, wszędzie wygląda to tak jak tutaj. Mamy sklepy, zakłady usługowe, jest porządek, a Żydzi są bezpieczni i szczęśliwi.

– Panie Lossow, Międzynarodowy Czerwony Krzyż wyraża jednak zaniepokojenie izolacją Żydów w Polsce. Zapewne nie bez powodu. Trzecia Rzesza deportowała tysiące Żydów ze swojego kraju, więc to zrozumiałe, iż chcemy mieć pewność, że ci ludzie mają godziwe warunki bytowe. – Holly była uparta.

Obraz, który zobaczyła za jedną z bram, wydawał jej się zbyt sielankowy. Sztuczny twór. Tak jakby ktoś to wszystko przygotował, aby dobrze wyglądało na filmie. Wiedziała nie od dziś, że Niemcy są zajadłymi antysemitami, a tymczasem ujrzała takie widoki, jak żołnierz częstujący żydowskie maluchy cukierkami, uśmiechy przyklejone do ludzkich twarzy, gdy ich oczy wyrażały ledwo uchwytny strach czy sklepy pełne wiktuałów, a obok młody chłopak ukradkiem napychający usta suchym chlebem. Nie mogła jednak nic zrobić. Von Lossow był nieugięty, a pilnujący wejścia do pozostałych części tego dziwnego miasteczka żołnierze – uzbrojeni po zęby.

Operator pchał wózek z kamerą, a Holly Evans zaglądała niemal w każdy kąt, żeby przyłapać Niemców i Waltera von Lossowa na kłamstwie. Wszystko jednak na pozór wydawało się idealne. Nawet mieszkania nie były przepełnione, chociaż na logikę powinno być w nich tłoczno. W końcu po Nowym Jorku mieszkało tutaj najwięcej Żydów, a oddany im do życia spłachetek Warszawy nie mógł zagwarantować wystarczającej przestrzeni.

Przez cały dzień kręcono film, ustawiano kamery, zaglądano do sklepów, kawiarni i domów, a Walter odmierzał minuty do zakończenia tego przedsięwzięcia.

Nie żeby obawiał się dociekliwej Holly Evans, ale dlatego, że przemarzył na kość i nie pomagała nawet wypijana w dużych ilościach herbata z koniakiem. Gdy więc Holly dała znak ekipie, że nastąpił koniec zdjęć, von Lossow przyjął to z niekłamaną ulgą. Tym bardziej iż po tym czekała go jedynie kolacja w towarzystwie tej intrygującej dziewczyny.

Zabrał ją do Adrii, bo znana była z dobrego jedzenia i można tam było posłuchać muzyki i występów kabaretowych. Lubił to miejsce, bo jeszcze przed wojną często odwiedzał je wraz ze swoimi ulubionymi kompanami od kieliszka i dziwek, Chełmickim i Łyszkiniem. Bez nich ten lokal nie wydawał mu się tak atrakcyjny, ale miał nadzieję, że towarzystwo Holly Evans zmieni jego nastawienie.

Ta jednak rozprawiała jedynie o polityce. Jej rumieńce nie były efektem podniecenia, na co skrycie liczył, ale całodziennego przebywania na mrozie, co nie dodawało jej ani wdzięku, ani urody. Walter jednak nie mógł oderwać od niej oczu i przestać jej słuchać. Wydawała mu się kobietą z innego świata. Wychowana w bogatym nowojorskim domu, porzuciła ciepłe i luksusowe gniazdo, by dołączyć do szeregów Międzynarodowego Czerwonego Krzyża w Genewie. W przeciwieństwie do władz tej organizacji, była nieufna w stosunku do Hitlera i jego bezpardonowego zawłaszczania Europy. Uważała, że zdobędzie materiały, które sprawią, że najbogatsze państwa, w tym jej ojczyzna, zewrą szeregi i rozprawią się z III Rzeszą. Najbardziej niepokoił ją stosunek nazistów do Żydów i obojętność ich współbraci za oceanem. Wierzyła jednak, że jeśli zgromadzi dowody złego traktowania ich w krajach okupowanych, ktoś w końcu zareaguje.

„Naiwna idealistka” – z przekąsem myślał von Lossow, jednak imponowało mu to. Dziewczyny, które dotychczas spotykał, były inne niż Holly. Zajęte pielęgnowaniem swoich twarzy, eksponowaniem seksapilu, istniały tylko dlatego, że po świecie chodzili mężczyźni. Tymczasem panny Evans zdawał się w ogóle nie obchodzić świat damsko-męskich igraszek, ale idea zbawiania świata i chęć niesienia pomocy każdemu, kogo uważała za pokrzywdzonego.

– Panie von Lossow, pan nie traktuje mnie poważnie – burknęła, odgarniając kosmyk włosów z twarzy.

– Ależ to, co pani mówi, jest bardzo frapujące.

– Jednak pan woli wojnę. Jest pan jak każdy samiec. Trzeba wojować, zdobywać i triumfować, nawet kosztem słabszych. Ale już nie jesteście tacy dzielni, jeśli chodzi o Związek Radziecki – wytknęła mu.

– O jakże się pani myli, panno Evans. Mnie wojna wcale, ale to wcale nie pociąga. Lubię zabawę, dobre jedzenie, piękne kobiety i mocne trunki. Nie lubię wypełniać rozkazów, wstawać o świcie i spędzać zimowych, nieprzyjemnych dni na ulicy, bo jakiemuś dziewczątku zachciało się nakręcić film. – Uśmiechnął się z pobłażliwością.

– Trzeba w życiu w coś wierzyć... – mruknęła. – Mieć jakieś ideały, cele, a nie tylko napychać żołądek i dawać upust swojej chuci, panie von Lossow – odcięła się.

– To niech mnie pani do nich przekona, do tych wyższych celów. – Roześmiał się.

– Niech mi pan pokaże prawdziwe getto – spoważniała. – Niech pan zrobi w życiu coś dobrego, nawet podejmując ryzyko.

– Nie mogę, panno Evans, mimo całej sympatii dla pani, ale zapewniam, że ni-

gdy nie zapomnę o pani... – powiedział równie poważnie.

– Panie von Lossow, naprawdę pan mnie obraża... – burknęła, niezadowolona.

– Nie wierzy mi pani? Ale ja mówię zupełnie poważnie. Jest pani bardzo... nietuzinkową kobietą. Chętnie poznałbym panią bliżej. Jak długo zabawi pani w Warszawie?

– Próbuje pan ze mną flirtować? – zapytała nieco już rozzłoszczona Holly.

– Odrobinę.

– To rozczaruję pana. Jutro po południu wyjeżdżam.

– Będę mógł odprowadzić panią na pociąg?

– Jeśli pan chce – ściszyła głos.

Ten wieczór bardzo różnił się od tych, które Walter spędzał w towarzystwie kobiet. Rozmawiali z Holly na różne tematy, a właściwie zażarcie dyskutowali, ponieważ mieli całkowicie odrębne poglądy na wiele spraw. Von Lossow był cyniczny i inteligentny. Holly wrażliwa i błyskotliwa. Walter chwilami nawet zapominał, że rozmawia z kobietą, ponieważ nie dawała się zbyć komplementami i w końcu przestał je prawić. Było wiele sprzeczności w Holly Evans. Była silna, ale wrażliwa. Odważna, lecz subtelna. Uparta, lecz potrafiła jasno sprecyzować swoje stanowisko. Tak, to był przedziwny wieczór i von Lossow wcale nie skłamał, mówiąc, że nigdy nie zapomni o Holly.

Następnego popołudnia czekał na nią w hotelowym foyer. Wydała dyspozycje swojej ekipie, po czym wzięła Waltera pod rękę i ruszyła z nim w stronę Dworca Głównego, ubrana w tę swoją dziwną czapkę z króliczego futra. Mimo niesprzyjającej aury i ponurych widoków wokół powiało romantyzmem. Walter był przekonany, że gdyby Holly Evans została na dłużej, w końcu przełamałby jej opór.

Gdy w oddali ujrzeli budynek dworca, von Lossow nieco zwolnił, jakby chciał zatrzymać chwilę, atmosferę czegoś nieuchwytnego, co musiało umrzeć, zanim się urodziło. Pogrążony w zadumie, nie zwrócił uwagi na kilku esesmanów trzymających na muszce jakichś mężczyzn. Ot, zwykły widok na ulicach okupowanej Warszawy. Holly zatrzymała się i z zainteresowaniem zaczęła przyglądać się scenie. Jeden z esesmanów, nieco podchmielony, krzyknął na wiekowego mężczyznę w ciemnym płaszczu i o siwych włosach. Starszy człowiek jednak milczał, wpatrując się ze strachem w wycelowaną w niego lufę pistoletu. Po chwili esesman podszedł do niego, uderzył go i popchnął na chodnik. Ten przewrócił się, ale gdy tylko próbował się podnieść, esesman wymierzył mu kopniaka ciężkim butem.

Walter von Lossow nawet nie przypuszczał, że jego towarzyszka zechce się wtrącić. Nie zdążył zareagować, gdy wysunęła rękę spod jego ramienia i podbiegła do esesmana. Musiała być kompletnie pozbawiona wyobraźni albo po prostu nieświadoma, czym może skończyć się jej interwencja, bo bez żadnych oporów podbiegła do oprawcy i zaczęła go okładać torebką, rzucając przy tym wyzwiska w kilku językach. Esesman przez moment był oszołomiony takim zuchwalstwem, ale chwilę potem, nie wnikając w szczegóły, wystrzelił w brzuch kobiety. Chciał poprawić swoje dzieło kolejnym pociskiem, ale Walter ocknął się z odrętwienia i podbiegł do żołnierza.

– To obywatelka amerykańska, przedstawicielka Międzynarodowego Czerwonego Krzyża! – krzyknął.

Kolejny strzał nie padł, ale ten pierwszy wystarczył, żeby stwierdzić, że z Holly jest bardzo źle. Leżała nieruchomo na chodniku, patrząc przerażonym wzrokiem na klęczącego przy niej Waltera.

– Zaraz wezwą ambulans. Nie martw się, Holly, zawieziemy cię do szpitala, a tam już zrobią, co należy.

Uśmiechnęła się smutno i wpatrywała się w Waltera, gdy ten pokrzykiwał na żołnierzy, strasząc ich międzynarodowym skandalem. Chwilę potem pochylił się nad Holly i głaskając ją po zakrwawionej dłoni, szeptał słowa otuchy.

– Nic z tego nie będzie, panie von Lossow. Niczego już nie będzie. Ale warto było. Przyjechać tutaj i być wszędzie, gdzie ludziom dzieje się krzywda. Kiedyś to poczujesz... – Wyraźnie chciała coś jeszcze dodać, ale straciła przytomność.

Ambulans przybył po kilkunastu minutach, które zdawały się wiecznością. Gdy sanitariusze włożyli nosze do furgonetki, von Lossow wszedł wraz z nimi i pojechał z Holly do szpitala. Przez kilka godzin siedział na szpitalnej ławce, tuż obok gabinetu lekarskiego Weroniki Sarnowskiej, i czuł strach. Z trudem przełykał ślinę i nie chciał, żeby Holly umarła. Nie pamiętał, kiedy ostatni raz płakał, chyba gdy był jeszcze młodym chłopcem, ale w tym momencie najchętniej wybuchnąłby szlochem i zaczął tupać nogami z okrzykiem: „Nie zgadzam się, nie zgadzam się”.

Zza drzwi sali operacyjnej wyszła kobieta w białym kitlu i powłócząc nogami, ruszyła w stronę gabinetu. Walter podniósł się z ławki.

– Co z nią? – zapytał drżącym głosem.

– Przykro mi – powiedziała Weronika. – Nie zdołaliśmy jej uratować.

Spodziewała się wybuchu złości i gróźb, ale operacja wykończyła ją i było jej wszystko jedno. Dostrzegła jednak w oczach tego młodego niemieckiego oficera coś, co sprawiło, że po chwili odwróciła się i zapytała:

– Wejdzie pan?

– Tak, chciałbym się dowiedzieć, czy zrobiliście wszystko, aby ją uratować – powiedział z żalem Walter i wszedł do gabinetu.

Weronika westchnęła. Znowu będzie musiała się tłumaczyć. Usiadła za biurkiem, oparła dłonie na blacie i zapytała zimno:

– To co chciałby pan wiedzieć?

– Czy gdyby to była Polka, postarałaby się pani bardziej. Powiem pani coś... Ta kobieta nie była Niemką ani folksdojczką, tylko Amerykanką. Przedstawicielką Czerwonego Krzyża. – Von Lossow podniósł głos, jakby chciał dać upust swojej frustracji.

– Bez względu na to, kim jest pacjent, zawsze ratuję życie z taką samą determinacją. Jestem lekarzem, nie żołnierzem. Gdyby na tym stole leżał pan, również ratowałabym panu życie, chociaż być może wcale pan na to nie zasłużył – warknęła, zniecierpliwiona.

Weronika Sarnowska powiedziała prawdę. Na sali operacyjnej starała się nie myśleć, kim jest pacjent. Dopiero później przychodziła refleksja, że w niektórych przypadkach powinna stać z założonymi rękami, dopóki taki człowiek nie umrze.

Walter popatrzył na lekarzkę i pożałował swojego wybuchu. Niczego już nie można było zmienić ani cofnąć czasu. Trwała wojna i teraz dotknęła swoim okrucieństwem właśnie jego. Prawie nie znał Holly Evans, a jednak nie była to dla niego przelotna znajomość, jak wiele innych. Ta dziewczyna zdawała się wyjątkowa pod każ-

dym względem. Miał tak wielką ochotę jej czymś zaimponować, wzbudzić jej sympatię, a przede wszystkim szacunek... Holly miała rację, jego życie było puste i przeciekało mu między palcami. Nigdy nie zrobił niczego wzniosłego czy niebezpiecznego. Zawsze w okopach, niczym tchórzliwy żołnierz trzymający się kurczowo spokojnej przystani, zawsze za linią frontu, patrzący z oddali na wojenną zawieruchę.

– Przepraszam – bąknął i wyciągnął dłoń po leżące na biurku pióro.

Przesunął w swoją stronę notes Weroniki i zamasztył pismem zapisał w nim swoje nazwisko i numer telefonu, zarówno służbowego, jak i domowego. Potem dodał:

– Gdyby pani czegoś potrzebowała, proszę do mnie zadzwonić. Postaram się pomóc. I jeszcze raz przepraszam za mój wybuch... Ta kobieta... To był bardzo piękny człowiek.

Hala magazynowa znajdowała się na obrzeżach Warszawy i była obskurna. Zupełnie nie pasowała do tak wzniosłej uroczystości, jaka miała za chwilę się rozpocząć. Kilkanaście osób czekało ze wzruszeniem na moment zaprzysiężenia. Ckliwość łąpała za gardła młodych ludzi, którzy palili się do walki o wolną ojczyznę, gotowi na każde poświęcenie, a nawet na śmierć.

Nie dotyczyło to w najmniejszym stopniu Alicji Rosińskiej, która wcale nie była gotowa do poświęceń ani tym bardziej do utraty życia. Oczywiście, miała świadomość podejmowanego ryzyka, ale dla niej nie było to ani wzniosłe, ani pożądane. Nie widziała krzty romantyzmu w męczeńskiej śmierci za ojczyznę. Przez swój upór czy – jak to sobie chwilami wyrzucała – głupotę wpadła w wir historii i walki na śmierć i życie. Wierzyła jednak, że urodziła się pod właściwą gwiazdą i jest dzieckiem szczęścia, więc każda brawura ujdzie jej na sucho. Do wszelkich poświęceń była gotowa jedynie dla ludzi, których kochała, reszta obchodziła ją w stopniu umiarkowanym.

Kiedy więc tak stała z palcami uniesionymi ku górze i powtarzała beznamiętnie słowa przysięgi, bardziej interesował ją Julian Chełmicki, którego nie widziała od pięciu tygodni, a teraz stał nieopodal i nie zwracał na nią uwagi. Była trochę zła na niego za jego nieprzejednanie. W końcu na nikogo nie donosiła i nikogo nie narażała ani na śmierć, ani na szykany, a przy okazji przysłużyła się ojczyźnie, którą tak bardzo wielbił. Mężczyzna to mężczyzna i nie należało przypisywać do tego wydumanych historii. Bez względu na to jednak, czy zgadzała się z opinią Juliana, czy też nie, postanowiła zaskarbić sobie jego wybaczenie. Był jej mężczyzną. Jedynym i na zawsze.

– Możesz opuścić rękę – powiedział do niej człowiek w grubym płaszczu, który bardziej wyglądał na eleganta z wyższych sfer, jakich spotykała w modnych lokalach przed wojną, niż na dowódcę komórki ruchu oporu.

Szybkim ruchem opuściła rękę, nieco zmieszana, jakby obawiała się, że ktoś odkryje, że myśłami w takiej doniosłej chwili była zupełnie gdzie indziej.

Kilka minut później grupę podzielono na dwie części i serce jej urosło, gdy okazało się, że w jej znajduje się Chełmicki. Niestety, nieco zmarkotniała, gdy wyszło na jaw, iż będzie jej dowódcą. Mężczyzna, którego kochała, mógł wydawać jej rozkazy jedynie w łóżku, co miało być dla niego ogromnym wyróżnieniem, tymcza-

sem ten będzie rozstawiał ją po kątach, kiedy tylko będzie chciał. Obawiała się również, że jest takim służbistą, iż nawet jej urok nie będzie w stanie zmienić decyzji, z którymi by się nie zgadzała. Już pierwsze wypowiedziane przez Juliana słowa nie zwiastowały niczego dobrego.

– Chodź, musimy porozmawiać – powiedział stanowczo.

„Trzy minuty temu został moim dowódcą i już się szarogęsi” – pomyślała niezbyt życzliwie, ale potem ucieszyła się, że w końcu będzie mogła spędzić z nim kilka minut na osobności. „A może już mi wybaczył” – kolejna refleksja wpadła jej do głowy.

Niestety, do małego pokoju, który zapewne niegdyś był pomieszczeniem biurowym, wszedł również mężczyzna w długim, ciemnym płaszczu. Usiedli wokół odrapanego biurka i pierwszy odezwał się Chełmicki.

– Twoje kontakty oraz informacje, które przekazałaś wywiadowi brytyjskiemu, były bezcenne. – Głos mu drżał i nie patrzył na Alicję, uciekając wzrokiem w brudną przeszkloną ścianę.

– Bardzo dziękuję – mruknęła.

– Myślę, że byłoby dobrze, gdybyś mogła kontynuować swoją misję, tym razem pod naszymi skrzydłami – powiedział mężczyzna w płaszczu, do którego Julian zwracał się „majorze Sokół”.

– Nie bardzo rozumiem... – Przełknęła ślinę, łudząc się, że nie będą od niej oczekiwali powrotu w ramiona niemieckiego kochanka.

Major „Sokół” rozwiał jednak jej nadzieje, zadając pytanie:

– Jaka jest szansa, żebyś na powrót uwiodła Grossa?

Alicja próbowała nawiązać wzrokowy z Julianem, ale on wciąż wodził oczami po wszystkich detalach wnętrza, byle nie spotkać spojrzenia Alicji.

– Nie będę już jego kochanką bez względu na to, jakie są na to szanse – powiedziała stanowczo i miała nadzieję, że to, co proponowali, nie jest rozkazem.

– Nie możemy cię do tego zmusić. To delikatna sprawa i nigdy nie wydałbym podobnego rozkazu. To jest prośba – delikatnie zaczął major, widząc pełen wściekłości wzrok Alicji.

– Więc nie zgadzam się – warknęła.

– Proszę to jednak przemyśleć. Gross zapewne ma dostęp do takich informacji, jak chociażby eksperymenty z nowoczesną bronią czy plany i ewentualny termin ataku na Związek Radziecki. To są dane, które pomogłyby uratować wiele istnień ludzkich, jeśli nie pokój w Europie – przekonywał „Sokół”, po czym wstał i ruszył w stronę wyjścia ze słowami: – Może Robert cię przekona.

Zostali we dwoje w zatęchłym pomieszczeniu, gdzie powietrze było ciężkie od emocji.

– Wiem, że Gross zna twoje prawdziwe dane, co jest problemem, ale zapewniemy ci maksymalne bezpieczeństwo i w razie problemów opuścisz kraj. – Chełmickiemu wciąż drżał głos.

– Ty świnió! – Alicja nie wytrzymała i zerwała się z krzesła.

– Alicja... Proszę. To ważne. Bardzo ważne – powiedział cicho.

– A co z nami? – zapytała rozzwierająco.

– Nas już nie ma – stwierdził stanowczo. – Masz trzy dni na podjęcie decyzji. Jeśli odmówisz, zostaniesz przydzielona do innych zadań.

– Mogę udzielić odpowiedzi już teraz. Nie zgadzam się! – krzyknęła i uderzyła pięścią w blat biurka.

Julian podniósł wzrok i popatrzył na nią. Pierwszy raz podczas całej rozmowy. Jego spojrzenie nie wyrażało ulgi z podjętej przez nią decyzji, oczy Chełmickiego nie wyrażały nic. Były zimne i kompletnie bez wyrazu.

– Jeszcze dzisiaj przeniesiesz się do mieszkania jednej folksdojczki. Przyjechałaś do Warszawy z Gdańska, twój ojciec był Niemcem, zginął w kampanii wrześniowej, matka zmarła na gruźlicę jeszcze przed wojną. Dostaniesz nowe dokumenty. Będziesz nadal miała na imię Aldona.

Julian wyciągnął dłoń i podał jej paszport oraz inne kwitki poświadczające jej rzekome niemieckie pochodzenie. Otworzyła paszport i zapytała z niesmakiem:

– Schwein? Lepszego nazwiska nie mieliście? Aldona Świnia?

– To prawdziwe dokumenty nieżyjącej kobiety, Aldony Schwein, więc nie czas na grymasy. Martwisz się dziwnym nazwiskiem, a nawet nie interesuje cię, do jakich zadań zostałaś przydzielona i na ile są one niebezpieczne? – zapytał z ironią w głosie Julian.

– Dziwne tobym jeszcze zniosła... – mruknęła. – Zatem jakie to zadania?

– Nasza działalność kosztuje. To, co przemyciliśmy z Anglii, to kropla w morzu naszych potrzeb. Alianci będą nam przysyłać pewne kwoty. Transfer będzie odbywał się przez banki szwedzkie do banków na terenie Rzeszy. Raz na jakiś czas będziesz udawała się do naszego zaufanego bankiera w Berlinie i realizowała wypłaty w gotówce. Następnie zapakujesz je do walizki i przywieziesz do Polski. Pierwsze kilka razy będzie asekurował cię Wiktor, jeśli jednak okaże się, że ten kanał jest bezpieczny, a twoje papiery nie będą budziły wątpliwości, oddelegujemy Wiktora do innych zadań, a ty będzie jeździła sama.

– Dobrze, zgadzam się – powiedziała Alicja.

– Tym razem to rozkaz. I pamiętaj, że od tej chwili każde zadanie to rozkaz, bez względu na to, jak bardzo nie będzie ci się ono podobało – warknęła.

– Powiedz mi, proszę, że nie chciałeś, abym przystała na propozycję majora – wyszeptęła, chcąc rozbić mur, który między nimi postawił Julian.

– Myślę, że to wielka strata dla naszej sprawy – powiedział zimno Chełmicki.

– Świnia... Większa niż ta w moim nowym nazwisku – wysyczała i opuściła biuro.

Wieczorem pożegnała się z przemiłym profesorem i udała się pod wskazany adres, gdzie atmosfera była równie duszna, jak podczas spotkania w magazynach. Gospodyni lokalu, w którym miała zamieszkać Alicja, była wścibska i podejrzliwa. Alicja uznała jednak, że nie będzie się ani tłumaczyła, ani specjalnie spoufalala. W końcu były „równe sobie” i mogła pozwolić sobie na pewną wyniosłość. Nie był to jednak wyreżyserowany spektakl, a efekt tego, że dziewczyna była zdruzgotana postawą Juliana. Porzucił ją, bo zadawała się z Grossem, a jednak kilka tygodni później solennie namawiał, by ponownie została kochanką wysoko postawionego funkcjonariusza Ministerstwa Wojny.

Rzuciła się na tapczan w swoim pokoju, nawet nie zdejmując z siebie płaszcza, i załkała.

– Świnia, świnia – powtarzała, jednocześnie zrozpaczona i pełna złości. – Niech sam sobie da takie nazwisko. Będzie pasowało jak ulał – mruzczała do siebie, połykając łzy.

Nie chciała wracać do Grossa ani wiązać się z nikim innym. Pragnęła być tylko z Chełmickim, który chciał ją teraz sprzedać jak swoją dziwkę. Ku chwale ojczyzny. I to było w porządku. Ale wykorzystywać Grossa ku chwale miłości, było niemal zbrodnią. Nie rozumiała tego. Martin był mężczyzną jak każdy inny, jedynie usprawiedliwienie grzechu mogło stanowić o rodzaju pokuty. Tę natomiast jedynie ona mogła sobie zadać i nawet Julian Chełmicki nie miał do tego prawa.

Chełmicki wracał do mieszkania Weroniki Sarnowskiej i czuł ulgę, że Alicja nie zgodziła się na proponowany przez majora układ. Jednocześnie wyrzucał sobie zachowanie godne tchórza. Nie ośmielił się ostro zanegować pomysłu dowództwa, zostawiając ten dylemat na głowie Alicji. Chciał także ją wypróbować w swoisty i bezczelny sposób. Gdyby się zgodziła, jego rozważania i dylematy po prostu nie miałyby już racji bytu, podobnie jak kołacząca się w jego duszy chęć powrotu do Alicji i wybaczenia jej. Teraz znowu będzie się miotał, a nawet jeśli podejmie decyzję o ponownym związaniu się z Alicją, ta z pewnością pokaże mu drzwi.

Martwił się także jej misjami związanymi z wyjazdami do Rzeszy, wiedział bowiem, że nie będzie w stanie jej ochronić przed niebezpieczeństwem. Jako „aniola stróża” i partnera w akcji przydzielono jej Wiktora, pewnego siebie aroganta, który wzbudzał w Julianie przemożną chęć dania mu po gębę. Wiktor był przy tym niesamowicie przystojny, co jeszcze bardziej irytowało Juliana, a może nawet bardziej niż jego charakter. Obawiał się, że taka kobieta jak Alicja będzie stanowiła dla tego chłopaka wyzwanie, a ona już nie raz ulegała mężczyznom. Kiedy dotarł do mieszkania, miał już taki mętlik w głowie, że sam nie wiedział, czy wciąż kocha Alicję, czy może nienawidzi. Jak to powiedziała kiedyś Weronika, na jedną miłość najlepszym lekarstwem była inna.

Doktor Sarnowska krzątała się po kuchni i była przygnębiona. Jej ruchy były spowolnione, a myślami błąkała się zupełnie gdzieś indziej. Zawsze tak było, gdy traciła pacjenta. Powinna się już przyzwyczaić, trwała wojna, ale ona gdzieś w duchu wciąż rozmyślała nad każdą niemal sekundą walki o ludzkie życie. Rozważała swoje decyzje, kolejne ruchy, jakby podświadomie chciała znaleźć błąd, który popełniła, by móc obwinić siebie. Zwykle następnego dnia już o tym nie myślała, rzucała się w wir normalnych zajęć, ale te kilka godzin po przyjściu z pracy poświęcała na rozważania i wątpliwości.

Tego dnia ofiarą była młoda dziewczyna. Ani Polka, ani Niemka. Uwikłana w tę wojnę przypadkowo. A może przez głupotę albo zbytnią brawurę? Przybyła ze spokojnej Szwajcarii, a wcześniej z równie spokojnej Ameryki, by niczym Don Kichot walczyć z wiatrakami historii. Młody oficer SS, który z nią przyjechał, bardzo przeżył jej śmierć, a może po prostu naszała go refleksja nad bezsensu tej wojny. Nie miała do niego żalu, że próbował obwinić ją za śmierć panny Evans, to zdarzało się często i nie tylko podczas wojny. Jeszcze przed wrzeźnią napotykała na swojej drodze zdruzgotanych rodziców, którzy tracili swoje dzieci, zrozpaczonych małżonków czy zawiedzionych przyjaciół. A ona była niczym worek bokserski, na który padają

pierwsze ciosy, jak gdyby ci, co zostali na ziemi, chcieli zrzucić na czyjeś barki ból i żal.

– Dzień dobry, Weroniko – powiedział Julian, wchodząc do kuchni. – Jak mi-
nął ci dzień?

– Był okropny – odpowiedziała z westchnieniem. – A twój?

– Nawet nie pytaj – powiedział cicho, opierając się o futrynę drzwi.

– Straciłam pacjentkę.

– Straciłem moją kobietę.

Przez chwilę milczeli, zastygli w bezruchu, spoglądając na siebie ze smutkiem. Weronika odłożyła trzymany w dłoni talerzyk na półkę kredensu, odwróciła się i po-
deszła powoli do Chełmickiego. Dotknęła delikatnie jego policzka, nie bardzo wie-
dząc, czy chodzi o śmierć, czy o rozpad związku. W tych czasach każda z tych ewen-
tualności była tak samo prawdopodobna. Nie chciała jednak już dłużej się nad tym
zastanawiać. Przez kilka godzin pragnęła uciec od świata, który chwilami przerastał
jej zdolność pojmowania. Los był taki niepewny, a życie kruche. A gdyby tak zatopić
się w czyichś ramionach, schronić się przed udręką egzystencji, zapomnieć o tym,
co było i co czeka nazajutrz?

Wspięła się na palce i zaczęła delikatnie muskać ustami twarz Juliana. Ten
poddawał się pieszczocie i czuł, jak schodzi z niego całe napięcie tego dziwnego
dnia, w którym pozornie niewiele się zdarzyło, a jednak dla niego tak dużo. Zaczął
oddawać pocałunki, najpierw niepewnie, jakby zastanawiając się, czy dobrze robi,
a potem łapczywie i bez opamiętania.

Ta noc nie rozwiązała żadnych problemów. Nie cofnęła czasu, nie przerodziła
się w wybuchające niczym gejzer uczucie. Była jedynie zapomnieniem i ucieczką od
myśli i dylematów. A oboje mieli ich pod dostatkiem.

Weronika martwiła się kolejnymi rannymi, uciekinierami, którym należało po-
móc, i tym, że zamiast być przy synu i leczyć jego duszę po śmierci ojca i rozłące
z matką, opatruje ciała obcych ludzi.

Julianowi stała przed oczami Alicja, patrząca na niego z pogardą, twarz ojca,
którego okłamał, nie myśląc o konsekwencjach, i podekscytowaną twarz „Sokoła”,
gdy opowiadał o dokonaniach Alicji. A teraz poszedł do łóżka z Weroniką, nie zasta-
nawiając się, czy przypadkiem nie rozbudzi w niej uczuć innych niżli przyjacielskie.
Tak, powoli i on zrzucił maskę idealnego człowieka, którym tak łatwo jest być, gdy
wszystko układa się według naszych marzeń, i tak trudno, gdy życie zmienia swój
bieg, wprowadzając w ludzkie losy zakręty i zawirowania.

4. Moskwa, 1941

Operacja pod kryptonimem „Klasztor” z pozoru wyglądała jak pobożne życzenie radzieckich decydentów NKWD. Niemal każdego dnia wysyłano z różnych miejsc Europy rozpaczliwe listy do niemieckich ambasad, konsulatów i prywatnych osób. Głównie do członków znakomitych, arystokratycznych rodów. Robiono to nieco na oślep, nie wiedząc nawet, czy nie trafią na jakichś zagorzałych, aczkolwiek cichych wrogów Hitlera. Jednak rozpracowanie sympatii i antypatii wśród takich osób mogło napotkać trudności, ponieważ rzadko kiedy otwarcie krytykowano poczynania Führera.

Łyszkin, jako osoba kierująca całą operacją, uznał, że w takich przypadkach po prostu nie otrzymają żadnej odpowiedzi. Był jednak człowiekiem czynu i irytował się, gdy wciąż czekano na jakiś dobrze rokujący odzew, mogący stanowić punkt zaczepienia do dalszych poczynąń.

– Mamy coś. Miecznikow przywiózł przed chwilą. To do Iriny, od Gertrud von Rinemann. Bardzo współczuje Irinie życia w tak okrutnych warunkach i obiecuje daleko idącą pomoc. – Jurij Sacharow był wyraźnie podekscytowany.

Igor wciąż miał na uszach słuchawki, próbując złapać jakiś sygnał z Brześcia. Zdjął je, przetarł zmęczone oczy i powiedział beznamiętnym głosem:

– Dajcie spokój, Jurij. To już czternasty list pełny kurtuazyjnego ubolewania nad losem ziemiaństwa i arystokracji, z którego kompletnie nic nie wynika.

– Tym razem jednak pani Rinemann dodała coś jeszcze. Jej mąż, niestety, nie zdradziła, czym konkretnie się zajmuje, jeździ na polowania z jednym z ludzi Canaria. Przy najbliższej okazji ma przekazać kilka słów na temat naszej organizacji. A wtedy...

Łyszkin przerwał mu.

– A wtedy kolejny raz otrzymamy liścik pachnący olejkiem różanym, pełen wyrazów udawanej troski. Myślę, że nadszedł czas, aby zasugerować im, że możemy szpiegować dla nich w zamian za obietnicę pomocy przy odbudowie przedrewolucyjnej Rosji.

– I myślicie, że dadzą się na to nabrać? – zakpił Jurij.

– Nie, ale będą myśleli, że jesteśmy naiwni i myślimy życzeniowo, a w związku z tym będzie można nas wykorzystać. Na ile Irina jest zaprzyjaźniona z tą całą von coś tam? – zapytał, marszcząc czoło.

– Na tyle dobrze, że Gertrud von Rinemann postanowiła interweniować u swojego małżonka. – Sacharow roześmiał się.

– Niech korespondują dalej. Przygotujcie Irinie list, niech go przepisze, nieco zmieniając formę, aby nie było zgrzytów. Otóż ma się w nim wyżalić na jednego bliskiego kuzyna, który pracuje w sztabie głównym, może wydział kwatermistrzowski, i niegdyś był wielkim piewcą idei komunizmu. Dzisiaj jednak przejrzał na oczy, ale nie może odejść z armii, gdyż obawia się o swoje życie. Wplećcie w to informację o problemach z żywnością i wspomnieniach z dworku w Kuskowie. Oczywiście najlepiej gdyby napomknęła o rodzicach i dziadkach, i ich zasługach dla carskiej Rosji.

I niech od razu Miecznikow odwiezie to kurierowi. Za chęć wstawiennictwa u tego znajomka Canarisa podziękuje lakonicznie. Musimy skierować uwagę małżonka Gertrud na tego naszego kuzyna. – Igor mówił powoli, bo zmęczenie dawało mu się mocno we znaki.

Ich radiostacje były przestarzałe i miały fatalny zasięg, ale nie mogli korzystać jedynie z kurierów, jak za średniowiecznych czasów. Dlatego Łyszkin testował nowe nadajniki, wykorzystywał nowatorskie rozwiązania i liczył, że w końcu technologicznie dogonią świetnie wyposażoną w tego typu urządzenia Rzeszę. Osobiście był zdania, że nie ma niczego złego w opłacaniu zdolnych inżynierów z Europy Zachodniej, aby techniczne nowinki mogły być wykorzystywane w Związku Radzieckim.

– A jeśli będą chcieli skaperować owego kuzyna? – zapytał Jurij. – Kto odegra tę niebezpieczną rolę?

– Ja – bąknął Łyszkin.

– Możecie zginać, to niebezpieczna misja. Kto wtedy pokieruje „Tronem”? – zapytał nieco zaniepokojony Sacharow.

Uważał Łyszkin za inteligentnego i przebiegłego, ale nieco narwanego. Obawiał się, że będzie narażał się bardziej niż to konieczne, a wtedy cała akcja „Klasztor” weźmie w łeb.

– Oczywiście, będę musiał otrzymać zgodę dowództwa, ale nie martwcie się, jesteście już dobrze wyszkoleni i w razie mojej wpadki po prostu otrzymacie awans. – Igor pocieszał Jurija.

– Ja? Ja bym nigdy nie wpadł na takie pomysły jak wy – powiedział skromnie Sacharow, ale oczy mu rozbłysły na wieść, że byłby rekomendowany przez Łyszkin na jego następcę. Momentalnie Igor wydał mu się idealnym kandydatem na kuzyna Iriny Szeremietiew.

Kolejne tygodnie przyniosły rozczarowania działaniem niezbyt dobrego sprzętu nasłuchowego i mizernym oddźwiękiem wśród niemieckiej arystokracji, ale wymyślony naprędce kuzyn okazał się idealną przynętą. Gertrud von Rinemann żywo zainteresowała się losem nieszczęsnego oficera, który tak bardzo chciał opuścić szeregi Armii Czerwonej.

Gdy tylko nadeszły subtelne i wyważone pytania niemieckiej arystokratki, Łyszkin i Sacharow rozpoczęli budowę życiorysu owego człowieka, aby w najmniejszym stopniu nie wzbudzić podejrzeń, iż jego istnienie było równie prawdziwe, jak to, że radiostacje radzieckie mają zasięg dwóch tysięcy kilometrów.

Igor Łyszkin, wymyślając historię Iwana Szeremietiewa, uczył się swojej roli i nawet chwilami starał się zapominać, kim jest naprawdę. Tworząc swoje alter ego od dnia narodzin, wkraczał do świata fikcji, gdzie czuł się zupełnie dobrze. Miał nadzieję, że tym samym wymaże ze swojej głowy rodzinę i Hankę Lewin. Jednak gdy doszedł do chwili swojego ożenku, fikcyjną żonę nazwał „Hanna Lenska”, aby chociaż w wyobraźni cieszyć się jej obecnością. Chwilami Jurij musiał go stopować, bo w owym wyimaginowanym życiorysie Hanna Lenska jawiła się jako kobieta bez skazy, o idealnej urodzie, wysublimowanym guście i charakterze anioła. A im bardziej zagłębiał się w jej losy, tym bardziej zdawała się nieskazitelna, niczym nimfa, której kruchość i delikatność w najmniejszym stopniu nie pasowały do kapitana Armii Czerwonej. Oczywiście miał także potomstwo, śliczną, słodką córeczkę o imieniu Nadieżda, która była równie doskonała jak jej matka.

– Dobrze... – mruknął Sacharow. – Jak się poznaliście?

– Śpiewała w Kuskowie piękne rosyjskie pieśni i zakochałem się od pierwszego wejrzenia. Kobiety lubią takie historie, Gertrud von Rinemann także je pokocha. – Roześmiał się.

– Chyba brakuje wam kobiet, kapitanie Łyszkin, bo fantazja was ponosi – zawtórował mu Sacharow.

– Tak, w istocie, trochę przesadziłem – zawstydział się Igor, bo przecież nie mógł się przyznać, że właśnie w taki sposób Hanka Lewin wkroczyła w jego życie, zadomowiła się i była klasycznym przykładem tego, że istnieje coś takiego, jak miłość od pierwszego wejrzenia, z której lubiano sobie kpić w męskim towarzystwie, nazywając wymysłami pensjonarek i poetek.

I tak każdego dnia Igor Łyszkin przyzwyczajał się do swojego nowego, ponurego życiorysu, pełnego lęku i pogardy dla nowego systemu, gdzie jedynym jasnym punktem były żona Hanna i córka Nadieżda.

5. Chełmice, 1941

Emil Lewin tym razem zrezygnował ze swojego szykownego ubioru; miał na sobie watowaną kurtkę, wyświechtany beret i nie różnił się niczym od prostych robotników z prowincji. Podobnie wyglądał jego kompan, Franek „Diamentowa Rączka”. Emil nie obawiał się, że zostanie rozpoznany, bo niewielu już o nim pamiętało w Chełmicach, a i on zmienił się, odkąd stąd wyjechał, ale nie chciał zwracać na siebie uwagi ani patroli, ani mieszkańców Chełmic.

Wysiedli na obskurnej stacji i ruszyli przez miasteczko. Był ciemny zimowy wieczór. Ulice spowiała szadź i można było jedynie odróżnić kontury budynków czy idących postaci. Lewinowi było to na rękę, a słaba widoczność odciągała jego myśli od wspomnień związanych z Chełmicami. Nawet po latach nie umiał myśleć o miejscu swojego urodzenia i dzieciństwa z sentymentem. Jego los mógłby wyglądać zupełnie inaczej, gdyby nie decyzja podjęta przez ojca. „Gdyby, gdyby...” – myślał niekiedy Lewin, dorabiając do swojego gdybania kolorowe historie. Tego dnia mógłby iść do dworku po to, by odwiedzić swojego ojca, porozmawiać z nim i zapytać o zdrowie. A ponieważ stary Chełmicki pozbył się go, przyjechał teraz do niego w charakterze oprawcy. Nawet nie chciał robić wcześniejszego rozpoznania, jak to ustalił z Frankiem. Był zdeterminowany, aby oskubać Antoniego ze wszystkiego, co się da. Bez względu na to, jak bardzo Emil Lewin usiłował się oszukiwać, że robi to tylko i wyłącznie dla siostry, i tak do głosu dochodziły jego prawdziwe intencje. Odwet, zemsta i nienawiść. Tak bardzo pragnął, aby ten pewny siebie człowiek płaszczyl się przed nim, żebrząc o litość i wybaczenie. I miał nadzieję, że właśnie tak będzie, a duma i pewność siebie starego Antoniego rozplyną się w chełmickiej mgłę.

– Mózgujesz, Lewin, czy aby stary nie wykorkuje ze strachu? – zagadnął Franek.

– Nie... – ocknął się z zamyślenia i skłamał. – Zastanawiam się, czy ma jakieś pieniądze w domu...

– No miałeś przyfilować starego i na patrzonka pojechać. A tera mi nawijasz, że jak amerykany na grandę idziemy? – Franek przystanął na drodze i rozżościł się.

– Co się pieklisz, Rączka? Jak miałem na kwadrat wejść? – zapytał poirytowany Emil.

– Taki cwany dzieciół, a pod czachą wiatr hula – mruknął Franek.

Szli dalej, milcząc, co sprawiło ulgę Emilowi, bo miał już dosyć gadatliwości Franka. Nie minęło jednak kilka minut, gdy ten znowu się odezwał.

– A jak stary kopyta wyciągnie? Takiego, jak się majchrem postraszy, to może wykorkować, bo dzwon już stary i sponiewierany...

– A niech zdycha, dziadyga – warknął Emil.

– Oj, coś ci ten cylinder ostro na odcisk nadepnął.

– Wystarczająco, żeby mu życzyć zdychania w męczarniach – bąknął Lewin.

– A kto on dla ciebie? Robiłeś u niego czy ci maniurę poderwał? – zarechotał Franek.

– To mój ojciec – cicho odpowiedział Emil.

– E... co ty mnie za frajera masz? Co ty mi tu taki bałach żenisz? Do ojca to z szacuneczkiem trzeba... – zniesmaczył się Franek.

Lewin nie wytrzymał. Ponownie przystanął i chwycił Franka za poły grubej kufajki.

– Zamknij się w końcu. Taki on ojciec, że lepszy był dla mnie obcy człowiek niż on. Zostawił mnie w biedzie, a jak poszedłem do niego z wyciągniętą ręką, to gorzej jak psa potraktował. Co ty myślisz, że siostrę by mi ratował, nie swoje dziecko, jak własnego syna znać tyle lat nie chciał? Niech zdycha parszywiec, ale zanim go wpędzę to grobu, ogołocę z czego się da. Szacunek... – Prychnął z pogardą.

– No jak taki z niego frant, to niech idzie kwiatki wachać. Ale ja, Lewin, do tego ręki nie przyłożę. Nie przyżenię mu kosalką. Ja za delikatny jestem na mokrą robotę... – Franek skrzywił się.

– Nikt ci nie każe. Jak nie odda po dobroci, ja mu chętnie wymierzę sprawiedliwość. A teraz zamknij się w końcu, bo już mnie męczy to twoje paplanie – stanowczo odpowiedział Emil.

– No i szafa gra. Mam tylko nadzieję, że nie dymaliśmy po próżnicy i jakieś ciekawe fanty znajdziemy. A najlepsze byłyby dolary – rozmarzył się Franek i istotnie przestał się odzywać.

Gdy doszli do zabudowań Chełmickiego, Lewin polecił:

– Wyciągnij kielbasę, zaraz psy się zlecą.

– Mam pod ręką. Kto to widział, żeby w takich czasach psy kielbasą karmić – mruknął niezadowolony.

– Tak, zwłaszcza z cyjankiem jest pyszna. Przestań jęczeć, na suchy chleb te psy nie polecą.

– Tak, tego zasranego „dźwiękowca” to nawet psy by nie ruszyły – zarechotał „Diamentowa Rączka”

– Morda w kubel – wysyczał Emil.

Kilka minut stali koło ogrodzenia, ale żadne zwierzę nie podbiegło do płotu ani też nie słychać było szczekania. Lewin delikatnie popchnął furtkę i wszedł na teren posesji.

– Właz, psów się pewnie pozbył, co by im zreć nie musiał dawać – wyszeptał Emil.

– Tyle kielbasy na zmarnowanie poszło – bąknął Franek i przeszedł przez furtkę.

Gdy tylko znaleźli się w połowie drogi do domu, usłyszeli ciche warczenie. Poświecili latarką i ujrzeni przed sobą dużego mieszańca z zaropiałymi ślepiami. Od razu było widać, że psisko jest stare i nie stanowi dla nich zagrożenia, a jego szczekanie przypominało rżenie.

– Chyba dam mu tę kielbasę, niech się psina się męczy – wyszeptał Franek.

– Zostaw, może jeszcze jaki wyleci zza szopy albo garażu. Szkoda kielbasy na takiego obszarpańca – mruknął Lewin i z całej siły kopnął psa w podbrzusze.

Kundel zaskowyczał, podkulił ogon i czmychnął w pobliskie krzewy.

„Diamentowa Rączka” chwycił Emila za łokieć i wyszeptał:

– Gdzie stary kima?

– Nie wiem. Nigdy mnie nie zaprosił dalej jak do biblioteki. Wiem, że w tej części od lasu służba mieszkała, a Chełmiccy po prawej, od stawu.

– No nie, no jak Boga kocham, amatorka jak ta lala. Z takim szitefem to znowu do ancla trafię – westchnął Franek.

Podeszli do okien biblioteki. To było jedyne miejsce, które znał Emil. Wiedział także, że nocą nikogo w niej nie ma. Franek wyciągnął z płóciennego plecaka łom. Zwinnym ruchem otworzył ciężkie drewniane okiennice, a następnie wbił go w ramę okienną. Skrzydło odskoczyło i mężczyźni bez trudu wspięli się na parapet. Omiotli światłem latarki pomieszczenie.

– Fiu, fiu – powiedział Franek. – Jak ten twój stary przeczytał te wszystkie książki, to gramotny gość musi być z niego.

Podszedł do jednej z półek i ściągnął z niej srebrny świecznik.

– Zostaw! – wyszczał Emil. – Na co ci te fanty? Po pieniądze przyszliśmy. Jak potem z takim tobołem będziemy wracali.

– Szkoda... – Franek bez przekonania odstawił lichtarz na półkę.

Wyszli do holu i skierowali swoje kroki w prawą stronę. Oprócz salonu i jadalni znaleźli jeden niewielki pokój, ale w łóżku spała drobna kobieta w płóciennym czepku na głowie i lekko pochrapywała. Była to Izabela Chełmicka, która upodobała sobie właśnie ten pokój z zamierzenia przeznaczony dla przebywających w Chełmickach gości na tyle zniedołężniałych, że wchodzenie po schodach na piętro, gdzie były sypialnie, mogło być dla nich wysiłkiem ponad miarę.

Zamknęli cicho drzwi i ruszyli na rekonesans piętra. Zaglądając cicho do pokoi, dotarli w końcu do sypialni starego Chełmickiego, stwierdzając z ulgą, że w domu nie przebywają żadni goście, co mogło wiele rzeczy skomplikować. Weszli do pokoju Chełmickiego i zapalili naftową lampę, stojącą na niewielkiej komodzie w pobliżu szerokiego łóża z baldachimem. Światło lampy momentalnie obudziło Antoniego, który z przerażeniem usiadł na łóżku. Mimo że to jego małżonka bezustannie żyła w strachu, nocą spała niczym zabita, a on miał sen tak lekki, jakby nie sypiał w ogóle, a jedynie drzemał.

Chełmicki popatrzył najpierw na nieznanego intruza, a potem przeniósł wzrok na Emila. Otworzył usta, chcąc wezwać na pomoc służbę, ale Lewin doskoczył do niego i przyłożył mu lufę pistoletu do szyi.

– Nie krzycz, tatusiu, bo to będzie ostatnia rzecz, jaką zrobisz na tym świecie.

– Czego chcesz? – wyjąkał Antoni.

– Tego, co zawsze, tato... – warknął. – Pieniądzy.

– Jakżeby inaczej – mruknął Chełmicki i gdy pierwszy szok minął, powrócił do względnej równowagi. – Czego innego mógłbyś chcieć.

– Kto wie, kto wie... Gdybyś zaoferował mi kiedyś ojcowską dłoń, szacunek albo sympatię, może byłbyś więcej dla mnie wart niż całe pieniądze świata – gorzko stwierdził Emil.

Chełmicki wykrzywił twarz w grymasie.

– Jesteś zwykłym śmieciem, Lewin. Zawsze myślałeś jedynie o pieniądzach...

Emil zaśmiał się sardonicznie. Jeśli jego ojciec miał jeszcze jakąś szansę, by syn zmienił o nim opinię, to właśnie jednym zdaniem ją utracił.

– No cóż... – odparował ze złością – w takim razie mamy jednak ze sobą coś wspólnego. Niedaleko pada jabłko od jabłoni.

– Mój prawdziwy syn, Julian, jest zupełnie inny, zatem chybaś – nie dawał za wygraną stary Chełmicki, czując coraz większą nienawiść do człowieka, którego

spłodził.

– I gdzież jest teraz ten twój idealny synalek? Bawi się w Anglii i ma w nosie swojego tatulka, który podtykał mu wszystko pod nos i hołubił niczym księcia – wyszczał z ironią w głosie Lewin.

– I tu się mylisz. Mój syn powrócił do mnie, ale kazałem mu uciekać. Nie przed Szwabami, ale przed tobą.

Franek był zniecierpliwiony konwersacją ojca i syna. Nie po to tutaj przyjechał, by wysłuchiwać wzajemnych żali i pretensji rodzinnych.

– Przestańcie pyłować jak przekupy z Różyca. Dawaj forszę, dziadzio, a my damy ci spokój – powiedział, marszcząc czoło, i dodał, żeby nieco wybielić kompana w oczach jego ojca: – Mamona nam potrzebna, żeby siostrę Lewina, Hankę, z Pawiaka wykupić.

– Zamknij mordę i nie wtrącaj się – burknął Emil.

Nie potrzebował ani łaski, ani usprawiedliwienia. Nie zależało mu na opinii ojca, wręcz przeciwnie, pragnął, z niewiadomych dla siebie powodów, aby stary Chełmicki miał o nim jak najgorsze zdanie. Może chciał, aby na stare lata Antoni zagryzał się od środka i zastanawiał, co z nim jest nie tak, jeśli spłodził takiego potwora.

– Mogłeś przyjść i powiedzieć. Pomógłbym Hance. Znałem ją od dziecka. To dobra, miła dziewczyna – ze smutkiem powiedział Antoni.

– Ona twojej łaski nie potrzebuje. Ja też. Wezmę siłą, co potrzebuję i o nic cię, starcze, przebłagiwać nie będę. Dawaj forszę i zdychaj. – Emil był coraz bardziej zły, bo wołał, żeby ojciec nie okazywał żadnych ludzkich uczuć. Ani w stosunku do niego, ani do Hanki.

Stary Chełmicki podniósł się z łóżka i powiedział:

– Sejf mam w bibliotece, musimy tam zejść.

– Tylko nic nie kombinuj, dziadku – mruknął Franek.

– Młody człowieku, jestem stary, schorowany i potrzebuję spokoju. Oddam wam, co mam i idźcie do samego diabła – powiedział zimno Chełmicki.

Gdy znaleźli się w bibliotece, Antoni podszedł do jednego z obrazów przedstawiających zimowy pejzaż i zdjął go ze ściany. Oczom mężczyzn ukazał się wmurowany w ścianę sejf. Chełmicki pokręcił gałką i grube, stalowe drzwi odskoczyły. Wyciągnął pliki dolarów, marek i górali. Podał Frankowi, bo Emil wciąż trzymał w dłoni wycelowany w jego stronę pistolet. „Diamentowa Rączka” upchnął paczki banknotów w plecaku i zerknął do wnętrza sejfu.

– A w tej skrzyneczce to co tam kitrasz? – zapytał Franek.

– To rodowa biżuteria. Jest w naszej rodzinie od czterech pokoleń... – wyszeptał Chełmicki.

Franek zerknął w stronę Emila. Ten potaknął głową.

– No i zostanie w rodzinie – zarechotał „Diamentowa Rączka” i chwycił metalową skrzyneczkę.

– Te rzeczy to ważne pamiątki, a wy niewiele na nich zarobicie w dzisiejszych czasach. – Chełmicki próbował chronić swoje dziedzictwo.

„Diamentowa Rączka” zawahał się przez moment, ale Emil spojrzał na niego wymownie i Franek włożył skrzyneczkę do plecaka. Antoni zakrył twarz rękoma i powiedział:

– To niemożliwe, po prostu niemożliwe, żebyś był moim synem.

– Idź, dogonię cię – warknął Lewin do Franka, po czym podszedł do murowanego kominka i wziął do ręki portretowe zdjęcie Antoniego Chełmickiego, oprawione w pozłacaną ramkę, a potem spojrzął w wiszące nad kominkiem ogromne kryształowe lustro. Uśmiechnął się triumfalnie i odrzekł z nutą złośliwości w głosie: – Nie ludź się, tato. Popatrz, jacy jesteśmy podobni. I wiesz co, nie tylko z wyglądu. Jesteśmy ulepieni z tej samej gliny. Jesteśmy mistrzami pozorów i gnijącej destrukcji. Doskonale umiemy maskować podłość, bo jesteśmy cwani i potrafimy pod płaszczykiem kultury i moralności ukrywać cynizm i pogardę dla innych. Wiem, tato, to boli, patrzeć na swojego syna niczym w lustrzane odbicie i widzieć wszystko, co w nas najgorsze. Myślę, że nigdy byśmy się nie porozumieli, bo jesteśmy zbyt do siebie podobni.

Emil Lewin odstawił delikatnie fotografię i wycelował pistolet w stronę ojca. Nie zobaczył w jego oczach lęku, ale pogardę i nienawiść. Nie tego się spodziewał. Lewin mógł w tym momencie jednym pociągnięciem za spust zakończyć tę wojnę między nimi, ale patrząc na starego Chełmickiego, wiedział, że wtedy przegrałby, bo nie doczekałby się tego, na czym mu zależało – błagania o litość, próśb o wybaczenie czy łez. Antoni nie bał się śmierci i nawet wycelowana w niego lufa pistoletu nie była w stanie rzucić go na kolana. Jedyna rzecz, jaka mogła sprawić, że Chełmicki będzie się przed nim płaszczył, to zagrożenie dla jego drugiego syna, jego oczka w głowie, Juliana Chełmickiego.

– Strzelaj, no, na co czekasz? Tchórz cię obleciał? Ja bym strzelił. No dalej, synu – szydził Antoni.

Lewin opuścił broń.

– Nie strzeliłbyś, podobnie jak nie doniesiesz na mnie, że cię okradłem. Nie zrobisz nic, bo jesteś na to zbyt dumny. Zresztą wiedziałbyś wtedy, że przegrałeś. A my jeszcze ze sobą nie skończyliśmy... – powiedział ostro Emil.

– Masz rację, nie doniosę na ciebie. I tak jesteś na najlepszej drodze, żeby skończyć w więzieniu. Zapewne tam trafisz, z moją pomocą czy bez, ale nie chcę do tego przykładać ręki. Ale ostrzegam cię: jeśli podniesiesz rękę na Juliana, poświęcę cały swój majątek, żeby cię zniszczyć. To są nasze sprawy, Julian nie ma z tym nic wspólnego. Nie masz powodu, żeby go nienawidzić – spokojnie przemawiał Antoni, chcąc odwieść Emila od prób zaszkodzenia Julianowi. W istocie, mieli pewne cechy wspólne. Jeśli wyznaczyli sobie cel, nie spoczęli, dopóki nie dopięli swego.

Lewin wyszedł z domu Chełmickiego i podążył w kierunku Wierzbowej Drogi, gdzie czekał na niego Franek. Cały trząśł się w środku. Okłamał ojca i próbował oszukiwać siebie. Nie strzelił, bo nie był w stanie. Bez względu na urazy, jakie w sobie nosił, nienawiść, którą pielęgnował latami niczym najczulszy rodzic swoje dziecko, nie potrafił popełnić tej zbrodni. Nie czuł wyrzutów sumienia, gdy pozbawił życia Ignacego Lewina, który go wychował, ani starego hrabiego Niechowskiego czy wreszcie pejsaka Mozela, nieczulego na los Hanki, ale tym razem jakaś nieznaną siłą kazała mu odłożyć broń i pozostawić przy życiu człowieka, którego obwiniał o wszystko, co złego wydarzyło się w jego życiu.

Alicja Rosińska, ubrana w elegancki, ciemny płaszcz i niewielki zielony kapelusik, który podkreślał zieleń jej oczu, przemierzała dzielnicę Mitte, udając, że ugina się pod ciężarem ogromnej walizki, którą niosła. Miała nadzieję, iż żaden uczynny dzentelmen nie zechce jej wyręczyć w tej czynności, bo bagaż był pusty i lekki, co mogło wzbudzić podejrzenia. Gdy poprzedniego popołudnia szła z dworca do niewielkiego hotelu, gdzie zatrzymała się na nocleg, jej walizka była jeszcze wypełniona ubraniami i przyborami toaletowymi, teraz jednak została opróżniona, by wypłacone z Dresdner Banku pieniądze zmieściły się w bagażu. Pozostawiła jedynie jedwabny szlafrok, którym zamierzała przykryć pliki banknotów. Oczywiście, gdyby ktoś zechciał skontrolować jej walizkę, mógł jedynie odchylić rąbek szlafroka, by stwierdzić, że ta elegancka kobieta wcale nie ma w walizce garderoby, ale Alicji ów kawałek materiału dawał złudzenie względnego bezpieczeństwa.

Kilkanaście metrów za nią szedł Wiktor, udający znudzonego urzędnika. Był gotów na interwencję w każdej chwili. I w pewnym momencie musiał to zrobić, gdy jakiś jegomość niemal siłą próbował pomóc Alicji. Podeszedł do stojącej pary i bez słowa wziął walizkę od Alicji, cmoknął ją w policzek i znacząco spojrzął na intruza. Ten ukłonił się nisko i oddalił z żalem, bo zapewne miał ochotę na mały flircik z tą oszałamiająco piękną kobietą.

Po kilkunastu minutach Alicja stanęła w drzwiach Dresdner Banku, a Wiktor spokojnym krokiem podążył dalej, trzymając pod pachą lokalny dziennik. Wewnątrz banku panowała nabożna cisza, przerywana od czasu do czasu cichym dźwiękiem uderzeń pieczęci. Alicja rozejrzała się po sali i pewnym krokiem podeszła do jednego z okienek, w którym siedział łysawy jegomość w okularach. Spojrzął na Alicję i poprawił krawat. Ta podała mu dokumenty, które przez chwilę studiował, chociaż doskonale wiedział, co się w nich znajduje.

– Proszę chwilę poczekać – powiedział i wstał zza biurka.

Przed szybą okienka ustawił metalową tabliczkę z informacją, że stanowisko będzie chwilowo nieczynne. Wkrótce pojawił się w części dla klientów, szepnął coś do stojącego nieopodal strażnika i wskazał Alicji ciemne dębowe drzwi. Podeszła do nich i poczekała, aż urzędnik je otworzy. Weszli do ciemnego korytarza wyłożonego zielonym chodnikiem, potem minęli kolejne, tym razem zakratowane drzwi i znaleźli się w przytulnym pokoju, gdzie stały wygodne fotele, ciemne, rzeźbione biurko i stolik kawowy. Był to salonik przeznaczony dla klientów wypłacających duże kwoty, których kierowano tam, aby nie kusić potencjalnych złodziei. Następnie takich klientów wypuszczano tylnym wyjściem, aby mogli dyskretnie opuścić teren banku.

Mężczyzna wziął od Alicji walizkę, nalał z dzbanka soku porzeczkowego i opuścił pomieszczenie. Alicji wydawało się, że nie było go całe wieki. Drżały jej ręce i z trudem unosiła szklankę do ust. W końcu odstawiła ją na stolik, nie chcąc się oblać, i skupiła wzrok na wiszącym w pokoiku obrazie, przedstawiającym tańczące baletnice. Jej zdenerwowanie było jak najbardziej uzasadnione. Za kilkanaście minut otrzyma walizkę pełną pieniędzy, za które można byłoby godnie przeżyć kilka lat

w jakimś miłym miejscu, gdzie nie było wojny. Gdyby tak zgubiła Wiktora i uciekła, mogłaby urządzić się w Szwajcarii na mocnych, niemieckich papierach. „I co dalej, cwaniaro?” – zapytała siebie.

Odpędziła od siebie te błogie myśli i postanowiła, że pewnego dnia Julian Chełmicki gorzko pożałuje swojego zachowania. Będzie najlepsza, będzie wykonywać najtrudniejsze misje i zostanie bohaterką, a on za każdym razem będzie patrzył na nią z podziwem i nostalgią. Dochrapie się awansów i pewnego dnia to ona zostanie jego dowódcą, po czym zaproponuje mu arcyważną misję polegającą na rżnięciu jakiejś starej, spasionej Niemry. Te myśli o słodkiej zemście sprawiły, że jej zdenerwowanie odeszło jak ręką odjął i pozostałe minuty upłynęły jej na knuciu intrygi.

Bankier w końcu powrócił do pokoju i przesunął w jej stronę walizkę. Alicja otworzyła ją i zaczęła skrupulatnie przeliczać pliki banknotów.

– Potrąciłem swoje koszty – mruknął.

– Naturalnie. Tak jak się umawialiśmy – chłodno odpowiedziała Alicja.

– Kiedy spodziewacie się kolejnego przelewu ze Sztokholmu? Wybieram się na urlop w kwietniu, nie chciałbym... – Był nieco zmieszany.

– Jak zwykle, na tydzień przed wysłaniem pieniędzy otrzyma pan kartkę ze Sztokholmu od przyjaciela, Jensa Björka.

Policzyła pakiety i zastanawiała się, ile banknotów powyciągał z nich uczynny bankowiec, oprócz przewidzianej umową łapówki. Kilka minut później znalazła się na ulicy, poszukała wzrokiem Wiktora i ruszyła w stronę dworca.

Na granicy nikt nie zainteresował się przepastną walizką Alicji, ale padły pytania o cel wizyty w Berlinie. Nawet nie zająknęła się, gdy opowiadała o chorej ciotce z Alexanderplatz, po której miała nadzieję odziedziczyć majątek.

– Stare babsko ledwo nogami powłóczy, a od pięciu lat nie może się zebrać na tamten świat. Całe życie była wredna dla mnie – burknęła Alicja, wydymając usta.

Oficer sprawdzający jej paszport uśmiechnął się pod nosem.

– Moja babka taka była. Spała na forsie, a wnukowi pod choinkę czekoladę kupowała. Szkoda, że już wraca pani do tego gniazda terrorystów, chętnie bym panią zaprosił na kawę i ciastko, i posłuchał pani ciekawych opowieści o tej wrednej babie.

Alicja również się uśmiechnęła i z ulgą przyłożyła głowę do oparcia kanapy w przedziale. Wiedziała jednak, że nie może zmrużyć oka, bo na półce nad jej głową leżała walizka wypełniona fortuną.

W okolicach Poznania musiała jednak opuścić przedział, by udać się do toalety, ponieważ nie było szans, aby mogła wytrzymać aż do Warszawy. Rozejrzała się po współpasażerach. Matka z dzieckiem, starszy mężczyzna i drugi, nieco młodszy, wpatrzony w przesuwający się za oknem krajobraz. Nikt nie wydawał jej się podejrzany. Opuściła przedział i zaczęła przeciskać się w kierunku toalety. Jakiś pijany żołnierz Wehrmachtu próbował ją zaczepić, ale warknęła ostro i nieco stracił animusz. Chwilę później odwróciła się i ujrzała przeciskającego się w jej kierunku współpasażera ze swojego przedziału. Dotarła do toalety i nacisnęła na klamkę. Niestety, drzwi były zamknięte. Zaklęła w duchu i przebierając nogami, czekała, aż toaleta się zwolni. Po chwili tuż obok niej stanął jej współpasażer. Uśmiechnęła się i dalej odliczała bez mała sekundy do chwili, aż będzie mogła dać upust swojej potrzebie.

Młoda kobieta opuściła toaletę kilka minut później, uśmiechając się przepraszająco. Najpewniej poprawiała makijaż, bo Alicja zauważyła na jej wargach świeżo

nałożoną karminową szminkę. Gdy znalazła się w środku i już chciała przekręcić zamki, poczuła ostre szarpnięcie i do wnętrza wtargnął człowiek, który kilka minut wcześniej siedział z nią w przedziale i wpatrywał się w widok za oknem. Wykręcił jej rękę i przycisnął ją całym ciałem do drzwi toalety. Odruchowo wrzasnęła, ale napastnik zatkał jej usta dłonią.

– Zamknij się i posłuchaj – powiedział po polsku.

Zamrugła powiekami. Mężczyzna mówił dalej:

– Wiem, co wiesz w swojej przepastnej walizce, panno Schwein. Kupę pieniędzy dla polskich partyzantów. Niemcy rozszarpaliby cię na strzępy, gdyby o tym wiedzieli. Ale przecież nie chcielibyśmy tego, prawda?

Ponownie zamrugła.

– Dlatego teraz grzecznie powrócimy do przedziału i będziemy się zachowywać jak do tej pory. Gdy wyciągnę z kieszeni marynarki okulary i założę, wysiądziesz na następnej stacji. I to tak, żeby twój kompan tego nie zauważył. Żadnych podejrzanym ruchów czy gestów, bo pierwszy mundurowy, który mi się nawinie pod rękę, dowie się o twojej kontrabandzie. A gdy już wyjdziemy z dworca po wszelkich kontrolach, oddasz mi walizkę i będziesz mogła bezpiecznie wrócić do Warszawy i swoich kamratów.

Zdjął dłoń z jej ust i odsunął się od drzwi. Alicja z trudem łapała powietrze, ale zdołała wykrztusić:

– Pan nie rozumie, te pieniądze są bardzo ważne. Przecież jest pan Polakiem...

– Próbowała wzbudzić w nim jakieś wyrzuty sumienia.

– Tak, jestem Polakiem i dla nas te pieniądze są równie ważne – powiedział z westchnieniem.

– To znaczy dla kogo?

– Dla kogoś, kto również chce wygrać wojnę z niemiecką Rzeszą. A teraz ułatw swoją potrzebę, bo później nie będziesz miała takiej możliwości – burknął i wyszedł z toalety.

Gdy Alicja znalazła się ponownie w przedziale, zaczęła gorączkowo się zastanawiać, jak wybrnąć z sytuacji. Fakt, że ze zrozumiałych względów nie mogła porzucić swojej ogromnej walizki, nie ułatwiał jej zadania pozbycia się intruza. Wszczęcie alarmu sprawi, że ów człowiek znajdzie się zapewne w rękach gestapo, ale wówczas i ona wpadnie, a pieniądze staną się jedynie mglistym wspomnieniem. Postanowiła, że wysiądzie z tym mężczyzną w miejscu, które on wskaże, a potem na pewno wpadnie na jakiś genialny sposób, żeby go unieszkodliwić. W jednej z głębokich kieszeni swojego eleganckiego płaszcza miała broń. Pistolet ViS, który dostała jeszcze w Anglii, jako prezent pożegnalny od brytyjskiego wywiadu. Już ona wyczeka na moment, gdy będą sami, a potem zastrzeli tego parszywego sukinsyna.

Kiedy tak rozmyślała nad swoim kolejnym krokiem, mężczyzna wyciągnął z wewnętrznej kieszeni marynarki niewielkie etui, a stamtąd okulary w złotych oprawkach. Nasunął je na nos i sięgnął po leżącą na stoliku przy oknie gazetę. Zbliżyli się do Skierniewic. Na dworze było już kompletnie ciemno, więc Alicja słusznie obawiała się, że jej cień w postaci Wiktora może nie zauważyć jej na peronie. Gdy pociąg zaczął zwalniać, Alicja i jej przymusowy towarzysz podróży, który był na tyle uprzejmy, by pomóc jej zdjąć walizkę z półki, zaczęli przeciskać się wraz z innymi pasażerami do wyjścia. Alicja próbowała się obejrzeć w nadziei, że zobaczy gdzieś

w tłumie Wiktora, ale idący za nią mężczyzna syknął jej do ucha:

– Nie odwracaj się, tylko idź, albo będziesz miała problemy.

Posłuchała i z trudem przepychała się do wyjścia. Ogromna walizka bardzo utrudniała jej to zadanie, a idący tuż za nią napastnik trzymał się tak blisko niej, że czuła na szyi jego oddech. Wsiadła z pociągu i wmieszała się w tłum. Niestety, mężczyzna kurczowo trzymał się jej boku.

Alicja nagle przystanęła.

– Co się stało? – warknął.

– Boże, nie zrobię kroku dalej, coś wpadło mi do buta. – Wydeła wargi w grymasie.

Ten przewrócił oczami i syknął:

– Byle szybko...

– Potrzyj – powiedziała obojętnym tonem Alicja i wręczyła mu czarną, niewielką torebkę damską, zapinaną na fikuśny metalowy klips.

Lekko skonsternowany mężczyzna wziął ze złością torebkę Alicji, myśląc o niej, że jest kompletną idiotką. Jak mogła ją oddać swojemu napastnikowi? Zapewne nosiła w niej swoją największą polisę ubezpieczeniową w okupowanej Polsce – dokumenty.

Alicja przesunęła się kilka metrów w bok, tuż pod ścianę dworca, i nachyliła się, by wyjąć fikcyjny kamyk z pantofla. Wtedy kątem oka dostrzegła niemiecki patrol i krzyknęła:

– Ukradł mi torebkę! Tam jest, ukradł mi torebkę!

Jeden z żołnierzy niemal natychmiast skierował wzrok na stojącego w pobliżu mężczyznę z głupim wyrazem twarzy, trzymającego damską torebkę. W końcu intruz zreflektował się, upuścił ją pod nogami żołnierza i rzucił się do ucieczki. Dwóch patrolowych pobiegło za nim, a trzeci podniósł zgubę i podał ją Alicji.

– Proszę sprawdzić, czy nic nie ukradł.

Alicja ostentacyjnie ją otworzyła i zaczęła z niej wyciągać niemieckie dokumenty, portmonetkę i mały notes ze zdjęciem Berlina na okładce.

– Nie... Tak mi się wydaje. Dokumenty są, pieniądze również... – mruzczała pod nosem. – Bardzo wam dziękuję. Muszę już iść, bardzo się śpieszę.

I bez dalszej dyskusji wmieszała się w tłum, po czym szybkim krokiem opuściła halę dworca. Młody żołnierz stał oniemiały, bo nie bardzo wiedział, czy powinien spisać protokół, czy może zadać kobiecie kilka rutynowych pytań.

Kiedy Alicja znalazła się na ulicy, zaczęła gorączkowo się rozglądać. Obawiała się, że mężczyzna uciekł niedaleko i czeka na nią w jakimś ciemnym zaułku. Przeszła na drugą stronę ulicy i weszła do bramy jednej z kamienic. Wyciągnęła z torebki papierosy i zapaliła jednego. Mocno zaciągała się dymem, żeby nieco ukoić nerwy i zastanowić się, jak wrócić na dworzec i kupić bilet do Warszawy. Po chwili stwierdziła, że nie jest to najlepszy pomysł. Po pierwsze, z uwagi na patrol, który mógł ją rozpoznać i zainteresować się, dlaczego czeka na pociąg do Warszawy, skoro niepełna pół godziny wcześniej z podobnego wysiadła. Po drugie, była przekonana, że napastnik albo jego koledzy nie zrezygnują z tak dużej forsy, jaką wiozła w walizce.

Rozejrzała się ponownie. Gdzieś w pobliżu powinna znaleźć jakiś hotel i tam przetrwać do rana. A potem... Już na pewno coś wymyśli.

7. Warszawa, 1941

W starym magazynie na Woli, gdzie kilka tygodni wcześniej odbyło się uroczyste ślubowanie nowych członków Związku Walki Zbrojnej, panowała nerwowa atmosfera. Julian Chełmicki palił jednego papierosa po drugim i snuł wizje katowanej przez gestapo Alicji, Wiktor stał przybity, wciąż nie mogąc zrozumieć, jak doszło do tego, że siedząca kilka przedziałów dalej Alicja po prostu rozplynęła się we mgle, a major „Sokół” gotował się z wściekłości. Był przekonany, że Alicję skusiły ogromne pieniądze, które wiozła w walizce, i po prostu je ukradła. Za taką fortunę mogła wyjechać i żyć spokojnie w Szwajcarii albo gdziekolwiek. Zadawał sobie tylko pytanie, czy pilnujący ją Wiktor był aż takim nieudacznikiem, że ją zgubił, czy też stali się współnikami w tej haniebnej kradzieży.

– Nie mogę zrozumieć... – próbował tłumaczyć się Wiktor. – Obserwowałem przedział Aldony za każdym razem, gdy była kontrola. Wszystko szło gładko.

– Kiedy widziałeś ją po raz ostatni? – ostro zapytał „Sokół”.

– Za Poznaniem. Szła w kierunku toalety, oczywiście bez bagażu, po kilku minutach powróciła do przedziału – powiedział Wiktor.

– Ktoś za nią szedł? – zapytał Julian.

– Nie... Chyba nie... Jakiś podchmielony żołnierz próbował ją zaczepić, ale odpowiedziała mu ostro i bez przeszkód poszła dalej – jękał się Wiktor.

– Chyba? Chyba to się łódka na wodzie! – warknął Chełmicki.

– Chybcze... – odruchowo poprawił Wiktor.

– Przestańcie! – ostro nakazał „Sokół”. – Moim zdaniem, jeśli dziewczyna postanowiła ułożyć sobie życie za pieniądze państwa podziemnego, mogła wysiąść na którejś ze stacji, nie budząc podejrzeń Wiktora. Dajcie mapę, sprawdzimy, gdzie mogła to zrobić. Kiedy zorientowałeś się, że Alicji i walizki nie ma w przedziale?

Wciąż padały te same pytania, bo major próbował ustalić, gdzie zniknęła Alicja. Minęła granicę, więc powinna być na terenie Generalnej Guberni, ale równie dobrze kilka godzin później mogła powrócić do Rzeszy. Miała mocne niemieckie papiery, język opanowała dość dobrze, a swój nieco dziwny akcent maskowała, przeciągając zalotnie sylaby. Resztę nadrabiała bezczelnością, spojrzeniem wielkich zielonych oczu i rzadko kiedy zdradzała oznaki zdenerwowania. Z pewnością poradziłaby sobie, zwłaszcza że miała coś, co niwelowało braki – kupę forsy.

– Majorze – odezwał się Chełmicki – nie wierzę, że Alicja przywłaszczyła sobie te pieniądze. Znam ją. Jeśli zniknęła, to znaczy, że musiało stać się coś złego, i raczej na tym powinniśmy skupić nasze poszukiwania. Rozpuszczę wici, za kilka dni powinniśmy się dowiedzieć, czy została aresztowana. Jeśli zrobili to tajniacy z gestapo, Wiktor mógł stracić czujność. A może zasnął?

– Nie zasnąłem! – zdenerwował się Wiktor, bo w istocie mimo opadających ze zmęczenia powiek nie zmrzył oka.

– To jak jej pilnowałeś? No jak? – Julian doskoczył do Wiktora i chwycił go za poły marynarki.

„Sokół” rozdzielił mężczyzn i każdemu z nich powiedział kilka ostrych słów,

po czym nakazał się rozejść. Musiał pomyśleć w spokoju i przesunąć o jakiś czas misję Chełmickiego. Zaginiona Alicja Rosińska komplikowała wiele, a brak pieniędzy jeszcze więcej. Utrata takiej ilości gotówki zapewne skieruje na nich zainteresowanie dowództwa i dopóki pieniądze się nie odnajdą, nie otrzymają innego wsparcia, a dystrybucja kolejnych środków powierzona zostanie bardziej zaufanym i odpowiedzialnym ludziom.

Majorowi nie podobał się także fakt, że Julian Chełmicki w takim zapamiętaniu bronił Alicji, nawet nie dopuszczając do siebie myśli, że ukradła pieniądze. Jakież on był naiwny. Gdy ma się do czynienia z taką forsą, pokusa wygrywa z patriotyzmem, podłość ze szlachetnością, a wygoda z wyrzutami sumienia. Chełmicki był dobrze wyszkolonym żołnierzem, dlatego dowództwo zdecydowało, że zajmie się sprawą fabryk broni na terenie Polski i jej transportami, ale major zaczynał mieć wątpliwości. Do takich spraw, oprócz inteligencji i sprawności, należało mieć również intuicję. A ta najwyraźniej zawodziła Chełmickiego, bo jego nos podpowiadał mu, że panna Rosińska jest osobą o dość wątpliwej moralności.

Gdy major i Wiktor opuścili ich miejsce spotkań, Julian usiadł na jednej ze skrzynek i zamyślił się. Zaczęło do niego docierać, że tę niezniszczalną, beczelną Alicję mogło w końcu opuścić szczęście. Nie wierzył ani przez sekundę, że połasiła się na te pieniądze. Musiało wydarzyć się coś innego. Coś złego... Przypominał sobie chwile, gdy, będąc w Anglii, kochali się zapamiętane, spotkania w warszawskich kawiarniach, gdy śmiała się z jego dowcipów. Głośno, szczerze, mało elegancko i... cudownie. I być może już nigdy nie usłyszy tego śmiechu, nie zobaczy oczu ciskających iskielki wściekłości, nie poczuje zaborczej miłości, która kazała jej robić kontrowersyjne rzeczy. Alicja, mała, krnąbrna Alicja, jego Alicja.

Tej nocy nie zmrużył oka, dochodząc do wniosku, że nie jest tak odporny, jak mu się zdawało, ani tak odważny, jak o nim myśleli inni. Bał się. Nagle śmierć była tak blisko, niemal ocierała się o niego, szyderczo patrzyła mu w oczy i jakby szeptała złośliwie, że śmierć jest straszna nie dlatego, że może dopaść ciebie, ale dlatego, że może spotkać kogoś najbliższego.

Gubernator Fischer wiązał ogromne nadzieje z nowym szefem gestapo w Warszawie, Standartenführerem Gerhardem Kenigiem. Jego poprzednik stosował represje, brutalne przesłuchania, a jednak włodarzowi Mazowska zdawało się, że polscy bandyci panoszą się coraz bardziej i śmieją się im w twarz. Kenig miał w Berlinie opinię przebiegłego i inteligentnego oficera, który zasłynął ze swoich nietuzinkowych pomysłów jeszcze przed wojną, gdy wewnątrz Rzeszy tropił przeciwników i gangsterów politycznych. I zanim na dobre zadomowił się w Warszawie, już zdążył wybrnąć z niezręcznej sytuacji o zasięgu międzynarodowym. Kiedy została zastrzelona niejaka Holly Evans, Amerykanka i przedstawicielka Międzynarodowego Czerwonego Krzyża – zawrzało. Na biurko Fischera trafiały noty dyplomatyczne pełne oburzenia i żądania jak najszybszego wyjaśnienia okoliczności jej śmierci. Nie mogli tego zignorować. Kenig wówczas wpadł na pomysł, aby winą obarczyć polskich bandytów i zasypać drugą stronę spreparowanymi dowodami świadczącymi o tym, że jest to sprawa polskiego podziemia, a winny „tej straszliwej zbrodni” zostanie należycie osądzony i ukarany. Przejrzał dokumenty wszystkich młodych mężczyzn osa-

dzonych w stołecznych aresztach i wybrał takiego, który wydawał się najlepiej pasować na zabójcę Holly Evans. Następnie wyznaczył świadków, zarówno Polaków, jak i Niemców, aby potwierdzili tę wersję. A było ich wielu, wszak owa bandycka napaść miała miejsce w bardzo ruchliwym miejscu, nieopodal Dworca Głównego. Aby jeszcze bardziej wybielić się w oczach dyplomatów, ofiarą „tego barbarzyńskiego zamachu” miał być oficer SS, Obersturmführer Walter von Lossow, który towarzyszył pannie Holly Evans podczas wizyty w Warszawie. Zaś panna Evans została przypadkową ofiarą „tego godnego pożałowania incydentu”.

– Obersturmführer Walter von Lossow. – Walter zsalutował, stając w drzwiach gabinetu Keniga.

– Proszę usiąść, Obersturmführer Lossow. Napije się pan czegoś, poruczniku? Może lampka koniaku? – uprzejmie zapytał Kenig.

– Nie, dziękuję, Standartenführer – równie uprzejmie odpowiedział Lossow i usiadł po przeciwnej stronie biurka szefa gestapo.

Miał świadomość, że śmierć Holly Evans odbije się szerokim echem w międzynarodowej społeczności. Rzesza bardzo dbała o dobre stosunki ze Szwajcarią i z jedną z najbardziej wpływowych organizacji, jaką bez wątpienia był Czerwony Krzyż. Waltera jednak kompletnie to nie obchodziło. Dla niego Holly była po prostu cudowną, mądrą kobietą, która straciła życie przez jakiegoś bydlaka, który tylko w jeden sposób potrafił udowodnić swoją siłę i pokazać władzę. Minęło kilka tygodni od tej zbrodni, a Lossow wciąż nie mógł o tym zapomnieć. Chodził milczący, przygnębiony i nawet los Adrianny stał mu się obojętny. Jeśli postanowiła nie czekać na Juliana w jego bezpiecznym i przytulnym gniazdku, jeśli podjęła decyzję, że zatrzyma po urodzeniu dziecko gwałcicieli, i w końcu, gdy stwierdziła, iż przeniesie się do przyklasztornego domu pomocy Sióstr Służebniczek, nie oponował.

Adrianna była nieco zdziwiona, że Walter nie zadaje zbędnych pytań, nie indagueje i pomyślała sobie, że niepotrzebnie tak się martwiła uwiarygodnianiem swojej historii. W istocie przez jakiś czas planowała skorzystać z dobrodziejstwa sióstr, ale potem zamierzała wcielić w życie swój plan powrotu z dzieckiem do Emila. Była przekonana, że gdy ostrzeże go o planach starego Chełmickiego, aby Walter pod byle pretekstem wydał Lewina w ręce gestapo, przyjmie ją z otwartymi ramionami. Poza tym dowiedziała się, skąd niechęć Lewina do Juliana. Przez nią. Jak bardzo Emil musiał być w niej zakochany, skoro do tej pory żywił do Chełmickiego urazę, chociaż ona od dawna nawet nie myślała o Julianie jako o swojej wielkiej młodzieńczej miłości. A czyż w ogóle nią była? Dopiero pojawienie się w jej życiu Emila uświadomiło jej, czym jest uczucie i pożądanie. Zatem nie wszystko było stracone. Nie chciała jednak stanąć w progach Lewina z ogromnym brzuchem, opuchnięta i mało atrakcyjna. Pragnęła po tych kilku miesiącach rozłąki olśnić go, powalić bez mała na kolana swoją urodą i wdziękiem. Zaawansowana ciąża jednak wykluczała tego typu możliwości. Dlatego ostatnie tygodnie spędziła u dobrotliwych sióstr, które karmiły ją, dbały o nią i wykazywały ogrom współczucia, gdy opowiadała o swoim mężu, rzekomo zakatowanym przez gestapo.

Najbardziej obawiała się pytań i dociekań przyjaciela Juliana, Waltera, ale on zdawał się ostatnio nieobecny duchem. Unikał rozmów z nią, nawet nie wychodził

wieczorami. Po prostu tkwił w fotelu, z książką w dłoni, choć nie czytał, bo jego wzrok błędził gdzieś w przestrzeni. Zapytała kiedyś, co strasznego wydarzyło się w jego życiu, że nagle popadł w przygnębienie, ale zbył ją jakąś lakoniczną odpowiedzią o bezsensie wojny.

To rozumiała, że wojna była okrutna i nie miała sensu, ale trwała i Adrianna uważała, że należy się po prostu dostosować do zmieniającej się rzeczywistości. „Panta rhei” – Walter wielokrotnie powtarzał jej filozoficzną myśl Heraklita z Efezu, tymczasem on sam w pewnej chwili utknął gdzieś w zawieszeniu. Dotychczas pogodny optymista, teraz czymś mocno przybity. Nie wnikała jednak w to, nauczona przez życie z Emilem, że nie należy naciągać mężczyzny na zwierzenia, jeśli on się do tego nie garnie. Tak też uczyniła, odliczając dni do porodu, w radosnym oczekiwaniu na potomka, którego spłodziła z miłością swojego życia. Nawet szare ściany przytułku, przyozdobione jedynie prostym drewnianym krzyżem, nie odstręczały jej. Ona w swym umyśle była już o krok dalej, w zacisznej garsonierze Lewina, gdzie oczami wyobraźni ustawiała kołyskę, gotowała obiady i miała przy sobie najważniejsze osoby na świecie. Jej stęskniona dusza wędrowała do zacisznego kościółka, może gdzieś na prowincji, na uroczystość skromnych zaślubin z Emilem. Ona, kochająca przepych i blichtr, chciała właśnie skromnego ślubu, gdzie jedynie jej suknia będzie robiła wrażenie. Nie musiała być droga, ale musiała być piękna. Tylko po to, by zachwycała na całe życie jej oblubieńca.

Głos Keniga wytrącił Waltera z lekkiego odrętwienia. Szef gestapo uśmiechał się do niego i podawał mu pióro, aby ten mógł podpisać przeczytane przed chwilą dokumenty.

– Ale przecież to tak nie było – powiedział cicho Lossow.

Kenig westchnął. Jakież to miało w tej chwili znaczenie, co się wydarzyło tego feralnego dnia, gdy Holly Evans straciła życie? Należało sprawę wyciszyć i uwiarygodnić wersję wymyśloną na potrzeby międzynarodowej społeczności.

– Obersturmführer Lossow, czy naprawdę chce pan tłumaczyć się przed gubernatorem Fischerem, że nie dopilnował pan, aby nasz gość z Czerwonego Krzyża miał zapewnione bezpieczeństwo? – Kenig kolejny raz posłał w kierunku Lossowa nieco fałszywy uśmiešek.

– Zastrzelił ją podpity oficer SS. Holly... panna Evans nie miała przy sobie broni, po prostu zwróciła uwagę na sadystyczne praktyki wśród niektórych oficerów. To niezbyt pochlebny wizerunek tak potężnego i poważanego państwa, jakim jest Trzecia Rzesza. Oficer SS zniżający się do poziomu zwykłego chuligana, który kopie leżącego starca... – stanowczo powiedział Walter.

– Tak... W rzeczy samej niektórym naszym oficerom brakuje... ogłady i kultury. Ale sam pan przyzna, że z Polakami nie można inaczej. To zwykli bandyci. Wrzucają granaty do kin, okradają niemieckie sklepy i bezpardonowo strzelają do obywateli niemieckich – tłumaczył Kenig.

– Tak, ale... – Lossow próbował oponować, ale szef gestapo przerwał mu.

– Obersturmführer Lossow, ten pijany oficer odpowie za to, co zrobił, zapewniam pana, ale jak to się mówi, brudy należy prać w domu. Rozumiem, że poruszyła pana ta bezsensowna śmierć panny Evans, ale czy prawda przywróci jej życie? Otóż

nie. Natomiast pociągnie za sobą konsekwencje nie do przewidzenia. Już widzę te noty dyplomatyczne, nagłówki w gazetach... A panna Holly Evans wciąż będzie martwa.

Walter zastanowił się przez chwilę. Kenig miał rację. Bez względu na to, co się zdarzyło, nigdy więcej już nie zobaczy rumieńców i jasnych rzęs Holly Evans. Podpisał dokumenty. Przedstawiła polskiego bandytę, Mieczysława Wolińskiego, który próbował go zastrzelić, ale szturchnięty przez przypadkowego przechodnia wycelował w Holly Evans, na skutek czego została ciężko ranna, a następnie zmarła. Przesiępca został schwytyany i oczekuje na wyrok.

Von Lossow złożył zamaszty podpis pod swoimi zeznaniami, które tak zręcznie opracowali funkcjonariusze gestapo, opuścił budynek w alei Szucha i udał się w kierunku parku w Łazienkach, by kolejny raz porozmawiać w duchu z Holly.

„Miałaś rację, Holly – myślał Walter. – Jestem wygodny, cyniczny i leniwy. Nie zdobyłem się nawet na to, żeby obronić prawdę o twojej śmierci. Ty byś zapewne walczyła do końca. W imię sprawiedliwości i swoich ideałów. A jakież są moje? Żadne. Nigdy ich nie miałem i mieć nie będę, chociaż ty pewnie chciałybyś, żebyśmy ja i wszyscy inni żyli pięknie. Gdyby tak było, nie byłoby wojen, represji i terroru. Panowałyby raj na ziemi, niezmacony ludzką podłością. Dobro pokonałoby zło i każdy byłby szczęśliwym człowiekiem. To dobra opowieść dla małych dzieci, cudowna baśń czytana przed snem maluchom, które i tak kiedyś wyrosną na ofiary i katów. I ta odwieczna walka wciąż będzie trwała, dopóki istnieje świat, dopóki istnieje człowiek”.

Tego wieczoru poszedł do Adrii i upił się niemal do nieprzytomności, aby chociaż na chwilę zapomnieć o Holly Evans i swoim duchowym bankructwie, z którego przez większość swojego życia nie zdawał sobie sprawy.

Młodziutka dziewczyna delikatnie wycierała zakrzepłą krew z twarzy Hanki Lewinówny. Miała z tym trudność z powodu zabandażowanych palców. Kilka dni temu Schwartz wyrwał jej wszystkie paznokcie, a w izbie szpitalnej więzienia zrobiono jej opatrunki. W celi nie było jednak nikogo innego, ponieważ trzecia z więźniarek zmarła poprzedniej nocy.

Każde dotknięcie mokrą szmatką wywoływało na twarzy Hanki grymas bólu. Rany nie były głębokie, ale ciężkie oficerki Renate Zoll skutecznie poobijały jej twarz. Właściwie nie miała twarzy, tylko napuchniętą siną bułą z zakrzepniętą krwią wyciekającą z rozciętego łuku brwiowego i rozbitego nosa.

– Ja żyję? – jęknęła.

– Żyjesz, żyjesz – powiedziała cicho dziewczyna i dodała: – Mam na imię Zośka.

– Dlaczego ja żyję? – ponownie wystękała Hanka.

– Bo widać to jeszcze nie twój czas – szepnęła Zośka.

– Ale ja nie chcę żyć – płaczliwie dodała Lewinówna.

– Też mi się tak zdawało, jak ten knur wyrывał mi paznokcie. Ale potem już było lepiej. Zobaczysz jutro, może pojutrze znowu będziesz chciała żyć – odpowiedziała jej pogodnym tonem Zośka.

– Ty nic nie wiesz... Ja jestem tu już tak długo, że jutrzejszy dzień niczego nie

zmieni. Tkwię niczym stały element wyposażenia. Nie musieli mnie bić ani katować, żeby wywołać we mnie tę chęć. To straszne miejsce... – Zaczęła płakać.

– Kobieto, nie mów tak. Trzeba walczyć. Do samego końca. Chcesz tym gnojom dać satysfakcję? Chcesz, żeby taka kurwa, jak „Biała Suka”, triumfowała? No wyobraź sobie jej pełną szczęścia mordę, gdybyś umarła. Wygrałaby. A dopóki dychamy, wciąż jest nadzieja. – Zośka mówiła z zaciętością w głosie.

Hanka uśmiechnęła się z trudem. Pierwszy raz od wielu miesięcy. A sprawiła to myśl, że napadła na Renate Zoll. Dusiła ją, jakby była szmacianą lalką i już wyobrażała sobie ten doping w oczach innych osadzonych, zwłaszcza tych, które miały okazję doświadczyć spotkania z tą kobietą.

– Wiesz za co „Biała Suka” mnie tak skopała? – zapytała.

– A czy ona potrzebuje mieć za co? – Zośka wzruszyła ramionami, bo nie dotarły do niej informacje o wyczynie Hanki.

– Chciałam ją udusić. – Lewinówna znowu próbowała się uśmiechnąć.

– Opowiadasz... – zaciekała się Zośka.

– Prawdę mówię... Rzuciłam się na nią, wbiłam paznokcie w szyję i dusiłam potwora. Nie zabili mnie za to tylko dlatego, że chcą ze mnie zrobić przynętę na takiego jednego – wyszeptowała Hanka.

– To ci dopiero... Odważna jesteś, ja bym tak nie umiała. Jesteś moją bohaterką. Szkoda, żeś jej nie zadusiła na śmierć. – Uśmiechnęła się i powróciła do opatrywania ran Lewinównie.

Hanką targwały dziwne uczucia. Z jednej strony wciąż nie opuszczała jej myśl, żeby pożegnać się z życiem, z drugiej czuła mściwą satysfakcję, że udało jej się poniżyć najbardziej znienawidzoną strażniczkę Pawiaka, a ta nawet nie mogła jej zabić. Zastanawiała się, jak to będzie, gdy wydobrzeje i stanie z nią twarzą w twarz. Jak to będzie czuć bezradność tego potwora. Tak, zemsta bywała antidotum na tragedie. Dodawała sił, odpędzała myśli od samobójstwa, odprężała umysł, łagodziła duchowy ból. „Kto następny?” – myślała, opętana żądzą zemsty. Igor, bo przez niego straciła córeczkę? Jakub Mozel, bo wplątał ją w niebezpieczne sprawy? A może Schwartz, który odebrał jej to, co najbardziej w życiu kochała? Tak, każdego z nich nienawidziła na swój sposób. Nawet Łyszki. Wszedł do jej serca niczym nieproszony gość, zawładnął jej umysłem i sercem, pozbawiając instynktu samozachowawczego. I zmarnował życie, bo jeden krok pociągnął za sobą kolejne. Mozel zaś był egoistycznym draniem, zapatrzonym w swoją ideę tak bardzo, że gotów był dla niej poświęcić połowę ludzkości. Nieważne, że mógł zostawić za sobą trupy ludzi, którzy mu pomogli. Przecież był szubrawcem w słusznej sprawie. I w końcu Schwartz, najczarniejszy z czarnych charakterów. Może paradoksalnie to brzmiało, ale głównie dla niego zachciało jej się żyć. Czuła do niego absolutnie doskonałą, czystą nienawiść, nieskalaną ani odrobiną wątpliwości czy usprawiedliwień. Chciała żyć po to, żeby pewnego dnia ten potwór dostał się w jej ręce. W chwili, gdy będzie bezbronny, bo zgubi go moment nieuwagi. Ale ona będzie czujna. Niczym lampart tropiący zwierzynę łowną, gotowy, by w każdej chwili rzucić się na ofiarę. Za rok, dwa, pięć w końcu to nadejdzie. A wtedy Schwartz pozna siłę jej nienawiści.

Po kilku dniach mogła już poruszać się o własnych siłach, ale jej twarz ciągle

była sina i opuchnięta. Mogła jednak normalnie patrzeć na świat i spoglądała na niego silniejsza niż kiedykolwiek. Ten atak na Renate Zoll pozwolił jej odnaleźć powołanie. Nienawiść.

Pewnego poranka, po pobudce, nastąpił moment, na który czekała. W drzwiach celi stanęła naprzeciw „Białej Suki”. Patrzyła jej prosto w oczy, bezczelnie, z kpiarskim uśmieszkiem. Dla Renate Zoll było to przykre doświadczenie. To ona zawsze patrzyła w ten sposób na więźniarki. Była panią ich życia, decydowała, którą zakatuje o poranku, a która wyląduje w obozie. Tymczasem Renate stała naprzeciwko kobiety, która niegdyś była wielką gwiazdą estrady, i zamiast pokonanej diwy ujrzała jej wzrok pełen pogardy i mściwej satysfakcji.

8. Skierniewice, 1941

Alicja czuła się nieswojo w kompletnie obcym jej miasteczku, z walizką wypchaną pieniędzmi. W dodatku ktoś bardzo chciał je ukraść, a ją być może pozbawić życia. A nawet jeśli puściłby ją wolno, co powiedziałaaby dowódcom? I temu najważniejszemu – Julianowi Chełmickiego. Jeśli uważał ją za kobietę o wątplych zasadach moralnych, wysoce prawdopodobne było, że posądzi ją o kradzież tych pieniędzy. Była chwila, że miała na to ochotę, więc ironią losu byłoby wrócić z pustymi rękoma i w dodatku z tych dobrodziejstw nie skorzystać.

Sięgnęła do kieszeni i wyciągnęła z niej visa. Odbezpieczyła broń i wyjrzała z bramy. Jak to przy dworcu kolejowym, kręciło się wiele osób, kilka patroli. Oceniała sytuację. Każdy mężczyzna wydawał jej się podejrzany, a nawet kobieta pchająca dziecięcy wózek. Nie sądziła, że ktoś odważy się wyrwać jej ogromną walizkę w tym ruchliwym miejscu, ale wszystkiego można się było spodziewać. Wspólnik z samochodem albo motorem, ustawiona sztafeta. „Myśl, myśl, myśl” – nakazywała sobie, coraz bardziej spanikowana i zziębnięta. Poprzedni pomysł, by poszukać jakiegoś hotelu, wydał jej się w tym momencie szalony. Zapaliła kolejnego papierosa. Usiłowała sobie przypomnieć, czego uczono ją w Londynie, ale te wszystkie lekcje zdawały się bezużyteczne. „Wmieszaj się w tłum” – pasażerowie pociągu rozeszli się już, więc nie było zbyt wielkiego tłumu. „Wejź do dużego domu towarowego, najlepiej na dział bielizny – żaden mężczyzna tam nie wejdzie” – gdzie, u licha, w tym niewielkim mieście miałyby znaleźć duży dom towarowy? „Stań przed witryną sklepową i obserwuj w niej ludzi” – cholera, było ciemno. Na domiar złego ta piekielna walizka wiele spraw komplikowała. Przy dworcu nie budziła sensacji, ale przechadzki po mieście i beztróskie zagładanie do sklepów mogłyby wzbudzić podejrzenia. „Zmień swój wygląd” – do diabła, nie miała przy sobie czarodziejskiej różdżki.

W pewnej chwili zobaczyła starszą, otyłą kobietę, okutaną grubą chustą. Zmierziała w kierunku bramy, dźwigając jakieś ciężkie tobołki. Zapewne wracała ze wsi i przywiozła nieco jedzenia dla rodziny. To była dla Alicji szansa.

– Proszę pani... – zaczęła kobietę, gdy ta już weszła do bramy.

– Słucham – odpowiedziała niezbyt uprzejmie.

– Nie chciałyby pani takiego eleganckiego, ciepłego palta? Porządna wełna, gruba, ale i delikatna – zachwalała Alicja. – I dorzucę jeszcze kapelusik.

– Pani, a gdzie ja się tak wysztafiruję? – prychnęła kobiecina.

– Do kościoła? – Alicja poczuła się niepewnie.

– Jakbym się w czymś takim na mszy pokazała, to by mnie baby zjadły. – Prychnęła. – Siódmy krzyżyk mi idzie, gdzie mi się teraz na stare lata tak stroić.

– Może pani sprzedać... Jest dużo wart.

Kobieta pomacała materiał płaszcza i zwróciła się do Alicji:

– Córce może bym dała... A wiele pani za niego chce? – Kobieta zaczęła mięknąć.

– Odda mi pani swój płaszcz i chustkę – powiedziała Alicja.

– Pani, toż to stary łach, jeszcze za Piłsudskiego kupiony. A chustka sfilcowa-

na – bąknęła kobiecina.

Alicja nie wytrzymała, bo kobieta zdawała się nie rozumieć powodów takiego zachowania.

– Proszę pani, mam kłopoty. Proszę mi pomóc, a nie pożałuje pani. Zamienimy się ubraniami i zostawię pani walizkę. Swoje rzeczy przepakuję do pani siatek. I jeszcze górala dorzucę.

Kobieta rozejrzała się dookoła, jakby sprawdzała, czy żaden patrol nie idzie w ich stronę, po czym powiedziała:

– Idzie pani ze mną. Tylko mojemu staremu niech pani za dużo nie gada, gdyby się nawinął – powiedziała kobieta konspiracyjnym szeptem.

Weszły na ostatnie piętro kamienicy, a potem do jedynego mieszkania znajdującego się na poddaszu. Chwilę potem znalazły się w ciasnej kuchni, skąd prowadziły drzwi w głąb mieszkania. Kobieta zamknęła drzwi wejściowe i te prowadzące do dalszej części domu. Wypakowała rąbankę z płóciennych toreb i podała je Alicji. Potem zdjęła chustkę i palto. Alicja zawahała się. Nie mogła pokazać kobiecie, że jej walizka nie jest wypełniona ubraniami, ale dolarami i markami.

– Mogę na chwilę zostać sama? – zapytała, zdesperowana.

Kobieta popatrzyła podejrzliwie, kiwnęła głową i zniknęła za drzwiami pokoju. Alicja powiesiła na klamce chustę na wypadek, gdyby jej wybawicielka okazała się zbyt ciekawska i chciała ją podejrzeć przez ogromną dziurkę od klucza. Przepakowała pieniądze do płóciennych toreb, owijając je gazetami, w których kobieta przywiozła jedzenie. Pomacała dno walizki i przecięła nożem podszewkę. Wyjęła z niej kenkartę, a dokumenty Aldony Schwein wrzuciła do paleniska kozy stojącej w kuchni. Do jednej z toreb przywiązała pasek od szlafroka i założyła uprzęż na szyję, wykorzystując pomysł z Casablanki, gdy szła do hotelu Excelsior po zabiciu Pirota. Zakrawało na ironię, że teraz robiła to nie z obawy przed Niemcami, ale rodakami, którzy być może byli pospolitymi złodziejami, a być może jakąś inną podziemną organizacją, na przykład komunistyczną, która uznawała jedynie zwierzchnictwo Moskwy. Naciągnęła sweter i poprawiła zawartość worka, aby jej brzuch wyglądał na zaawansowaną ciążę, a nie bezkształtny twór. Opróżniła torebkę, pozostawiając jedynie portfel i szminek, pozostałe zaś rzeczy skończyły swój żywot w ogniu, podobnie jak paszport „panny Świni”. Nałożyła na siebie pozostałe części garderoby i zawołała kobietę. Wręczyła jej górala i ucałowała ją w oba policzki.

– Dziękuję – powiedziała, chwyciła drugi tobolek i wyszła z domu, zostawiając oniemiałą kobietę w progu.

Musiała się śpieszyć, żeby dotrzeć do Warszawy przed godziną policyjną. Pobiegła na dworzec i dosłownie w ostatniej chwili dopadła pociąg jadący do Warszawy.

Kiedy zbliżali się do stolicy, ujrzała dwóch żołnierzy, którzy kontrolowali dokumenty i niekiedy bagaże, które wydały im się podejrzane. Alicja przełknęła ślinę. Nie miała już niemieckich dokumentów ani nie wyglądała uwodzicielsko, by słodkim uśmiechem i powłóczyстым spojrzeniem przekonać do siebie mężczyznę. Jeden z żołnierzy wziął od niej dokumenty, po czym zadał pytanie, którego tak bardzo obawiała się Alicja:

– Co tam wiesz? – zapytał ostro.

Jedną z cech Alicji Rosińskiej była wyjątkowa bezczelność, gdy czuła narasta-

jący w sobie strach. Hołdowała maksymie, że jeśli zbliża się niebezpieczeństwo, należy iść na całość.

– Rąbankę – powiedziała cicho.

Żołnierz popatrzył na nią ze zdziwieniem, bo z reguły szmuglerzy wymyślali wszystko, byle nie powiedzieć prawdy. Tymczasem ta dziewczyna bez ogródek się przyznała, jakby nie miała pojęcia, że jest to zabronione.

– Nie wiesz, że to jest zakazane? – zapytał.

– Wiem – powiedziała buńczucznie. – A jadł pan wojskowy nasz kartkowy chleb?

– Gówien nie jadam – mruknął.

– Ja też – odpowiedziała i dodała, uśmiechając się: – Ten dokument w środku to mój meldunek.

Żołnierz przełożył znajdujący się wewnątrz kenkarty kwitek i zobaczył pod nim złożone wpół dwadzieścia dolarów. Przykrył je dłonią i dyskretnie wsunął do kieszeni. Po chwili oddał Alicji dokument i powiedział:

– W porządku...

Przez te kilka minut Alicja myślała, że serce jej wyskoczy z piersi i nawet się nie zastanawiała, co zrobi, jeśli żołnierz zechce zajrzeć do tobołka. Jedyńm ratunkiem był ciężowy brzuch i wciśnięte w kenkartę dwadzieścia dolarów. Inna opcja po prostu nie wchodziła w grę.

Wysiadła w Warszawie i szybkim krokiem kierowała się w stronę hali dworcowej. Poczula na sobie czyjś wzrok, a po chwili usłyszała głos.

– Alicja? Na Boga... Alicja.

W jej stronę szedł Emil Lewin. Nie wyglądał elegancko, jak miał to w zwyczaju, teraz ubrany był w wyświechtaną kapotę i zdeptane trzewiki. Ona także wyglądała inaczej niż zwykle.

– Emil! – Mimo wszystko ucieszyła się, bo miała nadzieję, że dowie się czegoś o Hance, za którą tak bardzo tęskniła.

– Boże, Alicja, gdzie się podziewałaś? Szukałem cię...

– Ty? A po co? Wyjeżdżałam...

– Posłuchaj, wiem, że mnie nie lubisz, ale Hanka... – Nie wiadomo, dlaczego Emil Lewin nagle się rozkleił. – Hania od kilku miesięcy siedzi na Pawiaku.

Po chwili rozplakał się. Nie tylko dlatego, że spotkał kogoś, komu nie był obojętny los jego siostry, ale chciał wyrzucić z siebie również żal, który czuł po spotkaniu z ojcem. Sądził, że stary Chełmicki wykaże minimum uczuć w stosunku do niego, chociażby nienawiści, ale kolejny raz otrzymał lekcję pogardy i obojętności.

– Boże... – wyszeptwała Alicja.

Nie była w stanie powiedzieć nic więcej. Pożegnała się z Emilem, obiecując jedynie, że wkrótce go odwiedzi, po czym powróciła do swojej kwatery, pozbywając się po drodze sfilcowanej chustki i wyciągając spod swetra worek. Na szczęście zanim gospodyni zdążyła zwlec się z sofy i wyjść do przedpokoju, Alicja już znalazła się w swoim pokoju. Usiadła na łóżku i zakryła twarz rękoma. Jej najlepsza przyjaciółka, najcudowniejsza osoba, jaką знаła, zdychała na Pawiaku. Delikatna, subtelna i piękna kobieta być może była bita i poniżana. Czy mogła jej pomóc? Nie zastanawiała się zbyt długo. Wiedziała, że jest na to jedyna szansa i podjęła decyzję.

Następnego dnia zjawiała się w magazynie na Woli w porze, gdy zwykle się

spotykała ich grupa i z triumfem wręczyła Julianowi pakunki z pieniędzmi. Próbował do niej podejść, przytulić się, powiedzieć, jak bardzo się martwił i jak bardzo w nią wierzył, ale zatrzymała go gestem ręki.

– Jeśli chodzi o waszą propozycję dotyczącą Grossa, to zgadzam się. Przekaż to „Sokołowi”. Aha, brakuje dwudziestu dolarów, musiałam dać łapówkę. Reszta, mam nadzieję, się zgadza... Na spotkanie w piątek przyjdę normalnie.

– Alicja... – Julian próbował coś powiedzieć, ale Alicja odwróciła się i wyszła z magazynu, cicho zamykając za sobą drzwi.

9. Moskwa, 1941

Chłód powoli ustępował, ale wciąż daleko było do wiosennej aury. Za to coraz częściej pojawiał się nieprzyjemny wiatr, który był niekiedy bardziej dokuczliwy od siarczystego mrozu.

Tylko nieliczni głowy mieli zajęte czymś innym niż prozą codziennego życia. Mieli świadomość nadciągającej wojny. Już nie padało pytanie, czy Niemcy zaatakują Związek Radziecki, ale kiedy. Mimo że Stalin wyjątkowo sceptycznie podchodził do informacji od kolejnych agentów, nawet ludzie z jego najbliższego otoczenia nie mieli złudzeń. Zdawali sobie sprawę, że atak nie nastąpi zimową porą, bo byłby to akt samobójstwa. Rosjanie przywykli do chłódów i radzili sobie z nimi całkiem dobrze, ale im dalej na zachód, tym bardziej rosyjskie zimy były pojęciami czysto teoretycznymi. Już niejeden władca przekonał się, że natura potrafi być największym sprzymierzeńcem Rosjan, ale nim przychodziła taka refleksja, z żołnierzy pozostawały jedynie zamrożone ciała. Z kolei wiosna i jesień zamieniała całe połacie kraju w błotniste bajoro, po którym poruszanie się było niemalże niemożliwe.

Niemcy nie byli idiotami i musieli mieć świadomość występowania zarówno siarczystych mrozów, jak i wiosennych roztopów. Zatem pozostawało lato. Niemniej jednak Hitler już szykował Wehrmacht na najważniejszą i największą swoją wojnę, grupując przy granicy coraz większe zastępy swoich wojsk. Kolejne raporty nie pozostawiały złudzeń, ale Stalin wciąż im nie ufał. Miał także problem innej natury. Czystki z końca lat trzydziestych pozbawiły Armię Czerwoną najlepszych dowódców, najzdolniejszych strategów i najinteligentniejszych analityków, a wyposażenie armii było w opłakanym stanie. Związek Radziecki był ogromnym krajem, ale nie dorównywał technologicznie Rzeszy. Oczywiście i Moskwa próbowała dozbrajać swoją armię, jednak przepaść była ogromna. Jediną przewagą nad Niemcami była liczebność żołnierzy. I chyba to dawało Stalinowi poczucie bezpieczeństwa i pewność, że Hitler nie odważy się zaatakować tak potężnego i licznego narodu.

Igor Łyszkin nie mógł zrozumieć tak niefrasobliwego podejścia Stalina do poczynań Hitlera. Już będąc w Polsce, przekonał się, że dla Niemców każdy Słowianin to gorszy gatunek człowieka, a szacunek w nich budzili jedynie silniejsi.

– Jeśli wszystko jest jasne, a raporty z Brześcia jednoznaczne, to właściwie jaki jest sens, żeby kontynuować „Klasztor”? – zapytał Sacharow.

– Oj, Jurij, Jurij, chyba za dużo rykowki popijacie – roześmiał się Igor. – Jak wybuchnie wojna, to właśnie wtedy nasza akcja będzie miała największy sens. Na lepsze radiostacje nie mamy co liczyć. Jediną naszą siłą są ludzie. Ale jak dojdzie do wojny i zamkną w Rzeszy radzieckie ambasady, to stracimy z nimi kontakt. I wtedy jedyne, co może mieć rację bytu, to podwójni agenci, a takich mamy niewielu.

– Wy macie jednak łeb nie od parady – powiedział z uznaniem Sacharow, po czym dodał z westchnieniem: – Więc jednak wojna...

– Jestem prawie pewien. Zresztą nie tylko ja. Chyba jeszcze tylko Stalin wierzy, że do tego nie dojdzie. – Igor przestał się uśmiechać.

– *Jobanyje sobaki* – zaklął Sacharow. – Jeszcze się nie nachapali.

– Słuchajcie, Jurij... muszę wam coś powiedzieć. Ale tak między nami. Jest jeszcze trochę czasu, zanim wiosna i lato do nas przyjdą, Abwehra też musi mieć czas, żeby łyknąć kuzyna Iriny... Muszę pojechać do Polski – cicho, ale stanowczo powiedział Igor.

– A po co się pchacie do Polski? Przecież jesteście tam spaleni – mruknął Sacharow.

– Muszę zobaczyć się z rodzicami. Wiecie... zawsze to ojciec i matka. Muszę ich ostrzec. Jak dojdzie do wojny, to mi rodziców zakatują...

Igor powiedział Jurijowi jedynie część prawdy. W istocie chciał ostrzec rodziców. Póki byli bogaci, powinni spieniężyć co się da i uciekać z Polski. Najlepiej do Ameryki. Był przekonany, że Fiodor ma dobrą rękę do biznesu i zapewne nie było takiego zakątka świata, gdzie by sobie nie poradził. Nie chciał jednak wspominać Jurijowi o Hance i Nadii. Obawiał się, że Sacharow wyśmieje jego sentymentalizm. Kobiety były jedynie miłym dodatkiem, a nie celem. Według niego tylko słabi mężczyźni podporządkowywali cokolwiek kobiecie.

– Jurij, będę potrzebował dokumentów. Polską kenkartę z ausweisem i radzieckie. Dacie radę mi to załatwić w ciągu tygodnia? – zagadnął Igor. – Ja muszę napisać kilka listów Irinie, na zapas, bo nie wiem, kiedy wrócę. I czy w ogóle wrócę.

– Wy, Łyszkin, porządny chłop jesteście, ale nosi was za bardzo. Nie chcę mędrkować, ale wpakujecie się kiedyś w kłopoty – westchnął Sacharow.

– To nie mędrkujcie... – burknął i dodał, nieco rozzłoszczony: – Pomożecie mi z tymi dokumentami czy mam sam to załatwić?

– Dobra... *Wot gieroj* – mruknął pod nosem Jurij i powrócił do swojego zajęcia.

To była długa i męcząca podróż. Igor musiał być bardzo czujny, bo nie chciał popełnić błędu ani u siebie, ani w Polsce. Jechał tam wbrew zakazom. Niby nikt oficjalnie nie wnikał, czym zajmują się oficerowie wywiadu w czasie wolnym, ale oczywiste było, że mogą sobie pozwolić jedynie na rzeczy akceptowane przez zwierzchników, zarówno wojskowych, jak i partyjnych. Wyjazd do kraju, gdzie agent był poszukiwany i zdołano poznać jego prawdziwą tożsamość, był niczym zdrada i gdyby wyszło to na jaw, naraziłoby Łyszkiną na nieprzyjemności. Było to bardzo delikatne określenie tego, co mogłoby go spotkać. Rozumiał takie postępowanie władz, gdyby tak każdy robił, co chciał, natychmiast nastąpiłoby rozpasanie zwartego organizmu, jakim była ojczyzna porewolucyjna. On jednak uważał, że jest na tyle sprytny i inteligentny, aby od czasu do czasu pozwolić sobie na samowolkę. Tym bardziej że sytuacja tego wymagała. Nie potrafił zapomnieć, że ma jeszcze jakieś uczucia, prywatne życie i problemy, które musiał rozwiązać.

Jechał nie tylko dlatego, że kochał Hanke Lewin. Wracał do Polski, bo zżerały go wyrzuty sumienia. Gdyby nie on, jego ukochana wciąż żyłaby spokojnie, miała przy sobie córeczkę i zachwycała publiczność pięknym, nietuzinkowym głosem. Bez względu na to, kto teraz rządził w Polsce, ona mogła być wolna. Dzięki temu, że miała niewiarygodny talent, który z walącej chałupy zaprowadził ją na największe europejskie sceny. A on, egoistycznie zapatrzony we własne sprawy, zabrał jej to wszystko, zamiast wypuścić tego cudownego motyla na wolność.

Dotarł do Warszawy tuż przed godziną policyjną i skierował pierwsze kroki do domu rodziców. Padał z nóg. Nie spał prawie trzy noce, podróżując pociągami towarowymi, zdezelowanymi ciężarówkami, a niekiedy i furmankami. Śmierdział łajnem, spalinami i wódką, którą poił się, gdy dokuczało mu zimno. Nie miał jednak siły zastanawiać się nad reakcją rodziców, gdy zamiast eleganckiego, wymuskanego syna ujrzą nieogolonego obszarpańca. Był niemal pewien, że zrzucą to na barbarzyński system, który każe ludziom żyć niczym prosięta i w którym czyste paznokcie świadczą o przynależności człowieka do znieawidzonej burżuazji.

Wszedł za bramkę posesji i rozejrzał się dookoła. Następnie obszedł dom, zajrzał do salonu, jedyne pomieszczenia, w którym paliło się światło. Nic nie wydało mu się podejrzane. Ojciec z fajką w ustach siedział w fotelu i czytał gazetę, a matka przeglądała albumy. Uśmiechnął się, patrząc na ten widok. Przeszedł na tyły budynku i odnalazł kuchenne drzwi. Wspiął się na palce i przesunął dłonią po wąskim daszku znajdującym się nad wejściem. Chwilę potem natrafił na klucz. Otworzył cicho drzwi i przeszedł do holu, a następnie stanął w progu salonu. Matka podniosła głowę znad albumu i jęknęła:

– Matko Przenajświętsza! Igorek...

Ojciec zerwał się z fotela, podszedł do Igora i uściskał go, po czym odsunął się dyskretnie pod wpływem smrodu, jaki roztaczał jego syn. Matka także się z nim przywitała i obściskała tak długo, aż Igor delikatnie wyswobodził się z jej objęć. Ona zdawała się nie czuć odoru, nie widzieć zmęczonej twarzy i nieogolonej brody syna. Śmiała się i łkała na zmianę. W końcu pozwoliła mu, aby się umył i przebrał.

Gdy zszedł z piętra, czekała na niego gorąca kolacja.

– Szukają cię, Igor – powiedział grobowym tonem Fiodor.

– Wiem, tato. Ale musiałem przyjechać...

– Do tej kobiety... Igor, to przez nas. Byli tutaj, szukali cię. Pelagia powiedziała im o Bocianowie. Modliłem się, żeby ciebie tam nie było. Bóg mnie wysłuchał, ale Lewinównę zabrali... – Ojciec jękał się, bo wiedział, że ta wiadomość może zdruzgotać jego syna.

– Wiem, tato... Wiem, że Hanke zamknęli, ale nie wiem, co teraz się z nią dzieje. To nie wasza wina, tylko moja. I to, że przyleźli do was, to także moja wina. Zachowałem się jak nieodpowiedzialny gówniarz – stanowczo stwierdził Igor.

– Jesteś naszym jedynym synem, do kogo miałeś pójść, jak nie do rodziców? – Maria pogłaskała syna po dłoni.

– Słuchajcie... – Igor przyjął rzeczowy ton. – Niedługo wybuchnie wojna.

– Synku, już jest wojna – zganiła go matka.

– Igor mówi o wojnie na wschodzie... – mruknął ojciec.

– Myślisz, że to może mieć dla nas jakieś konsekwencje? – naiwnie zapytała Maria.

Ojciec i syn wymienili spojrzenia. Fiodor, podobnie jak Igor, miał świadomość, że jeśli Hitler napadnie na Związek Radziecki, Łyszkinowie z dnia na dzień mogą stać się w Warszawie persona non grata. A chcąc dopaść komunistę Igora Łyszkińskiego, Niemcy nie będą mieli oporów, by posunąć się do najgorszego.

– Jak myślisz, Igor, ile mamy czasu? – zapytał ojciec.

– Kilka tygodni? Może mniej... Przeze mnie siedzicie na beczce prochu, dlatego zróbcie to możliwie najszybciej. Póki co przenieście się gdzieś na prowincję, a po-

tem... byle jak najdalej stąd – niepewnie odpowiedział Igor.

– Co nam radzisz, synku? – zaniepokoiła się Maria.

– Mamusiu, to najtrudniejsze słowa, jakie kiedykolwiek przyszło mi do was mówić, bo może to oznaczać, że nie będziemy się widzieli bardzo długo. Spieniężcie co się da i uciekajcie za ocean. Tutaj wkrótce będzie piekło. Nawet Szwajcaria i Portugalia wydają się kiepskim azylem. Ameryka, nie wiem, może Stany Zjednoczone, może Argentyna. Byle jak najdalej stąd...

Matka zakryła twarz rękoma.

– Boże... Przecież to koniec świata. A co z tobą? Wyjedziesz z nami? – Popatrzyła na swojego syna błagalnym wzrokiem.

Pokręcił przecząco głową.

W salonie Łyszkinów zapadła niemal grobowa cisza. Nie widzieli syna od tak dawna, a i wcześniej ich spotkania można było nazwać rzadkimi, jeśli nie sporadycznymi, ale w tym momencie poczuli, jakby to było pożegnanie. Taka odległość po prostu przerastała ich wyobraźnię. Wiedzieli jednak, że Igor ma rację. Nie byli tu bezpieczni, a powrót do Związku Radzieckiego nie wchodził w rachubę. Siedzieli więc w milczeniu, dopóki Igor nie zasnął na ogromnej kanapie. Maria okryła go pledem i siedziała przy nim aż do rana, kiedy to jej syn opuścił willę na Mokotowie.

10. Warszawa, 1941

– Powtórz jeszcze raz. Minuta po minucie. Kiedy po raz pierwszy zwróciłaś uwagę na tego człowieka? – „Sokół” już od godziny zamęczał Alicję pytaniami.

Był bardzo zaniepokojony faktem, że ktoś poznał ich kanał przerzutu pieniędzy z Rzeszy do Polski.

– Wsiadł w Berlinie. Tak... Na pewno. Wszedł do przedziału zaraz po kobiecie z dzieckiem – niepewnie powiedziała Alicja, bo odpowiadanie wciąż na te same pytania spowodowało, że zaczynała powoli tracić zaufanie do stanu swojej pamięci.

– Myślisz, że się znali? – ciągnął „Sokół”.

– Nie sądzę. Ona była Niemką i cały czas świergotała do swojego syna, który już kilkadziesiąt kilometrów za Berlinem zaczął się niecierpliwić.

– A ten starszy mężczyzna?

– Czytał przez cały czas i właściwie się nie odzywał.

– Właściwie? Przypomnij sobie, może jednak coś mówił? Może miał dziwny akcent?

– Kilka kurtuazyjnych zdań... Nie wydawał mi się podejrzany.

– Ten, który cię napadł również nie wydał ci się podejrzany – mruknął „Sokół”.

– W rzeczy samej. Nie rozglądał się nerwowo, nie zerkał co chwilę na moją walizkę ani nie trzęsły mu się ręce – zdenerwowała się Alicja.

– Proszę się nie dziwić tym pytaniom. Ktoś musiał zdradzić. Nie wiemy tylko, czy mamy zdrajcę w naszych szeregach, czy to bankowiec z Dresdner Banku. Myślę jednak, że to musiał być ktoś od nas... – głośno myślał „Sokół”.

– A ile osób wiedziało o moim wyjeździe? – zapytała Alicja, bo ona także zastanawiała się, skąd wiedziano o jej misji. Na pewno wiedzieli „Sokół”, Julian i Wiktor. Kto, u licha, jeszcze, jeśli oni wszyscy byli poza podejrzeniami.

– Bardzo wąskie grono – mruknął „Sokół” i dodał: – Dobrze, skończymy na dzisiaj. Gdyby jednak coś ci się przypomniało, nawet mało istotnego, to mnie informuj. I cieszę się, że jednak zdecydowałaś się na Grossa. Pamiętaj, ojczyzna ci tego nie zapomni – zakończył górnolotnym stwierdzeniem i oboje opuścili magazyn.

Alicja szła powoli do swojej kwatery, zastanawiając się, od czego zacząć, żeby na powrót uwieść Grossa. A jeśli już o niej zapomniał? Minęło tyle czasu, że równie dobrze mógł mieć nową kochankę. Szpicle twierdzili, że nie ma, ale w każdej chwili mógł mieć.

Nagle poczuła szarpnięcie i ktoś wciągnął ją do jednej z bram. Obejrzała się, nieco wystraszona, i stanęła twarzą w twarz z Julianem.

– Co ty wyprawiasz? – warknęła.

– Dopóki trwa nasze śledztwo, nikt nie może zobaczyć, że rozmawiamy na osobności – powiedział cicho.

– Podejrzewają ciebie? – zapytała, zdziwiona.

– Na razie podejrzewają wszystkich, nawet ciebie – mruknął.

– Oszalałeś? Przywiozłam im każdego cholernego dolara – zachnęła się.

– Mogłaś po prostu zmienić zdanie... – powiedział cicho.

Pokręciła przecząco głową, jakby nie dowierzając, że w ogóle słyszy podobne brednie. Narząła życie, a on tu jej wyjeżdża z takimi podejrzeniami. Wyrwała mu się i chciała odejść, ale zastąpił jej drogę.

– Ja ci wierzę. Ale chciałem zapytać cię o coś zupełnie innego. Dlaczego się zgodziłaś na Grossa? – zapytał cicho.

Spuściła głowę i przez chwilę milczała. Mogła w tym momencie zranić Juliana do żywego, urazić jego męską dumę. Mogła mu zrobić karczemną awanturę za to ich pierwsze spotkanie po powrocie do kraju. Nie chciała jednak tego robić. Nie miała na to ani siły, ani ochoty. W głowie kołatała jej jedynie myśl o swojej przyjaciółce, Hance. Pamiętała ich wspólny czas i to, że gdy Hanka obrosła w piórka i została panią Niechowską, załatwiła jej angaż w dobrym teatrze, wygodne mieszkanie i była osobą, na którą zawsze mogła liczyć. A na kogo mogła liczyć teraz Hanka? Na męża, który siedział w Anglii i chyba już zapomniał o swojej rodzinie? Na egoistycznego i nieudacznego brata, który żył w dostatku tylko dzięki innym?

– Hanka jest na Pawiaku. Podobno od miesiący. Muszę ją stamtąd wyciągnąć. Ona ma tylko mnie. A Gross może mi pomóc. On musi mi pomóc. Nie wiem, co stało się z dzieckiem Hanki. Muszę się dowiedzieć... Julian, ja po prostu nie mam wyjścia. Nie zrobiłabym tego dla Rzeczypospolitej, ale dla niej tak. Tak jak zrobiłam to dla ciebie.

Alicja zaczęła płakać. Straciła cały animusz, a jej bezczelność rozpierzchła się w cieniu obskurnej schodowej klatki. Wiadomość o Hance po prostu ją złamała. Ona, taka silna, dzielna i cwana, nagle poczuła się jak w pułapce. Ostatni raz tak się czuła, gdy stała samotnie na zgliszczach swojego mieszkania, które zbombardowały niemieckie pociski. Ale to była chwila, bo potem nadeszły pokrzepiające wieści, że Julian wciąż żyje.

Chełmicki przytulił Alicję i zaczął głaskać ją po głowie.

– Może jest inny sposób, nie wiem, może porozmawiam z kimś, żeby ją odbili... Nie chcę, żebyś do niego wracała. Nie chcę, żebyś kochała się z nim tak, jak ze mną... – szeptał Julian. – Wydawało mi się, że dam radę, że nic mnie to nie obchodzi, ale kiedy się zgodziłaś, dopiero do mnie dotarło, jakie to jest dla mnie trudne.

– Muszę, Julianie... – Alicja odsunęła się od niego, otarła łzy i bez słowa wyszła z sieni.

Co mogła mu powiedzieć w takiej chwili? Przecież powinien zrozumieć, bez zbędnych wyjaśnień. Jego rozterki w obliczu tego, co spotkało jej przyjaciółkę, po prostu nie miały znaczenia. Życie Hanki warte było każdego poniżenia, w tym momencie nic więcej się nie liczyło.

Szła brukowaną ulicą i czuła się samotna. Tak samo, jak wtedy, gdy pewnej nocy opuściła pokój hotelowy, w którym udawała prostytutkę. Wiedziała jednak, że tylko Gross może jej pomóc i była gotowa zapłacić za to wysoką cenę. Nawet utratę największej miłości swojego życia, Juliana Chełmickiego.

Wróciła do mieszkania i przygotowała sobie kąpiel, dolewając do wanny różanego olejku, aby jej skóra pięknie pachniała. Zakręciła włosy na papiloty, a potem wyciągnęła z szafy swoją najlepszą sukienkę. To w niej odbyła podróż do Berlina i miała jej służyć na kolejne wyjazdy. Teraz jednak zmieniła się jej rola. Musiała w niej uwieść Martina. Swój elegancki płaszcz straciła podczas misji i zapewne cie-

szyla się nim córka kobiety, z którą zamieniła się rolami. Na szczęście nadchodziła wiosna i mogła założyć lżejszy płaszczyk. Wciąż jeszcze był za cienki na taką pogodę, ale nie znalazła w szafie niczego bardziej eleganckiego. Naciągnęła pończochy, przypięła je do pasa i wsunęła stopy w pantofle na obcasach. Zrobiła makijaż i pociągnęła usta karminową szminką. Była gotowa na spotkanie z Martinem Grossem.

Postanowiła, że najpierw pójdzie do jego mieszkania. Miejsca, w którym przeżyli swój płomienny romans. Jeśli nie zostanie go w domu, wówczas uda się na rekonans do Café Clubu, gdzie niegdyś tańczyła. Było już późno, zostało dosłownie kilkadziesiąt minut do godziny policyjnej. I to dawało jej szansę, że z troski o jej bezpieczeństwo Martin jej nie odprawi. „Ech, Martinie, gdybyś ty nie był Szwabem...” – westchnęła w myślach Alicja. Mogłaby go wtedy naprawdę bardzo polubić. Poza tym był taki przystojny, może nawet bardziej niż Chelmicki. Ale życie i wojna postawiły ich po przeciwnych stronach barykady i Martin Gross miał być jedynie tym, kim był od zawsze – środkiem prowadzącym do celu.

Niepewnie nacisnęła dzwonek do drzwi. Minęło kilka chwil, gdy usłyszała kroki. Ktoś przystanął przy drzwiach, najpewniej obserwując ją przez judasza, a następnie rozległ się dźwięk przekręcanego klucza.

Martin Gross ubrany był w spodnie od munduru i nieco rozchełstana koszulę. W dłoni trzymał pióro i jakiś dokument.

– Alicja... – powiedział ze zdziwieniem.

– Dobry wieczór, Martinie – szepnęła, spoglądając uwodzicielsko. – Mogę wejść?

Martin ocknął się i zaprosił ją do środka. Odłożył na szafkę pióro i pomógł jej zdjąć okrycie. Weszli do salonu, gdzie na stole, kanapie i komodach porozkładane były papiery.

– Przepraszam cię za ten nieład... Pracuję... Napijesz się herbaty, może koniaku? – zapytał, nieco zażenowany zarówno panującym bałaganem, jak i swoim dość niechlujnym wyglądem.

– Nalej mi koniaku – poprosiła i usiłowała znaleźć miejsce, gdzie mogłaby usiąść.

Martin zaczął nerwowo zbierać papiery, ale Alicja wzięła go za rękę i powiedziała cicho:

– Przestań, zostaw to.

Gross przestał się zajmować porządkami i stojąc, przyglądał się Alicji.

– Bardzo zeszczuplałaś, ale wciąż jesteś piękna. – W końcu się uśmiechnął.

– Na tych waszych racjach żywnościowych trudno wyglądać okazalej. Mój reżyser, Niemcow, byłby zachwycony, bo wciąż powtarzał, że mam za duży tyłek. – Również się uśmiechnęła, po czym spoważniała. Nie mogła dłużej czekać i beztrasko gwarzyć, kiedy przyszła do niego z konkretną prośbą.

Usiadła na kanapie, odsuwając na bok pliki papierów. Wzięła od Martina kieliszek koniaku i wypila go duszkiem.

– Martinie, potrzebuję twojej pomocy... – powiedziała bez ogródek.

– Aha, potrzebujesz pomocy. A ja sądziłem, że do mnie wróciłaś... – Gross był wyraźnie zawiedziony.

– Wróć do ciebie, jeśli obiecasz, że mi pomożesz. Pamiętasz Hankę Lewin? Tę moją przyjaciółkę o zniewalającym głosie? Siedzi na Pawiaku, a ja cię błagam,

żebyś ją stamtąd wyciągnął. – Alicja starała się być stanowcza.

– Wiesz, że prosisz o bardzo wiele? – mruknął.

– Wiem. Ale w zamian dostaniesz ode mnie wszystko, czego zażadasz. –
Chciała, żeby dla Martina sprawa była jasna.

– Nie podoba mi się taki układ. Nie chcę, żebyś była moją niewolnicą – rozzło-
ścił się Gross.

– Jeśli nie chcesz, to nią nie będę. Ale zrozum, jeśli ty mi nie pomożesz, pójdę
do kogoś innego – zablefowała.

– Do kogo? – Martin wciąż był zły.

– Martinie, jestem ładna. I znakomita w łóżku. A takie dziewczyny nie bywają
samotne. Wielu z twoich kolegów chętnie się z tobą zamieni. – Chciała, żeby w jej
głosie brzmiała beztraska.

– Mógłbym cię zabić za to, co teraz mówisz. – Martin zacisnął zęby ze złości.

– Pewnie, możesz to zrobić. Ale wtedy stracisz mnie na zawsze. – Jej ton
wciąż był spokojny.

– Przez ten czas, gdy odeszłaś, byłaś z innym, tak? – zapytał, już nie rozzłosz-
czony, ale zasmucony.

– Nie, Martinie – skłamała. – Z nikim nie byłam. Wyjechałam do swojej matki,
na prowincję, bo tutaj robiło się niebezpiecznie. Nie obawiałam się, że ogolą mi gło-
wę, ale za bycie twoją kochanką mogłam zapłacić najwyższą cenę. Cenę życia. Zro-
zum w końcu, że byłeś dla mnie kimś ważnym, jeśli przez tyle miesięcy tak wiele dla
ciebie ryzykowałam. Ale teraz muszę pomóc swojej przyjaciółce. I przychodzę z tym
do ciebie. Gotowa kolejny raz zaryzykować i być z tobą.

Martin Gross usiadł obok Alicji i popatrzył na nią. Nie widział jej tak długo,
ale odkąd odeszła od niego, nie było dnia, żeby o niej nie myślał. Chyba naprawdę
był zakochany, bo najpierw zwrócił jej wolność, gdy tego chciała, a teraz był gotów
zgodzić się na ten upokarzający układ.

– Nie wiem, co zrobiła Hanka Lewinówna i czy mam wystarczająco dużo
wpływów, żeby ją wyciągnąć z więzienia. Jeśli przebywa w nim tak długo i nie zo-
stała ani skazana, ani wypuszczona na wolność, może jest ważnym świadkiem albo
kimś na tyle istotnym, że nawet moja pozycja okaże się niewystarczająco mocna. Ale
przysięgam, że spróbuję ci pomóc. Tylko zostań... – Ostatnie zdanie powiedział nie-
mal błagalnym szeptem.

Alicja podniosła się z kanapy i zaczęła rozpinać guziki swojej eleganckiej su-
kienki.

– Zostanę, Martinie.

Ta pierwsza noc z Martinem była dla niej niczym zły sen. Koszmar, który bu-
dzi w nocy i nie pozwala zasnąć kolejny raz. Alicja nie wiedziała, dlaczego czuła się
tak fatalnie w ramionach czulego i delikatnego Martina Grossa, z którym sypiała wie-
le razy i którego uważała za jednego ze swoich najmilszych i najlepszych kochan-
ków. I wtedy, podobnie jak tej nocy, jej serce należało do innego, jednak od tego cza-
su wiele się zmieniło. Zbliżyła się do Juliana Chełmickiego, gdy byli w Anglii, zosta-
ła jego kochanką, przyjaciółką i wszelkie znaki na niebie i ziemi wskazywały, że nie-
chybnie zostanie również jego żoną. I mimo że wszystko się rozpadło, a główna przy-
czyna tegoż rozpadu właśnie obejmowała ją czule, ona wciąż chciała, żeby to Cheł-
micki przy niej był. Nikt inny. Nawet ktoś tak przystojny i wyrafinowany jak Martin

Gross. Jakże ekscytujące byłoby mieć takiego kochanka, a przy tym zdobywać cenne i poufne informacje. Fala przyjemności i zastrzyk adrenaliny to było coś, czego Alicja Rosińska potrzebowała najbardziej. Jednak spotkanie Juliana i zdobycie jego uczucia zmieniło wszystko i przystojny Martin wydawał jej się teraz odpychający, jego zapach odstręczający, głos irytujący, a dotyk był jak smaganie batem. Musiała włożyć wiele wysiłku, by Gross nie wyczuł tego chłodu i niechęci, jakie żywiła do niego Alicja, ale i tak spostrzegł, że się zmieniła i nie jest tą samą frywolną kochanką, chichoczącą niczym figlarna dziewczynka. Oszukiwał się jednak, że jest to spowodowane ogromnym zmartwieniem, jakie miała Alicja, a ona nazbyt chętnie potwierdziła jego wersję.

Martin nie miał pojęcia, co dzieje się w duszy Alicji, rozdartej między uczuciem do Juliana i chęcią uratowania innej osoby, którą kochała, Hanki Lewin.

– Tutaj jest naprawdę miło – powiedział nowy szef gestapo, Kenig, wpatrując się w urodziwe tancerki.

– Ja także lubię tutaj przychodzić, chociaż ostatnio jestem zawalony kolejnymi zleceniami z Berlina – z westchnieniem powiedział Martin, popijając wyborny koniak.

– No to opowiadaj, Martinie, jaką masz do mnie sprawę, bo przecież nie zaprosiłeś mnie tutaj bezinteresownie. – Kenig uśmiechnął się ironicznie.

– Macie u siebie, na Pawiej, pewną kobietę... Hankę Lewin-Niechowską, śpiewaczkę – niepewnie zaczął Gross.

– Tak, obilo mi się o uszy... – mruknął z niezadowoleniem Kenig.

– Możesz mi powiedzieć, co zrobiła albo czego nie zrobiła, że trzymacie ją tak długo? – zapytał Martin.

– Mój poprzednik to idiota – mruknął Kenig. – I jego ludzie też. Trzymają tę kobietę przez tyle miesięcy bez celu. Tylko zajmuje miejsce, których potrzeba nam coraz więcej. Powinni już dawno ją wypuścić.

Martinowi Grossowi ulżyło, że poszło łatwiej, niż myślał, ale nie był pewien, czy w istocie poprzednik Keniga był aż takim idiotą, żeby rozkazać trzymanie niewinnej kobiety przez tyle miesięcy.

– Aż tak się pomylili? – zapytał Gross z ironią.

– Nie pomylili się. Wybrali złą metodę. Ta kobieta była kochanką radzieckiego szpiega, niejakiego Igora Łyszkin. Zamknęli ją w nadziei, że będzie próbował nadać do niej gryps, uruchomić znajomości swojego ojca albo odbić ją z więzienia. A najchętniej widzieliby scenariusz, gdy Łyszkin sam przyjdzie na Szucha, grzecznie zapuka do drzwi i powie, że zamieni się ze swoją kochanką miejscami. Oczywiście to bzdura. Dopóki ona siedzi w więzieniu, on się nie wychyli i będzie spokojnie się ukrywał w swojej ojczyźnie. Jeśli jednak ją wypuścimy, zapewne pojawi się Łyszkin, żeby zobaczyć się z kochanką i swoją córką. Ale nawet tutaj wykazali się niebywałą amatorszczyzną, bo córka Łyszkin po prostu zniknęła. Spalili pół wsi i rozstrzelali pięciu jej mieszkańców, a dziecka i tak nie znaleźli. W takich sprawach trzeba było wykazać się nieco większym sprytem, żeby nie powiedzieć... finezją – perorował Kenig.

– Więc zamierzacie ją wypuścić – z ulgą stwierdził Martin.

– Powiem więcej, mamy nawet zamiar umieścić ją na powrót w Bocianowie. Miejscu, gdzie spędziła swoje upojne chwile z Łyszkinem. Oczywiście w asyście naszych ludzi. Podobnie zrobimy ze starym, poczciwym Fiodorem, bo już nie musimy się z nim liczyć tak, jak jeszcze do niedawna. – Kenig puścił oko do Grossa.

– A jeśli dorwiecie tego całego... Jak mu tam było? Łyszki... to co będzie z Lewinówną? – zatroskał się Martin. Gdyby mieli ją po wszystkim zlikwidować, Alicja nigdy by mu tego nie wybaczyła.

– A niech sobie kobieta dalej śpiewa... Podobno ma piękny głos. – Kenig roześmiał się i dodał: – Ona nic nie wie. Łyszkin nie jest durniem.

Gross odetchnął z ulgą. Niepokoiło go tylko, czy dzień, w którym Hanka Lewin opuści Pawiak, nie będzie ostatnim spędzonym z jego słodką kochanką.

11. Bocianowo, 1941

Igor Łyszkin pojawił się w Bocianowie, zanim Hanka opuściła mury więzienia. Nie zachodził do domu, bo wiedział, że może tam zastać jedynie gestapo. Był późny wieczór, gdy zapukał cicho do jednego z gospodarstw. Mieszkał tam Henryk Buczek, którego kiedyś jego ojciec uratował od nędzy po pożarze całego gospodarstwa. Stary Buczek miał wtedy pięcioro dzieci na utrzymaniu i chorą na gruźlicę małżonkę, którą Maria umieściła w sanatorium na czas odbudowy domu i budynków gospodarczych. Igor wiedział, że wdzięczny Buczek nie poszczuje go psami i powie wszystko, co wie.

Drzwi domu otworzyły się i stanął w nich Buczek z lampą naftową i przerażeniem w oczach. Ujrawszy młodego panicza, odetchnął z ulgą i kładąc palec na ustach, zaprowadził do stodoły.

– Panie Igorze – powiedział cicho – gestapo pana szuka. Dom Maroniowej z dymem puścili, a ją samą i kilku chłopów rozstrzelano.

– Wiem, panie Buczek, wiem – westchnął Igor. – Ale kobietę mi zamknęli na Pawiaku, a ja córki szukam. Małej Nadii...

– Maroniową to za to dziecko zastrzelili – jeszcze ciszej powiedział Buczek i zapytał: – To pana ta dziewczynka była?

– Tak, to moja córka – skłamał Igor, żeby bardziej zachęcić Henryka do mówienia.

Buczek przeżegnał się.

– To nieszczęście wielkie – powiedział Buczek.

– Niemcy ją zabrali czy nie żyje? Panie Henryku, muszę wiedzieć, bo jak ją zabili, muszę jej chociaż jakiś grób postawić. – Igor próbował wywołać współczucie u Buczka.

– Panie Igorze, a kto tam wie, czy żyje. W Bocianowie jej nie znaleźli. Dlatego Maroniową zastrzelili i chałupę jej spalili – wyszeptał.

– Panie Buczek, pan coś wiesz. Bo jak jej Niemcy nie znaleźli, a Maroniową i jej córkę zamordowali, to gdzie ona teraz jest? – zapytał podejrzliwie Igor.

– A może spalili, jak i młodą Maroniową? Kto ich tam panie wie? – Buczek jąkał się i uciekał wzrokiem.

– Panie Henryku – błagalnie powiedział Igor – niech pan mówi. Kto zabrał małą? To moje dziecko, muszę wiedzieć.

Buczek kolejny raz się przeżegnał.

– Panie Łyszkin, pana ojciec, no, wie pan, co ja będę panu gadał, niech go Bóg błogosławi... Ale pewności co do dziecka nie mam. Tylko tyle, co miarkować sobie mogę, ale jaka prawda, to nie wiem. – Wzruszył ramionami.

– No mówże pan w końcu – zdenerwował się Igor.

– Córka Maroniowej, no, wie pan, Irena „Wariatka”, to wie pan, że ona z głową coś nie tak miała? – zaczął Henryk.

– Toż wiem, i co z tego? Zrobiła coś dziecku? – Igor irytował się coraz bardziej.

Buczek pokręcił przecząco głową.

– A gdzie tam, panie. Jak stara dziecko przyniosła, to ta z miejsca sobie uwiadziała, że to jej teraz będzie. Chodziła po wsi z małą, każdemu pokazywała i mówiła, że ma córkę. Jak Niemcy do wsi wjechali, to Maroniowa kazała Irenie w las uciekać. Podobno ktoś widział, że małą capnęła i pobiegła w stronę rzeki. Ale ja, panie, nie widziałem, tylko tyle, co ludzie gadali. I to dopiero, jak już Niemcy ze wsi wyjechali, Aniela Staškowa tak coś mówiła, żeby grobu Irenie nie robić, bo ona uciekła z tobołkiem w las. Mało jej ludziska nie zlinczowali, bo to tyle naszych zginęło za obce dziecko, ale Staškowej syn powiedział, że matka zwariowała i głupoty opowiada. Może i opowiada, ale, panie, w tym pogorzeliśku to choćby kosteczki zostały jakie, a tu, panie, nic. To tak teraz sobie myślę, że coś musi być na rzeczy. Bo co się z małą stało, jak jej matkę zabrało gestapo? Sama nie uciekła, bo za małą. A jak Szwaby po dziewczynkę przyjechały, to by przecież razem z nią chałupy nie palili. Tylko, wie pan, Irena to ona stuknięta, a kto ją tam wie, czy dziecko karmiła, czy jak lalkę traktowała? To, panie, wielkie nieszczęście tak się bez rozumu urodzić. – Buczek kolejny raz się przeżegnał.

– To powiada pan, że w stronę rzeki... To jak na Tomaryny... – jakby do siebie powiedział Igor.

– Albo na Tomaryny, albo na Pomianowo, albo i, panie, do Rokitnik, rozmaicie.

– Dziękuję, panie Henryku. – Igor uściśnął dłoń Buczka.

– A nie głodny pan Igor? Chleba przyniesę, trochę słoniny – zaproponował Buczek, z ulgą przyjmując fakt, że młody Łyszkin chce już odejść.

– A wezmę na drogę, bo muszę sprawdzić, czy Staškowa prawdę mówiła – westchnął Igor.

Kilka minut później Buczek przyniósł zawiązany w węzełek chleb i kawał słoniny. Popatrzył na strój Igora i orzekł:

– Pan to tera jak swój chłop wygląda, a nie jak panicz, co do kościoła bryczką przyjeżdżał. – Uśmiechnął się i poklepał Igora po ramieniu.

Rzeczywiście Łyszkin postarał się, aby wyglądać jak inni mieszkańcy wsi. Nie informując Henryka Buczka, powrócił do stodoły i tam przenocował. Wiedział bowiem, że poczciwy chłop zechciałby mu udzielić noclegu w domu, nawet kosztem ewentualnych konsekwencji, a na to nie chciał go narażać.

Tuż przed świtem posilił się kawałkiem chleba i słoniny, po czym ruszył w bocianowskie lasy w nadziei na odnalezienie Ireny „Wariatki” i małej Nadii. Znał dobrze ten teren, w młodości często tutaj bywał, ale nie miał pojęcia, gdzie mógłby znaleźć miejsce, w którym przetrwałyby jesienią i zimą upośledzona kobieta z niemowlęciem. Już szybciej schroniłaby się w którejś z sąsiednich wsi, ale nie wierzył, że gestapo i tam nie węszyło.

Kiedy słońce już wzeszło, poszedł gościńcem do Tomaryn. Postanowił, że jednak spróbuje zacząć poszukiwania od tego miejsca. Odnalazł na małym placu sklep, jedyny we wsi, w którym mieszkańcy zaopatrywali się we wszystko, co było im do życia potrzebne. Być może i „Wariatka” tu kiedyś trafiła?

Sklepek był mały i ciasny. Obok cynowych wiader stały skrzyneczki z gwoździami, pudła z mydłem na kartki i baniaki reglamentowanej nafty. Za niewielkim, mocno zniszczonym kontuarem stał mężczyzna z sumiastym wąsem i przepisywał do

zeszytu długie kolumny cyfr. Musiał ze wszystkiego się rozliczać z władzami okupacyjnymi i zapewne wykazywał się w swoich zapiskach ułańską fantazją, aby uniknąć zbędnych opłat i ukryć towar, który sprzedawał nie do końca legalnie. Polacy byli sprytnym narodem i potrafili doskonale oszukiwać wroga, bez względu na poziom swojego wykształcenia i miejsce zamieszkania.

– Dwadzieścia calaków da mi pan i dziesięć metrów krowiaka – powiedział Igor, ostentacyjnie rozglądając się po sklepiku.

Sklepikarz zrugął syna, że nie reaguje, tylko patrzy gdzieś na ulicę przez małe, brudne okienko sklepu. Chłopak ocknął się z zamyślenia i zaczął odliczać gwoździe, kładąc na kawałku pociętej gazety.

– Całkiem dobre zaopatrzenie tu macie – zagadnął Igor właściciela.

– A pan nietutejszy – bardziej stwierdził, niż zapytał sprzedawca.

– Z Warszawy wyjechałem na prowincję, bo tam się żyć nie da. Łapanki, wywózki... – Igor machnął ręką i dodał: – Do dalekiego krewnego przyjechałem, do Bocianowa. Cisza i spokój.

– To krewny panu nie mówił, jaką jatkę Niemcy zrobili w Bocianowie? Ruskiego szpiega i jego dziecka szukali – zdziwił się właściciel.

– Tak, wuj mi mówił. Ale nikogo nie znaleźli i od tego czasu spokój jest. A w Warszawie... wychodzisz po chleb, a budzisz się na Pawiaku – z udawanym westchnieniem dodał Łyszkin.

Był wdzięczny sprzedawcy, że nie dopytuje się z nadto, czyim jest krewnym, ale być może nie robił tego, bo prostu mu nie wierzył.

– Ryzykant z pana. Piętnaście złotych się należy – mruknął mężczyzna i powrócił do swoich zapisków, dając do zrozumienia, że nie ma ochoty na dalsze pogawędki.

Igor nie dawał jednak za wygraną.

– Ale to dziecko, co go szukali, to przeżyło chyba. Mówią, że ktoś z Tomaryn je uratował – zablefował Igor i bacznie obserwował reakcję sklepikarza.

– Tak mówią? – Sklepikarz powoli podniósł głowę.

– Tak. A prawda to? – zapytał Łyszkin bez większej nadziei na uzyskanie odpowiedzi.

Sklepikarz wzruszył ramionami i zaczął kręcić się niespokojnie. A to przetarł ściereczką blat kontuaru, to znowu poprawił tekturkę z ceną przy wiadrze. Skubnął wąsa, łyknął z metalowego kubka herbatę i niemal przebierając nogami, czekał, aż wścibski klient sobie pójdzie. Igor podziękował, pożegnał się i wyszedł ze sklepiku. Rozejrzał się w poszukiwaniu miejsca, gdzie mógłby się ukryć i obserwować sklep. Tomaryny były małe, ludzie się znali i wszystko o sobie wiedzieli, więc jeśli w istocie ktoś ukrywał Irenę „Wariatkę” i Nadię, musiało to stanowić publiczną tajemnicę społeczności Tomaryn. Zapewne sklepikarz za chwilę zaalarmuje innych, że oto we wsi pojawił się obcy i wypytuje się o osoby poszukiwane przez gestapo. Nawet jeśli nie mieli nic wspólnego z tym zdarzeniem, będą się obawiali, że ów obcy ściągnie na nich podejrzenia, a w konsekwencji gestapo. Jak to się mawiało, Igor Łyszkin wetknął kij w mrowisko.

Kryjówkę znalazł nieopodal, w pobliżu małego ni to ścieku, ni strumyka, porośniętego bujnymi krzewami, które już powoli zaczęły wypuszczać listowie i stanowiły świetny azyl dla kogoś, kto pragnie być niewidzialny. Nie posądzał nikogo, że

chciałby zażyć w tym miejscu relaksu, bo zapach, jaki wydzielala owa rzeczka, był dość osobliwy.

Kilka minut później ze sklepu wyszedł młody chłopak i szybkim krokiem ruszył w stronę jednej z chałup, wciąż oglądając się za siebie. Przez chwilę Igor stracił go z oczu, ale za chwilę młodzieniec znowu się pojawił na drodze, tym razem w towarzystwie otyłej kobiety, która ledwo mogła nadążyć za chłopakiem. Gdy ten zniknął za drzwiami sklepiku, ona nieco zwolniła i poszła w kierunku lasu. Chwilę potem Łyszkin opuścił swoją kryjówkę i podążył za kobietą.

Weszła w głąb lasu, co chwilę się oglądając za siebie, ale Igor skradał się za nią na tyle dyskretnie, że w końcu poczuła się pewniej i przestała zatrzymywać się co chwilę, by nasłuchiwać dźwięków i rozglądać się za ewentualnym intruzem. Po kilkunastu minutach zbczyła z leśnego duktu i zaczęła przedzierać się przez gęsty zagajnik. Zbliżyła się do niewielkiej rzeki i szła wzdłuż niej, aż dotarła do małej polany, a raczej spłachetka wolnej przestrzeni, gdzie stała sklecona z desek chałupka, z komina której wydobywał się dym. Właściwie była to rura umieszczona w jednej ze ścian drewnianej budki, niedbale przytwierdzona drutem do daszku. Oprócz zamykanych na skobel drzwi było tam jeszcze niewielkie, ale czyste okienko z mizerną firanką.

Igor nie chciał wystraszyć ani kobiety, za którą szedł, ani osób przebywających w chacie. Intuicja podpowiadała mu jednak, że za byle jak skleconymi drzwiami odnajdzie Irenę „Wariatkę” i Nadię. Zapukał delikatnie, ale odpowiedziała mu cisza. Nacisnął klamkę i wszedł do wnętrza. Zdążył zauważyć posłanie z kraciastym kocem, gdy nagle kątem oka spostrzegł kobietę z długim i dość grubym drągiem, która próbowała przyłożyć mu w głowę. Prawie instynktownie chwycił drąg i wyrwał kobiecie. Wtedy zobaczył w kącie chatki osobę, którą śledził, trzymającą na kolanach dziewczynkę o jasnych włosach i zdziwionych dużych oczach.

– Spokojnie – powiedział stanowczo. – Nie chcę wam zrobić krzywdy.

Siedząca kobieta popatrzyła na niego podejrzliwie i zapytała, niezbyt uprzejmie:

– Czego tu szukasz?

– Mojej córki, Nadii – skłamał, chociaż w istocie żywił do małej dziewczynki niemal ojcowskie uczucia.

– To pana córka? A skąd ja mogę wiedzieć, że pan prawdę gadasz? – Kobieta wciąż była nieufna.

Łyszkin starał się jak najdokładniej odtworzyć wszystko, co mogło uwiarygodnić jego osobę w oczach kobiety z Tomaryn, spostrzegł bowiem, że jedynie z nią będzie w stanie dojść do jakiegoś porozumienia. Irena „Wariatka” nie odzywała się, jedynie patrzyła na niego z otwartymi ustami i nawijała na palec pukiel włosów ze swojego długiego warkocza.

– Małej było tutaj dobrze... – próbowała tłumaczyć się kobieta, gdy już uwierzyła, że Igor nie jest szpiclem. – Irena dobrze się nią opiekowała, a my przynosiliśmy jej wszystko, co potrzeba. Gdyby w Tomarynach została, to by ją znaleźli, a i pewnie całą wieś z dymem by puścili.

– Tak, wiem – odpowiedział Igor i ukucnął przy małej Nadii.

Głaskał ją po rączkach i miał wielką ochotę ją przytulić, ale obawiał się, że dziewczynka przestraszy się obcego i zacznie płakać. W końcu ostatni raz widział ją,

gdy była noworodkiem.

Gdy tak obłaskawiał Nadię czułością i próbował zjednać ją sobie, podeszła Irena i wzięła dziecko na ręce, po czym powiedziała niewyraźnym, piskliwym głosem:

– To moje. Moje dziecko. Zostaw, nie dotykaj jej.

– Nie zrobię jej krzywdy. Tobie też nie. – Starał się, aby jego głos brzmiał łagodnie i delikatnie.

– To ojciec małej – wtrąciła się kobieta, po czym zwróciła się do niego: – Chce pan ją zabrać?

– Nie mogę w tej chwili. Najpierw muszę odnaleźć jej matkę – powiedział.

– To i lepiej... Wie pan, Irena nie wszystkie ma klepki po kolei, ale kocha tę małą jak własne dziecko. Ja nie wiem, co się z nią stanie, jak będzie musiała dziewczynkę wam zwrócić. Mówi na nią Lala, ale karmi, przewija i życie by za nią oddała.

– Kobieta z Tomaryn miała łzy w oczach.

– Ale pewnego dnia będzie musiała to zrobić... Matka dziewczynki pewnie umiera z niepokoju i tęsknoty... – z westchnieniem powiedział Igor i dodał w myślach: „jeśli żyje”.

Irena „Wariatka” usiadła na drewnianym zydelku, przytuliła dziewczynkę i kołysząc się, zaczęła łkać.

– Nie oddam Lali, nie oddam. Lala jest moja...

Łyszkin przełknął ślinę. Był silnym i odpornym mężczyzną, ale żal mu się zrobiło Ireny „Wariatki”, dla której Nadia stała się całym światem. Dbała o dziewczynkę niczym o własne dziecko i kochała miłością prostą, spontaniczną i tak bardzo oczywistą. Bez rozmyślań i dylematów obdarzyła uczuciem obcą istotę, nieświadomie ryzykując życie. Najbardziej pierwotny rodzaj miłości, nieskałany ludzkimi pouczeniami, normami społecznymi czy metodami wychowawczymi. Było w tym coś pięknego i jednocześnie smutnego, bo Nadia nie mogła pozostać przy niej na zawsze.

Miłość jest prosta – jeśli kogoś kochasz, zrobisz wszystko, że uchronić tę osobę przed całym złem świata.

Igor Łyszkin opuścił małą chałupkę w lesie i poprosił kobiety, by nadal zajmowały się małą, dopóki nie znajdzie bezpiecznego schronienia dla córki. Nie chciał także, aby uciekały, bo mimo spartańskich warunków to odosobnione miejsce, niczym dom eremity, było najbezpieczniejszym lokum dla Nadii.

Wracał w kierunku stacji kolejowej i rozmyślał, jak zapewnić dziewczynce godne życie. A przede wszystkim jak dowiedzieć się, czy Hanka żyje. Na rodziców już nie mógł liczyć, zgodnie z jego prośbą opuścili Warszawę i teraz pewnie szykowali się do podróży w kierunku spokojnego świata. Pozostał sam, zaszczuty przez szukających go gestapowców i bardzo samotny. Nie mógł także zanadto liczyć na kompanów, którzy pozostali przy życiu, bo sprawa Hanki i Nadii to była jego sprawa. Jego osobista krucjata.

Wszystko, co działo się wokół Hanki Lewin, zdawało się nierzeczywiste. Wiejski dom w Bocianowie, pełen tak pięknych wspomnień, był jak rana posypywana solą. Po Nadii pozostały kołyska, wózek pokryty grubą warstwą kurzu i niemowlęce ubranka zwisające nad kuchnią, zeszywniałe od słońca wpadającego przez okno. Duże łóżko z zimną pościelą, w którym przytulała się niegdyś do Igora, pełna

lęku, że zostawi je same. Zostawił je. Idąc walczyć o swoje ideały, porzucając na pastwę gestapo. Żadne racjonalne argumenty nie docierały do Hanka. Nie chciała rozumieć, że odszedł również dlatego, żeby ona była bezpieczna, bo przecież wszystko, co złe, wydarzyło się, gdy zniknął. Dlatego bez oporów zgodziła się na zaproponowany przez Schwartza układ. Oni puszcza ją wolno, a ona zwabi swoją obecnością Łyszkina. A gdy on już będzie w ich rękach, oddadzą jej córkę. W normalnych okolicznościach, nawet czując żal do Igora, nie zgodziłaby się na tę propozycję, ale dla Nadii była gotowa pójść na każdy układ, mogłaby nawet podpisać pakt z diabłem. W takiej sytuacji nie miała wątpliwości. Nie zastanawiała się, czy mówią prawdę i czy w istocie oddadzą jej dziecko, czy może po prostu strzelą w łeb. Musiała zaryzykować i postawić wszystko na jedną kartę.

Zabrała się za porządkowanie domostwa. Z czułością wycierała kurz z kołyski, zmieniała pościel i prała ubranka Nadii. Szorowała drewniane deski podłogi i myła okna. A potem czesała włosy, pudrowała twarz pozostawionym w Bocianowie pudrem i malowała usta czerwoną szminką, by wyglądać atrakcyjnie i zachęcająco. Moczyła dłonie w wodzie po gotowaniu ziemniaków, piłowała zaniedbane paznokcie, by były takie, jak przed wywiezieniem na Pawiak. Czekwała...

Każdego dnia wychodziła do pobliskiego lasu, spacerowała po polnej drodze i zbierała kwiaty, będące zwiastunem nadejścia wiosny. Do wsi chodziła jedynie, by kupić jedzenie, ale nikt nie chciał z nią rozmawiać. Obawiano się, że znowu ściągnie nieszczęście na ich wioskę i zginą ludzie. Gdyby pewnego dnia nie pojawiła się w domostwie Łyszkinów, pewnie nadal mieliby znachorkę i kilka osób nie straciłoby życia.

Starą Maroniową zastrzelili od razu, a potem wyprowadzili chłopów z chałup i zrobili pokazową egzekucję na oczach całej wsi. Nikt nie wiedział, co znaleźli u znachorki, ale zanim odjechali, puścili jej chałupę z dymem, a wraz z nią córkę Maroniowej. Hanka za każdym razem, gdy mijala pogorzelsko, modliła się za Maroniową, że uratowała jej dziecko, chociaż sama straciła życie. Zapewne jej własna córka, z którą mieszkała, skończyła jako kupka popiołu zmieszanego z resztkami spalonej strzechy i drewnianego stropu domu. Za nią też się modliła, chociaż prawie wcale się nie znały, widziała ją może kilka razy. Była to istota przedziwna, nieco upośledzona, o szerokich biodrach, ogromnych stopach i długich warkoczach. Uśmiechała się niemal bez przerwy, nie rozumiejąc do końca otaczającej jej rzeczywistości. Żyła we własnym świecie, miała pogodną twarz i była nieco nieporadna. Funkcjonowała tylko dzięki matce i pewnie stało się dobrze, że odeszła na tamten świat razem z nią. Ale miejscowym i jej było szkoda, stanowiła swoistego rodzaju cechę charakterystyczną Bocianowa. Mieszkańcy wsi zrobili jej grób obok matki, lecz zamiast ciała w trumnie zakopali tobolek z popiołem, nieco symbolicznie, wierząc, że na tamtym świecie kobiety się odnajdą bez względu na dzielącą ich odległość.

Ponowne pojawienie się Hanka we wsi wywołało w mieszkańcach konsternację i paniczny lęk. Dlatego nie mówili do niej ani słowa, spoglądając jedynie z wyrzutem. Obawiali się, że wraz z nią przyjadą Niemcy i wybiją wszystkich, co do jednego. Nie pomylili się za nadto. Hanka była pod stałą obserwacją. Gestapo zajęło stryszek w Bocianowie, a kilku funkcjonariuszy kręciło się po pobliskich lasach, ubra-nych niczym wiejskie parobki. Podobnie jak Hanka Lewin, czekali. Na szpiega, wroga Rzeszy, Igora Łyszkina. W tej chwili nie polowali tylko na bolszewika, ale na

człowieka, który mógł dużo wiedzieć o planach Stalina wobec Rzeszy. Starcie tych państw, dwóch gigantów, było nieuniknione, znajomość planów przyszłego wroga byłaby bezcenna. Musieli także dowiedzieć się, kto jest zdrajcą i przekazywał cenne informacje radzieckiemu szpiegowi. Dlatego musieli dopaść Łyszkina żywego, a Hanka Lewin mogła okazać się idealną przynętą.

Nowy szef gestapo, Kenig, wpadł również na pomysł wykorzystania starego Fiodora Łyszki. Bez względu na to, jak chłodne relacje panowały między ojcem i synem, odkąd Igor zaczął hołdować komunistom, byli przecież rodziną. Zanim jednak funkcjonariusze Keniga opracowali całą strategię, chcąc przypodobać się nowemu przełożonemu i pokazać mu, że nie działają jak niegdyś, bez planu i specjalnego zastanowienia, Łyszkinowie zdążyli zniknąć. W fabryce rządził bogaty folksdojcz, a dom na starym Mokotowie przejął urząd do spraw robotników przymusowych. Po Fiodorze i jego małżonce pozostały bogato rzeźbione meble, złożone żyrandole i elegancki samowar. Nowi właściciele zakładu, kierownicy, a nawet zwykli robotnicy zostali przesłuchani, ale Łyszkinowie po prostu zapadli się pod ziemię.

Kenig nie miał złudzeń. Z taką ilością pieniędzy, jaką dysponowali Łyszkinowie, mogli być już bardzo daleko, chociażby w Szwajcarii, gdzie każdy, kto rozporządzał dużym kapitałem, był witany z otwartymi ramionami. Zapewne wyjechali nie tylko z uwagi na wstydlivy problem, czyli syna bolszewika i szpiega, ale musieli orientować się, że wybuch wojny na wschodzie jest tylko kwestią czasu.

Pozostała więc ostatnia szansa – Hanka Lewinówna.

12. Warszawa, 1941

Emil Lewin nie spodziewał się, że przemysłowy biznes będzie tak męczącym i pracochłonnym zajęciem. Zdawało mu się, że wyłoży pieniądze, a wszystko samo będzie się kręciło. Takie to miał pojęcie Lewin o prowadzeniu interesów. Jeszcze gdy był małym chłopcem i myślał sobie o bogactwie Chełmickich, wydawało mu się, że stary Antoni czas spędza jedynie na przyjemnościach, a „robienie interesów” polega na przekazywaniu z rąk do rąk grubych plików pieniędzy i popijaniu wódeczki w towarzystwie swoich biznesowych partnerów. Z owego wieku naiwności Emil już wyszedł, ale nadal sądził, że szmuglowanie do Warszawy dużych ilości towaru to w istocie mało absorbujące zajęcie. Kupić, przewieźć, sprzedać, zarobić. Tymczasem niemal przez tydzień jeździli do Karczewa, by w końcu znaleźć dostawców, którzy byliby chętni do współpracy na dużą skalę. Owszem, proponowali płaty słoniny, kiełbasę podsuszaną czy mięsiwo, ale były to ilości niewielkie, mogące zaspokoić jedną czy dwie rodziny na kilka tygodni. A Lewinowi chodziło o skalę przemytu, która mogła uczynić go bogatym.

Kiedy już w końcu dogadali się z kilkoma chłopami i nawiązali kontakty z dostawcami w Rzeszy, kolejne problemy mnożyły się niczym wszy na głowie. Należało owe deficytowe dobra dowieźć na stację w sposób dyskretny, zapakować je do pociągu, wypakować w Warszawie, a potem zorganizować magazyn i dystrybucję towarów. I to wszystko pod czujnym okiem Niemców. A ryzyko było duże. Okupant dosłownie dostawał wścieklizny, gdy miasto, które w jego zamierzeniu miało wymrzeć z głodu i terroru, z każdym miesiącem stawało się coraz bardziej samowystarczalne, mimo racji żywnościowych mogących zaspokoić co najwyżej potrzeby kota. Szmuglerzy byli bezlitośnie karani śmiercią lub wywózką, a niekiedy publicznie pozbawiani życia, by odstraszyć ewentualnych naśladowców.

Te wszystkie okoliczności powodowały, że Lewin opuszczał swoją garsonierę o świcie, a powracał doń tuż przed godziną policyjną albo i nad ranem. Brudny, zmęczony i głodny. Łapał wtedy kawał kiełbasy czy chleba i napychał się tym suchym prowiantem, by nie czuć uporczywego ssania w żołądku. Tęsknił za gorącą zupą lub dużym kotлетem schabowym, ale nawet nie miał kiedy wyjść do jednej z zakonspirowanych knajp, by zjeść porządny obiad.

Dlatego, gdy pewnego słonecznego dnia zjawiła się u niego Adrianna z dzieckiem owiniętym w stary kocyk, pomyślał, że mogłaby zadbać o niego i dom. Wciąż czuł do niej żal i nie mógł wymazać z pamięci sposobu, w jaki go niegdyś traktowała, ale postanowił, że będzie po prostu praktyczny. Tym bardziej iż Adrianna z wychuchanej panny zmieniła się w całkiem obrotną gospodynię i pierwszy obiad, jaki mu zaserwowała, był zachęcająco pyszny. Przez chwilę pomyślał, że życie na suchym prowiancie całkiem zepsuło mu smak, ale nawet Franek uznał, że lepszych pierogów to nawet na Kercelaku nie jadł.

Tak więc Adrianna ponownie wkroczyła w jego życie, wraz z dzieckiem, o którym starał się nie myśleć. Dla niego było ono niemieckim bękartem i na nic zdały się tłumaczenia, że noworodek, chłopczyk o imieniu Karolek, to jego pierworodny.

Panna Daleszyńska cieszyła się jednak tak bardzo z powrotu do mieszkania Lewina, że nie zwracała uwagi na chłód ojca wobec dziecka, ciągłą nieobecność partnera i brak nocnych zabaw, które uwielbiała. Postanowiła, że poczeka na to wszystko, udowadniając Emilowi, jak jest mu oddana.

Martwiła ją ciągła nieobecność kochanka, ale nie podejrzewała go ani o romans, ani hulaszcze życie. Lewin już nie nosił eleganckich płaszczy i wyglansowanych butów. Chodził w kufajkach, zdartych trzewikach i potrafił nie golić się przez kilka dni z rzędu.

– Muszę ci coś powiedzieć, Emil – zagadnęła Adrianna w jednej z tych nielicznych chwil, gdy siedzieli wspólnie przy stole i jedli przygotowany przez Adriannę obiad.

– Nie mów, że znowu jesteś w ciąży – zarechotał.

– A jak niby miałabym być w tej ciąży? Z przeciągów? – wytknęła mu złośliwie.

– To o co chodzi? – burknął.

Chciała mu powiedzieć o starym Chełmickim, który planował wydanie go w ręce gestapo, i dość długo obmyślała historyjkę, w jaki sposób weszła w posiadanie takich informacji. Emil żywił przekonanie, że cały okres ciąży Adrianna spędziła to w Grójcu u znajomych, to w przytułku u sióstr. Nie miał pojęcia o czasie spędzonym u boku Waltera von Lossowa i wygodnym życiu, jakie jej zapewnił.

– Julian Chełmicki miał przyjaciela, Niemca – zaczęła niepewnie, bo obawiała się, że sam dźwięk imienia jego poprzednika może wywołać w Emilu napad złości. Nie myliła się.

– Na jaką cholere mówisz mi przy jedzeniu o tym gnoju?! Już straciłem apetyt – warknął Lewin, ze złością odsuwając talerz.

– Przepraszam... – powiedziała cicho. – Ale uznałam, że powinieneś wiedzieć o pewnych sprawach.

Lewin zrobił się czujny. Może Chełmicki powrócił do kraju? A może ten Niemiec był kimś wpływowym i pomógłby wydostać jego siostrę z więzienia?

– No, już dobrze, mów. Ale wiesz, że jego imię działa na mnie niczym płachta na byka... – burknął.

– Jak byłam z Karolkiem na spacerze, spotkałam tego von Lossowa i trochę porozmawialiśmy. Jakiś czas temu Walter odwiedził starego Chełmickiego i ten poprosił go, żeby doprowadził do twojego aresztowania. Obawia się, że chcesz zaszkodzić Julianowi... – Adrianna mówiła cicho i spokojnie.

Emil popatrzył na nią i poczuł wzbierającą w nim nienawiść do ojca. Nie spodziewał się, że starego Chełmickiego będzie stać na taką podłość, żeby własnego syna, nawet takiego z nieprawego łoża, oddać w ręce Niemców. Wiadome było, że już oni patyczkować się nie będą i skończy w „drewnianej jesionce”, jak to mawiał jego kumpel, Franek.

– Przecież Julian za granicą, co ja mu mogę zrobić? – Wzruszył od niechcienia ramionami, żeby Adrianna nie zauważyła, jak bardzo dotknęły go te słowa.

– Teraz jest, ale przecież może wrócić. Musisz na siebie uważać, Emilu. Nie chcę, żebyś wdawał się w jakieś awantury i narażał się. Chełmicki skorzysta z każdej okazji, żeby cię wtrącić do więzienia. A wtedy... Nawet wolę nie myśleć. – Adrianna naprawdę niepokoiła się o Emila.

– Posłuchaj, Ada, on mnie może w dupę pocałować. Jak chce ze mną wojny, to możemy spróbować, kto silniejszy. Jego synalek po wrześniu zamiast do oflagu za granicę wyjechał. Jak wróci, to mogą bardzo się ucieszyć z jego złapania. A ja co? Dobrze żyję z gestapo, nie angażuję się w żadne polityczne awantury, nawet żołnierzem nigdy nie byłem. Młody Chełmicki, jak wróci, trafi na Pawiak szybciej, niż dziwka gacie ściąga – powiedział ze złością Emil.

– Bardzo się zmieniłeś, Emilu – powiedziała cicho Adrianna. – Byłeś takim dystyngowanym mężczyzną, a teraz mówisz jak ten cały plebs warszawski.

– A ty co, taka dama nagle się zrobiłaś? – złośliwie wytknął jej Lewin. – Wielka pani, cholera jasna, a Szwabom dupy dawałaś jak rynsztokowa dziwka.

– Przestań, błagam. Wiesz, że robiłam to dla ciebie. Ale ty zawsze tak bardzo dbałeś, żeby być innym. Pełnym kultury, inteligencji... – szeptała Adrianna, bo bardzo chciała, żeby wrócił poprzedni Emil. Cyniczny i bezwzględny, ale z klasą, która tak bardzo ją oczarowała.

Lewin się zmieszał. Czy w istocie musiał dojść do głosu ten prosty cham ze wsi, bez względu na to, ile wysiłku włożył, żeby pożegnać go na zawsze? Ostatnio obracał się w mało wyszukanym towarzystwie, chłopaków z Kercelaka, warszawskich, prostych cwaniaczków, których język niegdyś tak bardzo go raził. Przypomniawsobie pewien słoneczny dzień, gdy idąc ulicą, ubrany w garnitur szyty na miarę i ręcznie robione buty, natknął się na Franka. Patrzył wówczas na niego z wyższością, rozglądał się nerwowo, czy nikt ze znajomych go nie zobaczy w jego towarzystwie i pogardzał nim z całego serca. Tymczasem teraz Franek stał się jego najlepszym kompanem, a szklaneczka wódki zagryzana kwaszonym ogórkiem wyparła kryształowe kieliszki wypełnione szlachetnymi trunkami.

– Wojna jest. A ja muszę zapewnić byt sobie, tobie i twojemu bachorowi. Nie czas na bawienie się w arystokratyczne życie. Nikt ze mną interesów nie będzie chciał robić, jak będę przemawiał do nich swoim wielkopańskim językiem. Główka pracuje.

Popukał się w skroń i sztucznie uśmiechnął, chcąc ukryć fakt, że nawet nie zauważył, kiedy dobre maniery i wyszukany język po prostu zniknęły w magiczny sposób. Ale Adrianna miała rację. Jeśli naprawdę chciał być kimś, chociaż w domu nie powinien zapominać, że jest synem człowieka, którego przodkowie założyli Chełmice, aktywnie działali w sejmikach szlacheckich i mieszkali w dworach i pałacach. Zastanawiał się, czy Julian bez względu na okoliczności pozostałby „paniczem”, czy podobnie jak on zamienił się w prostego praskiego chłopaka. Zapewne nie. On wyssał z mlekiem matki to, na co Emil musiał pracować latami. Tymczasem w ciągu roku trwania wojny powrócił tam, skąd przyszedł. Do prostego życia, prostackiego towarzystwa i do tego wszystkiego, od czego za wszelką cenę chciał uciec.

Nie miał jednak zamiaru pokazywać Adriannie, jak bardzo zabolęły go jej słowa. Bo, niestety, były prawdziwe. I mógł znaleźć mnóstwo usprawiedliwień takiego stanu rzeczy, ale w głębi duszy wiedział, że nic go nie tłumaczy. Postanowił, że dzięki Adriannie na powrót stanie się dżentelmenem, mężczyzną z klasą i dobrymi manierami.

– Zajmuję się teraz poważnymi interesami, na dużą skalę, i mam do czynienia z prostytutkami, ale uwierz, tam w środku... – Poklepał się w pierś. – ...wciąż jestem taki, jakim mnie pamiętasz z początków wojny. Och... Wiem, potrafię czasami wyra-

zać się dosadnie, ale prowadzę życie na krawędzi i czasami nie panuję nad emocjami.

Adrianna pokiwała głową i przypomniała sobie, jak się zachowywał i co mówił, gdy po prostu wyrzucił ją z domu, chociaż nie zajmował się niczym niebezpiecznym. Emil Lewin był mężczyzną o dwóch twarzach i ona doskonale to wiedziała, pragnęła jednak widzieć tylko tę, którą kochała najbardziej. Zdawała sobie również sprawę, że polechtała jego męską próżność, a zwrócenie mu uwagi, że nie zachowuje się jak szlachetnie urodzony, musiało go zboleć. Miała nadzieję, iż od tego dnia przynajmniej w domu zniknie chamski, prosty chłopak.

Poobiednią herbatę przerwało im pukanie do drzwi. Emil zbladł, a Adrianna zamarła z łyżeczką w dłoni.

– Cholera – powiedział zatrwożony Emil. – Franek tak nie puka.

– A kto to może być? – Adrianna przełknęła ślinę.

– Weź dzieciaka na ręce i idź sprawdź – rozkazał Lewin.

Adrianna zrobiła, co jej kazał, i po chwili z grymasem na twarzy wprowadziła do pokoju Alicję Rosińską. Dziewczyna, na zmianę płacząc i śmiejąc się, powiedziała:

– Hankę wypuścili, Hankę wypuścili!

– Boże... – Lewin uśmiechnął się i zarzucił Alicję pytaniami: – Jak ona się czuje? Gdzie jest? Mogę się z nią zobaczyć?

– Podobno czuje się nieźle, ale na razie nie będziesz mógł się z nią zobaczyć. Jest w dyskretnym miejscu, zdrowa i bezpieczna, i ma niebawem odzyskać swoją córkę. Emil, jestem taka szczęśliwa... – Alicja mówiła niemal na jednym wdechu, byle szybciej przekazać te pokrzepiające wieści. – Teraz jadę do Chełmic, ale jak wrócę, dowiem się więcej.

Oboje byli tak uradowani z faktu, że Hanka odzyskała wolność, że zapomnieli o ich kłótni sprzed wielu miesięcy, Julianie i jego narzeczonej, która teraz kołysała dziecko w ramionach. To po prostu nie było ważne w obliczu takiego obrotu spraw.

Martin Gross dotrzymał słowa i Alicja czuła nawet wyrzuty sumienia, że go szpieguje. Nie miała bowiem pojęcia, że Hankę uwolniono by bez względu na interwencję Grossa. On także nie wyprowadzał jej z błędu, chcąc zaskarbić sobie jej wdzięczność i lojalność. Przekonywał, jak bardzo się narażał przełożonym i jak wiele sznurków musiał pociągnąć, aby Hanka mogła cieszyć się wolnością, a on zyskać w oczach kochanki lepsze notowania. Przynależał jej również, że dołoży wszelkich starań, aby Alicja mogła zobaczyć przyjaciółkę. Alicja na początku nie wierzyła mu. To były tylko słowa, a jak wiadomo one niekoniecznie musiały być prawdziwe, ale przywiózł jej zdjęcie Hanki. Siedziała na drewnianej ławeczce przed wiejskim domem. Nieco smutna, zapatrzona gdzieś w odległe pola, dużo szczuplejsza niż wtedy, gdy widziały się ostatni raz, ale ponad wszelką wątpliwość to była ona, jej przyjaciółka.

– Robisz ze mnie idiotę! – warknął Martin, gdy podawał jej fotografię Hanki Lewin. – Musiałem skłamać, żeby zdobyć to zdjęcie. Poważny oficer z Ministerstwa Wojny zabawiający się w jakieś romantyczne historie.

– Martinie, tobie wierzę, ale gestapo nie za bardzo. – Alicja próbowała udobruchać kochankę. – Jesteś cudowny i nawet nie wiesz, jak bardzo jestem ci wdzięczna.

A co takiego musiałeś zrobić, że uważasz to za idiotyczne?

– A, gadałem głupoty... Że ktoś musi ją rozpoznać, że jest podejrzana w innej sprawie, ale nie na tyle, żeby wszcząć oficjalne śledztwo. No różne głupoty gadałem. – W końcu rozchmurzył się, widząc błyszczące oczy Alicji, pełne nieopisanego szczęścia.

– Jesteś... – Alicja popatrzyła na niego czule. – ...cudowny.

– Kocham cię. – Spowaźniał.

Alicja posmutniała. Nie mogła mu powiedzieć tego samego. Nie tylko z uwagi na Juliana, ale dlatego, że nie potrafiła go pokochać. Poczowała jednak wyrzuty sumienia. Bez względu na to, kim był Martin Gross, nie czuła się dobrze w roli oszustki. Lepiej zniosłaby swoją misję, gdyby okazał się nic niewartym draniem. Tymczasem Martin Gross był gotów naprawdę wiele dla niej zrobić.

– Wolałbym, żebyś nie plątała się pociągami. Partyzanci niszczą tory, podkładają bomby, kto wie, czy nie staniesz się ich ofiarą. Dam ci kierowcę i samochód, pojedziesz autem – zarządził Martin.

– Chyba nie wyobrażasz sobie, że podjadę przed rodzinny dom szwabskim samochodem, niczym wielka dama? – Prychnęła.

– Nie lubię, jak tak mówisz – bąknął.

– A jak mam mówić? Subtelnie i delikatnie? Ludzie was nienawidzą, a mnie znienawidzą za to, że się z tobą zadają. Spójrz prawdzie w oczy, Martinie. Nasz związek jest jak tykająca bomba. Dla nas obojga. Powtarzasz, jak bardzo się narażasz czy ośmieszasz, żyjąc ze mną, ale zapewniam cię, że nie tylko ciebie to dotyczy. Moja babcia, gdyby wiedziała, że wskakuję ci codziennie do łóżka, nie chciałaby mnie znać. Więc się nie dowie. A ty chcesz, żebym się afiszowała w niemieckim samochodzie. Daruj... – zdenerwowała się Alicja.

Gdyby w istocie żywiła do Martina uczucie, nikt z jej otoczenia nie zrozumiałby tego. Nikt nie zaakceptowałby bratania się z wrogiem. Martin Gross był słodkim misiaczkiem, gdy był w domu. A kim był, gdy go opuszczał? Bezwzględny nazistą obmyślającym podboje kolejnych krajów, dumny, pewny siebie Niemcem, który uważał, że Słowianie to brudasy i gorszy gatunek człowieka.

Tak, dla wielu sprawa była jasna i prosta. Albo jesteś przyzwoitym człowiekiem, albo nie. Jeśli za twoją sprawą giną niewinni ludzie, to nawet słodycz i czułość okazywane w czterech ścianach nie sprawią, że staniesz się porządnym człowiekiem. Istniała granica, której nie można było przekraczać w zależności od potrzeb i ambicji. Martin Gross nie był idiotą, był trybikiem w maszynie. Robił karierę na ludzkim nieszczęściu, nie zastanawiając się, że to, co czyni, jest podłością i barbarzyństwem. Nawet jeśli osobiście nie wyciągał broni i nie strzelał ludziom w potylice. Ale z zadowoleniem gnił w systemie, gdzie jedni byli panami świata, a inni niczym zwierzęta przeznaczone na rzeź.

Jeśli więc Martin Gross uważał, że poprzez miłość do Alicji zaskarbi sobie sympatię jej bliskich, bardzo głęboko się mylił.

13. Chełmice, 1941

Już od tak dawna Alicja nie widziała matki, babki i dziadka. Od tak wielu miesięcy nie stąpała po uliczkach miasteczka, w którym spędziła swoje dzieciństwo i młodość. Miejsca, gdzie się urodziła i wychowała i gdzie narodziła się jej miłość do Juliana Chełmickiego. Szła ze stacji, trzymając w dłoniach niewielką walizkę, i myślała o dniu, gdy obie z Hanką opuszczały to miejsce. Żadnej z nich nie przyszło wtedy do głowy, że kiedyś będą świadkami upadającego świata. Na szczęście jej przyjaciółka była wolna i zdrowa, jej córka gdzieś żyła i świat znowu nie wydawał się taki zły i okrutny. A za kilka minut zobaczy innych kochanych przez nią ludzi. Zastanawiała się, co im powie. I zanim dotarła pociągiem do Chełmic, miała przygotowaną historię wymyśloną na potrzeby bliskich. Nie zamierzała im mówić, jak długą drogę przebyła, zanim ponownie się tutaj znalazła.

– Alicja, córeczko, na miłość boską, gdzieś ty się podziewała?! – krzyczała Michalina, obściskując córkę, zanim ta zdążyła zdjąć płaszcz.

– Daj jej coś do zjedzenia – mruknął dziadek. – Podobno w Warszawie taki głód, że kobiety koty do zupy wrzucają i gotują. Prawda to, że kocie mięso długo mięknie w garnku?

– Nie wygląda, jakby jej się tam krzywda działa – podejrzliwie stwierdziła babka, spoglądając na Alicję.

W istocie, po okresie, gdy Alicja bardzo mocno schudła, teraz przybrała na wadze, dostała zdrowych rumieńców i nic nie świadczyło o tym, jakoby miałyby głodować. Martin Gross zapewniał Alicji nie tylko luksusowe warunki bytowe, ale także wyśmienite i zdrowe jedzenie.

– Nie jestem głodna, dziadku. – Uśmiechnęła się. – A z tą Warszawą to plotki. Ludzie jakoś sobie radzą. Szmugiel kwitnie, a kobiety sieją warzywa nawet w parkach. Kotów nikt nie zjada, chyba że lubi.

– Ale to jedzenie ze szmuglu to ponoć drogie jak piorun – powiedziała babka Alutka.

– Drogie, ale jak samemu z Karczewa się wozi, to nie wychodzi najdrożej. Zresztą w naszej restauracji zawsze się na jakieś resztki można załapać – odpowiedziała Alicja, uciekając wzrokiem przed czujnym spojrzeniem babki Alutki.

Kłamała jak z nut, byle tylko jej bliscy byli o nią spokojni i pewni, że nie wdała się ani w jakieś niebezpieczne historie, ani tym bardziej w układy z okupantem. Czuła jednak w środku jakąś drzazgę. Uwierała, nie dawała spać i rodziła w głowie Alicji pytania. Z reguły miała w zwyczaju najpierw działać, a potem myśleć. I zawsze znajdowała dobre usprawiedliwienie na każdy swój czyn. Tym razem jednak jej życie wydawało się zagmatwane, uczucia skomplikowane, a postępowanie dalekie od ideału. Oczywiście, dla biernego obserwatora mogła uchodzić za bohaterkę. Osobę godną podziwu, a nie potępienia. Mogła jawić się jako dziewczyna w białym giele, poświęcająca się dla przyjaciół i ojczyzny, ale ona w głębi duszy wiedziała, że każdy medal ma dwie strony.

Miłość jej życia pchająca ją w ramiona kochanka czy udawanie wciąż czulej

kobiety dla znieprawionego wroga. Teatr jednego aktora – odgrywanie roli silnej osoby, gdy chciało się wyć z tęsknoty, bohaterki, gdy serce ze strachu waliło jak oszalałe, męczennicy, gdy korzystało się z uroków życia z okupantem, patriotki gotowej oddać życie za ojczyznę, gdy tak bardzo i za wszelką cenę chciało się żyć.

Gdyby miała przy sobie Hankę, mogłaby opowiedzieć o swoich rozterkach, być w końcu sobą, a nie sztucznym tworem na pokaz. Ona jedna akceptowała ją z całym dobrodziejstwem inwentarza. Krytykowała i ganiła, ale nie odwracała się z niesmakiem. Sama miała świadomość swoich słabości, które musiała ukrywać przed światem, a które obnażała przed Alicją. Hanka jej jedynej mogła bez ogródek się przyznać, że wyszła za hrabiego Niechowskiego dla pieniędzy, że patetyczne oratoria o miłości jej nie dotyczą, bo chciała żyć wygodnie i dostatnio. A Alicja nie musiała udawać, że szuka miłości, gdy spędzała noc z kolejnym kochankiem, by kupować eleganckie stroje i odkładać kapitał na czasy, gdy będzie już za stara, żeby tańczyć.

Alicja zastanawiała się, czy Hanka się zmieniła. Życie i priorytety Alicji uległy zmianie, ale ona zdawała się gdzieś wewnątrz siebie wciąż taka sama. Zakochana bez pamięci w Julianie, osiągająca cel bez względu na koszty i zasady. Tylko teraz mogła sobie wmawiać, jak bardzo jest to wzniosłe i potrzebne. Cóż z tego, gdy w głębi duszy wciąż robiła to samo. Cóż z tego, że wróciła do Martina, bo chciała uratować Hankę, jeśli wciąż z nim sypiała? Co z tego, że kłamała i oszukiwała, by zrobić coś pożytecznego dla ojczyzny, jeśli jej wewnętrzny głos szydził z niej, że te wszystkie bohaterskie akty to jedynie desperackie próby zdobycia Juliana.

Nie chciała się nad tym zastanawiać. Pragnęła nie mieć dylematów, tylko iść przed życie, patrząc jedynie na korzyści. Czerpać garściami przyjemności, jakąś ekscytację i falę emocji. Nie chciała rozważać motywów, moralnych aspektów, bo jej odwaga brała się z bezczelnego i bezwzględnego osądu, że jedyną rzeczą, jaką jesteśmy sobie winni, to uczynić nasze życie szczęśliwym. Tymczasem Alicja Rosińska już od jakiegoś czasu nie czuła się szczęśliwa.

– A wy jak sobie radzicie? – zapytała z troską w głosie. Miała świadomość, że w czasach wojny nikt nie myślał o wytwornych toaletach, ale żeby mieć co do garnka włożyć.

Michalina wymieniła spojrzenie z babką. Ale ta nie spuściła wzroku ani nie poczuła się zmieszana.

– Dajemy radę, bo dla Niemców dziadek szyje. A Michalina pierze koszule, prasuje mundury i pościel. Żyje nam się lepiej niż przed wojną. Ludzie plują nam pod nogi, bo nie kryjemy się, z czego żyjemy. A oni co? Niby nadal u Chełmickiego robią, a te wszystkie trunki z jego gorzelnii to niby dla Polaków? I na Chełmickiego nikt się nie odważy złego słowa powiedzieć, bo przecież robotę ludziom zapewnia, ale krawiec szyjący dla Niemców to już niemal zdrada ojczyzny. Głupie ludzie, aż żal. Co mamy robić? Żeby w ścianę wbić i pozdychać z głodu? Czy pod kościół ze starym kapeluszem dziadka iść? – Alutka machnęła ręką.

– Tak, babciu, oni wszyscy mądrzy. Gorzej jak trzeba rodzinę wykarmić. Wtedy już nie są tacy patrioci. To głupie, pracować dla Niemców w fabrykach jest w porządku, a prywatna inicjatywa to już musi zęby zaciskać i wykazywać się bohaterstwem. Bo myślą, że jak czegoś nie widać, to tego nie ma – zawtórowała jej wnuczka.

Absolutnie nie osądzała źle rodziny, że szyją i piorą dla niemieckich władz

miasteczka. Jednak doskonale znała różnicę pomiędzy tym, co ona zrobiła, a sytuacją jej bliskich. Gdyby gotowała albo sprzątała Martinowi, przyznałaby się bez oporu. Ona jednak robiła inne rzeczy, nieco bardziej godne potępienia. Tak bardzo chciała usłyszeć od kogoś, że nie jest złym człowiekiem. Pragnęła, żeby tym razem ktoś poklepał ją po ramieniu i powiedział, że słusznie postąpiła, ratując w ten sposób swoją przyjaciółkę. Czy była inna metoda? Może, ale ona wybrała najpewniejszą i, niestety, tę najłatwiejszą.

Wieczorem, gdy przechadzała się z babką Alutką przy stawach, postanowiła opowiedzieć jej o wszystkim. Chciała odbyć spowiedź, ale nie wyobrażała sobie, że idzie do konfesjonału i tam snuje opowieści o swoich wyczynach nowemu proboszczowi czy staremu wikaremu. Nigdy nie lubiła spowiedzi, bo nie czuła się winna, a tam wmawiano jej, że powinna. To burzyło jej dobre samopoczucie i długo musiała uspokajać samą siebie, aż dochodziła do momentu, gdy wzruszała ramionami, mówiąc sobie: „Wielkie mi co”. Tego dnia jednak było inaczej, a babka była jedyną osobą, oprócz Hanki, której mogła powierzyć swoje sprawy.

Babka Alutka słuchała, nie przerywała, nie wzdychała wymownie ani nie kierowała oczu ku niebu. Gdy Alicja skończyła, ta powiedziała:

– Żeś Hankę tak ratować chciała, to dobrze. To, co masz między nogami, nie zmydli się, ale żeś za chłopem pół świata zjeździła i do wyrka ze Szwabem szła, żeby się z nim spotkać, toś głupia jak stołowe nogi – zawyrokowała.

– To nie tylko głupota, ale coś bardzo złego – mruknęła Alicja.

– Ludzie gorsze rzeczy robią. Ale nie powiem, że to coś dobrego, bo nie jest. I pewnie rok temu po gębie byś za to ode mnie dostała. Teraz jednak, odkąd szyjemy dla Niemców, patrzę na to inaczej. Wydawać sąsiadów, donosić na znajomych to zło. To, co ty robiłaś – głupota. Bo ten twój firecyk, Chełmicki, wcale tego niewart – stanowczo powiedziała babka.

– Nie wiem, dlaczego go nie lubisz? – zachnęła się Alicja, gotowa nawet pokłócić się z babką, byle obronić przed złym słowem Juliana.

– A co ja mam go lubić czy nie lubić? Ale jak taki frant, że ci najpierw wybaczyć nie może, a potem pcha w ramiona Szwaba, żeby mu belek do munduru przybyło, to on już mojej sympatii nie zyska. Albo uznał, że to łamie jego zasady, albo nie – burknęła babka.

– To dla ojczyzny przecież. – Alicja próbowała bronić Chełmickiego.

– To niech sam się z tym Szwabem prześpi, jak taki miłośnik ojczyzny jest. Łatwo rozkazywać innym, żeby łamali sobie kręgosłupy w imię szczytnych idei, ale swojego to nie daj Boże sobie uszkodzić. Poczekamy, zobaczymy, na jakie poświęcenia go stać, oprócz oddawania swojej narzeczonej innemu. – Alutka była nieprzejednana i dodała złowróźnie: – Niech on mi się tylko pod rękę nawinie, to po pysku dostanie, aż będzie klaskało.

– Babciu, to, co ci mówię, to tajemnica. Nie powinnam nigdy i nikomu tego wyjawić – zaprotestowała Alicja.

– Wielkie tajemnice. A co ja wiem, gdzie on mieszka? Albo co ty tam masz wyciągać od tego swojego amanta? Nawet nie wiem, jak ten Szwab na imię ma, to nie rób zaraz wielkiej konspiracji – burknęła. – Ty, Alicja, piękna dziewczyna jesteś. Poszukaj ty sobie innej miłości, bo ten Chełmicki to nic niewart.

– Kiedy ja nie umiem z niego zrezygnować – jęknęła. – Nie potrafię. Tylko

urazona duma sprawia, że nie słaniam się u jego nóg, prosząc, żeby ze mną był. Jestem na niego zła i jest mi przykro, ale gdyby tylko trochę się postarał, wróciłabym do niego.

– To niech dalej twoja duma wygrywa z uczuciem, bo inaczej do cna cię spowiewiera – powiedziała babka.

– Żadne z nas nie jest święte i oboje mamy sobie co wybaczać – westchnęła Alicja.

– Tylko żeby nie było tak, że to ty przepraszasz, a on wybacza – mruknęła babka.

– Tak, wiem, babciu. Tylko nie wiem, co dalej. Boję się, że gdy teraz odejdę od tego oficera, on się wścieknie i znowu Hankę zamkną. A bo to oni potrzebują mieć powód? Zawsze jakiś znajdą, a jak ten mój miał na tyle silne koneksje, żeby ją wypuścić, znajdzie je również, żeby ją na powrót do więzienia wsadzić. – Alicja była zdruzgotana myślą, że musi być zakładniczką Grossa.

– A co ty, Alicja, nie wiesz, jak chłopu dopiec, żeby sam cię odprawił? – Babka zarechotała. – Nie bez kozery powiadają, że gdzie diabeł nie może, tam babę posła. Bądź grymaśna, płaczliwa i odmawiaj uciech. Rób awantury bez powodu, sceny zazdrości bez okazji, każ sobie ciągle miłość wyznawać i po rączkach całować. Obrażaj się i kołki na głowie ciosaj, a pogoni cię szybciej, niż Lewinównie zwolnienie z więzienia załatwił. I jeszcze wszystko obieca, bylebyś sobie poszła i już więcej nie wracała.

Alicja uśmiechnęła się do siebie. Były ulepione z tej samej gliny i dlatego zawsze dostawały to, co chciały. Nawet rezygnacja babki z bycia kreatorką mody była jej świadomym wyborem, bo gdyby Alutka chciała naprawdę brnąć dalej w swoje marzenia, potrafiłaby przekabacić dziadka i żadne straszenie rozwodem nie zrobiłoby na niej wrażenia. To ona zawsze rozdawała karty, rzucając niekiedy asa w swojej szczodrości.

Alicja wyjechała z Chełmic zupełnie w innym nastroju. Chwile słabości i płaczliwości minęły. Chciała zdobyć Chełmickiego i robi to, a jak będzie pragnęła pozbyć się Martina Grossa ze swojego życia, także znajdzie na to sposób. Z życiem nie należało się cackać, świat nie lubił słabeuszy i filozofów, ale ludzi czynu. I z taką myślą Alicja Rosińska powróciła do Warszawy.

To był fatalny okres dla Juliana Chełmickiego. Z wielu powodów. Przede wszystkim nie mógł pogodzić się z myślą, że oto jego ukochana, kobieta, która przemierzyła bez mała całą Europę, by go odnaleźć, teraz jest z innym mężczyzną. Nie ważne, kim był ten drań, ale to on słuchał jej śmiechu, ciętych ripost wypowiedzianych z taką lekkością, jak gdyby miała je wcześniej przygotowane. Dławiła go zazdrość, gdy myślał o ich wspólnie spędzonych nocach.

Raz w tygodniu Alicja zjawiała się na spotkaniach w magazynie, by przekazać ważne i mniej istotne informacje, jakie udało jej się zdobyć. Starał się wtedy na nią nie patrzeć, chociaż w eleganckich strojach, wyszukanych kapelusikach i ze starannie ułożoną fryzurą wyglądała niczym piękna dama, dla której mężczyźni tracą głowy i gotowi są nawet się o nią pojedynkować. Wcale się nie dziwił Grossowi, że kompletnie oszalał na punkcie Alicji, tracąc przy tym czujność i obdarowując ją takim prezentem, jak wypuszczenie na wolność Hanki Lewin.

Aby odsunąć od siebie te natrętne myśli, najchętniej wyjechałby na jakąś misję, żeby skupić się na ważniejszych kwestiach niż udawany romans Alicji, ale dowództwo wciąż zwlekało z wysłaniem go poza Warszawę. To tutaj był potrzebny, ponieważ zapadły pierwsze wyroki i szukano kogoś, kto bez skrupułów je wykona. Padło na niego. Gdy o tym usłyszał, miał ochotę zwymiotować. Owszem, zastrzelił paru Niemców podczas kampanii wrześniowej, ale nie były to egzekucje. Nawet nie potrafiłby sobie przypomnieć twarzy swoich ofiar. W ogniu walki po prostu się strzelała i myśli jedynie o tym, by samemu ująć z życiem. Teraz jednak miał podejść do człowieka, popatrzeć w jego twarz, wygłosić wyrok i oddać strzał. I to taki, który z pewnością uśmierci ofiarę.

Otworzył kopertę. Człowiek, który widniał na zdjęciu, miał twarz dobrodusznego starszego pana, być może urzędnika.

– Kto to jest? – zapytał „Sokoła”.

– Zdrajca i konfident – powiedział spokojnie dowódca.

– Domyślam się, że nie listonosz – nieco oschle odpowiedział Julian.

– Po co chcesz to wiedzieć? Zaufaj nam, sprawdziliśmy go dokładnie. Przez niego rozstrzelano pięciu naszych chłopaków. Doniósł na gestapo, że mają w mieszkaniu radiostację. Przyszedł niby pocztę oddać, która trafiła do niego przez pomyłkę, i niestety zobaczył słuchawki leżące w przedpokoju. Andrzej miał je zanieść do naprawy, bo szwankowały... Kilka sekund nieuwagi, a ten od razu poleciał z pyskiem na Szucha. Okazało się, że od dawna był ich stałym współpracownikiem. Kawał szui. Musisz to zrobić w najbliższych dniach, zanim gestapo nie roztoczy nad nim opieki, zresztą potem czeka cię kolejny wyrok – tłumaczył „Sokół”.

– Naprawdę muszę być cynglem? – jęknął Chełmicki.

– To rozkaz, a poza tym jesteś najlepszy i wiem, że będziesz twardy. Alicja to była twoja dziewczyna, a jednak dobro Polski postawiłeś ponad męską dumę.

Chełmicki zacisnął pięści. Jakże „Sokół” się mylił. Niczego nie postawił ponad męską próżność, nie chciał, żeby Alicja godziła się na tę misję. To ona wybrała i ro-

zumiał, dlaczego to zrobiła. Dla Hanka. On zapewne postąpiłby podobnie, ale daleki był od zaakceptowania takiego stanu rzeczy.

– A kim jest ten drugi? – zapytał Julian, by odsunąć rozmyślenia o Alicji i Grossie.

„Sokół” podał mu następną kopertę. Ten wyciągnął kolejną fotografię i... zamarł. Ze zdjęcia patrzyły na niego oczy jego przyrodniego brata, Emila Lewina.

– To jakaś pomyłka... – jęknął.

– To nie jest pomyłka. Donosił, odkąd Niemcy zajęli Warszawę. Kręcił się po Kercelaku i innych bazarach, nawiązywał znajomości, a potem nasylał na tych ludzi gestapo. Poza tym ostatnio kręcił się w pobliżu jednej folksdojczki, strażniczki z Pawiaka, której też należałaby się kara śmierci.

– Bzdura! – Chełmicki odłożył kopertę. – Kompletna bzdura. Siostra tego człowieka siedziała wiele miesięcy na Pawiaku. Mógłbym uwierzyć, że kapował, żeby ratować siostrę, ale na początku wojny Hanka cieszyła się wolnością. Nigdy nie uwierzę, że mógłby donosić. To kawał skurczybyka i bawidamka, ale to nie jest typ konfidenta.

– To chyba słabo znasz swojego kompana, bo dzięki stałej współpracy był nawet goszczony w niemieckich lokalach, w których czuł się bez mała jak w domu. Popijał koniak w towarzystwie szefa referatu gestapo i nawet dano mu do dyspozycji niewielkie mieszkanie. A to oznacza, że musiał być bardzo sprawnym kapusiem – upierał się „Sokół”.

– Nie wykonam wyroku na tym człowieku. I nie tylko dlatego, że jestem przekonany o jego niewinności. Po prostu nie mogę. – Julian pokręcił głową.

– Nie wiem, czy zdołam kogokolwiek przekonać, żeby jeszcze raz zbadać powiązania tego człowieka. Ale to jest rozkaz, kapitanie. – Dowódca był nieco poirytowany.

– Odmawiam wykonania rozkazu, majorze. Ze wszystkimi tego konsekwencjami. Nie dlatego, że nie wierzę naszym wywiadowcom, ale dlatego, majorze, że Emil Lewin jest... bratem. Moim bratem jest. – Ostatnie zdanie niemal wyszeptał, ponieważ pierwszy raz w życiu nazwał tak Emila.

– To jest twój brat? – „Sokół” aż podniósł brwi ze zdziwienia.

– Tak. Przyrodni. Nie utrzymujemy ze sobą kontaktów, a i wcześniej nie byliśmy sobie zbyt bliscy, ale to jest mój... brat – wybełkotał Julian.

– W porządku, rozumiem i odwołuję rozkaz, ale z przykrością muszę ci powiedzieć, że nie ominie go wyrok. Mam nadzieję, że to zrozumiesz – z powątpiewaniem powiedział „Sokół” i dodał: – I żeby była jasność, jesteś poza podejrzeniami.

– Oprócz napadu na naszą kurierkę z Berlina – z ironią odparł Chełmicki.

– Nie mogę cię informować o efektach naszego śledztwa, ale ty i ona możecie spać spokojnie – burknął dowódca.

– Spać spokojnie... – westchnął Julian i jeszcze raz powrócił do studiowania twarzy starszego mężczyzny, na którym niebawem miał wykonać wyrok.

Wyszedł z magazynu przybity i rozgoryczony. Nie lubił Emila, nie żywił do niego też żadnych braterskich uczuć, a jednak jego działalność jako konfidenta nie mogła pomieścić się w jego głowie. Nie wierzył w to. Emil mógł go nienawidzić, jego ojca także, odbić mu narzeczoną i zelżyć przyjaciółkę, ale nie potrafił sobie wyobrazić, że ten chłopak, którego ojczym służył w legionach, biegający po Chełmicach

w przyciasnych portkach, uśmiechający się spod strzechy bujnych włosów, wreszcie brat pierwszej damy polskiej estrady, mógłby się okazać takim draniem. Julian wciąż naiwnie wierzył, że kapusiami zostają ludzie, których do tego zmuszono, albo folks-dojcze, dla których Rzesza była taką samą ojczyzną jak Polska. Lewin zaś był ustawiony dzięki siostrze, Polakiem z dziada pradziada i nie miał powodów, żeby zostać konfidentem. Po prostu coś mu nie grało w tej całej układance.

Nie chciało mu się wracać do domu i Weroniki. Odkąd spędzili razem noc, atmosfera była tak napięta i dziwna, że jak tylko mogli, unikali się wzajemnie. Chełmicki wiedział, że tego dnia Weronika nie ma dyżuru i jest w domu, dlatego zaszedł do jednej z małych, ciasnych i dobrze zakonspirowanych knajpek, na pierogi i setkę wódki. Umieszczona w suterenie, potocznie nazywana „U Loli”, była niewielkim pomieszczeniem z prowizorycznym barem skleconym z surowych desek i kilkoma stolikami dla tych, którzy przyszli się posilić, a nie tylko napić wódki. W knajpie było gęsto od papierosowego dymu i jak zwykle tłocznie. Julian precisnął się do baru i zamówił na początek setkę wódki z zagryzką w postaci pajdy chleba ze smalcem. Siedzący obok mężczyzna spojrzał na niego i jego oczy zrobiły się ogromne ze zdziwienia.

– A niech mnie... – Uśmiechnął się. – Chełmicki!

– O święci pańscy, Igor, ty stary draniu! – Julian uściśnął przyjaciela, po czym dodał: – Tylko bez nazwisk. I mam na imię Robert.

– Bardzo słusznie, ja jestem Grzegorz. – Puścił do niego oko.

– Co ty tutaj robisz? Nie tłuczysz we Lwowie moich rodaków? – zapytał z lekką ironią Julian.

– A ty nie liżesz tyłka Churchillowi? – odciął się Łyszkin.

– Jak widzisz. Jeśli sami nie wytłuczemy naszych wrogów, to nikt tego za nas nie zrobi – westchnął Julian i zapytał: – U rodziców byłeś?

Igor rozejrzał się dyskretnie po sali.

– Możemy gdzieś spokojnie porozmawiać? Gestapo mnie szuka.

– O cholera!

Chełmicki dopił wódkę, chwycił zakąskę i wskazał Igorowi drogę do wyjścia. Weszli do jednej z kamienic, z której pozostały jedynie gołe mury pogruchotane bombami.

– Tutaj nikt nie będzie się kręcił z obawy przed zawaleniem. No, mówże, człowieku, co jest? – zapytał Chełmicki.

– Pamiętasz Hankę Lewinównę? Tę śpiewaczkę z Chełmic? – zapytał Łyszkin.

– No przecież, że pamiętam. Co ty mnie o takie rzeczy pytasz? Nie dość, żeśmy się razem w Chełmicach chowali, to jeszcze całe lata do niej smaliłeś cholewki – zaśmiał się Julian.

– Ona jest na Pawiaku. Przeze mnie. Spotykaliśmy się tutaj, w Warszawie, zaraz po wybuchu wojny. A potem jej braciszek na nas doniósł. Mnie nie było wtedy w kraju, ale Hankę zamknęli i nawet nie wiem, czy żyje. Rozsądek mówi mi, że nie, ale gdzieś w głębi duszy jeszcze się z nią nie pożegnałem. Hanka miała dziecko, dziewczynkę, musiałem zrobić to dla Hanki i ją odnaleźć. Wiem, gdzie jest i wiem, że jest teraz bezpieczna, ale muszę coś wymyślić, żeby miała lepsze warunki do życia. Mam wyrzuty sumienia, że to wszystko przeze mnie... Tak bardzo kochałem Hankę, a jednak to przeze mnie pewnie już jej nie ma wśród żywych... – wycedził

Igor przez zaciśnięte ze złości zęby.

Tę złość kierował głównie do siebie. Gdyby nie on, wszystko w życiu Hanki mogłoby wyglądać zupełnie inaczej. Po chwili dodał:

– Julian, słuchaj, a może ty? Masz tutaj lepsze kontakty, błagam, pomóż mi i dowiedz się, czy ona żyje, czy nie, bo nie zniosę dłużej tej niepewności. A może jakąś porządną rodzinę znasz, co by małą przygarnęła, dopóki sytuacja się nie uspokoi?

Chełmicki przez chwilę przetykał gorzką pigułkę. Jeszcze niespełna godzinę wcześniej był gotów każdemu niemal wydrapać oczy za podejrzenia dotyczące Emila, a tymczasem kolejna osoba odsłaniała przed nim nikczemność brata. Tym gorszą, że wycelowaną w kierunku własnej siostry.

– Słyszysz? – Igor wyrwał Juliana z krótkiego zamyślenia o Lewinie.

Chełmicki ocknął się i uśmiechnął do Łyszkin.

– Cieszę się, że chociaż dla ciebie mam dobre wieści. Hanka żyje i wypuścili ją z więzienia. Już kilka dni temu.

Igor chwycił Juliana za ramiona i walcząc z napływającymi do oczu łzami, powiedział:

– Jakże ja ci dziękuję, przyjacielu. A wiesz może, gdzie ona teraz jest? Nie narażałbym jej na kolejne problemy, ale muszę jej powiedzieć... o Nadii. – Łyszkin chciał jeszcze dodać, że pragnąłby jej wyznać, jak bardzo jest mu przykro i jak bardzo ją kocha.

– Wiesz, nie wypytywałem się zbyt mocno. Nie mogę też, przyjacielu, zdradzić ci okoliczności jej wypuszczenia, ale myślę, że już ta informacja jest dla ciebie pomyslna. Tyle wiem, że na jakąś wieś wyjechała. Mogę się dowiedzieć, jak tak bardzo ci zależy, ale proszę, nie daj się ponieść emocjom kolejny raz... – odpowiedział mu Julian i zapytał: – Masz gdzie spać?

– Taaak... mam bezpieczną kryjówkę na Pradze. Jak się skontaktujemy? – westchnął Igor, z niechęcią myśląc o kolejnej nocy spędzonej w zrujnowanym domu.

– Jutro. Tam, gdzie się dzisiaj spotkaliśmy, U Loli. A możesz powiedzieć, za co cię ścigają?

– Nie mogę, przyjacielu. Już jedna osoba miała przeze mnie kłopoty. – Igor uśmiechnął się smutno.

– Mogę się domyślać, Niemcy boją się bolszewików niczym ognia piekielnego. – Julian także się uśmiechnął i pożegnał przyjaciela.

Spotkanie z dawnym kompanem było jedynym miłym zdarzeniem tego dnia. Tak dawno się nie widzieli, Łyszkin należał do obozu wrogów jego ojczyzny, a jednak Chełmicki ucieszył się z tego spotkania. I z tego, że choć stali po dwóch stronach barykady, wciąż byli przyjaciółmi.

Czekało go jeszcze spotkanie z Alicją. Musiał uruchomić czerwony alarm i skontaktować się z nią poza wyznaczonym terminem. I robił to dla Rosjanina, akolity Stalina, robił to dla swojego przyjaciela.

Zdenerwowana Alicja klękła w kościelnej ławce i z niepokojem oczekiwała na spotkanie z Julianem. Jeśli kazał jej przyjść w to miejsce, musiało wydarzyć się coś złego. Drżała również na myśl, że niebawem będzie tak blisko niego. I będą sami. Co jej powie? Czy cokolwiek napomknie o nich? Kobiece rozterki były dla niej w tej

chwili równie istotne, co sprawy najwyższej wagi.

Kilka minut później do kościoła wszedł Julian i klęknął obok.

– Co się stało? – zapytała cicho. Starła się, aby nie było słycać w jej głosie paniki.

– Mam do ciebie sprawę. Prywatną – wyszeptał.

Jej serce zaczęło łomotać jak oszalałe.

– Mów – drżącym głosem powiedziała Alicja, starając się nie zerkać co chwilę na ukochanego.

– Muszę się dowiedzieć, gdzie jest Hanka Lewin. Mogłabyś zdobyć dla mnie tę informację? – zapytał, nie wnikając w szczegóły.

– Do czego ci to potrzebne? – zdziwiła się.

– Nie mogę ci powiedzieć, ale zaufaj mi, że to ważne – wyszeptał.

– Ja wiem, gdzie jest Hanka. W Bocianowie. To mała wieś kilkadziesiąt kilometrów od Warszawy.

– Widziałaś się z nią? – dopytywał. – Jesteś pewna, że tam jest?

Popatrzyła na niego.

– Dzisiaj już niczego nie jestem pewna. Gross mówił, że jest tam bezpieczna, pokazywał mi jej zdjęcia, ale nie wiem, czy mogę mu do końca ufać. Obiecał, że niedługo będę mogła do niej pojechać. Mówił też, że Hanka niebawem odzyska swoje dziecko. Podobno Niemcy wywieźli je do jakiegoś polskiego sierocińca, koło Łodzi.

Chełmicki zaniepokoił się. Igor mówił, że córkę Hanki ukryli Polacy. Jakim cudem nagle miałyby się znaleźć w sierocińcu, oficjalnie umieszczona przez niemieckie władze?

– Nie podoba mi się to, Alicja. Coś mi tutaj śmierdzi. I to bardzo. Z pewnych źródeł wiem, że Niemcy nie mają pojęcia, gdzie przebywa córka Hanki. Wypuszczają ją, ale wiedzą doskonale, gdzie pojechała. Jest wolna, ale ty, najbliższa jej osoba, nie możesz jej odwiedzić. A na dokładkę jej braciszek, mój zresztą też, okazał się kapusiem.

Odwróciła się gwałtownie w jego stronę.

– Emil? Kapusiem? Oszalałeś? Jak spotkałam go na dworcu, był zdruzgotany zamknięciem Hanki i wyglądał jak kupka nieszczęścia. Hanka wpadła przez tego czerwonego diabła, co się koło niej pętał, Emil nie miał z tym nic wspólnego. Żyje sobie z Adrianną i nawet się potomka dorobili. Emil to tchórz, tylko myśli, jak bezpiecznie przetrwać wojnę, a do kapowania też trzeba mieć odwagę – wysyczała Alicja.

– O... mają dziecko – mruknął Julian i wbrew pozorom trochę go ubodło, że przyrodni brat ma już rodzinę, żyje szczęśliwie z Adrianną, a jego uczuciowe życie wciąż jest w rozsypce. Po chwili dodał: – Ponad wszelką wątpliwość jest konfidentem gestapo i państwo podziemne wydało na niego wyrok śmierci. Muszę już iść, a ty uważaj na tę sprawę z Hanką, bo coś mi się tu mocno nie podoba.

– Te wasze wyroki – prychnęła Alicja. – Mnie też podejrzewano, że rąbnęłam pieniądze i wyjechałam do Szwajcarii. Nie lubię Lewina, bo to kawał gnoja, ale w jego donosicielstwo nie wierzę... Poza tym to brat Hanki... I twój brat.

– Chcesz go ostrzec? – zapytał podejrzliwie.

– Oczywiście. Nie pozwolę, żeby mu strzelono w łeb – wyszeptała.

Kolejny raz Julian poczuł się jak tchórz. Znowu zostawił sprawę w rękach Ali-

cji, bo sam nie wiedział, co powinien w takiej sytuacji zrobić. Był przekonany, że Emil jest winny, zwłaszcza po rozmowie z Igorem, ale Lewin był jego bratem i nie chciał, żeby zginął, bez względu na to, co zrobił. Nie wierzył także, że doniósł na Hankę. Ale mógł donieść na komunistę Łyszkiina, a to pociągnęło za sobą konsekwencje, których nie przewidział.

Chełmicki przeżegnał się i odwrócił w stronę Alicji. Chciał, żeby czas się cofnął. Pragnął, żeby było jak w New Forrest, gdy spotkali się pierwszy raz po wielu miesiącach rozłąki. Wtedy wszystko wydawało się proste. I piękne. Wziął jej dłoń, jakby chciał, żeby poszła z nim i już nigdy nie wracała do Grossa. Ścisnęła delikatnie jego rękę i popatrzyła na niego oczami pełnymi łez.

– Kocham cię – wyszeptwała, tak po prostu.

– Ja też cię kocham – powiedział z westchnieniem i ostatkiem sił wypuścił dłoń Alicji. Wstał z klęczek i ruszył w stronę wyjścia z kościoła.

Alicja jeszcze przez kilkanaście minut siedziała w niemal pustym kościele i wciąż czuła delikatny dotyk Chełmickiego. Przymknęła powieki i niczym płytę odtwarzała jego ostatnie słowa. Kochał ją i tylko to się liczyło. A reszta?

– Jakoś to będzie... – powiedziała w pewnym momencie do siebie i również opuściła kościół.

Nie udała się jednak od razu do mieszkania, które dzieliła z Grossem. Poszła do domu Emila Lewina. Nie chciała zastanawiać się, ile prawdy jest w tym, co mówił Julian, ani nawet nad tym, czy Lewin byłby zdolny do takich czynów. Był bratem Lewinówny, a jej przyjaciółka go kochała. Z rodziny tylko on jej pozostał. A jeśli jej przyjaciółka kogoś kochała, Alicja czuła się w obowiązku ochronić go i nie przysparzać jej więcej cierpienia. Jeśli chodzi o dziecko Hanki, Alicja miała tak sprzeczne informacje, że zaczęła się obawiać, czy ono w ogóle żyje. A utraty brata i córki Hanka po prostu by nie przeżyła.

Kolejny raz znalazła się w mieszkaniu Lewina, śledzona czujnymi oczami Adrianny. Gdy poprosiła o rozmowę w cztery oczy, ta o mały włos nie rzuciła jej się do gardła, jednak ostry ton Emila niemal natychmiast przywołał do porządku podejrzliwą narzeczoną.

– Coś z Hanką? – zaniepokoił się Emil, gdy usiedli przy niewielkim stole w kuchni.

– Nie... Z Hanką w porządku – mruknęła Alicja.

– To z czym jest nie w porządku? – zapytał ostro.

– Z tobą, Lewin. Z tobą. Musisz się stąd wyprowadzić, najlepiej jeszcze dzisiaj albo jutro rano. Jeśli masz możliwość, załatw sobie i Adriannie lewe papiery i ukryj się – powiedziała stanowczo.

– Pijana jesteś? – prychnął. – Dlaczego miałbym się stąd wyprowadzić?

– Bo wiedzą, że donosisz na gestapo. Dostałeś wyrok.

Emil zbladł i nawet nie miał siły zaprzeczyć. Wyrok oznaczał śmierć i już nie jeden konfident dostał kulkę. Będą go ścigali niczym zwierzynę, dopóki nie dopadną i nie zastrzelą. Nie łudził się, że gestapo zapewni mu bezpieczeństwo, poza tym przy jego obecnych, dość luźnych powiązaniach z nimi było to mało prawdopodobne.

Alicja, patrząc na Lewina, już wiedziała, że nie pomylił się ani Julian, ani też wywiad państwa podziemnego. Twarz Emila wyrażała więcej niż tysiące słów. Wstała z krzesła i syknęła:

– Ty parszywy gnoju... Gdyby nie Hanka, sama bym ci strzeliła w łeb.

Opuściła mieszkanie Lewina i szła, cała trzęsąc się w środku. Już było za późno, żeby cokolwiek cofnąć, ale wcale nie była pewna, czy drugi raz nie postąpiłaby tak samo. Emil się nie liczył i nic dla niej nie znaczył. Wręcz nie lubiła go za jego niechętny stosunek do Chełmickiego, teraz jednak znienawidziła go, bo zrozumiała, że mógł mieć coś wspólnego z aresztowaniem Hanki. Ale to był jej brat i jej przyjaciółka nie chciałyby śmierci Emila. Życie było skomplikowane, a wybory trudniejsze, niż mogło się wydawać. Alicja pomyślała, że Bóg stawia ją wciąż w takich sytuacjach, gdzie nie ma prostych rozwiązań i jasnych odpowiedzi. Kolejny raz miała w głowie dwie drogi i nie miała pojęcia, gdzie mogłaby ją zaprowadzić każda z nich. Nie była w stanie ogarnąć tego w swoim umyśle, dlatego w takich sytuacjach kierowała się sercem, które już nieraz wyprowadziło ją na manowce.

Powróciła do mieszkania Martina i nawet nie musiała korzystać ze wskazówek babki Alutki i udawać żoły. Była tak wściekła, rozgoryczona i niepewna własnego postępowania, że jej kochanek nie mógł pojąć, co stało się z jego słodką Alicją. To histeryzowała, nazywając go pierdolonym Szwabem, to krzyczała, że ją oszukał, albo łkała jak dziecko, że jest zdrajczynią. Ale Martin Gross, mimo wielkiego uczucia, jakim darzył Alicję, nie mógł tolerować podobnego zachowania. Gdy kolejny raz tego wieczoru nazwała go oszustem, po prostu wymierzył jej siarczysty policzek. To podziało na nią niczym kubeł zimnej wody. Momentalnie ucichła i z przerażeniem stwierdziła, że Martin Gross nie jest tak słaby w jej towarzystwie, jak do tej pory sądziła. Gross oczekiwał od niej, że będzie damą, a nie prostacką dziewczuchą z prowincji, która klnie jak szewc i robi karczemne awantury. Ze złością doszła do wniosku, że tę bitwę przegrała i musi nieco spuścić z tonu, w przeciwnym razie schłodzi uczucia kochanka szybciej, niż powinna. A Martin Gross był jej jeszcze potrzebny.

15. Bocianowo, 1941

Kolejny raz Igor Łyszkin znalazł się w Bocianowie następnego dnia po spotkaniu z Julianem Chełmickim. Nie łudził się jednak, że jego ukochana mimo opuszczenia więzienia może nagle cieszyć się swobodą i wolnością. Był niemal pewien, że gestapo czeka na niego, mając Lewinównę obietnicą zwrotu córki. Gdyby nie Nadia, nie przyjechałby, ale Hanka musiała się dowiedzieć, że ją okłamują, a jej dziecko jest całe, zdrowe i bezpieczne. A on postara się, żeby nadal tak było.

Kiedy jechał do Polski, planował, że wywiezie je obie do Związku Radzieckiego i umieści w domu babuszki Mikołajewny, ciotki Fiodora, którą cała jego rodzina uwielbiała. To był dobry plan, gorzej z jego realizacją. Uciekać z kobietą i małym dzieckiem przed gestapo wiele kilometrów na wschód było szaleństwem. Ale nie mieli wyboru. Wiedział, że jeśli nie wyrwie Hanki z rąk oprawców, a oni spostrzegą, że ich przynęta okazała się nieprzydatna, po prostu ją zastrzelą, zaś Nadia będzie chowana w lesie przez Irenę „Wariatkę”, która oprócz miłości nie mogła dać jej niczego więcej.

Ukryty w krzewach na skraju lasu, obserwował domek w Bocianowie. I najpierw zobaczył Hankę. Była szczuplejsza niż ostatnio, ale wciąż piękna. Na jej twarzy nie było rozpacz, ale smutna rezygnacja. Była to twarz człowieka, który pozbył się wszelkich złudzeń. Hanka zapewne tęskniła za córką, której nie widziała od miesięcy. A może i odrobinę za nim?

Po godzinie z domu wyszedł mężczyzna, przeciągnął się i zapalił papierosa. Hanka nabierała wodę ze studni i nawet nie patrzyła na człowieka stojącego na ganku. Po chwili wyszedł następny, podszedł do Hanki i nabrał metalowym kubkiem wody z wiadra. Na niego również nie spojrzała, tylko dźwignęła wiadro napelnione wodą i ruszyła w stronę drzwi. Minęła kolejna godzina, gdy Lewinówna z koszykiem udała się do wsi po sprawunki. Mężczyźni pozostali na miejscu, ale zapewne gestapo także i we wsi umieściło swoich szpicli.

Trzymał więc stosowną odległość, nawet nie próbując zbliżyć się do niej, chociaż miał ogromną ochotę wziąć ją w ramiona i natychmiast stamtąd zabrać. We wsi Hanka kupiła mleko, twaróg, chleb i udała się do znanego mu Henryka Buczka po jajka. Igor uśmiechnął się. Szczęście mu sprzyjało, wiedział, że przez wdzięcznego pana Henryka będzie mógł przekazać jej wiadomość. Liczył, że kupione przez Hankę jajka szybko się skończą, bo zapewne oprócz niej w domu stołowali się także pilnujący ją gestapowcy.

Pod wieczór kolejny raz znalazł się w stodole Henryka Buczka. Ten był spanikowany, zarówno pojawieniem się we wsi Hanki, jak i młodego Łyszkin. Obiecał jednak, że przekaze liścik Lewinównie i dopilnuje, żeby przeczytała go na miejscu, a kartkę zniszczyła.

Spotkanie miało nastąpić w lesie, nieopodal starego, zrujnowanego młyna. Do lasu za nią nie chodzili, bo zapuszczała się tam na krótko, najczęściej po chrust do paleniska. Nie obawiali się Hanki, bo dopóki sądziła, że mają jej dziecko, wiedzieli, że nigdzie im nie ucieknie. Poza tym czatowali w domu, pozwalając sobie na jego

opuszczanie jedynie o świcie. Nawet i wtedy nie powinni tego robić, ale siedzenie na ciasnym, zatechłym strychu najwyraźniej dawało im się we znaki.

Po kolejnych kilku dniach, które Igorowi zdawały się wiecznością, Hanka Lewin kolejny raz trafiła do domu Henryka Buczka. Wyszła po kilkunastu minutach i zaczęła się rozglądać. Igor już wiedział, że otrzymała wiadomość.

Po południu, jak niemal codziennie, wzięła kozik, worek na chrust i ruszyła w stronę lasu. Przedzierała się przez gęste krzewy, by dojść do starego młyna.

– Haniu... – Usłyszała cichy głos Igora.

Odwróciła się i zobaczyła go. Miał gęsty zarost i podkrążone oczy, z których wзираła rozpacz. Patrzyła na niego i drżały jej usta. Tak bardzo chciała, żeby wróciły chwile pełne miłości. Siedząc na Pawiaku, podsycala nienawiść do niego, ale gdy go ujrzała, zrozumiała, że granica między miłością a nienawiścią jest cieńsza, niż jej się dotychczas wydawało.

Wiedziała, co stanie się za chwilę. Zdradziła go, jego miłość i swoją również. Zaczęła płakać i kręcić przecząco głową, wciąż milcząc, bo ból dosłownie rozsadzał ją od środka. Miała świadomość, że widzi Igora ostatni raz. Jedyne go mężczyznę, który naprawdę ją kochał. I budził w niej to, co kryło się głęboko w jej duszy. Był jej mężczyzną i musiał umrzeć.

– Igor... – wyłkała jedynie, by po chwili usłyszeć.

– Ręce do góry, panie Łyszkin.

Kilku mężczyzn wyłoniło się z pobliskich krzaków, zza starego młyna i ogromnego kamienia. Igor nie próbował ani się bronić, ani uciekać. Podniósł ręce do góry i patrzył na Hankę oczami pełnymi wyrzutu, że nie zaufała mu do końca.

– Wybacz mi... – powiedziała cicho. Jej broda drżała, podobnie jak ona sama, jakby dopiero dotarło do niej, co zrobiła.

Funkcjonariusze gestapo skuli Igora i poprowadzili przez las do drogi, gdzie czekał na nich samochód. Szedł z nimi, oglądając się za Hanką, która wciąż stała na niewielkiej polanie przy młynie i łkała, zakrywając dłońmi oczy.

Samochód zatrzymał się kilkaset metrów od domu w Bocianowie. Słońce chyliło się za horyzontem, a niebo poszarzało, zwiastując nadchodzący zmierzch. Alicja wysiadła z auta i odesłała kierowcę do Warszawy. Wiedziała, że spotkanie z Hanką po takim czasie będzie musiało się przeciągnąć co najmniej do dnia następnego. Mimo eleganckich pantofli szła leśnym duktem dość szybko, potykając się co chwilę na nierównym podłożu. Gdy dotarła do domostwa, zapukała natarczywie, ale odpowiedziała jej cisza. Nie zastanawiając się ani sekundy, nacisnęła klamkę i pchnęła drzwi.

Zastała swoją przyjaciółkę siedzącą skuloną na podłodze w kuchni, wpatrzoną w jeden punkt na ścianie.

– Hania, Haneczka! – wykrzyknęła Alicja i przykucnęła, gładząc ją po włosach.

Hanka Lewin popatrzyła na Alicję i uśmiechnęła się smutno.

– Oszukali mnie...

– Kto, Hanka? – dopytywała Alicja.

– Gestapo... Powiedzieli, że oddadzą mi dziecko, jak złapią Igora. Wydałam

go, przeze mnie pewnie zdycha na Pawiaku, a oni mi nie oddali córki. Rozumiesz? Wydałam go im. A oni nie oddali mi dziecka. To był układ, a oni mnie oszukali. Wołałabym, żeby mnie zabili. – Hanka mówiła cicho i niemal beznamiętnie.

Alicja usiadła obok Hanki. Nie tylko jej przyjaciółka została oszukana. Ona także. Przez Martina Grossa. Hankę i tak wypuściliby, bo chcieli zapolować na bolszewika. I wcale nie zamierzali oddać dziecka, tylko zdobyć kolejną przynętę, aby Łyszkin zaczął mówić. A jeśli nie znajdą małej Nadii, rychło sobie przypomną o jej matce. Musiała ją stąd zabrać. Za wszelką cenę. Tylko dokąd? Pomyślała o dobrotliwym profesorze Litwinie i momentalnie zerwała się na równe nogi.

– Zbieraj się, Hanka. Wyjeżdżamy.

– Nigdzie nie jadę. Chcę umrzeć. Tutaj. Tutaj byłam naprawdę szczęśliwa. Kiedyś. Gdy była Nadia i był Igor... – wydukała.

– Jeśli chcesz jeszcze być tak szczęśliwa, to zbieraj się, bo tutaj na pewno już nie będziesz. Wracamy do Warszawy, a potem pomyślimy, jak odzyskać Nadię – powiedziała stanowczo Alicja.

– Proszę, Alicja. Chcę tu zostać i tu umrzeć – jęknęła Hanka.

Alicja postanowiła zagrać ostatnią kartą.

– Pewnie. Tak jest najprościej. A co, jeśli Nadia żyje i cię potrzebuje? Zostawisz ją samą w tym bagnie? Kto ci dziecko wychowa? Ja? Przecież ja nie mam o tym pojęcia – warknęła.

Hanka podniosła głowę i wyciągnęła rękę do Alicji. Ta pomogła jej wstać i mocno przytuliła, szepcząc:

– Pamiętasz? Takich trzech jak nas dwie to nie ma ani jednej. Z każdego gówna się wyczołgamy. Jak kiedyś...

Lewinówna spakowała najpotrzebniejsze rzeczy i gdy się ściemniło, ruszyły na stację. Alicja miała przepustkę na poruszanie się po godzinie policyjnej, załatwioną jej przez Martina, doszła więc do wniosku, że mogą obie z niej skorzystać.

Siedząc już w pociągu zmierzającym w kierunku Warszawy, Alicja pomyślała mściwie: „Zapłacisz mi za to, Martinie Grossie”.

Ulokowała Hankę w mieszkaniu profesora i powróciła do domu Martina, udając wdzięczną i ufną kochankę. Jeszcze tej samej nocy, gdy Gross, oszołomiony aktywnością Alicji w łóżku, zasnął twardym i spokojnym snem, ta bezlitośnie splądrowała jego biurko, teczkę, a nawet sejf ukryty w szafie. Takim sposobem weszła w posiadanie najtajniejszej informacji III Rzeszy – daty agresji na Związek Radziecki, przesuniętej z 15 maja 1941 roku na 22 czerwca. Zdobyła także inne ciekawe dane, jak na przykład miejsce testów i produkcji nowej broni, na wyspie Uznam. Gross często tam wyjeżdżał służbowo, namawiając niejednokrotnie Alicję, by mu towarzyszyła. Oczywiście nie w samym zakładzie, ale mogła na niego czekać w hotelu albo służbowym mieszkaniu, miło spędzając czas w malowniczym miasteczku, Peenemünde. Zawsze odmawiała, ale tym razem postanowiła, że wybierze się ze swoim kochankiem. Jej powrót do Grossa miał na celu uwolnienie Hanki, innymi kwestiami nie zajmowała się zbyt pilnie, by nie ryzykować, teraz jednak wiele się zmieniło. I teraz była gotowa podjąć to ryzyko, aby zrujnować karierę, a może i życie tego oszusta. Kompletnie nie interesowały jej motywy i intencje. Wywiódł ją w pole, jak idiotkę, dlatego pozna siłę jej nienawiści, jaką zaczęła do niego żywić.

Każdy jej ruch, gest czy słowo były wyreżyserowane. Uśmiech i dotyk były

grą nakierowaną jedynie na to, by uspić jego czujność. Mogła mu wiele darować, ale nie to, że wykorzystał jej rozpacz, by z nim została, nie kiwnąwszy nawet palcem, żeby jej pomóc. Na jego pytania o Hankę reagowała słodkimi pocałunkami i podziękowaniami, informując, że przyjaciółka wyjechała na prowincję, by dojechać do siebie po ciężkich przeżyciach. Nie wspominała o Nadii, a i on nie pytał. Wiadomo, był dobrze poinformowany, że gestapo nie miało najmniejszego zamiaru jej oddać, a być może nawet nie mieli pojęcia, gdzie jest.

Cela śmierdziała krwią, potem i moczem. Cała gama tortur, jaka tylko wpadła do głowy Schwartzowi, została wypróbowana na Łyszkinie. Musiał jedynie uważać z ich dawkowaniem, bo sowiecki szpieg musiał przeżyć. Tymczasem Igor w pewnym momencie przestał czuć cokolwiek. Szkolono go, na czym polega fizjologia bólu i jak go zminimalizować. Zanim jednak dochodzi się do punktu, gdy cierpienie fizyczne słabnie, mija bardzo wiele czasu. Igor chwilami zastanawiał się, czy podobnie pastwili się nad Hanką i właśnie w takich momentach przychodziło zrozumienie jej czynu.

Związali mu ręce w nadgarstkach i podczepili pod sufitem, tak że mógł z ledwością palcami stóp dotykać podłogi. Bili pałkami, kopali i przypalali papierosami. A gdy tracił przytomność, która była wielką ulgą w tym maratonie bólu, po prostu polewali go zimną wodą.

Schwartz nie oszczędzał Łyszkiną, sądząc, że w końcu go złamie i zdobędzie szacunek nowego szefa, Keniga, który całą starą kadrę traktował niczym gorszy gatunek pracowników. Jednak Łyszkin milczał jak zakłęty. I kolejny raz Jürgen, zamiast pochwały dostał od Keniga pater noster.

– Że też wy tylko potraficie tłuc ludzi – mruknął Kenig, spoglądając ze złością na stojącego na baczność przerażonego Schwartza.

– Próbowałem po dobroci, ale... Niestety, to twarda sztuka – tłumaczył się Schwartz.

– Wiedział, że jest poszukiwany i jeśli go znajdziemy, dostanie zarzut szpiegostwa. Pewna kara śmierci, o torturach nie wspominając. A jednak przyjechał do Polski. Jak myślisz, dlaczego? Coś ci świta? – zapytał złośliwie Kenig, omijając stopnie oficerskie i darując sobie oficjalny ton, co świadczyło o tym, że funkcjonariusz popadł w wyjątkową niełaszkę.

– Po córkę przyjechał... – bąknął niepewnie.

Kenig westchnął i pokręcił głową.

– A gdzie go zatrzymaliście?

– No w lesie... – odpowiedział Schwartz z niepewnością w głosie.

– Idioto, zatrzymaliście go, bo przyszedł na spotkanie z Hanką Lewin, tak?! – krzyknął Kenig.

– No tak, ale przecież Standartenführer sam kazał ją wypuścić... – bąknął Schwartz.

– Zgadza się, i dzięki temu to, co wam zajęło bez mała rok, mnie... Hm... niech policzę. Dwa tygodnie? – drwił Kenig.

– To nie była moja decyzja – próbował bronić się Schwartz.

– No więc dlaczego Łyszkin przyjechał teraz do Polski? Do córki i do kochan-

ki. Dziewczynkę zgubiliście albo spaliliście żywcem, a kochanka gdzie jest teraz, hm? – zapytał złośliwie.

– Nie wiem – bąknął bezradnie. – Ale nie było rozkazu, żeby jej pilnować po zatrzymaniu Łyszki.

– No, widzisz, Schwartz, jaki ty głupi jesteś... Bez rozkazu nawet odlać się nie potrafisz. Jedyne, co masz na swoje usprawiedliwienie, to fakt, że w istocie jej nagłe zniknięcie to dziwna sprawa. Sam się nie spodziewałem, że pryśnie tak szybko... Z pewnością domyśliła się, że żadnej córki nie przywieziecie, bo jej po prostu nie macie. Ale... – Kenig uniósł palec do góry. – Łyszkin nie wie, że spieprzyliście sprawę.

– Rozumiem... – mruknął Schwartz.

– Co rozumiesz? Lepiej powiedz, bo znowu doprowadzisz go do nieprzytomności i będziemy musieli czekać kilka dni, aż do siebie dojdzie – burknął Kenig.

– Mam z nim dobić targu. On nam powie, kto mu sprzedaje informacje, a my nic nie zrobimy jego córce i kochance – wyrecytował, dumny z siebie.

– Brawo, Schwartz. Może jeszcze będą z ciebie ludzie. Pamiętaj, należy być sprytnym. Na kogoś działa pieszczony prądem, a na innego szantaż. Führer szykuje się do wojny z Sowietami, a powodzenie tej operacji zależy od szybkości działania i zaskoczenia. A jak można mówić o zaskoczeniu, jeśli mamy w naszych szeregach kreta. Łyszkin musiał wiedzieć o planach Rzeszy, będąc tutaj już za pierwszym razem. Reszta była kwestią czasu, bo zapewne zamiast niego pojawili się inni szpiegi. I jeszcze jedno... Mamy mało czasu, a ten bolszewik tak łatwo się nie podda. Słowianie są jak dzikie zwierzęta – powiedział Kenig i na zachętę nalał Schwartzowi koniak. Jeśli on nic nie wskóra, będzie musiał sam porozmawiać z tym bolszewikiem, a teraz zwiększył wysiłki w celu odnalezienia Hanki Lewin.

Kenig przypomniał sobie pewną rozmowę. Z Martinem Grossem. Być może za zniknięciem kochanki Łyszki stał właśnie on. A może to Gross jest świadomym lub nie dostawcą informacji dla Sowietów? A ta jego kochanka Polka? Od dawna z nim mieszka i chociaż nie budzi podejrzeń, może po prostu dobrze się kamufluje? W końcu w Polsce także nie brakowało wyznawców Stalina. Tyle pytań i żadnych odpowiedzi. Jednak on nigdy nie odważyłby się rzucić podejrzeń na Martina Grossa bez żelaznych dowodów. Gross cieszył się zaufaniem najwyższych władz i wykopanie topora wojennego mogło zakończyć się dla Keniga fatalnie. A on cenił sobie eksponowane stanowisko, władzę i luksusowe limuzyny. Zdecydowanie większym uznaniem będzie się cieszył, jeśli złamie rosyjskiego szpiega. I zdobędzie dowody, że nie wszyscy oficerowie są godni zaufania.

Schwartz wracał do swojego gabinetu mocno podenerwowany. Kenig właściwie go zgnoił. I słowem nie wspominał o jego wcześniejszych sukcesach. Zostawił mu jednak furtkę i dał szansę, aby mógł się wykazać. Wykręcił telefon do dyżurnego na Pawią i nakazał wysłanie Łyszki do izby szpitalnej, aby ten jak najszybciej powrócił do równowagi. Następnie oddelegował swoich najlepszych funkcjonariuszy, żeby odnaleźli Hannę Lewin. Po chwili przypomniał sobie o kimś jeszcze. O człowieku, który zdawał się zapomnieć o wizytach na Szucha. Czas było przypomnieć się Emilowi Lewinowi, bratu Hanny.

Po kilku dniach Łyszkin był już w całkiem niezłej kondycji. Czuł jeszcze, co

prawda, na swoim ciele drewnianą pałkę Schwartz, ale mógł swobodnie się poruszać, oddychać bez trudu i racjonalnie myśleć. Jeśli zamiast kolejnego katowania opatrzyli go w więziennym szpitalu, to zapewne coś kombinowali. Nie wiedział tylko co. Może chcieli wystawić go na wabia, jak niedawno Hankę Lewin? Byłoby to nawet słuszne założenie, nie wiedzieli jednak, że tym razem przybył do Polski prywatnie i nikt z siatki nie miał pojęcia, że się tu znajduje. Udawanie jednak, że ich chytry plan może się udać, dawało mu szansę na ucieczkę. Ryzyko było ogromne, ale i szansa większa niż wyrwanie się z więziennego karcera.

Na następnym przesłuchaniu Schwartz silił się na uprzejmość. Przychodziło mu to z trudem, bo z reguły rozmawiał z zatrzymanymi w mało wyszukany sposób.

– Panie Łyszkin – zaczął, biorąc głęboki oddech – może koniaku?

– Nie, dziękuję – burknął Igor.

– Panie Łyszkin, widzę, że nasze poprzednie rozmowy, pan wybaczy, niezbyt przyjemne, nie przyniosły oczekiwanych efektów, zatem mam dla pana inną propozycję.

– Jak to się tutaj mówi? Aha, zamieniam się w słuch – ironicznie odpowiedział Igor.

– Nadia Niechowska to chyba pana córka, prawda? – Tym razem ironiczny uśmiech pojawił się na twarzy oficera gestapo.

Łyszkin milczał. A jednak postanowili zablefować i wykorzystać Nadię, której nigdy nie udało im się odnaleźć. Nie odpowiedział na pytanie, bo nie było po co.

– Tak, my wiemy. I pan wie, że my wiemy. – Słowna szermierka najwyraźniej nie była mocną stroną Schwartz. Daleko mu było do elokwentnego Keniga, ale miał nadzieję, że w końcu nauczy się przemawiać jak przełożony.

Igor przewrócił oczami.

– Czego chcecie? – burknął.

– Abwehra bardzo interesuje się przeciekami w naszej armii. Ale niech mi pan wierzy, nie chciałby pan trafić pod ich skrzydła.

– Do rzeczy – westchnął Igor i wiedział, że za chwilę będzie musiał wnieść się na wyżyny aktorskich popisów.

– No cóż, zapewne kocha pan swoje dziecko. Każdy ojciec kocha swoje potomstwo. Albo zacznie pan z nami współpracować, albo nigdy więcej nie zobaczy pan córki – spokojnie powiedział Schwartz.

Igor zerwał się i zaczął uderzać kajdankami w krzesło. Ryknął niczym zraniony niedźwiedź, po czym usiadł z powrotem i spuścił głowę.

– Ona jest taka malutka... Jak możecie w ogóle myśleć, żeby skrzywdzić dziecko. Hanka Lewin mnie oszukała i zdradziła, ale Nadia jest dla mnie wszystkim.

– Starał się mówić drżącym i pełnym napięcia głosem.

Schwartz poczuł się niczym gladiator pokonujący dzikiego zwierza. Igor Łyszkin właśnie się złamał. Co by nie mówić, ale Kenig był genialnym znawcą ludzkiej psychiki.

– Układ jest prosty: pan doprowadzi nas do swojego informatora, my zostawimy pana córkę w spokoju, a pana... wymienimy na jakiegoś naszego człowieka. Abwehra i dyplomaci już to załatwią jak należy.

„Na pewno” – pomyślał Igor.

– Ja mogę umrzeć, byle tylko moje dziecko było bezpieczne – odpowiedział

z dramatyzmem w głosie Łyszkin.

– Zatem słucham... – Schwartz wziął do ręki pióro i otworzył notes. – Jak nazywa się zdrajca Trzeciej Rzeszy?

– Nie wiem. – Igor wzruszył ramionami.

– Słucham?! – Schwartz był wyraźnie poirytowany.

– Jeśli ma pan tak dobre kontakty z Abwehrą, jak pan twierdzi, to powinni pana poinstruować, że w tym świecie nie używa się nazwisk. Nazywaliśmy go „Hans”. Ale jestem niemal pewny, że nawet imię nie jest prawdziwe – ze spokojem powiedział Igor.

Gestapowiec odłożył ze złością pióro.

– Więc jak się kontaktowaliście?

– Zostawiałem mu wiadomość o terminie spotkania. W kościele Wizytek, pod obrusem bocznego ołtarza. Tam również przekazywał mi informacje o umówionej porze. – Łyszkin pamiętał, że ten kościół ocalał po bombardowaniach i miał nadzieję, że istnieje tam jakiś boczny ołtarz.

– Bolszewik w kościele. To ci dopiero. – Schwartz uśmiechnął się ironicznie.

– Najciemniej bywa pod latarnią – mruknął Igor z nadzieją, że nabiorą się na jego zeznania. Miał dużo do zyskania, przede wszystkim życie, i niewiele do stracenia, bo Niemcy nigdy nie puściliby go żywego. Musiał zaryzykować.

Następnego dnia Igor Łyszkin, pod czujnym okiem asysty z gestapo, pozostawił karteczkę z wiadomością dla nieistniejącego Hansa, kreta z Ministerstwa Wojny. Następnie klęknął w ławce i zaczął gorączkowo zastanawiać się, jak uciec, gdy przyjdzie tutaj następnym razem, by spotkać się ze swoim wymyślonym informatorem. Po lewej stronie dostrzegł wysokie drzwi, z których właśnie wychodziła zakonnica trzymająca w dłoni gromnicę. Zatem teraz drzwi były otwarte, a stamtąd musiało istnieć jakieś wyjście na zewnątrz. A co jeśli w dzień rzekomego spotkania drzwi okażą się zamknięte? Były ogromne, nie dałby rady ich sforsować. Towarzyszący mu gestapowcy czujnie go obserwowali z sąsiednich ławek. Ustalili, że na udawanej modlitwie ma spędzić trzy minuty, aby nie wydał się podejrzany, gdyby ewentualnie ktoś z jego towarzyszy go obserwował.

I wtedy zabiły dzwony, rozpraszając lekko uwagę zgromadzonych w świątyni osób. Łyszkin zerwał się z miejsca i pobiegł pędem w stronę drzwi w bocznej nawie. Przekręcił klucz po drugiej stronie i znalazł się w surowym pomieszczeniu o wysokim sklepieniu, pełnym szaf, komód i skrzyń. Przy jednej z nich stała drobna zakonnica i zamarła w bezruchu, widząc intruza.

– Gdzie jest wyjście? Gestapo mnie goni! – krzyknął i usłyszał odgłos szarpania za klamkę.

Zakonnica rozejrzała się dookoła i zaczęła przeraźliwie krzyczeć, jednocześnie otwierając drzwi, które prowadziły do dalszych części kościoła i przylegających do niego budynków zakonu. Wiedziała jednak, że mężczyzna nie zdoła uciec, bo rychło zgubiłby się w krętych korytarzach. Otworzyła jedną ze skrzyń i nakazała mu do niej wejść. Zrobił to i zamknął wieko. Po chwili usłyszał skrzyp otwieranych drzwi i histeryczny krzyk zakonnicy.

– Przewrócił mnie, uciekł tam. – Wskazała na otwarte drzwi i teatralnie przyło-

żyła dłonie do piersi. – Mało mnie nie zabił.

Gestapowcy rozpierzchli się po kościele i przyległych budynkach, nie omieszkać zająć do przepastnych szaf zakrystii. Na skrzynię jednak nie zwrócili uwagi, bo przerażona siostra po prostu na niej usiadła, udając silne zdenerwowanie. W końcu wstała, przykryła ją obrusem i postawiła na niej lichterze oraz podstawkę z brewiarzem. Na tle wysokich sklepień i wielkich szaf skrzynia w istocie wydawała się zbyt mała, aby mógł się w niej zmieścić człowiek.

W końcu funkcjonariusze znaleźli w jednym z korytarzy otwarte okno i zawyrokowali, że właśnie tędy zbiegł więzień. Wezwali posiłki i obstawili kilka przylegających do kościoła ulic. Wiedzieli, że nie mógł uciec daleko i wkrótce wpadnie w ich ręce.

– Dziękuję, sestro – powiedział Igor, gramoląc się ze skrzyni po kilkunastu minutach.

Zakonnica wzruszyła ramionami i spuściła wzrok.

– Bóg kazał być miłosierny... Myślę jednak, bracie, że to nie koniec twoich kłopotów. Musisz być kimś bardzo ważnym, bo sprowadzili ze trzy ciężarówki żołnierzy.

Igor usiadł na skrzyni i zaczął intensywnie myśleć. Nie mógł siedzieć na głowie tej uczynnej zakonnicy i narażać jej. Siostra jakby wyczuła jego intencje, bo podeszła do szafy, wyciągnęła z niej sutannę i powiedziała:

– Przebierz się, a ja pójdę poszukać ci butów, bo te od razu cię zdradzą. – Uśmiechnęła się i opuściła pomieszczenie.

Po kilku minutach Łyszkin wyglądał jak rasowy ksiądz z wciśniętym pod pachę brewiarzem. Gdy wieczorna msza dobiegła końca, cmoknął zaskoczoną zakonnice w policzek, opuścił kościół i wyszedł na plac, gdzie podjeżdżały kolejne ciężarówki, z których w pośpiechu wysiadali żołnierze. Pewnym krokiem omijał kolejne grupy Niemców, od czasu do czasu kiwając głową, jak gdyby witał się z ludźmi. Skręcił na Krakowskie Przedmieście w kierunku uniwersytetu i spostrzegł, że i tam robiło się zamieszanie. Przeszedł kilkadziesiąt metrów i obejrzał się. Niemieccy funkcjonariusze zatrzymywali kolejnych przechodniów i ustawiali pod ścianami budynków. Przyspieszył kroku i dopiero, gdy się nieco oddalił od całego zamieszania, skręcił w Traugutta, gdzie poczuł się bezpieczniej. Wziął kilka głębszych wdechów, żeby się uspokoić i rozluźnić napięcie, które przez całą drogę niemal go paraliżowało. Szkolenia, które odbył pod Moskwą, były jedynie przygrywką i teorią, tego dnia musiał wykorzystać swoje umiejętności w sytuacji prawdziwego zagrożenia. I kolejny raz spostrzegł, że intuicja i tak zwany nos są w stanie pokierować go lepiej niż przemyślane decyzje. W takich przypadkach jak ten nie było czasu na dogłębną analizę sytuacji. A może był już tak wytresowany, że miał świadomość, w które miejsce Niemcy rzucają największe siły?

Postanowił nie pozbywać się stroju księdza, stwierdzając, że jest to idealne przebranie. Nie wiedział jednak, jak opuścić bezpiecznie Polskę, ostrzec Hankę i przekazać jej informacje o Nadii. Nie posiadał ani dokumentów, ani pieniędzy. Ale miał w Warszawie przyjaciela, Juliana Chełmickiego, i żywił nadzieję, że ten i tym razem nie odmówi mu pomocy. Postanowił czatować na niego w pobliżu knajpy U Loli, gdzie spotkali się ostatnim razem. Ukrył się w jednej z bram i obserwował ulicę. W końcu doczekał się. Julian jednak nie miał zamiaru tym razem zachodzić do

„Loli”, ale przechodził tamtędy niemal codziennie, gdy zmierzał w kierunku mieszkania na Hożej. Igor ruszył za nim i gdy był tuż za jego plecami, odezwał się cicho:

– Wejdz do najbliższej bramy.

Kiedy znaleźli się już w zacisznym podwórku, dopiero zobaczył Igora w pełnej krasie i mimowolnie uśmiechnął się, wspominając niechęć Łyszki do księży i całego Kościoła.

– Widzę, że „opium dla ludu” jednak się na coś przydało?

– Potrzebuję twojej pomocy, Julianie. Uciekłem gestapo i szuka mnie teraz całe miasto. Nie mam dokumentów ani pieniędzy, a muszę się stąd wydostać – wysapał zdenerwowany Łyszkin.

Chełmicki rozejrzał się dookoła.

– Dzisiaj przenocujesz u mnie, a jutro coś wymyślimy.

Weszli do mieszkania Weroniki, która z niemałym zdziwieniem przywitała Juliana w towarzystwie księdza.

– Weroniko, poznaj mojego przyjaciela z młodości, księdza Grzegorza. Nie zdążył na pociąg, a zaraz godzina policyjna. Czy udzielisz mu na jedną noc schronienia? – zapytał wesołym tonem.

– Już się przestraszyłam, że przyprowadziłeś egzorcystę i będziesz wypędzał ze mnie szatana. – Roześmiała się, wyciągnęła dłoń w kierunku Igora i dodała: – Oczywiście, przygotuję łóżko w salonie.

W czasie, gdy Igor posilał się odgrzaną przez Weronikę zupą, Julian zastanawiał się, jak w ciągu jednego dnia zdobyć dobre papiery. Musieli jeszcze zrobić zdjęcie i zaopatrzyć Łyszki w jakąś walizkę i garderobę, żeby nie budził podejrzeń w pociągach.

– Weroniko, musisz mi pomóc. To bardzo ważne. Będę potrzebował walizki i męskich ubrań, łącznie z bielizną – powiedział cicho.

Popatrzyła na niego i zastanawiała się bardzo krótko. Wyciągnęła z pawlacza starą walizkę, a następnie z szafy ubrania swojego męża.

– Nie wiem, czy będą pasować – zatroskała się. – Mój Tadeusz nie był taki wysoki jak ten... ksiądz.

– Do poruszania się po mieście oddam mu swoje ubranie, ale musi czymś wypełnić bagaż – powiedział uspokajająco.

– Nie lepiej, żeby nadal udawał księdza? – zapytała Weronika.

– To chyba dobry pomysł, ale nie wiem, czy uda mi się zdobyć stosowne dokumenty. – Zmarszczył brwi.

– Jutro go zabiorę do szpitala. Po drodze zrobimy zdjęcie, a tam przyjdzie ktoś, kto się nim zajmie i załatwi papiery. Dogadają się, bo to też ksiądz – szepnęła.

– Ale on nie jest prawdziwym księdzem.

– Naprawdę? O cholera, a ja już miałam nadzieję, że rozgrzeszy mnie za tę noc z tobą – z sarkazmem powiedziała Weronika.

– O tak, on na pewno by cię rozgrzeszył. Za wszystko, co zrobiłaś, czego nie zrobiłaś i co jeszcze zrobisz. – Uśmiechnął się.

Wieczorem Igor wszedł do pokoju Chełmickiego i starannie zamknął za sobą drzwi.

– Przyjacielu, robisz dla mnie tak wiele, ale muszę poprosić cię o coś jeszcze. Jeśli będziesz miał możliwość skontaktowania się z Hanką Lewin, proszę, ostrzeż ją.

Niech ucieka gdziekolwiek, byle jak najdalej od Warszawy. I powiedz jej, że Niemcy nie mają jej córki. Nadia jest cała, zdrowa i w bezpiecznym miejscu. Narysuję ci mapkę. Oddaj ją Hance, ale niech uważa. Niech uważa, bo kolejny raz jej nie podarują – niemal wyszeptał Łyszkin.

– Dobrze, zrobię, co trzeba, nie martw się. Z tego, co wiem, Hanka się ukrywa w bezpiecznym miejscu, o ile w Warszawie jakiegokolwiek miejsce jest bezpieczne – westchnął Chełmicki.

– Hania jest w Warszawie? – zdziwił się Igor.

– Nawet o tym nie myśl. – Julian zrugął przyjaciela.

– A ty byś nie próbował zobaczyć Adrianny? – zapytał Igor.

– Adrianny już nie, ale to długa historia i opowiem ci ją innym razem. – Julian uśmiechnął się smutno. Po chwili poklepał po ramieniu Łyszkinina i powiedział: – Zobaczą, co da się zrobić.

Tego dnia, gdy słońce obłaskawiało ludzkie twarze swoim blaskiem, a intensywna zieleń drzew i błękit nieba pozwalały zapomnieć o ponurej rzeczywistości, dwie przyjaciółki zmierzały w kierunku Szpitala Dzieciątka Jezus. Nie był to jednak jeden z tych spacerów, na które chodziły przed wojną, by beztrudnie cieszyć się otaczającą je przyrodą. Tym razem Hanka była bardzo spięta i wystraszona, chociaż nie miała pojęcia, że Igor uciekł. A Alicja nie zamierzała jej o tym informować, dopóki jej przyjaciółka się z nim nie spotka. Obawiała się, że taka wiadomość kompletnie sparaliżuje bojaźliwą Hankę i ta nie zechce nawet wyściubić nosa z mieszkania profesora Litwina.

Weszły do gabinetu Weroniki Sarnowskiej i Alicja oniemiała. Przez cały czas myślała, że znajoma Juliana, u której mieszkał, jest nobliwą, dobroduszną panią doktor koło sześćdziesiątki z grubymi okularami na nosie i stetoskopem na szyi. Tymczasem jedynie stetoskop odpowiadał wizjom Alicji, reszta znacznie różniła się od jej wyobrażeń. Oto miała przed sobą piękną, całkiem niestarą kobietę o ponętnej figurze i uśmiechu mogącym skruszyć lód. Niczym fala uderzeniowa dotarło do niej, jak musiał czuć się Julian, widując ją w towarzystwie Martina Grossa. Nie miała czasu na snucie jeszcze bardziej katastroficznych wizji, bo pani doktor podała Hance szary habit postulantki i powiedziała:

– To chyba o panią chodzi.

– Tak – odpowiedziała Alicja, zamiast Hanki. – A ja co mam robić?

Lewinówna była nieco zdezorientowana sytuacją, ale ufała Alicji i jeśli ta kazała jej robić dziwaczne rzeczy, oznaczało, że taka jest konieczność. Pomyślała nawet, że będzie musiała tu pracować, i przeraziła się trochę, bo nigdy nie zajmowała się chorymi.

– Proszę przyjść za kilka godzin – chłodno nakazała Weronika, wyczuwając w Alicji rywalkę.

– A nie ma pani takiego drugiego? Pokręciłabym się po szpitalu i byłabym na miejscu w razie problemów – zagadnęła Alicja, bo nawet tutaj chciała być w pobliżu Hanki, gdyby ta jej potrzebowała.

– Musiałaby pani najpierw wyszorować twarz szarym mydłem, żeby zmyć makijaż. Na ogół siostry zakonne nie malują ust na czerwono i nie czernią sobie brwi –

niecو złośliwie zauważyła Weronika.

– A, prawda – mruknęła Alicja, gotowa zmyć twarz, chociażby po to, żeby pokazać tej złośliwej jędzy, że bez makijażu wygląda równie ponętnie, ale spojrzała na swoje pomalowane paznokcie i z westchnieniem zrezygnowała z pomysłu.

– Jeśli jednak chce pani pozostać na terenie szpitala, mogę pani zorganizować fartuch pielęgniarki, każde chętne do pracy ręce się przydadzą – słodko powiedziała Weronika.

„Ty franco” – pomyślała Alicja, po czym patrząc bezczelnie w oczy Weroniki, beztróskim tonem odparła:

– Doskonały pomysł, jednak makijaż zmyję, żeby nie rzucać się zanadto w oczy. – Miała nadzieję, że nie będzie musiała opatrywać ran i wynosić basenów.

– Pojedziemy windą do pralni. Proszę się pośpieszyć, muszę wracać do pacjentów – mruknęła Weronika, nieco zmieszana faktem, że Alicja nie dała się sprowokować.

Zjechały do pralni i Weronika zostawiła je same. Hankę skierowała do jednego z pomieszczeń gospodarczych, a Alicję odesłała do suszarni. Hanka Lewin weszła do niewielkiego pokoiku, gdzie nie było okna, a jedynie paliła się słaba żarówka. Po jednej stronie stały metalowe regały wypełnione baniakami ze środkami dezynfekującymi, a po drugiej nieco zdezelowane szpitalne łóżko. Oprócz tego w pomieszczeniu stał odwrócony tyłem ksiądz.

– Przepraszam, chyba pomyliłam drzwi – powiedziała nieco zdezorientowana Hanka.

Ksiądz odwrócił się i Lewinówna stanęła twarzą w twarz z Igorem Łyszkinem. Weszła do środka i zamknęła drzwi. Nie mówiąc ani słowa, podeszła do Igora i przytuliła się do niego. Co mogła mu powiedzieć, żadne słowa nie oddawały tego, co czuła, gdy widziała go idącego do samochodu z funkcjonariuszami gestapo, ani tego, co czuła teraz, gdy widziała go wolnego i żywego.

Zaczęli się całować w sposób, w jaki nie robili tego nigdy dotąd. Hanka nie myślała już o mężu, a on o tym, że jego ukochana formalnie należy do innego mężczyzny. Trwali w tym intymnym uścisku, nawet nie usłyszeli skrzypienia otwieranych drzwi. W progu stanęła wiekowa zakonnica o rumianej twarzy i nieco pulchnej posturze. Trzymała w dłoni wiadro i patrzyła osłupiała na całującą się parę, która według wszelkich prawideł nigdy całować się nie powinna. Przeżegnała się i powiedziała cicho:

– Jezusie Nazareński...

Po chwili wycofała się, cicho zamykając za sobą drzwi.

Igor odezwał się pierwszy.

– Ksiądz całujący zakonnice to musiał być szok dla tej kobieciny...

– A jeśli komuś powie i nas znajdą? – zaniepokoiła się.

– Chyba tylko drugiemu księdzu, co siedzi w tej drewnianej budce. – Łyszkin uśmiechnął się, chcąc uspokoić Hankę.

– To się nazywa konfesjonał... – odpowiedziała odruchowo.

– Haniu... – spoważniał – musimy porozmawiać, bo nie wiem, kiedy następnym razem się zobaczymy.

Spuściła głowę i szepnęła:

– Przepraszam. Igor, ja po prostu...

– Wiem, Haniu. Wiem. To ja cię przepraszam, że naraziłem cię na to wszystko. Ale uwierz, oni nie mają Nadii... – powiedział czule Łyszkin.

– Nie żyje? – zapytała, zatrwożona.

– Żyje i jest zdrowa.

– Skąd wiesz? Jesteś pewien? Gdzie ona jest? Ja muszę ją zobaczyć! – Hanka niemal histerycznie zaczęła wyrzucać z siebie pytania.

– Uspokój się – powiedział stanowczo Igor i posadził ją na szpitalnym łóżku. Wyciągnął z kieszeni kartkę i podał jej. – To jest mapka. Staralem się odtworzyć drogę jak najwierniej. Ale pamiętaj, musisz być bardzo ostrożna i dostać się tam od wsi Tomaryny. W Bocianowie nawet się nie pokazuj. Naucz się tej mapki i wyrzuć ją. Nadii pilnuje córka Maroniowej, ale nie martw się, opiekuje się nią dobrze, a mieszkańcy Tomaryn im pomagają. Wiem, że będziesz potrzebowała pieniędzy, aby się ukryć. Mój ojciec zostawił mi trochę dolarów. Ukryłem je na terenie jego fabryki, w narzędziowni. Wytłumaczę ci, gdzie dokładnie. Nie mam pojęcia, jak się tam sama dostaniesz, mój ojciec sprzedał fabrykę, ale ja, niestety, nie mogę ci już pomóc. Szukają mnie, jak się domyślasz. Bardzo intensywnie. To kwestia czasu, gdy zaczną równie mocno szukać ciebie. – Igor mówił cicho i z rezygnacją.

Nie tak to sobie wyobrażał. Pragnął zabrać je obie do miejsca, gdzie będą bezpieczne. Mieć je blisko siebie, jeśli tylko znalazłby ku temu sposobność. A gdy ta cholerna wojna się skończy, rozwieść Hankę z tym burżujem i ożenić się z nią, a Nadię uczynić swoją córką. Tymczasem mieli tak mało czasu dla siebie, a potem, gdy ich drogi się rozejdą, ponownie będzie się zamartwiał. Osobno mieli większe szanse, by przeżyć i żeby jeszcze kiedykolwiek się zobaczyć.

– Boję się, Igor – wyszeptowała.

– Ja też, kochana – odpowiedział z westchnieniem.

– Nigdy nie myślałam, że kiedyś usłyszę to od ciebie. – Uśmiechnęła się gorzko.

– Gdyby chodziło tylko o mnie, pewnie nie bałbym się tak bardzo, ale martwię się o ciebie.

Już raz stracił Hankę, niemal umierając z niepewności i żalu. Nie miał pojęcia, jak to przeżyje kolejny raz. Pocieszał się jednak, że jeśli teraz im się udało, uda się znowu. Nie wierzył nigdy w Boga, ale gdzieś w głębi duszy chciał w niego uwierzyć. W jakąś opatrność, nieskończoną siłę, która potrafi niemożliwe uczynić możliwym, a zło zamienić w dobro. W tym momencie zazdrościł tym wszystkim ludziom, których głęboka wiara wyciągała z każdej opresji. A może ta siła tkwiła w samym człowieku, w jego umyśle, i żadne bóstwo nie miało z tym nic wspólnego? On jednak nie mógł już znaleźć tej siły w sobie, pragnął zostawić ich problem czemuś silniejszemu, co pozwoli im jeszcze kiedykolwiek się spotkać.

Hanka odwróciła twarz w stronę Igora i wodziła po niej smutnymi oczami. Ocknęła się jednak i pomyślała, że jeśli Nadia żyje i żyje Igor Łyszkin, wszystko musi się jakoś ułożyć. W tej chwili to ona znalazła w sobie siłę, której tak brakowało Igorowi.

– Chcę się z tobą kochać. Teraz, póki jeszcze mamy trochę czasu. Nie chcę go marnować na smutek i żal, chcę cieszyć się tą chwilą, gdy jesteś. Nieważne, że jutro będę tęskniła i zamartwiała się o ciebie, dzisiaj, póki jesteś, chcę być tak blisko, jak tylko jest to możliwe... – powiedziała stanowczo i zaczęła pośpiesznie zdejmować

z siebie habit.

– Dopóki chwila trwa, dopóty jest nadzieja... – szepnął Igor i wyciągnął dłonie w kierunku Hanki.

Zdjął z siebie sutannę, by poczuć ciepło Hanki, jej skórę i delikatne opuszki palców, którymi wodziła po jego ciele. Chłonał jej zapach, muskał wargami usta i robił to wszystko, o czym marzył, odkąd zobaczył ją w domu Chełmickich, gdy stała przy fortepianie, z wpiętym we włosy kwiatem rumianku. Hanka była taka delikatna i wiotka, a teraz jeszcze szczuplejsza niż zwykle. Chciał tak mocno ją do siebie przytulić, poczuć z całą mocą każdy centymetr jej ciała, ale obawiał się, że może ją skrzywdzić zbyt silnym uściskiem. Ona nie miała takich obaw. Pragnęła czuć Igora jeszcze długo po tym, jak ich drogi się rozejdą. Całowała go zachłannie i łapczywie, wtulała się w jego ramiona i chciała zapomnieć o otaczającej ją rzeczywistości i o tym, co będzie jutro czy za tydzień. Nic się w tym momencie dla niej nie liczyło, tylko jego silne ramiona, całkowite zespolenie w miłosnym oddaniu, jego oddech i zapach, to jak wchodził w nią i w jaki sposób na nią patrzył. Zrozumiała, że dotychczas nic kompletnie nie wiedziała o miłości ani o tym, jak to jest, gdy kochasz się z tym jedynym, a cała reszta świata przestaje się liczyć.

To była ich chwila, wyrwana życiu, po miesiącach udręki i bólu, nagroda za to wszystko, co musieli przejść, by teraz móc leżeć na zdezelowanym szpitalnym łóżku i cieszyć się sobą. Było im cudownie i żadne z nich nie wyobrażało sobie, że to może być pierwszy i jedyny raz, gdy mogą poczuć się szczęśliwi. Musiało istnieć dla nich jakieś jutro. Hanka szeptała Igorowi pocieszające słowa, że jeszcze kiedyś zaświeci dla nich słońce, będą razem i każdego dnia będą mogli cieszyć się sobą, bo niemożliwe jest, by zasłużyli jedynie na tę krótką chwilę miłości.

Miłość jest prosta. Jeśli kogoś kochasz, nie przestajesz mieć nadziei.

Zanim Julian Chełmicki ustalił termin wykonania wyroku na mężczyźnie, którego dane otrzymał od „Sokoła”, niemal przez trzy dni do nikogo się nie odzywał. Wiezorami nie mógł zasnąć, a gdy w końcu to następowało, budził się co chwilę, dręczony duchowymi rozterkami. Bez względu na to, jak długo tłumaczył sobie, że ów człowiek był kanalią i wysłał wiele osób na tamten świat, jakaś siła ścisnęła go za gardło, dławiała i nie pozwalała na normalne funkcjonowanie. Minęło już półtora roku, odkąd wybuchła wojna i nastąpiła okupacja, która pochłonęła niezliczoną liczbę ofiar. Niekiedy zakatowanych, umierających w cierpieniach. I byli tacy wśród jego rodaków, którzy mieli krew tych ludzi na rękach. Jednak stanąć przed kimś, obojętnie czy Polakiem, czy Niemcem, wycelować w głowę i oddać strzał w zaplanowanej egzekucji było dla Chełmickiego nie lada wyzwaniem. Niczym pasowanie na mężczyznę w pradawnych plemionach i on musiał przejść swoistą inicjację. Był żołnierzem. W mundurze czy bez, ale walczył, a wykonywanie wyroków śmierci na zdrajcach i kolaborantach było częścią tej walki. Nie mógł nie wypełnić rozkazu, chyba że dotyczył najbliższej osoby, i z tej możliwości skwapliwie skorzystał. Nie chciał być Kainem bez względu na to, czego dopuścił się Emil.

Nie chciał także wiedzieć, jak całą sprawę załatwiła Alicja. Kolejny raz spytał odpowiedzialność na kogoś innego. Nie czuł się z tym dobrze, ale musiał sam przed sobą przyznać, że niektóre sprawy po prostu go przerosły. Uczucia wygrywały

z poczuciem odpowiedzialności, strach z honorem, a zazdrość z racjonalnym myśleniem. Jakże to było ludzkie i zarazem mało chlubne. Gdyby jakiś jego kompan miał podobne dylematy, zapewne poklepałby go po plecach, mówiąc: „Przecież to szuja, zasłużył na śmierć, nie musisz mieć wyrzutów sumienia”. Sam, będąc w podobnej sytuacji, już nie był taki śmiały i pewny. Wiedział jednak, że musi to zrobić.

Poszli do mieszkania Kajetana Bruzdy we trzech. Jeden z chłopaków stał przy wejściu do klatki, zaś Wiktor na półpiętrze. Julian przeładował pistolet i zadzwonił do drzwi konfidenta. Był wczesny poranek, dlatego mężczyzna otworzył mu ubrany w szlafrok i, ziewając, popatrzył na Juliana, zaskoczony. Chełmicki popchnął drzwi i wtargnął do środka. Wiedział, że Bruzda mieszka sam, a o tej porze raczej nie podejmuje gości.

– W imieniu Polskiego Państwa Podziemnego skazuję cię na śmierć – powiedział nieco drżącym głosem i wycelował broń w kierunku mężczyzny.

– To jakaś pomyłka, ja nie... – zaczął łkać Bruzda.

Ale Chełmicki nie chciał tego słuchać. Nie mógł, bo obawiał się, że wtedy zmięknie i nie zdobędzie się na odwagę, by nacisnąć spust. Wystrzelił dwa razy. Kajetan Bruzda osunął się podłogę. Chełmicki schował broń i wyszedł z mieszkania. Szybko zbiegł po schodach, bez słowa mijając Wiktora. Cały się trząsał w środku, ale przed podwładnymi starał się nie okazywać zdenerwowania. Na podwórzu kamienicy rozdzielili się i Julian wrócił do domu Weroniki.

Sarnowska szykowała się do pracy. Siedziała w swojej sypialni przed lustrem toaletki i czesała włosy. Myślała o kobiecie, która nie tak dawno przysłała do jej gabinetu. Przyjaciółka Juliana Chełmickiego. Intuicja podpowiadała jej, że to ona była miłością mężczyzny, który teraz stał poblady w drzwiach. Tak bardzo zazdrościła tej dziewczynie, że zajęła miejsce w jego sercu. Piękna, pewna siebie i bezczelna. Ona też była atrakcyjna, ale nigdy nie była i nie będzie taką osobą, jak ta pyskata dziewczyna, która kompletnie nie pasowała do takiego mężczyzny jak Julian Chełmicki. „Cóż on takiego w niej widział? Za co on ją kochał?” – zastanawiała się. „A może nie wiadomo, za co kochamy drugiego człowieka, a może kochamy mimo wszystko?” – zadreślała się, patrząc na Juliana, który wciąż stał i wpatrywał się w nią, nie mówiąc ani słowa. Wstała, podeszła do niego i przytuliła się. Objął ją i wciąż milcząc, stali w bezruchu. Przez chwilę poczuł się dobrze, a dręczące go sumienie powoli wytracało swój impet.

– Muszę iść do szpitala – powiedziała cicho.

– A ja muszę się położyć – westchnął Julian i wyswobodził z uścisku Weronikę, po czym poszedł do siebie. Poczuł się dużo lepiej i pomyślał, że są takie chwile w życiu człowieka, gdy uścisk kogoś bliskiego może zdziałać cuda.

Kiedy następnego dnia zjawił się na spotkaniu z „Sokołem”, ten nie krył wściekłości. Nie zapytał, jak poszło z Kajetanem Bruzdą, nie wspominał o obwieszczeniu władz Warszawy, że za jego śmierć zostanie rozstrzelanych pięćdziesięciu mieszkańców miasta, tylko mówił poniesionym tonem na temat zniknięcia Emila Lewina.

– Ostrzegłeś go, tak? Bo to twój przyrodni brat. A to jest szuja, donosiciel, który wydał na śmierć co najmniej kilkanaście osób! Co najmniej! – podkreślił z naciskiem. – Czyli mogło być ich o wiele więcej.

– Ostatni raz widziałem Emila Lewina przed wojną. To chyba było na weselu

jego siostry, ale nawet nie zamieniliśmy słowa. Wówczas mój... brat był zajęty zabawianiem znakomitości, które zaszczyliły Niechowskich swoją obecnością – powiedział stanowczo.

Pomyślał, że jednak Alicja zlitowała się nad tym szubrawcem. A może bardziej nad swoją przyjaciółką, Hanką, która była dla niej jak siostra. Nie było jednak ważne, jakie motywy nią kierowały, grunt, że teraz nie musiał chwilowo myśleć, czy Emil Lewin straci życie.

– To w takim razie wytłumacz mi, jak to się stało, że nagle Emil Lewin rozplynął się w powietrzu? – warknął dowódca.

– Nie wiem. – Julian wzruszył ramionami, okłamując „Sokoła”.

– Wiktor go poszuka. A znając go, na pewno znajdzie. I dowiemy się, kto pomógł mu uciec. A za to grozi sąd wojskowy – ostrzegł, patrząc przenikliwie w oczy Chełmickiego.

– Tak jest.

– Możesz odejść – powiedział cicho „Sokół” i dodał: – I mam nadzieję, że to naprawdę nie ty, bo jesteś jednym z najlepszych moich ludzi. I z tym Bruzdą... Dobrze się spisałeś.

– Zastrzeliłem człowieka... – mruknął.

– Zastrzeliłeś szuję...

Chełmicki opuścił stary magazyn i powrócił do innych zajęć, które wydawały mu się tak mało ważne w obliczu bycia katem. Potem pomyślał, że tymi prozaicznymi z pozoru zadaniami ratuje życie innym i w końcu doszedł do wniosku, że śmierć Kajetana Bruzdy była koniecznością. I wtedy jego wyrzuty sumienia po prostu zniknęły.

16. Tomaryny, 1941

Szły lasem, starając się robić to niemal bezszelestnie. Alicja tym razem zrezygnowała ze swoich eleganckich szpilek i równie wytwornej sukienki, i miała na sobie strój chłopki. Dwa miesiące wcześniej, gdy wracała z Berlina, także miała podobne odzienie, teraz jednak grubą, wełnianą chustę zamieniła na nieco lżejszą, a ciężką kaptę na dziergany serdak. Hanka także starała się wyglądać niczym chłopka, ale miała w sobie coś takiego, czego nawet pod strojem wieśniaczki nie dało się ukryć. I mimo że pochodziła ze wsi i wychowała się w walącej się chałupie, emanowała delikatnością niczym wielka pani. Nawet więzienne życie, pozbawiające wszelkich kobiecych odruchów, nie potrafiło tego zmienić. W przeciwieństwie do Alicji nawet nie zdarzało jej się przekląć, mówiła, niemal nie otwierając ust, i wykonywała gesty, jakby wciąż stała na scenie i przyjmowała kwiaty od wielbicieli. Martwiło to trochę Alicję, która niczym kameleon potrafiła przeobrażać się w różne postaci, a nawet mówić w sposób prosty i mało wyszukany. Dlatego, gdy kupowały bilety czy musiały z kimkolwiek porozmawiać, Alicja nakazała Hance „po prostu zamknąć się i nie otwierać dzioba”.

– Hanka, ty kochasz tego bolszewika? – zapytała cicho Alicja, gdy przedzierały się przez leśne gąszcze.

– Nie wiem... – niemal wyszeptała Hanka. – Staram się wmawiać sobie, że nie.

– Pomaga? – z sarkazmem zapytała Alicja.

– Nie... Za nic. – Uśmiechnęła się i złapała za ramię Alicję, po czym dodała: – Dziękuję ci. Za wszystko. Nie wiem, czy kiedykolwiek będę mogła ci się zrewanżować.

– Ty lepiej módl się, żebyś nie musiała, bo za cholerę bym nie chciała trafić na Szucha. – Alicja zmarszczył brwi. – Hanka, to chyba tutaj.

Stały ukryte w chaszczach i patrzyły na niewielką polanę. W małej, drewnianej chatce były otwarte drzwi, a kilka metrów od niej na kraciastym kocu siedziała rośla kobieta z warkoczami i próbowała karmić dziecko. Przemawiała do małej dziewczynki ciepło, odgarniała delikatnie z jej czoła kosmyki włosów i od czasu do czasu podnosiła do ust, żeby ucałować główkę dziecka. Widok był rozczulający, kobieta zachowywała się jak najlepsza matka, kochająca swoje maleństwo ponad wszystko. Dziewczyny były jednak zbyt zajęte samą Nadią, by zastanawiać się, że za kilka minut zburzą spokojny świat tej kobiety, wyrwijąc jej z rąk to, co było dla niej teraz najcenniejsze. Nie myślały, że za chwilę zamienią życie Ireny „Wariatki” w piekło żalu i tęsknoty po utracie dziewczynki, a ją pozostawią w tym miejscu kompletnie samą i głęboko nieszczęśliwą.

– To moja Nadia? – zapytała Hanka ze łzami w oczach.

– A jak ci się zdaje? Pewnie, że to ona. Chodźmy – szepnęła Alicja i hardo ruszyła przed siebie.

Gdy wyłoniły się z zarośli, siedząca kobieta zerwała się na równe nogi i trzymając w ramionach dziecko, zaczęła uciekać w stronę rzeki. Biegła na oślep, prze-

dzierając się przez gęste krzewy leszczyny i przytulając do siebie niemowlę, które jakby wyczuło niebezpieczeństwo, bo zaczęło głośno płakać. Nagle ktoś przerwał mu nie tylko posiłek, ale także czuły dotyk i dźwięk uspokajającego, ciepłego głosu. Butelka wypadła kobiecie na ziemię, kocyk zaczął o gałęzie, ale Irena nie przestawała biec, byle znaleźć się jak najdalej od intruzów.

– Ej, kobieto, nie uciekaj, nie chcemy zrobić ci krzywdy! – krzyknęła Alicja, co sił w nogach gnając za Ireną „Wariatką”.

– Ma na imię Irena – wysapała Hanka, podążająca za Alicją.

– Irena, do cholery jasnej, stój, to matka Nadii! – rozzłościła się Alicja.

Irena „Wariatka” stanęła jak wryta, ale wciąż przyciskała mocno do siebie dziewczynkę i zasłaniała ją przed kobietami. Patrzyła na nie wielkimi, zdziwionymi oczami, nie do końca wiedząc, czy ma zachować spokój, czy też rzucić się do dalszej ucieczki.

– Udusisz ją zaraz – warknęła do niej Alicja.

Hanka podeszła do kobiety i wyciągnęła ręce w kierunku dziecka. Dziewczynka zaczęła płakać.

– Lala się boi obcych – wydukała Irena.

Głos jej drżał, a oczy wypełniły się łzami. Irena nie wiedziała, co teraz będzie, gdy nagle w ich bezpiecznej przystani pojawiła się kobieta, o której szeptano w całej wsi. Osoba ściągająca nieszczęście i śmierć. To przecież przez nią straciła dom i matkę, i musiała uciekać do lasu, gdy Niemcy rozstrzelali mieszkańców Bocianowa. A teraz przybyła, by odebrać jej coś, co miała w życiu najcenniejszego, jej Lalę. Wiedziała jednak, że ten dzień w końcu nadejdzie. Najpierw przyjechał ten dziwny mężczyzna. Mówił, że jest ojcem Lali, ale był miły, bo zostawił je w spokoju. Ale Anielcia, kobieta z Tomaryn, która przynosiła im jedzenie i ubrania, powtarzała wiele razy, że kiedyś po Lalę przyjdzie jej prawdziwa matka, taka, która nosiła ją w brzuchu. Irena miała jednak nadzieję, że ten dzień nigdy nie nastanie. Jej Lala rosła, uśmiechała się do niej i nawet pojawiły się w jej buzi pierwsze ząbki. Nie wyobrażała sobie, że oto nagle pojawi się ktoś i zabierze jej dziecko.

– Boże... – Hanka zaczęła płakać i cofnęła wyciągnięte ręce. – Moje dziecko mnie nie poznaje.

– Przestań. Jak ma cię pamiętać, jak cię z osiem miesięcy nie było. Pobędziecie trochę razem i będzie dobrze – zrugowała Hankę Alicja.

Chciała jak najszybciej zabrać dziewczynkę i opuścić to złowróżbne miejsce. Na sentymenty mogły sobie pozwolić, gdy już będą względnie bezpieczne. Alicji łatwiej było zachować zimną krew, bo nie rozumiała, co oznacza być matką, ale wiedziała, że należy być czujnym i szybkim, by znaleźć się w bezpiecznym miejscu jeszcze przed godziną policyjną.

Irena „Wariatka” podała Nadię Hance, a po jej policzkach płynęły wielkie jak grochy łzy.

– Moja Lala, moja Lala, co ja bez niej zrobię? – załkała.

Nie walczyła jednak, nie wyrwała siłą dziewczynki z rąk Hanki, stała po prostu bezradnie w gąszczu krzewów, które bezlitośnie wysmagały jej twarz i ręce, gdy rzuciła się do ucieczki.

W czasie, gdy Hanka cieszyła się z faktu odnalezienia swojej córki i próbowała ją nieco uspokoić, Alicja patrzyła na Irenę „Wariatkę” i nie bardzo wiedziała, jak ma

się zachować w obliczu tragedii, jaką przeżywała ta upośledzona kobieta. Patrzyła bezradnie na rozpacz osoby, która kochała małą dziewczynkę równie mocno, co jej matka.

– Będiesz miała kiedyś swoje dziecko. Swoją córeczkę, z którą już nigdy nie będziesz musiała się rozstawać. – Poklepała kobietę po ramieniu, ale jej zapewnienia nie brzmiały zbyt przekonująco.

– Ale Lala jest moją córeczką – powiedziała kobieta ze zdziwieniem.

Hanka podeszła do Ireny.

– Nawet nie wiem, jak mam ci dziękować, że zaopiekowałaś się moim dzieckiem. Jesteś dzielną kobietą, jesteś moją bohaterką. Wrócisz do normalnego życia, nie będziesz musiała się już ukrywać. – Hanka mówiła cicho, z wielką życzliwością i ciepłem w głosie.

Miała świadomość, co w tej chwili musi przeżywać ta dobronńska kobieta, która okazała tyle serca jej córce. Nie mogła jednak ani pozostawić w tym miejscu Nadii, ani samej tutaj pozostać. Irena „Wariatka” będzie musiała po prostu pewnego dnia pogodzić się z faktem, że dziewczynka nie była jej dana na zawsze. Było jej smutno i przykro, ale co mogła zrobić?

– Ja chcę być z Lalą. – Irena wydeła usta i znowu zaczęła łkać.

– Chodźmy. – Alicja pociągnęła Hankę za rękaw. – Musimy stąd iść, nie mamy czasu... Hanka, proszę.

Alicja chciała jak najszybciej opuścić to dziwne miejsce, nie tylko z uwagi na nagłą zmianę czasu, ale również dlatego, że chciała, aby obraz cierpiącej kobiety zniknął jej przed oczu. Sytuacja była patowa, a Irenie nie można było pomóc.

Zaczęły iść w stronę zagajnika, nie oglądając się za siebie. Dobiegał jednak do ich uszu przejmujący jęk, który roznosił się echem po lesie i potęgował rozpacz kobiety.

W pewnej chwili Hanka zatrzymała się i powiedziała stanowczo:

– Nie mogę, Alicja. Ja tak nie mogę. Nie zostawię jej tutaj. Ona nie ma nikogo. Przeze mnie straciła matkę i dom. A teraz straciła Nadię. Proszę, zróbmy coś.

Alicja westchnęła. Ona także nie mogła pogodzić się z tą sytuacją. Już sama nie wiedziała, czy ów przejmujący szloch wciąż jest rzeczywisty, czy pozostał w jej uszach niczym złe wspomnienie. Poczula się jak potwór. Przyjechały, zrujnowały czyjś świat i odchodziły szczęśliwe, że dopięły swego, pozostawiając kobietę bezbronną i kompletnie załamana. A fakt, że to dzięki Irenie „Wariatce” Nadia przeżyła, dodatkowo potęgował wyrzuty sumienia, które nią owładnęły.

– Dobra, wracam po „Wariatkę” – westchnęła. – Idź już powoli w stronę wsi, ja po nią pójdę. Tylko co dalej?

– Porozmawiam z Litwinem... A potem czegoś poszukam. Może uda się nam odzyskać pieniądze z fabryki Łyszkiniów i wtedy gdzieś wyjedziemy... A Irena będzie z nami – powiedziała Hanka.

– Poszukiwana przez gestapo kobieta, ryczący dzieciak i wariatka. To sobie narobiłam bigosu – mruknęła pod nosem Alicja i zaczęła przedzierać się przez krzaki, by wrócić po obcą kobietę, która tak wiele straciła także przez obcych jej ludzi.

Podeszła do zwiniętej w kłębek Ireny, która leżała na trawie, szlochając, jak gdyby szargał ją ból fizyczny. Ścisnęła w dłoniach kocyk Nadii, przytulając do twarzy, jakby chciała poczuć chociaż zapach dziewczynki, która była dla niej wszystkim.

Jej córką, jej Lalą.

Alicja potrząsnęła za ramię Irenę.

– Wstawaj – powiedziała stanowczo, bo chciała, aby ta jak najszybciej powróciła do równowagi. – Pojedziesz z nami.

– Dokąd? – wyłkała Irena.

– Do Lali. – Alicja uśmiechnęła się i pomogła „Wariatce” wstać z ziemi.

Wyraz twarzy Ireny wypogodniał dosłownie w jednej sekundzie. Wytarła zasmarkany nos rękawem sukienki i wpadła do chatki, by pozbierać w pośpiechu rzeczy małej, zawiązać w tobolek wraz ze swoją skromną garderobą i ruszyła za Alicją, wciąż nie przestając się uśmiechać.

– Ona ma jakieś dokumenty? – szepnęła Alicja do Hanki.

– A skąd ja mogę wiedzieć? – odparła spokojnym głosem, nieco oderwana od przyziemnych spraw. Była tak szczęśliwa z odzyskania córeczki, że zdawała się kompletnie nie myśleć o problemach, które mogą po drodze napotkać.

Alicja zatrzymała się i szarpnęła za rękaw Lewinównę.

– Hanka? Oprzytomnij, bo niedługo się będziesz dzieciakiem cieszyła – warknęła, rozzłoszczona.

– O czym ty mówisz? Mówiłaś, że nasze papiery są doskonałe – zdziwiła się.

– Posłuchaj – zaczęła tłumaczyć, niczym dziecku – my mamy papiery w porządku, ale teraz mamy jeszcze dziecko, którego poszukuje całe gestapo, i stukniętą kobietę, która chyba nie ma przy sobie żadnych dokumentów i nie wiadomo, co powie, gdy zaczną ją wypytywać.

– To ją zapytaj. – Hanka wzruszyła ramionami i zaczęła ponownie przedzierać się przez krzewy do leśnego duktu.

Alicja przewróciła oczami i bez większej nadziei zapytała Irenę:

– Masz papiery? No, wiesz, tam, gdzie jest napisane, jak się nazywasz i gdzie mieszkasz.

– Mama miała. – Pokiwała głową.

Alicja już nie wypytywała dalej. Dom, w którym niegdyś mieszkały Maronio-we, był teraz jedynie kupką popiołu i gruzu, poza tym dotarcie do Bocianowa nie wchodziło w grę. Zaczęła intensywnie myśleć, bo nie mogła liczyć na żadną z towarzyszących jej osób. Gdy doszły do drogi, zobaczyły kobietę niosącą wiklinowy kosz.

– Anielcia, Anielcia! – krzyknęła nagle Irena, pozbawiając Alicję oddechu ze strachu.

Kobieta zatrzymała się na drodze i burknęła:

– Kim jesteście i gdzie je zabieracie?

Hanka i Alicja popatrzyły na siebie, nie bardzo wiedząc, kim jest kobieta i co powinny jej odpowiedzieć. Jednak Irena „Wariatka” nie wahała się ani przez moment.

– To mama Lali. Taka mama, co ją w brzuchu nosiła. Teraz Lala ma dwie mamy.

– Prawda to? – Kobieta wciąż była czujna.

Alicja zrezygnowała z konspiracji, bo Irena, kompletnie niewyczuwająca zagrożenia, i tak powiedziałyby, co jej leży na sercu.

– Tak, to prawda. To matka dziewczynki i zabieramy Irenę do Warszawy – z westchnieniem powiedziała Alicja i dodała: – Nie ma się gdzie podziać, jej chałupa

spalona, a ona... tak bardzo polubiła tę małą.

Anielcia przeżegnała się, a potem wykrzesła coś na kształt uśmiechu.

– A opiekujcie się nią dobrze, bo ona to trochę sama jest jak dziecko... A panią... – Wskazała oskarżycielsko palcem w kierunku Hanki, domyślając się, że jeśli przytula do siebie dziewczynkę, zapewne jest jej matką. – ...to zdaje się gestapo szuka?

– Tak – powiedziała Alicja i potaknęła głową. – Dlatego nie mamy czasu na pogawędkę. Poza tym Irena nie ma żadnych dokumentów i gada, co jej ślina na język przyniesie.

Starsza kobieta podeszła do „Wariatki”, złapała ją za ramiona i z lekka nią potrząsając, zaczęła mówić stanowczym głosem:

– Pamiętaj, jak ta pani ci powie, że masz nic się nie odzywać, to masz nie gadać. Bo inaczej Lalę zabiorą i uciekną.

– Niech pani jej nie straszy – zachnęła się Hanka.

– Wiem, co robię. Znam ją, odkąd z pieluch wyrosła. Tak trzeba, bo inaczej nie usłucha – odpowiedziała Anielcia, po czym pożegnawszy się z kobietami, ruszyła dalej.

W istocie Irena przyjmowała proste i stanowcze komunikaty. Nie było to ani subtelne, ani przesadnie eleganckie, ale jeśli chciały żywe dotrzeć do bezpiecznego miejsca, nie było czasu na sentymenty.

Mimo że Irena milczała jak zaklęta, Alicja wciąż się gryzła, jak bezpiecznie dojechać do Warszawy i co zrobić, żeby w razie kontroli nie wzbudzić podejrzeń. W końcu wpadła na pewien pomysł. Niemcy panicznie bali się wszelkich chorób zakaźnych, a najbardziej tyfusu. Musiały zatem z Ireny zrobić nieprzytomnie chorą. Na stacji obwiązały jej głowę chustką oraz zakryły prawie całą twarz. I tak wsiadły do pociągu, nakazując Irenie milczenie i niewykonywanie jakichkolwiek gwałtownych ruchów. Ze ściśniętymi gardłami czekały na kontrolę.

Tuż przed Warszawą ujrzały patrol przechadzający się wzdłuż siedzisk. Sprawdzali dokumenty. Hanka i Alicja wyjęły swoje i podały żołnierzowi.

– A ta o, to co? – warknął żołnierz. – Proszę dokumenty.

– Zaraz wyjmę jej z kieszeni. Tyfus złapała, do szpitala jedziemy, bo już z gorączki majaki ma. Tylko gdzie ona je ma...? Hm... – powiedziała spokojnie Alicja, patrząc ukradkiem na Hankę, której wystąpiły na czoło krople potu, po czym zaczęła obmacywać Irenę.

– Niech pani ją zostawi – powiedział spanikowanym głosem żołnierz i odsunął się od miejsca, gdzie siedziały kobiety. – Zaraz się wszyscy pozarazamy.

Alicja wzruszyła ramionami i burknęła:

– Przecież chciał pan obejrzyć dokumenty? A jej nie chce pan pooglądać?

Żołnierz, nawet nie czytając papierów Hanki i Alicji, oddał je pośpiesznie i szybkim krokiem opuścił przedział, nie sprawdzając dokumentów pozostałych pasażerów.

– Chryste Panie... – jęknęła pobladła Hanka. – Ty to masz nerwy ze stali.

– Nie mam. – Alicja wzruszyła ramionami. – W takich momentach po prostu wyłączam strach. Dopiero później się denerwuję, wtedy, gdy mogę sobie na to pozwolić.

Profesor Litwin złapał się za głowę, gdy zobaczył w swoich progach cztery niewiasty, w tym jedną w wieku niemowlęcym, drugą nieco ociężałą umysłowo i dwie dobrze mu znane. Te ostatnie nie musiały go jednak zbyt długo przekonywać, aby Hanka, Irena i Nadia mogły się u niego zatrzymać. Gdy Alicja zegnała go, powiedział z lekkim rozbawieniem:

– I pomyśleć, że jeszcze nie tak dawno czułem się taki samotny...

Alicja również się uśmiechnęła, ale była pewna obaw, jak niezbyt zaradna i pełna dramatycznych wspomnień Hanka poradzi sobie z maleństwem i upośledzoną kobietą. Jedyna nadzieja tkwiła w byłej fabryce Łyszkinów, gdzie Igor ukrył pieniądze otrzymane od ojca. Dzięki nim mogłyby wyjechać w spokojne i bezpieczne miejsce, by dotrzeć do końca wojny. Nie miała jednak pomysłu, jak dobrać się do pozostawionych w narzędziowni dolarów.

Jednak kilka dni później okazało się, że jej obawy były bezpodstawne. Odzyskanie córki i fakt, że Igor uciekł z rąk gestapo, obudziły w Hance zupełnie nowe pokłady sił i wiary we własne możliwości. Jak gdyby jej przyjaciółka, która od wielu lat jawiła jej się jako anioł, delikatny niczym mgiełka, nagle zeszła z obłoków na ziemię, by wieść człowieka żywo.

Zatrudniła się na fałszywych dokumentach jako pracownica fizyczna w fabryce należącej niegdyś do Łyszkinów, a opiekę nad Nadią powierzyła Irenie „Wariatce”, przekonana, że ta prędzej odda życie za jej córkę, aniżeli pozwoli ją skrzywdzić. Wynosiła co kilka dni jeden zwitek dolarów ukrytych przez Igora w narzędziowni i składała w metalowej skrzynce po przedwojennych herbatnikach. Jeździła kolejką do Jabłonnej i Karczewa, i przywoziła stamtąd jedzenie, obwiązując wokół swojej wąskiej kibici sznurki z płatami słoniny, pęta kielbasy, a do swojej eleganckiej walizki upychała słoiki ze śmietaną, rąbankę i inne dobra nieosiągalne w sklepach.

Odkąd znalazła się na wolności, nie spotkała się z bratem, nie chcąc narażać go na niebezpieczeństwo, i nie była także świadoma czynów, jakich się dopuścił. Niekiedy widywała go z daleka na peronie stacji, odzianego w lniane spodnie i wygniecioną koszulę, w towarzystwie równie niechlujnie ubranego mężczyzny. Myślała, że i Emil, podobnie jak tysiące warszawiaków, jeździ na wieś po prowiant, by wyżywić siebie i swoją rodzinę. Uśmiechała się do siebie, patrząc na brata, który tak jak i ona przywykł do świata, który był tak bardzo różny od tego, w jakim żyli przed wybuchem wojny. Miała czasami ochotę podbiec do niego i rzucić mu się na szyję, ale obawiała się, że może nadejść dzień podobny do tego, który ona przeżyła, gdy kazało jej dokonać wyboru pomiędzy córką i ukochanym mężczyzną. Nikomu nie życzyła znalezienia się w podobnej sytuacji, a tym bardziej rodzonemu bratu. Nie chciała, żeby Emil musiał kiedykolwiek wybierać pomiędzy nią a swoim synem czy narzeczoną. Dlatego wpatrywała się z daleka w człowieka, który jedyny z rodziny pozostał przy życiu, i wystarczył jej fakt, że jej brat wciąż chodzi po świecie.

Hanka cieszyła się z każdej drobnej przyjemności. Radował ją zapach świeżo ściętych kwiatów, które sprzedawały na mieście kwiaciarki, smak wiejskiego chleba wypiekanego na chrzanowych liściach, śmiech Ireny „Wariatki” i przytulanie Nadii. Nawet jej tęsknota za Igorem była czymś niezwykłym. Tak długo czekała na miłość, najpierw z niepokojem i chłodną kalkulacją, aż wreszcie poczuła, że owo uczucie, chociaż bolesne, potrafi uskrzydlać i sprawić, iż człowiek inaczej spogląda na świat.

Wspominała niekiedy te długie miesiące na Pawiaku, gdy życie było tak nie-
znośne, że jedynie myśl o śmierci i nicości była ukojeniem. Ale to już minęło, bo
miała przy sobie Nadię, a Igora w sercu. Cieszyła się więc z każdej minuty tego znie-
nawidzonego niegdyś życia, jakby narodziła się na nowo, a wszystko, co złe, było za
nią. I chociaż wciąż groziło jej niemal śmiertelne niebezpieczeństwo, patrzyła mu
w twarz z odwagą, jakiej nigdy wcześniej nie miała.

Lato nadchodziło wielkimi krokami, a wynoszone z narzędziowni dolary two-
rzyły całkiem pokaźny stosik, gdy Hanka postanowiła rozejrzeć się za jakimś przy-
jemnym lokum na wsi. Czasami towarzyszyła jej Alicja, ale obie od dawna wyrosły
z życia na prowincji i każde miejsce, które odwiedzały, wydawało im się okropne.

– Nie mogę, no nie mogę – jęknęła Hanka.

– Posłuchaj, Hanka, przecież to nie na zawsze. Ta piekielna wojna musi się
skończyć. Szwabry z Ruskimi rzucą się sobie do gardeł i może będzie jak w osiemna-
stym roku, gdy odzyskaliśmy w końcu wolność. Ale teraz... Hanka, wychodzisz na
miasto i nie wiadomo, czy wrócisz, nie mówiąc o tym, że gestapo tak łatwo nie zre-
zygnuje z dorwania Igora.

– Wiem... – westchnęła. – Ale na wsi czułam się szczęśliwa tylko wtedy, gdy
był przy mnie Igor. A może dlatego, że bałam się wtedy niemal wszystkiego. Strach
mnie paraliżował, nie pozwalał spać, a gdy już zasypiałam, miewałam koszmary. Te-
raz jednak, gdy wszystko, o czym myślałam, mi się przytrafiło, postanowiłam odwró-
cić zły los. I nie chcę mieszkać na wsi... Chcę wrócić do Warszawy. To moje uko-
chane miasto. Tutaj wspięłam się na sam szczyt, spotkałam miłość i jeśli mam zdy-
chać, to chcę zdychać właśnie w tym mieście.

– Nie bądź teraz taka bohaterka, Hanka – zrugła ją Alicja. – Nie ma człowie-
ka, który wyciągałby bez przerwy same dobre losy. Oni cię szukają i boją się, że
w Warszawie cię znajdą. A jaką masz szansę na ucieczkę z niemowlęciem i chorą
umysłowo kobietą? Zerowe.

– Dobrze, Alicja, w końcu ty uratowałaś mi życie i masz prawo odrobinę o nim
decydować. – Uśmiechnęła się. – Ale pozwól mi jeszcze trochę pobyc w Warszawie.
Przyrzekam, że jak tylko zacznie się lato, wyjadę na prowincję.

„To już niebawem” – pomyślała Alicja i odetchnęła z ulgą.

Przez kilka minut milczały, idąc polną drogą w kierunku stacji kolejowej. Wi-
dok był sielski, zwłaszcza że nastał maj i drzewa owocowe uginały się pod kwiatami
w kolorze bieli i różu, a soczystość traw nadawała wiejskiemu pejzażowi błogości.
Alicja jednak rozumiała Hankę. Można było przyjechać na wieś w niedzielę, gdy po-
goda sprzyjała, by na chwilę się wyciszyć, rozmarzyć czy w spokoju przeczytać jakąś
romantyczną książkę, jednak bycie tam przez cały czas zdawało się Alicji przeraźli-
wie nudne. Dzień podobny do dnia, w oderwaniu od świata, bez porywów emocji
i zgiełku wielkiego miasta. I chociaż Warszawa była już tak inna, złowroga i pełna
Niemców, miała w sobie klimat i ruch, czego kompletnie brakowało na tej głuchej
wsi.

– Jakoś mi niedobrze – jęknęła Hanka i zaczęła łapczywie pochłaniać powie-
trze.

– Nic dziwnego, zjadłaś tyle kiełbasy, że mnie by chyba skręciło – mruknęła
Alicja.

– Wiesz, odkąd wyszłam z więzienia, gdzie jadłam jedynie podłą zupę z bru-

kwi albo obrzydliwy chleb, jak mi co ładnie zapachnie, to się najeść nie mogę. – Uśmiechnęła się i nagle dodała beztrąsko: – Wiesz, Alicja, wydaje mi się, że znowu przy nadziei jestem.

Alicja jak wryta stanęła pośrodku polnej drogi. Przez kilka chwil nie powiedziała słowa, bo odebrało jej nie tylko władzę w nogach po tym, co usłyszała, ale i mowę.

– O Boże Przenajświętszy – powiedziała ze zgrozą, gdy już odzyskała głos.

– Ja się cieszę. Wiem, że moment nie jest szczególny, ale to byłoby dziecko Igora, więc czyż nie byłoby pięknie? – powiedziała Hanka, wciąż głosem dźwięcznym i radosnym.

– Nie! – warknęła Alicja. – Już doprawdy nie miałaś się w kim zakochać, tylko w ruskim szpiegu. A swoją drogą Hanka, toś ty płodna jak kotka. Niedługo to strach będzie cię na pięć minut z chłopem zostawić.

– Tak, to prawda. Z Tomaszem jak tylko się pilnować przestałam, to ciachprach i w ciąży byłam. Ty za to masz szczęście, że podobna do mnie nie jesteś, boby trzeba specjalnie dla twoich dzieci ochronkę wybudować. – Zachichotała.

– I dzięki Bogu, bo ja chcę mieć dziecko jedynie z Julianem, a i to na razie niemożliwe – westchnęła Alicja. – Jeśli okaże się, że naprawdę będziesz miała dziecko, to już wyjścia nie masz i musisz wyjechać z Warszawy, bo profesorowi już całkiem włosy wypadną. A takaś święta była, no, no. Dwóch chłopów i z każdym dziecko żeś zmagstrowała. Ciekawa jestem, co mężowi powiesz, jak się zjawi?

– Żeby wracał z powrotem, skąd przybył – prychnęła Hanka. – Taki kochający mąż, co to żonę i córkę na pastwę losu zostawił.

– Za to ten czerwony zajzajer przykleił się do ciebie, jak pijawka. Ech, Hanka, masz ty szczęście do tych swoich wybranków. – Alicja w końcu się roześmiała.

Zrobiła to, bo stwierdziła, że nic innego w tej sytuacji jej nie pozostało. Hanka skomplikowała sobie życie tak bardzo, że chyba nie można było już bardziej, ale przecież to była Hanka, a ją Alicja przyjęła do swojego serca z całym bagażem błędów i porażek. Martwiła się jednak o nią i gdzieś w głębi duszy myślała, że może i dobrze by się stało, bo wtedy Hanka opuści Warszawę, a ona nie oszaleje z niepokoju.

To musiało być dziwne uczucie nosić pod sercem dziecko człowieka, którego się kocha. Alicja, gdy już ochłonęła nieco, nawet jej odrobinę pozazdrościła. Gdyby mogła mieć dziecko z Julianem... Tak, żadna wojna by jej nie powstrzymała.

Nerwowa atmosfera, jaka zapanowała w rodzinie Lewina, była wręcz namacalna. Przenieśli się z dobytkiem na Wolę, do niewielkiego mieszkania, które nawet nie umywało się do tego, które opuścili. Pogorszenie warunków bytowych nie było jednak głównym powodem, dla którego Emil chodził albo milczący, albo kipiący wściekłością. Był przekonany, że to jego ojciec, Antoni, węszył, węszył i wywęszył, że Lewin donosi na gestapo. Po co miał więc prosić o przysługę jakiegoś Szwaba, gdy mógł rodaka, a przy okazji wykazał się czujną postawą obywatelską. Chwilami pocieszał się, że podziemie ma mniej sprawny aparat niż gestapo, nie mówiąc o ludziach i pieniądzach, ale i tak wciąż oglądał się za siebie, zaś załatwianie spraw na Kercelaku i innych bazarach pozostawił Frankowi.

Czuł wdzięczność do Alicji, że jej przyjaźń z Hanką zwyciężyła ich wzajemne animozje i lojalność w stosunku do ojczyzny, chociaż o to drugie raczej jej nie podejrzewał, bo kilka ładnych miesięcy żyła ze Szwabem i w dodatku z SS. Nawet Julian Chełmicki, jej wielka miłość, nie był w stanie stanąć między nią a Hanką. I dzięki temu Emil uciekł spod kuli żołnierzy z polskiej konspiracji.

Kiedy już nieco okrzepł i poczuł się bezpieczniej, zaczął rozmyślać o pięknej Renate, z którą spędził noc. Jego namiętność do Adrianny już całkiem się wypaliła, a ponętna folksdojczka wciąż zaprzętała jego myśli.

Emil zastanawiał się niekiedy, czy przypadkiem nie ma w sobie czegoś ze zdobywcy. Póki Adrianna nie zwracała na niego uwagi i była zakochana w Chełmickim, on szalał. Lecz gdy po pewnym czasie zdobył ją, jak gdyby była trofeum odebrany bratu, jego uczucie zdawało się wypalać, by w końcu zniknąć, jakby nigdy nie istniało.

Teraz miał podobne odczucia w stosunku do Renate. Była nieprzystępna, zimna i potraktowała go jak zabawkę do zaspokojenia swojej pożądliwości. I może właśnie dlatego nie mógł o niej zapomnieć. Kim była ta piękna dziewczyna, niemal nieosiągalna i obojętna na jego spojrzenie i czarujące słowa?

Postanowił ją odwiedzić. Włożył marynarkę i eleganckie spodnie, ogolił się porządnie i nawet pociągnął włosy francuską brylantyną. Adrianna ucieszyła się, że jej Emil w końcu zaczyna wyglądać jak prawdziwy dżentelmen i nie szczędziła mu słów uznania. Lewin, słysząc te komplementy, uśmiechał się szyderczo pod nosem, bo oto Adrianna była nieświadoma, że ów strój przyodziął jedynie dlatego, by uwieść inną kobietę. Ale panna Daleszyńska już go kompletnie nie interesowała, jedynie wzbudzała w nim litość i tylko dlatego nie oznajmił jej, że właśnie wybiera się na spotkanie z kochanką.

Nie zastał jednak Renate Zoll w mieszkaniu. Zaklął w duchu, ale nie zamierzał tak szybko rezygnować i czekał na nią w bramie kamienicy. Wkrótce ujrzał ją, gdy wracała do domu, niosąc ze sobą sprawunki.

– Witaj, piękna Reniu – zagadnął uwodzicielsko.

– My się znamy? – chłodno zapytała Renate.

To było jak policzek wymierzony w jego męską dumę. Postanowił nie odpuszczać i miał nadzieję, że nie zostanie poniżony przez Renate, jak niegdyś przez Adrianę.

– Poszliśmy razem do łóżka. Nie tak dawno. A ty mnie już nie pamiętasz? – zadrwił Emil.

Popatrzyła na niego i zmierzyła wzrokiem, dokładnie tak samo, jak na Kercelaku, gdy kupowała apaszkę.

– A, to ty – bąknęła, znudzona, jakby owo zdarzenie, tak pamiętne dla niego, było dla niej nic nieznaczące.

Lewin zaczął się irytować. Wciąż nękały go kompleksy. Wiele mógł znieść, ale nienawidził, gdy ktoś nie okazywał mu szacunku. Starał się usprawiedliwić jednak jej obcesowe zachowanie, bo mimo chłodu kochanki nie chciał rezygnować z tej znajomości.

– Może powtórzymy naszą randkę? – zagadnął.

– Randkę? – Roześmiała się, ale nie szyderczo, ale naturalnie i dźwięcznie.

– Po prostu nie znalazłem słów, żeby to opisać. – Lewin już się nieco rozluźnił

i dodał: – Nie musisz być taka. Przysięgam, że cię nie skrzywdzę.

Wbiła w niego zimny wzrok.

– Ja już nie dam się skrzywdzić. Więc co proponujesz? – zapytała.

– Może najpierw pójdziemy do kina, a potem... potem co będziesz chciała – odpowiedział, uradowany z faktu, że zaczęła mięknać.

– Nie jesteś jednym z tych Polaczków, co to mawiają, że tylko śwynie siedzą w kinie? – Kolejny raz zadrwiła.

– Nie jestem. Jeśli nie będziemy chodzić do kina czy teatru, w końcu na powrót staniemy się narodem barbarzyńców – mruknął.

– Wiesz... nawet mi się podobasz, chociaż nie lubię Polaków. To wredny naród. – Wydeła wargi i dodała: – Ale mogę pójść z tobą do waszego kina.

„Wasze kino” oznaczało miejsca przeznaczone dla Polaków, gdzie propaganda wylewała się niemal z każdego pokazu. Ale Lewinowi nie chodziło o to, żeby wpaływać się w ekran, ale być blisko Renate. Kino dawało większą intymność niż na przykład kawiarnia. Gdy zgasną światła, mógł trzymać ją za rękę, dotykać ustami jej lśniących i pachnących włosów albo szeptać do ucha słowa, które sprawią, że ich wieczór zakończy się w łóżku Renate. Nie chciał, żeby odbyło się to tak, jak za pierwszym razem. Czuł się wtedy dziwnie, bezpodmiotowo. A on chciał, żeby łączyła ich romantyczna intymność, która być może przerodzi się w coś głębszego. Nie interesowało go, jak mogłaby się poczuć Adrianna. Zapewne tak, jak on kiedyś. Więc jeśli potrafił sobie z tym poradzić, ona także przeżyje. Uważał, że po tych wszystkich wypełnionych pracą i niebezpieczeństwem dniach należy mu się odrobina relaksu i wytchnienia w miłym towarzystwie. Nie wspominając już o dręczących go koszmarach dotyczących wydanego na niego wyroku. Postanowił jednak, że nie da się zastraszyć. Wystarczający lęk czuł, gdy kolejne dostawy szmuglowanego towaru docierały do Warszawy. Było to jednak warte zachodu, z tygodnia na tydzień robił się coraz bogatszy i miał nadzieję, że gdy wojna się skończy, on będzie ustawiony. Już nawet szwagier ani Hanka nie będą mu potrzebni do tego, by być kimś. A tę możliwość dawały pieniądze, zwłaszcza duże pieniądze.

Lewin i Renate Zoll nie dotarli jednak do kina. Zdążyli przejść kilkaset metrów, gdy przy krawężniku zatrzymał się czarny opel i wysiedli z niego dwaj mężczyźni. Podeszli do pary i wylegitymowali, po czym nakazali Emilowi wsiąść do samochodu. Lewin był jednym z nielicznych Polaków, których bardziej ucieszył fakt, że zatrzymało go gestapo, a nie jego rodacy z podziemia. Z tymi pierwszymi żył całkiem dobrze i nigdy im się nie naraził, w przeciwieństwie do osób, na które donosił.

Samochód z funkcjonariuszami i Emilem Lewinem wjechał za bramę siedziby gestapo na Szucha. Wysiedli i ruszyli w stronę gabinetu samego Gerharda Keniga. Lewin przełknął ślinę i poczuł zdenerwowanie. Nie znał nowego szefa gestapo, co więcej, nawet mu do głowy nie przyszło, że mógłby kiedykolwiek przekroczyć próg jego pokoju. Za to słyszał o nim dużo. Że jest bezwzględny dla podwładnych, zdeterminowany, żeby zlikwidować w Warszawie polskie podziemie, i cechuje go nieprzećiętna inteligencja. Lewin tego obawiał się najbardziej. Z oficerami, z którymi się widywał, nawet z samym Bergerem, szefem referatu, mógł sobie pozwolić na pewne uniki i manipulacje. A teraz będzie musiał poradzić sobie z Kenigiem, który uchodził za sprytnego i przebiegłego.

– Witam, panie Lewin – odezwał się Kenig, uśmiechając się szeroko. – Słysza-

łem, że ostatnio rzadko nas pan odwiedza. Czyżby nas pan unikał?

– Dzień dobry. – Lewin niepewnie skinął głową. – Nie, skądże.

– Nie dzwoni pan, nie przychodzi, wyprowadził się pan z naszego mieszkania. Tak się nie traktuje przyjaciół. No, chyba że już nimi nie jesteśmy. A my wypuściliśmy na wolność pana siostrę, chociaż okazała się wyjątkowo niewdzięczna i gdzieś zniknęła. Może pan nam powie, co się z nią dzieje? – Kenig wciąż nie przestawał się uśmiechać.

– Dostałem od niej wiadomość, że jest wolna, ale nie widziałem się z nią i nie wiem, gdzie teraz przebywa, przysięgam – zaczął jękać się Emil.

– Założmy, że panu wierzę. Zresztą pani Lewin-Niechowska nie jest już przedmiotem naszych nadmiernych zainteresowań... – westchnął Kenig.

– Dziękuję, że pan uwolnił Hankę... Siostrę moją znaczy.

Lewin był coraz bardziej zdenerwowany, bo nie miał pojęcia, czego szef gestapo może od niego chcieć. Nie pasowało mu również bycie na powrót szpiclem gestapo. Nie z uwagi na jakieś skrupuły czy wyrzuty sumienia, po prostu zajmował się czymś innym i tracenie czasu na szpiegowanie wywrotowców nie było mu na rękę. Wiedział jednak, że musi się na to godzić, aby on i Hanka mogli żyć w spokoju i przede wszystkim potrzebował ochronnego parasola na wypadek, gdyby jego rodacy chcieli go zamordować. Milcząco wyczekiwał na dalsze instrukcje.

– Zatem rozumiem, że nadal chce nam pan pomagać, panie Lewin – powiedział Kenig.

„Chociaż ten nie mówi na mnie Lenin” – pomyślał Emil i odpowiedział:

– Naturalnie, Standartenführer Kenig.

Kenig wyciągnął w kierunku Emila papierośnicę, sam także zapalił papierosa, wypuścił kłęb dymu i wyciągnął z szuflady tekturową teczkę. Wyjął z niej fotografię i podał Lewinowi.

– Zna pan tę kobietę? – zapytał.

Emil wpatrywał się w fotografię i zastanawiał się, co ma powiedzieć. Ze zdjęcia patrzyła na niego osoba, która ostatnio uchroniła go przed śmiercią. Jego koleżanka z młodości i najlepsza przyjaciółka jego siostry, Alicja Rosińska. Po jej ostatniej wizycie mógł się domyślić, że jej romans z tym oficerem niemieckim może być wykorzystywany przez polski ruch oporu. W przeciwnym razie nie dysponowałyby wiedzą, że otrzymał wyrok. A może działała na dwa fronty? Nie miał pojęcia, jak z tego wybrnąć. Wiedział jednak, że nie może wyprzeć się tej znajomości. Nikt mu nie uwierzy, a zwłaszcza przebiegły Kenig, że nie zna najlepszej przyjaciółki Hanki. Postanowił iść tym torem.

– Tak, znam. To Alicja Rosińska, tancerka. I przyjaciółka mojej siostry – powiedział z pewnością w głosie.

– Co więcej pan o niej wie? – drążył Kenig.

Emil Lewin wzruszył ramionami.

– Wychowała się w Chełmicach, tam, gdzie ja i moja siostra. Potem tańczyła w Warszawie, teraz chyba żyje z jakimś niemieckim oficerem, taka, wie pan... latawica. Niespecjalnie ją lubię, zresztą ostatnio jej nie widuję, bo nie chadzam do Café Clubu – odpowiedział Lewin, starając się, aby jego głos był spokojny i pewny.

– Latawica... Hm... Tego określenia nie słyszałem. – Kenig uśmiechnął się sztucznie i wyciągnął kolejną fotografię.

– Z tym oficerem pan ją widywał? – zapytał.

– Tak, Gross czy Kloss, nie pamiętam dokładnie i nigdy nie zostaliśmy sobie przedstawieni.

– Tak, to by się zgadzało. Więc może nie jest aż tak straszną... Jak to pan powiedział? – bąknął Kenig.

– Latawicą... Może się zakochała w panu Grossie? – Niczym tonący brzytwy Emil chwycił się bezpieczniejszego wątku.

– Tak... Może... Ale widywano ją także w towarzystwie innego mężczyzny i nie ukrywam, że on interesuje nas znacznie bardziej niż Martin Gross.

Kolejne zdjęcie trafiło pod nos Lewina. Tym razem Łyszkin, komunisty i wielbiciela jego siostry. Nie miał pojęcia, jaki związek może mieć Alicja Rosińska z tym czerwonym gnojem, przez którego jego siostra na długie miesiące wylądowała w więzieniu.

– To chyba ten absztyfikant mojej siostry. Rosjanin. Łyszkin. Zrobiłem wszystko, co w mojej mocy, żeby został schwytany i w końcu zostawił w spokoju moją siostrę. To dzięki mnie natrafiono na bolszewicką komórkę w Warszawie. Jednak nigdy, przysięgam, nie widziałem go w towarzystwie Alicji. Powiem więcej, gdy pewnego dnia rozmawialiśmy, Alicja była bardzo zaniepokojona znajomością Hanki z tym człowiekiem – powiedział Emil i z ulgą przyznał w duchu, że tym razem nawet nie musiał kłamać.

– Może chciała go odbić Hance? – Zaśmiał się.

Emil Lewin nie miał pojęcia, dlaczego człowiek na tak eksponowanym stanowisku interesuje się podobnymi bzdurami. Zawirowania miłosne rodem z Mniszkówny kompletnie nie pasowały do spraw, jakimi powinien zajmować się szef gestapo. A może robił z niego idiotę? Emil poczuł się jeszcze gorzej, bo nie wiedział, do czego zmierza Kenig. Tymczasem szef gestapo przekładał kolejne zdjęcia osób, których Lewin, ku wielkiej uldze, nie widział nigdy na oczy, by wyłowić ze sterty fotografię Alicji rozmawiającej w podwórzu jednej z kamienic z Julianem Chełmickim, jego bratem. Krople potu zrosiły mu czoło, gdy patrzył na zdjęcie młodego Chełmickiego. Zatem powrócił do Polski, a jego nadopiekuńczy ojczulek postarał się, aby Emil Lewin nie wchodził mu w drogę. I pewnie dlatego uruchomił swoje znajomości, by w końcu zrobić z niego zausznika gestapo. „Zatem kto od miecza wojuje, od miecza musi zginąć” – pomyślał Lewin i powiedział bez wahania:

– To Julian Chełmicki, oficer wojska polskiego. Po kampanii wrześniowej zbiegł do Francji. To młodzieńcza miłość Alicji Rosińskiej, ale być może spotkali się przypadkowo. Julian Chełmicki także pochodzi z Chełmic.

– Hm... Oficer polskiego wojska... – zadumał się Kenig. – Sympatyzuje z komunistami?

– Nie sądzę. Już szybciej słucha rządu londyńskiego – złośliwie powiedział Lewin.

– Panie Lewin, powiem otwarcie, dotarcie do tego człowieka jest dla nas priorytetem. Sam pan rozumie, tutaj panna Rosińska oczarowuje naszego oficera, a w bramie beztrąsko gwarzy z byłym oficerem wojska polskiego – mruknął Kenig.

– Będę miał oczy i uszy otwarte, ale na tyle, na ile znam pannę Rosińską, mogę stwierdzić, że ją interesują raczej przyziemne sprawy. Ładne sukienki, pantofle i morze szampana – powiedział Emil, chcąc odsunąć podejrzenia od Alicji. Wciąż jej nie

lubił, ale jednak był jej coś winien.

Kenig pożegnał Lewina i zamyślił się. Jego podejrzenia zaczęły nabierać realnych kształtów. Ten cały Chełmicki być może nie lubił bolszewików, ale obrotna panna Rosińska mogła być wtyczką jednych i drugich. A Martin Gross idealnym źródłem informacji. Miał nadzieję, że wkrótce Alicja Rosińska trafi do więzienia, a Martin Gross pod sąd wojskowy. A on... kolejny raz wkupi się w łaski gubernatora Fischera.

Jednak jego dedukcje i Emil Lewin nie były wystarczającymi dowodami na zdradę Grossa. Nawet gdyby teraz zdjął Rosińską, Martin mógłby jawić się jedynie jako ofiara występnej kochanki. Na pewno taka niefrasobliwość pozbawiłaby go możliwości kolejnych awansów, ale nie byłby podejrzany o zdradę. Tymczasem nos Keniga podpowiadał mu, że Martin Gross jest zdrajcą i jeszcze dobrze mu za to płacą. Ta parka z piekła rodem najpewniej gromadziła środki, by uwić sobie gniazdko w miejscu, gdzie ich związek mógłby być akceptowany. „Ech, Martin – pomyślał Kenig. – Jak mogłeś dać się zakręcić zwykłej polskiej dziwce”. Po chwili widział już oczami wyobraźni te wyróżnienia i medale za schwytanie na łonie SS szpiega. Kret w końcu zakończy swoją działalność, a on będzie mógł poczuć dumę z dobrze wykonanej pracy.

Wezwał Schwartza i gdy ten stanął przed jego biurkiem, powiedział:

– Nie spuszczać z oczu Alicji Rosińskiej. I meldujcie mi o wszystkim osobście.

– Tak jest, Standartenführer Kenig! – wykrzyknął Schwartz.

– I jeszcze jedno: ta operacja jest ściśle tajna. Proszę wybrać czterech najlepszych ludzi i nikt więcej nie może się dowiedzieć, że ją obserwujemy. Sam rozumiesz, to delikatna sprawa. Nie chcę, żeby Obersturmbannführer Martin Gross nabral jakichkolwiek podejrzeń, że to on może być obiektem naszych obserwacji – dodał Kenig.

– Czy Obersturmbannführer Martin Gross jest podejrzany? – zapytał Schwartz.

– Czyś ty zwariował, Schwartz? – syknął Kenig. – Jego ojciec to zaufany człowiek gubernatora Fischera i Hermanna Goeringa. Możesz odejść.

W razie niepowodzenia misji Gerhard Kenig wolał nie być podejrzewany o szpiegowanie oficera z takimi rodzinnymi koneksjami. A w lojalność Schwartza po prostu nie wierzył. Ten człowiek musiał go nienawidzić. Dopóki nie zjawił się w Warszawie, Jürgen Schwartz uchodził za jednego z najlepszych oficerów śledczych, gdy tymczasem Kenig udowadniał mu na każdym kroku, jakim jest idiotą. Bo właśnie w ten sposób o nim myślał i uważał, że w razie problemów Schwartz będzie świetną ofiarą, którą poświęci, gdy przyjdzie mu ratować własną skórę.

Miał jednak nadzieję, że jego nos go nie zawiedzie i zatrzymanie Grossa na gorącym uczynku będzie jego kolejnym spektakularnym osiągnięciem. Wolał nie rozpałmiętywać porażki z Łyszkinem ani wyzywać się za to na tym idiocie, Schwartzu. Przeciwnie – okazując mu pobłażanie, zdobył jego wdzięczność. Ale Kenig wiedział swoje i ciężko odchorował ucieczkę Łyszki. Schwartz spieprzył sprawę koncertowo i dlatego bez żalu Kenig postanowił wystawić go na żer Grossowi. A jeśli akcja się uda, wtedy zaprosi Schwartz na dobrą kolację, zawnioskuje o jego awans i zamiast drzemiącej w nim niechęci zdobędzie jego dozgonną sympatię.

17. Moskwa, 1941

– A niech to jasny szlag trafi! – krzyknął Łyszkin, rzucając słuchawkami o blat biurka.

– Więc stało się – z rezygnacją powiedział Jurij.

– Tak, wojsko niemieckie przekroczyło nasze granice. Ciekawe, jak długo nasz rząd chciał się oszukiwać, że nie dojdzie do najgorszego. Wszystko dzieje się u nas za wolno i za późno, a fala Wehrmachtu raczej to wykorzysta, aniżeli poczeka, aż Żukow, Beria i Stalin pójda po rozum do głowy – z westchnieniem stwierdził Łyszkin.

– Dla mnie to Beria popełnił największy błąd – powiedział Sacharow i ściszył głos. – Słyszeliście o Pietrowskim?

– Nie, wiecie, że trochę mnie tutaj nie było, a potem bardziej skupiałem się na byciu Iwanem i innych sprawach niż na ploteczkach?

– To nie ploteczki. Pietrowski trafił do więzienia – wyszeptał Jurij.

– Za co? – zdziwił się Łyszkin. – Pietrowski był jednym z najlepszych agentów. Osiągał zdecydowanie lepsze wyniki niż kuzyn Berii, który przy Pietrowskim wypadał jak amator. A może to właśnie zazdrość sprawiła, że ktoś postanowił się go pozbyć?

– Pietrowski wciąż przysyłał informacje, że atak Niemiec jest pewny. Tym samym wiadomości otrzymywane od pupilka Berii, Kobałowa, że Stalin może spać spokojnie, należało włożyć między bajki. Nawet Brytyjczycy wysłali nam dane dotyczące daty agresji... A wiecie, co zrobił Beria? Posadził Pietrowskiego za szerzenie dezinformacji, a wiadomości z Londynu wyrzucał do kosza, jako kłamliwe i oszczercze. I teraz ciekawe, co robi.

– Jutro spotkam się z Golikowem, może trochę puści farbę, ale nie sądzę. Zapewne pokieruje nas do innych zadań, a operację „Klasztor” nakaze zawiesić – westchnął Igor.

– Tyle miesięcy przygotowań i wszystko psu w dupę – jęknął Sacharow, bo miał nadzieję, że ich spektakularna akcja okaże się wielkim sukcesem.

Tymczasem Hitler zaatakował Związek Radziecki i z każdą godziną coraz bardziej wdierał się w głąb kraju, nacierając zarówno od północy, przez republiki nadbałtyckie, jak i od południa, zajmując po kawałku Ukrainę. Natomiast Józef Stalin milczał. Nie wygłaszał orędzia do narodu czy jakiejś odezwy. Nie wypowiedział się ani słowem na temat niemieckiego ataku, zostawiając wszystko w rękach generałów. Ta cisza była niepokojąca i mimo że Armia Czerwona wciąż przesuwała się w kierunku wroga, jej straty były ogromne. Jak gdyby Niemcy wiedzieli, że w radzieckim wojsku panuje chaos i brak przywództwa.

W chwili, gdy Igor Łyszkin pojawił się w gabinecie Golikowa, ten nie krył paniki. Minał kolejny dzień, a wódz narodu milczał. Przemawiał Żukow i Mołotow, a Stalin siedział zamknięty w swoim domu i pogrążał się we własnej niemocy. Wszyscy z jego najbliższego kręgu obawiali się, że wielki Józef Stalin po prostu poddał się, zwłaszcza gdy docierały do niego informacje o kolejnych zdobytych przez Wehrmacht miastach, zniszczonej flocie sił powietrznych i drapieżnym parciu na Kijów,

Leningrad i Moskwę. Jednak inni dowódcy i generałowie nie mogli czekać z założonymi rękami, aż wódz przemówi, ale realizowali swoje plany.

– Pojedziecie do Lwowa – rozkazał Golikow. – Spotkacie się z naszym człowiekiem i sprawdzicie, jak wygląda realizacja naszych rozkazów.

– Tak jest – powiedział Łyszkin i dodał: – Czy akcja „Klasztor” zostaje zamknięta?

– Nie, będziemy ją kontynuować. Nasi ludzie w niemieckich szeregach są nam potrzebni bardziej niż kiedykolwiek. Niech Sacharow robi wszystko, co do tej pory, a wy ponownie się tym zajmiecie po powrocie ze Lwowa. Muszę tam wysłać człowieka, któremu ufam w stu procentach.

– Dziękuję, generale – odpowiedział Igor.

– Wiecie, że mamy problemy z Ukrainą. Obawiamy się, że Niemcy zostaną tam przyjęci z otwartymi ramionami. A to oznacza naszą konfrontację nie tylko z nazistami, ale też z Ukraińcami. Nasz człowiek we Lwowie nazywa się Wania i niepokoi mnie, że straciliśmy z nim kontakt. Więc albo nie żyje, albo... zdradził.

– Co o nim wiemy?

– Wszystko, Łyszkin. Jego ojciec to Rosjanin, ale matka Ukrainka. Kto wie, co mogło urodzić się w jego głowie... Albo ma problemy i należy mu pomóc – powiedział ostro Golikow i popatrzył przenikliwie na Igora.

Łyszkin pojął aluzję wobec jego pochodzenia, jak gdyby Golikow chciał go ostrzec.

– Gdzie go znaleźć? – zapytał Igor, przełykając ślinę, bo poczuł się nieco dziwnie po słowach generała.

– Mieszka na Gródeckiej. Jego głównym zadaniem było werbowanie informatorów wśród więźniów politycznych. Chcieliśmy sprawdzić nastroje wśród Ukraińców i Polaków, i ich stosunek do Niemców. Teraz jego misja i tak jest bezcelowa – z westchnieniem powiedział Golikow.

– Dlaczego? To właśnie teraz tacy informatorzy byliby najbardziej przydatni – zdziwił się Łyszkin.

Golikow machnął ręką.

– Teraz to już nie ma kogo werbować – powiedział nieco tajemniczo i podał Igorowi papierową teczkę z informacjami o lwowskim kontakcie.

Wania Ruszkow naprawdę nazywał się Wołodia Griszczuk i nic nie wskazywało na to, że mógł zdradzić. Ale być może wpadł i zadaniem Łyszkinina było sprawdzenie tego.

Dotarł do Lwowa dwa dni później. Atmosfera napięcia i niepewności wręcz rozsadała miasto. Na ulicach pojawili się czerwonoarmiści, a szpicle NKWD dosłownie opanowali miasto. Igor jednak miał inne zadanie niż rozglądanie się po mieście. Dotarł do mieszkania Wani, znajdującego się w starej kamienicy, i zastukał. Odpowiedziała mu cisza. Po chwili jakaś kobieta wyjrzała z sąsiedniego mieszkania.

– Pan z milicji? – zapytała.

– Nie. Jestem przyjacielem Wani Ruszkowa – odpowiedział beztroskim tonem, ale trochę się zaniepokoił pytaniem kobiety. – A dlaczego z milicji?

– Dzwoniłam do nich. Dwa razy. Zeszłej nocy słyszałam strzały w jego mieszkaniu. I tak powiedziałam. Odpowiedzieli, że przyjadą, ale nie zrobili tego. Pewnie dlatego, że wojna... Ale jak tak nie przyjadą, a tam jakiś trup leży, to zacznie śmier-

dzieć – powiedziała sąsiadka, bardziej przejęta ewentualnym fetorem niż śmiercią sąsiada.

– Nie lubiła go pani? – zapytał.

– Ja tam z obcymi gadać nie będę – burknęła kobieta i zatrzasnęła drzwi.

Łyszkin postanowił, że wejdzie do mieszkania Wani i sprawdzi informacje kobiety. Wyciągnął z plecaka wytrych i otworzył drzwi. Owszem, wewnątrz zapach roznosił się nie najciekawszy, ale Igor wyczuł raczej woń spirytusu, suszonych ryb i taniej machorki aniżeli trupa. Wszedł do pokoju i zobaczył leżącego na kanapie mężczyznę, który głośno chrapał. W dłoni trzymał pistolet i przytulał go do siebie niczym najdroższe dziecko. Na stole stały opróżnione butelki po wódce, kryształowa popielniczka wypełniona po brzegi niedopałkami i zatłuszczony papier, na którym spoczywały cuchnące ryby.

Łyszkin delikatnie wyjął broń z dłoni mężczyzny i potrząsnął go za ramię. Ten ocknął się i zaczął rozglądać się, najpewniej za pistoletem, który Igor odsunął na bezpieczną odległość.

– Masz pociąg do Kijowa o siedemnastej dwadzieścia pięć – podał hasło Igor.

– Pojadę tym o dwudziestej pierwszej czterdzieści – wybełkotał mężczyzna i Igor wiedział już, że ma do czynienia z Wanią.

– Idź, weź zimny prysznic – mruknął Łyszkin.

– Jak masz mi rozwalić łeb, to po co się będę mył? – Ziewnął.

– Nie mam zamiaru rozwalać ci łba, ale musimy porozmawiać. Straciliśmy z tobą kontakt, myśleliśmy, że wpadłeś, a ty łoisz wódkę – ostro powiedział Igor.

– Wyświadczysz mi przysługę, przyjacielu. Ja nie miałem dość odwagi – westchnął Wania.

– A dlaczego miałbyś to robić? Ta wojna była pewna – powiedział Igor, nie do końca przekonany, czy na pewno z tego powodu agent chciał się zabić.

– To kim jesteś? – zapytał Wania.

– Przyjacielem – bąknął Igor i niemal siłą wepchnął mężczyznę do łazienki.

Po kilkunastu minutach Wania powrócił i niemal całkowicie oprzytomniał. Drżącą ręką przypalił papierosa i wysyczał:

– Nie chcę już być agentem. Nie nadaję się. Po tym, co zobaczyłem, i po tym, co kazano mi robić, nie chcę już służyć Związkowi Radzieckiemu.

– Wania, to chwilowa niemoc. Każdego z nas dopada zwątpienie. To legendy, że agenci są twardzi jak skała i nic ich nie ruszy. – Igor nieporadnie próbował pocieszać kolegę po fachu, którego nigdy wcześniej nie widział na oczy.

– Robiłem na Brygidkach. Wiesz, polityczni, zdrajcy. Polacy, Ukraińcy. Nikt nie wiedział, kim jestem, nawet kierownictwo więzienia. Robiłem swoje i byłem całkiem niezły, szefowie byli zadowoleni... – gorzko opowiadał Wania i zaczął szukać w butelkach resztek alkoholu.

– To chyba dobrze – niepewnie powiedział Łyszkin.

– Przyszły rozkazy. Od samego Berii. Wszyscy polityczni mają zginąć, zanim przyjadą Niemcy do Lwowa. Każdy jeden, i dali nam na to tydzień. Kilka tysięcy ludzi. Nie jestem jebanym katem ani maszynką do mordowania. Ale musiałem. I musiałem na to patrzeć. – Wania zaczął się trząść na samo wspomnienie więziennej masakry.

– Mieli ich ewakuować – zaczął mówić Igor, ale Wania przerwał mu.

– Mieli, mieli, ale nie zdążyliby. Kazali ich zlikwidować. A ja nie mogłem się ujawnić i stamtąd prysnąć. Człowieku... – Wania zaczął szarpać Łyszkiną za poły koszuli.

– Uspokój się, Wania! – Igor odepchnął go. – Taką mamy robotę, to nie dla wychuchanych paniczków.

– *Job twoju mać*, to było jak rzeź prosiąt. Rozumiesz? Staliśmy unurzani po kostki w ludzkiej krwi, bo odpływy się zatykały, gdy krzepła. Zamuroywaliśmy ich żywcem w celi, żeby się podusili, bo nikt już nie wytrzymał ani widoku rzeki krwi, ani smrodu trupów. A potem to trzeba było uprzątnąć i wywieźć ciała. Trupiarnia, stary, trupiarnia. Flaki na wierzchu, odrąbane siekierami głowy, wydlubane oczy, kurwa, jedna wielka rzeź. – Wania zaczął drzeć. W końcu zasłonił twarz rękoma i szeptał, bardziej do siebie niż do Łyszkiną: – Wszędzie krew i ludzkie flaki, kurwa, pół dzielnicy śmierdziało. Śmierć za śmiercią, trup za trupem. I oni, moi towarzysze, mordercy. Jeden taki tam jest, w karty razem graliśmy, Michał się nazywa. Pieprzył młodą dziewczynę, a potem ją udusił gołymi rękami, a potem znów pieprzył. A ona od dwóch godzin nie żyła. Później pił ze mną wódkę i ani ręka mu nie zdrząła. Ja miałem kiedyś narzeczoną, Swietlanę, jakże ja bym tak mógł... Kurwa, kimkolwiek jesteś, zastrzel mnie, bo nie pozbędę się tych widoków do końca życia – zakończył cicho.

– Nie zastrzelę cię, nie po to tutaj przyjechałem. Ale muszę napisać raport i nie wiem, co mam tam zamieścić...

Igor był wstrząśnięty opowieścią Wani, ale nie bardzo chciało mu się wierzyć w takie barbarzyńskie praktyki. Nie był dzieckiem, wiedział, że ginęli i giną ludzie. Wrogowie systemu, zdrajcy i konfidenci. Widział niekiedy tortury na szpiegach obcych mocarstw i sam był katowany przez gestapo, ale to, o czym mówił Wania, było jakimś festiwalem śmierci, unicestwianiem masowym, nawet zwierzęta zdawały się istotami mniej okrutnymi. Jednak coś musiało być na rzeczy, jeśli złamało takiego człowieka jak Wania. Cieszył się zaufaniem najwyższych władz, interesowało się nim kierownictwo i zlecało najtrudniejsze zadania na terenie Polski i Ukrainy. A Łyszkin ujrzał zupełnie innego człowieka, niż to wynikało z jego dossier. Kompletnie rozdygotanego i gotowego nawet strzelić sobie w łeb, byle wymazać z pamięci upiorne widoki.

– Zabierz mnie do Moskwy – jęknął Wania. – I niech mnie nawet wyślą na front. Ja już do tego fachu nie wrócę.

Igor Łyszkin wiedział jednak, że nie jest to takie proste, jak mogło się na pozór wydawać. Jak to kiedyś powiedział jego kumpel, Jurij Sacharow, z radzieckiego wywiadu można było odejść jedynie w kondukcje pogrzebowym.

– Jesteś pewien, Wania? – z wahaniem zapytał Igor.

– Nie jestem. – Wzruszył ramionami. – Żałuję, że zamiast uciec i udawać martwego, upijałem się, by nie myśleć. Gdybyś nie przyjechał, albo zachlałbym się na śmierć, albo zebrał na odwagę i zastrzelił się, albo... zniknął.

– Twoja sąsiadka mnie widziała... – powiedział Łyszkin.

Wania prychnął.

– Nienawidzi mnie. Jej mąż... skończył jak inni. Spłynął w ścieku.

Igor siedział na kanapie w mieszkaniu agenta Wani i bił się z myślami. Miotał się pomiędzy obowiązkiem i chęcią pomocy obcemu człowiekowi. A jak on reago-

wałby na podobne praktyki, wypełnianie tak okrutnych rozkazów? Jak przeżyłby nuzanie się w ludzkiej krwi i bestialstwie, którego nie tylko byłby świadkiem, ale i sprawcą? Gdzieś istniała granica walki o słuszną sprawę. Ale czy Wania mówił prawdę, czy bredził w pijackiej malignie?

– Posłuchaj, Wania... – Podjął decyzję. – Zaprowadź mnie tam. Na Kazimierzowską. Powiem, że z kontroli jestem. A jeśli potwierdzą się twoje słowa, napiszę raport, że poległeś na służbie z rąk wywrotowców, a ciebie puszcze wolno.

– Nie wiesz, na co się porywasz. – Wania uśmiechnął się smutno. – Jeśli masz rodzinę, jakieś uczucia albo moralność, nie przetrzymasz tego i sam uciekniesz. Jestem twardy chłopak, wiele w życiu widziałem. Mieszkaliśmy w małej ukraińskiej wiosce, gdy nadszedł głód w tysiąc dziewięćset trzydziestym drugim. Nas nie dotknął, bo ojciec już wtedy służył ojczyźnie, ale widziałem, jak wywożono wozami trupy ułożone jak bochenki chleba, jak dzieci jadły liście z drzew, a czasami piach, by cokolwiek poczuć w ustach. Pewnego dnia żołnierze zabrali starą babkę, Iwanówną. Jeszcze żyła, ale była w agonii, więc rzucili ją na wóz z trupami. I nawet to nie zmieniło ani mojej postawy, ani poglądów. Ojciec mi mówił, że tak musi być i że to słuszne, żeby Ukraina dostała lekcję pokory, więc wierzyłem. Ufałem władzy i walczyłem. Niejednego zastrzeliłem, niejednemu poderzłem gardło, bo był wrogiem i nastawał na moje życie, ale to, kolego, było piekłem. Jeśli istnieje coś poza ziemskim życiem i w istocie źli ludzie ponoszą konsekwencje swoich czynów na ziemi, to takie miejsce musi właśnie tak wyglądać.

– Chłopie, mówisz mi takie rzeczy, że nie chce mi się wierzyć. Nie rozumiem, po co w ogóle ta krwawa jatka? Przecież Niemcy nie przyjadą tutaj, żeby oddać Ukraińcom ich ziemię, tylko żeby ją zawłaszczyć, i Beria powinien o tym wiedzieć – z westchnieniem powiedział Igor.

– Też się nad tym zastanawiałem... i doszedłem do wniosku, że to musi być część jakiejś większej strategii. Chcesz, to idź tam sam i przekonaj się, ale szczerze ci odradzam, bo stracisz wiarę w naszą sprawę, tak jak ja – zakończył smutno Wania.

– Dobrze, zbieraj się. Pojadę tam sam, a twojej sąsiadce powiem, że nie znalazłem ciebie ani żywego, ani twojego trupa – postanowił Igor.

– I co napiszesz w raporcie? – zatrwożył się Wania.

– Coś, co sprawi, że nikt nie będzie cię szukał – westchnął Igor.

Pożegnali się na klatce schodowej, Igor opuścił budynek i skierował się w stronę więzienia NKWD. Gdy zbliżał się do gmachu więzienia przy Kazimierzowskiej, serce zaczęło mu mocniej bić. Fetor roznosił się obrzydliwy.

W biurze przedstawił się jako kontroler z centrali NKWD w Moskwie i zrobił to w sposób tak stanowczy, że nikt nie ośmielił się nawet zażądać od niego dokumentów. Zapytał o Wanię Ruszkowa.

– Melduję, że Wania Ruszkow od tygodnia nie pojawia się w pracy – odmeldował jeden z kierowników zmiany.

– Sprawdzaliście, co się z nim dzieje? W jego domu? – ostro zapytał Igor.

– Nie, towarzyszu. Mamy tutaj ręce pełne roboty i mało ludzi. Myśleliśmy, że się rozchorował... Może... – zaczął jąkać się mężczyzna.

– A może to zdrajca, nasz wróg, i tylko czeka, aż jego nowi wybawiciele pojawią się we Lwowie? – obłudnie zasugerował Łyszkin.

– Melduję, że nie pomyśleliśmy o tym... – Kierownik był mocno wystraszony

pytaniem Igora.

- A jak wam idzie wykonanie dyrektywy?
- Melduję, że są trudności, ale radzimy sobie.
- Wszyscy już nie żyją? – zapytał bez ogródek Łyszkin.
- Prawie. Zostało ich może z dwustu – raportował oficer.
- No, to pokażcie mi, z jakimi trudnościami się borykacie, towarzyszu. – Igor

wydał wargi.

- Tak jest. Ostrzegam, że to nie jest przyjemny widok.
- Przyjemne zafunduję sobie, jak wygramy tę wojnę. Na tę chwilę musimy robić to, co do nas należy – mruknął mało życzliwie Igor.

Przeszli do piwnic więzienia NKWD, o istnieniu których postronne osoby nie miały pojęcia. Jedynie ci, którzy byli tu więzieni. Ale oni i tak nie mogliby o nich opowiedzieć, bo nigdy z nich nie wychodzili.

Akcja „Rozładunek”, mająca na celu ewakuację i wywożenie więźniów politycznych w głąb Związku Radzieckiego, nie była niczym innym niż masową egzekucją, poprzedzoną torturami, o jakich normalny człowiek nie mógłby nawet pomyśleć. Do Igora Łyszkinina zaczęło docierać, że podobne miejsca znajdują się w Kijowie, Wilnie i wielu innych miastach. Nie sądził, żeby Lwów był miejscem odosobnionym, krew musiała się lać również tam.

Idąc ciemnymi korytarzami więzienia, Igor poczuł się jak w koszmarnej śnie. Krew chlupotała pod nogami, zewsząd dochodziły agoniczne jęki tych maltretowanych albo takich, których nie dobił wybuchający granat i dogorywali wśród ciał dzieciątek, jeśli nie setek więźniów. Oficer tłumaczył mu, jak trudno jest zabijać masowo i jak bardzo się starają, by w ciągu wyznaczonego czasu pozbyć się wszystkich więźniów. Czy którykolwiek z nich, oprócz Wani, miał jakąś refleksję, że to rzeź, barbarzyństwo i piekło na ziemi? Wołodia Griszczuk trafił tutaj z misją, a nie jako kat i być może widok takiego ogromu śmierci po prostu go przerósł, tak jak zaczął przerażać Igora? Łyszkin nie mógł pojąć, po co to wszystko, jeśli słyhać już było samoloty Luftwaffe i czołgi Wehrmachtu? Przebiegłość, spryt czy zwykła wściekłość i pokazanie: „my też potrafimy mordować, strzeżcie się”? Szedł otępiąły, patrząc na kolejne cele, gdzie zamurowywano drzwi z upchniętymi więźniami w środku, jak zza ściany słuchał oficera NKWD i marzył, żeby jak najszybciej opuścić to miejsce. Nie pamiętał, co powiedział na odchodne i jak dotarł poza teren więzienia. Targany torsjami stał w bujnych krzakach i wymiotował, jakby chciał wyrzucić z siebie te obrazy kaźni. Jego granice, tak jak granice wytrzymałości Wołodii, zostały właśnie przekroczone.

Wracał do Moskwy z głową pełną pytań i wątpliwości. I był przekonany, że nikt nie odpowie na jego pytania ani nie rozwieje wątpliwości. Kołatały mu w głowie opowieści Wołodii o rozcinanych brzuchach ciężarnych kobiet, uderzaniu głowami o kamienne ściany, przesuwaniu się obrzydliwej krwi i wspomnienie fetoru, który doprowadzał do obłędu. Musiał jednak wziąć się w garść. Naziści zajmowali kolejne tereny i triumfowali, a Armia Czerwona jakby przysnęła, wypuszczając naprzeciw potęgę militarnej Rzeszy słabo uzbrojone masy ludzkie, bezlitośnie miażdżone przez wroga. Igor nie wiedział, jak daleko może posunąć się to szaleństwo. Bo to już było jakimś nieludzkim obłędem, rakiem toczącym świat. Ale Związek Radziecki był jego ojczyzną i bez względu na to, co zobaczył w wykonaniu swoich rodaków, musiał bro-

nić swojej matki – wielkiej Rosji.

18. Warszawa, 1941

Tym razem spotkanie Alicji z majorem odbyło się bez udziału pozostałych członków grupy. Nie miało także miejsca w ich stałym punkcie, ale w jednym z mieszkań. „Sokół” był najwyraźniej czymś przybity, bo mówił cicho i bardzo spokojnie. Przeważnie jego głos był stanowczy, jednak tego dnia było inaczej.

– Poprosiłem cię o spotkanie w tym miejscu, bo sprawa jest bardzo delikatna. Szukaliśmy przecieku i po wnikliwym sprawdzeniu wyszło, że jest wśród nas zdrajca. Nie pracuje dla Niemców, ale dla komunistów. W tej chwili wszyscy walczyliśmy przeciwko nazistom, ale to nie zmienia faktu, że chciano nas okraść. Teraz walizki z pieniędzmi przewozi inna kurierka, ale mnie to nie daje spokoju. Jeśli mamy u nas kreta, tamta strona musi wiedzieć o nas bardzo dużo... A w świetle tego, co planujemy, jest to bardzo niewygodne dla nas, żeby nie powiedzieć... niebezpieczne. Za kilka tygodni wyruszasz z Grossem na Uznam, a twoim cieniem będzie jeden z chłopaków. Zanim jednak wyjedziesz, powinniśmy się dowiedzieć, który nie będzie...

– Co mam robić? – zapytała rzeczowo Alicja, bo „Sokół” budził w niej taki respekt, że nawet nie próbowała z nim dyskutować. Nie pałała do niego przesadną sympatią, zwłaszcza gdy rzucał na nią podejrzenia, ale nie śmiała wdawać się z nim w żadne spory. On wydawał rozkazy, a ona musiała ich słuchać.

– Pojedziesz raz jeszcze do Berlina. Odbędziesz dokładnie taką samą marszrutę, ale dwie rzeczy będą inne. Po pierwsze, z Dresdner Banku wyjdiesz bez pieniędzy. Po drugie, pojedziesz tam sama. Teoretycznie. W praktyce zapewne kret wyruszy za tobą i wraz ze swoimi kompanami będzie chciał przejąć pieniądze. A my wtedy dowiemy się, kto to taki. Dasz radę wyrwać się spod skrzydeł Grossa na dwa, trzy dni? – zapytał.

– Powiem, że jadę do rodziny, do Chełmic. – Alicja wzruszyła ramionami.

– Niedawno tam byłaś. Nie wzbudzisz jego podejrzeń? – zatroskał się „Sokół”.

– Babcia i dziadek będą obchodzili rocznicę ślubu. To bardzo dobry powód, żebym musiała tam pojechać. Rozumiem, że teraz nie będę już nazywała się „Schwein”? – z nadzieją w głosie zapytała Alicja. Nie była małostkowa, ale owo paskudne nazwisko wywoływało w patrolach śmiech, a przy tym zwracało uwagę. Pospolite zapewne zostałyby rychło zapomniane, takie – niekoniecznie.

– Tak. Wyrobimy ci nowy paszport, ale nazwisko musi zostać. Być może ktoś z obsługi cię zapamiętał – odpowiedział „Sokół”.

„Mnie może nie, ale nazwisko na pewno” – pomyślała ze złością Alicja.

Ustalili pozostałe szczegóły i Alicja wyszła z mieszkania na Miodowej. Otrzymała rozkaz i miała zamiar go wypełnić. Martina okłamał bez trudu, ostatnio niemal bezgranicznie jej ufał. Swoją wystudiowaną czułością i absolutnym oddaniem skutecznie uspiła jego czujność. Miała świadomość, że okłamuje go i wykorzystuje w sposób dużo bardziej perfidny, niż miało to miejsce wcześniej. Minimum uczciwości w uczuciach potrafiła zachować, bo uważała, że pośród tych wszystkich oprawców on jest najporządniejszy. Dlatego niczego mu nie obiecywała, nie wyznawała miłości, tylko jasno mówiła, na co może liczyć, a o czym zapomnieć.

Jednak on ją okłamał. W sprawie, która była dla niej bardzo ważna. Być może nie rozumiał, że Hanka nie jest dla niej taką zwykłą przyjaciółką, ale osobą, dla której Alicja była w stanie zrobić niemal wszystko. Tak jak dla Juliana Chełmickiego. Była nim zawiedziona, czuła się oszukana i dlatego bezpardonowo żonglowała jego uczuciami, jak cyrkowiec na arenie. A on był szczęśliwy jak nigdy dotąd. Obsypywał ją prezentami, dawał wyrazy uwielbienia na każdym kroku i wciąż przeproszał za ów nieszczęsny policzek, który jej wymierzył pod wpływem złości. „Byłam bardzo blisko prawdy. Bo jesteś oszustem. I dlatego oberwałam” – myślała w takich chwilach. Jednak mówiła zupełnie coś innego. Nawet gdy pierwszy raz powiedziała, że go kocha, i zobaczyła łzy szczęścia w jego oczach, jej uczucia były zgoła inne. Obiektywnie nie zrobił niczego złego, po prostu wykorzystał sytuację, że gestapo zmieniło taktykę, ale Alicja nie potrafiła na to patrzeć w ten sposób. Pamiętała, ile kosztowało ją zrobienie tego pierwszego kroku, by do niego powrócić i jaką bliznę pozostawiła po sobie spędzona z nim ta pierwsza noc, gdy całą duszą wrywała się w ramiona innego. I chociaż jeszcze wówczas nie wiedziała, że Martin niewiele robi w jej sprawie, już go nienawidziła. Za to, że nie jest Julianem Chełmickim.

Skończyła dawać w myślach upust swojej niechęci do Grossa i zaczęła zastanawiać się nad swoją misją. Jechała sama. Ale nie to ją nurtowało. Brak obecności na spotkaniu chłopaków dobitnie świadczył, że każdy z nich jest potencjalnym zdrajcą. A więc i Julian, i Wiktor również. Nie wierzyła, że Chełmicki nagle został komunistą. Znała go zbyt długo i zbyt dobrze, żeby wiedzieć, iż jest to kompletna bzdura. Wiktor? Co o nim wiedziała, oprócz tego, że był w konspiracji i ukończył ten sam kurs, co ona i Julian? Zawsze dbający o wygląd, z lekką pogardą odnoszący się do walczących kobiet i podobno pochodzący z jakiegoś znakomitego rodu, o którym w życiu nie słyszała. Nie pasował jej jednak jako komunista. Bardziej przypominał jej Emila, brata Hanki, łasego na pieniądze, najlepiej cudze. Ale właściwie o Wiktorze nie wiedziała nic pewnego. Był, co zrozumiałe, tajemniczy. Jak oni wszyscy. Tak ich uczono i szkolono. Zawsze należało myśleć o najgorszym, więc lepiej było nie zaprzyjaźniać się zanadto, bo to mogło rodzić konsekwencje dla bliskich.

Weszła na podwórko kamienicy, w której mieszkała z Grossem, i zobaczyła obdartego chłopaka, około dwunastoletniego, który kopał starą, poszarpaną piłkę.

– Nie baw się tutaj – upomniała go Alicja. – Wybijesz komuś szybę i będziesz miał kłopoty.

Dzieciak zapewne kompletnie nie zdawał sobie sprawy, że mieszkają tutaj głównie Niemcy i wybicie szyby mogło się skończyć dla tego chłopca tragicznie.

– Jest pani Polką? – zapytał, wycierając nos brudną ręką.

– A po ci to wiedzieć? – Zaśmiała się.

– Szukam takiej jednej. Polki. Tancerki. Zna pani? – powiedział chłopak i wnikliwie obserwował Alicję.

– Może... – wydukała, bardziej zaniepokojona niż zaciekawiona.

– To zna pani czy nie? – burknął chłopak.

Alicja zdenerwowała się.

– A po co jej szukasz, szczeniaku? – warknęła.

– Mam dla niej wiadomość. – Chłopak nie sprawiał wrażenia, jakby chociaż odrobinę przestraszył się ostrego tonu Alicji.

– A jak ma na imię ta polska tancerka, wiesz?

– Wiem. Alicja Ross na nią mówią.

Alicja przełknęła ślinę. Nie miała pojęcia, kto i jaką wiadomość chce jej przekazać przez tego małego obdartusa. Rozejrzała się dookoła i wygrzebała z torebki papierową torebkę z landrynkami. Wyciągnęła w kierunku chłopaka.

– Mów szybko i znikaj. To ja – wyszeptwała konspiracyjnie, po czym dodała już dużo głośniej: – I żebyś cię tu więcej z tą piłką nie widziała.

– Gestapo się panią interesuje – powiedział cicho, wziął landrynkę, po czym odszedł i odwracając się, krzyknął: – Przepraszam panią, więcej nie będę.

Alicję замуrowało. W pierwszej chwili chciała pobiec za tym dzieciakiem i wydusić od niego informacje, od kogo przychodzi, ale potem dotarło do niej samo ostrzeżenie. Czyżby zainteresowanie Martina Grossa losem Hanki Lewin ściągnęło nad jej głowę czarne chmury? Jak ma zatem wypełnić swoją misję wyjazdu do Berlina? A może po prostu pojedzie tam pod swoim nazwiskiem, odwiedzi różne atrakcje i tym samym uśpi czujność śledzących ją osób? Nie wierzyła, że Martin o tym wie i godzi się na podobne praktyki. Ufał jej. I to była największa jej siła. Postanowiła, że wyjedzie do Berlina, ale zrobi to po swojemu.

Tego dnia wieczorem, gdy pili z Martinem wino, zagadnęła go:

– Wiesz, Martin. Bardzo chciałabym zobaczyć Berlin albo Paryż. Warszawa po wrześniu wygląda jak cmentarzysko. I nic się nie dzieje. A ja to bym do opery poszła, po magazynach pospacerowała, w eleganckich kawiarniach posiedziała. Trochę wielkiego świata chciałabym zobaczyć. Dobija mnie szarość, nędza i ciągły strach przed łapankami, strzelaniną. Ech... tak sobie z kilka dni odpocząć. Proszę, kochanie moje, pojedźmy do Berlina – powiedziała słodko.

Martin wyciągnął rękę i pogłaskał po policzku Alicję.

– Wiesz, że nie mogę. Rozpoczęliśmy wojnę na wschodzie, nie mam chwili wytchnienia. A jeśli już muszę tam jeździć, to na służbowe spotkania. – Posmutniał i dodał: – Ale wiesz... możesz sama tam pojechać, jeśli nie możesz znieść tej atmosfery. Na kilka dni. Podam ci adres dobrego hotelu, kupisz sobie kilka ładnych fatałaszków. Co ty na to?

Było jasne, co Alicja na to. Oczywiście na początku się trochę naburmuszyła, przecież wyjazd samej to zupełnie nie to samo. Po jakimś czasie jednak wykazała się zrozumieniem dla jego spraw i łaskawie zgodziła się na kilkudniowy pobyt w Berlinie. A gdyby wysłał za nią kogoś? Proszę bardzo. W Dresdner Banku mogła wypłacać pieniądze na zakupy, odwiedzić koleżankę albo skorzystać z toalety.

Przez chwilę zastanawiała się nad naiwnością Martina. A może w istocie istniały takie kobiety w tym kraju, które zachowywały się tak, jakby ta wojna ich nie dotyczyła? One po prostu chciały normalnie żyć... Przecież gdyby nie wojna, patrzyłyby na tych samych mężczyzn, oceniając ich aparycję czy intelekt. I one tego pragnęły. A jeśli ta wojna miałaby trwać całe lata, wtedy gdy młodość domaga się swoich praw? Czas, gdy człowiek lubi się śmiać beztrudnie, ma piękne i zdrowe ciało, i tyle energii, że mógłby podpalić świat. I te wszystkie najlepsze lata, gdy głupstwa i szaleństwa się wybacza, kiedy kocha się pierwszą, świeżą miłością, miałyby przeżyć, wciąż oglądając się za siebie? A kto im zwróci urodę i młodość? Alicja je rozumiała. Bez względu na intencje, wygodnie mieć było takiego kochanka jak Martin. Nie myśleć o pieniądzach na węgiel, jadać smacznie i do syta, i nie oglądać się za siebie dzięki przepustkom od Martina. Do czasu... Do chwili, gdy usmarkany dzie-

ciak nie zjawił się na jej podwórku, by ją ostrzec. „Kim i od kogo przychodził ten mały przybłąda?” – zastanawiała się. Rozważała także, czy nie powiedzieć o tym Grossowi. Po pewnym czasie jednak zrezygnowała. Postanowiła poczekać z tym do chwili, gdy dowie się, od kogo nadeszła wiadomość. Być może to jego wpływowy ojciec postanowił ją sprawdzić, zaniepokojony zbyt mocnym zaangażowaniem syna w romans z Polką? Ale skąd o tym wiedział ten mały obszarpaniec? Alicja nie czuła zaciskającej się obręczy wokół jej szyi, ale wystarczająco mocno zaniepokoiła się słowami chłopca.

– Dorzuci pan jeszcze piątaka. Spisałem się dobrze. – Chłopak wyciągnął brudną dłoń w kierunku Emila Lewina.

Ten spojrział na niego i powrócił myślami do czasów, gdy sam był równie biedny, jak ten dzieciak. Wyciągnął jeszcze pięć złotych i dał chłopcu.

– A teraz zmiataj do mamy. – Uśmiechnął się do niego.

– Nie mam mamy. Ani ojca. Zabili ich Niemcy – mruknął chłopak. – U sąsiadów mieszkam. W piwnicy.

– Żydziak? – zapytał Emil.

– Nie, proszę pana. Ale u nich bomba pół mieszkania rozerwała i nie mają miejsca. Więc w piwnicy mieszkam. – Pociągnął nosem.

– To wracaj do swojej piwnicy i nie kręć się tutaj – burknął Lewin.

– Psze pana? – zagadnął dzieciak.

– Co znowu? – westchnął Emil.

– A nie przydam się panu do czego? Szybki jestem i sprytny. Tak mówi pani Pietuchowa.

– Nie. Idź już – mruknął Lewin i ruszył w stronę bud z wyrobami metalowymi, gdzie czekał na niego Franek.

Obejrzał się i spostrzegł, że chłopak wciąż za nim idzie. Odwrócił się i szarpnął go za rękaw brudnej koszuli.

– Przestań za mną leźć, jasne? – warknął, rozzłoszczony.

– Mówią mi Szymek. A ja to się panu naprawdę przydam. A może pan będzie zadowolony i z piwnicy wyjdę? Tam są szczury i zimno jest. – Dzieciak zadręczał Lewina.

– Lato jest... – burknął niepewnie Emil.

– Tak, psze pana. Ale jak była zima, to musiałem się gazetami okręcać na noc. – Znowu pociągnął nosem i dodał: – A pani Pietuchowa to mówi, że mi od tej wilgoci tak ciągle z nosa zielone gile lecą. A jakby jaka robota dla mnie była, to może gdzie by mnie na pokoje wzięli. Bo ja, psze pana, to nie chcę iść do pryjuta. Tam podobnież to Niemcy zjeżdżają i dzieci mordują, i świniom do jedzenia dają.

– Nie pleć głupot. Tam byś jeść dostał i normalne łóżko. Kto to widział, żebyś się pętał sam po ulicy. – Emil nieco złagodniał.

– Nie pójdę za żarcie dla świń. A pani Pietuchowej to węgla za kromkę chleba przyniosę i dywany potrzepię za szklanek koziego mleka. Bo oni kożę w komórce na podwórzu trzymają, bo wie pan, psze pana, koza to wszystko zeżre. Ostatnio Pietuchowej to nawet miotłę zjadła. – Szymon uśmiechnął się i dodał: – Ja to bym się chciał na doliniarza wykształcić.

Emil Lewin słuchał małego Szymka i pomyślał, że był dokładnie taki sam, gdy był w podobnym wieku. Marzyła mu się kariera złodzieja i nie myślał wówczas o tym, że jest to najprostsza droga do więzienia. Ale chłopak był odważny, silny i chciał zawalczyć o lepszy los. Był taki jak Emil i gdyby wtedy jemu ktoś dał szansę, być może byłby zupełnie innym człowiekiem. Żał mu się zrobiło tego usmarkanego obszarpańca i pomyślał, że może dzieciak mógłby mu się przydać, a przy okazji zarobiłby trochę grosza.

– Dobrze, to chodź ze mną. Kupimy ci jakieś ubranie, a potem porządnie umyjemy i wydusimy ze łba wszy. W naszym interesie musimy być zdrowi i czysti – stanowczo powiedział Lewin.

– Tak jest, psze pana – powiedział usłużnie Szymon i podreptał za Lewinem, jak pies za swoim panem.

Adrianna była bardzo zdegustowana faktem, że musi zająć się obcym, zawsze obcym bachorem. Jednak bez słowa skargi naląła mu gorącej wody do wanny i przygotowała proszek do odwszawiania. Stare łachy Szymona zaś wrzuciła do worka i wyniosła na śmietnik, żeby żadna zaraza nie przyplątała się do ich domu. Gdy chłopak był już umyty i ubrany w nowe spodnie i koszulę, zasiadł do stołu i zaczął łapczywie zjadać wszystko, co tylko Adrianna zdążyła postawić na stole.

– I co z nim będzie? – zapytała cicho Emila, gdy byli sami w kuchni.

– Nie ma nikogo, w piwnicy u sąsiadów mieszka, bo do sierocińca iść nie chce. Postawi mu się kozetkę w kuchni i niech tutaj śpi – powiedział Emil.

– Nie rozumiem – mruknęła Adrianna. – Ma z nami zamieszkać?

– Tak, właśnie. Będzie z nami mieszkał – stanowczo odpowiedział Emil.

– Ale jak długo? – Adrianna wciąż nie mogła pojąć, że oto nagle jakiś obcy dzieciak z ulicy ma z nimi dzielić i tak niewielkie mieszkanie.

– Nie wiem. – Emil wzruszył ramionami.

Chciał już opuścić kuchnię, gdy rozgoryczona Adrianna powiedziała z żalem w głosie:

– Obcemu... przybłędzie serce okazałeś, a własnemu dziecku nie potrafisz...

Emil zastygł w bezruchu, z dłonią na kłamce. Odwrócił się i usiadł na taborecie.

– Nie potrafię... Wiem, że nawet jeśli nie jest moje, to przecież nie jego wina, ale nie umiem go nawet polubić. Gdy zbliżam się do niego albo biorę na ręce, czuję niechęć. Nie wiem, jak to wytłumaczyć i nie wiem, czy kiedykolwiek go pokocham – powiedział cicho Emil.

Pierwszy raz zdobył się na taką szczerłość. Zarówno w stosunku do Adrianny, jak i do samego siebie. Naprawdę próbował i zastanawiał się, czy jest po prostu taki jak ojciec. Ten prawdziwy. Szymek był obcym dzieciakiem i oczywiście nie mogło być mowy o jakimś przywiązaniu, ale polubił tego gówniarza i zapragnął mu pomóc. Tymczasem dziecko, które mogło być jego, po prostu odepchnął. Łudził się, że z czasem mu minie i obudzą się w nim ojcowskie uczucia. Chciał tego, chociażby po to, żeby móc sobie coś udowodnić. To, że potrafi być jednak trochę inny niż Antoni Chełmicki, człowieka, którego nienawidził z całego serca.

Adrianna stała przez chwilę wpatrzona w brudną szybę okna, bezwiednie wodząc wzrokiem po zrujnowanych kamienicach, szarym niebie zwiastującym nadchodzący zmierzch, i coś w niej pękło. Jakby nagle doznała olśnienia, jak gdyby przebu-

działa się z letargu. Pomyślała przez ułamek sekundy o prostej prawdzie, w którą tak bardzo nie chciała wierzyć. Uznała, że Emil nie kocha Karolka, ich syna, bo nie kocha jej. Tak jak niegdyś Antoni Chełmicki porzucił bękartą, ponieważ Anka Lewinowa była jedynie krótkotrwałym obiektem jego westchnień, tak teraz Emil Lewin nie był w stanie zaakceptować syna, bo ona, Adrianna, nic dla niego nie znaczyła. Brutalne to było ocknienie, jak gdyby ktoś ją uderzył. Tym gorsze było owo przebudzenie, że dla Lewina zrezygnowała z bogactwa i splendoru. Mogła teraz siedzieć spokojnie w Chełmicach, niczym pani na włościach, wypatrywać Juliana i rychłej śmierci swoich teściów. Może nie czułaby się komfortowo, żyjąc w towarzystwie obłąkanej Izabeli, ale podstawiano by jej talerz pod nos, prano odzież i nie musiałyby codziennie wychodzić z domu z uczuciem lęku, że być może nigdy do niego nie powróci. Na szczęście jedzenia im nie brakowało, ale cała reszta zdawała się koszmarnym snem. W Chełmicach, siedząc nad stawem czy spacerując po lesie, nie musiałyby oglądać się, czy nie natrafi na łapankę, zbłąkaną kulę czy pijanego niemieckiego żołnierza. Tkwiła w stolicy, narażając siebie i dziecko, jedynie dla Emila. A on tak po prostu mówi, że ich słodki synek nic dla niego nie znaczy. W tej jednej chwili pod wpływem kilku zdań głęboka miłość Adrianny zamieniła się w równie głęboką nienawiść.

Wiedziała jednak, że nie może teraz spakować rzeczy i opuścić Emila. Z czego żyłaby? Skąd wzięłaby pieniądze na utrzymanie siebie i syna? Była kompletnie bezradna. Jednak pomyślała, że od tego dnia jej życie ulegnie zmianie. Powróci do dawnej siebie, gdy myślała jedynie o własnej wygodzie i komforcie życia. A gdy znajdzie sposób, żeby się utrzymać, opuści Lewina i zorganizuje dla siebie i syna godne miejsce do życia.

– Jesteś taki sam jak twój prawdziwy ojciec... – wyszeptwała.

– Wiem. – Emil zakrył twarz rękoma. – Wiem, że jestem taki jak on, i dlatego wierzę, że kiedyś będę wielkim panem, człowiekiem sukcesu...

– I cholernym draniem – zakończyła za niego Adrianna i wyszła.

Mały Szymek skończył pałaszować obiad i zajrzał do kuchni.

– Już się najadłem, psze pana. Mogę wracać do roboty. – Uśmiechnął się szeroko.

– Nie chcesz odpocząć? – zdziwił się Lewin. – Poleżeć na prawdziwej kozetce, gramofonu posłuchać?

– Ja, psze pana, na krzywy ryj to nie chcę u pana być – powiedział Szymek.

– Chodź tu do mnie – mruknął Lewin. – Jak chcesz być kimś, musisz się czuć jak ktoś ważny. Nie możesz mówić „psze pana” i „na krzywy ryj”, bo tak mówią tylko obszarpańcy z biedoty. Musisz mówić ładnie.

Szymon wzruszył ramionami.

– No to jak mam mówić?

– „Proszę pana”, „za darmo”, „być dla kogoś ciężarem” – zaczął lekcję Emil.

– No, a co to za różnica, jak o jedno chodzi? – Kolejny raz Szymon wzruszył ramionami.

– Bo jak porządnie się wyrażasz, to cię będą za takiego brali. A ty po czym rozpoznajesz, że ktoś jest wielki pan? – zapytał Lewin.

– No jak po czym? Po ancugu. – Wyszczrzył zęby.

– I po czym jeszcze? – Emil był cierpliwy.

- Bo mamonę ma? – Chłopak poczuł się niepewnie.
- Nie mamonę, tylko pieniądze, tak? I nie ancug, tylko garnitur.
- A to nie jedno?
- Jedno, ale brzmi bardziej elegancko.
- Rozumiem... – powiedział Szymek, ale sprawiał wrażenie, że jednak nie rozumie do końca tego całego zamieszania wokół właściwego wyrażania się.
- No, to spróbuj jeszcze raz...
- Ten cylinder to pewnikiem ma pieniądze, bo ma cymes gajer. – Chłopak здаwał się dumny z siebie.
- Ech... – Emil machnął ręką i zapytał: – A jak ty się właściwie nazywasz. O nazwisko mi chodzi?
- Szymek Wielopolski. – Ukłonił się.
- No, widzisz, nazwisko już masz właściwe. Jakbyś się we dworku urodził. – Lewin roześmiał się.
- Mój ojciec w gazowni pracował, a mama praczką była. We dworku to ja nigdy nie byłem – zasmucił się Szymon.
- Kiedyś cię zabiorę. Mój ojciec ma piękny dom w Chełmicach... Wokół ogród, nawet przed wojną samochód miał – rozmarzył się Lewin.
- A daleko to? – zapytał zaciekawiony chłopak.
- Czasami to, co jest blisko, wydaje się bardzo daleko... – filozoficznie odpowiedział Emil, ale Szymek był jeszcze dzieckiem i wszystko brał dosłownie.
- Chyba mnie pan kantuje. Albo coś jest blisko, że na nogach można iść, albo daleko i trzeba koleją.
- Emil roześmiał się i pogłaskał chłopaka po głowie.
- Do Chełmic na nogach nie dojdiesz. Muszę iść. Zostaniesz z tą panią, co ci taki dobry obiad przygotowała.
- Ja z panem, psze... proszę pana – szybko poprawił się Szymek.

18. Berlin, 1941

Jakże inne to było miasto niż Warszawa. Tętniące życiem, stolica zwycięzców. Hitler odnosił sukcesy na froncie wschodnim, idąc jak burza i zdobywając kolejne miasta oraz przychylność swoich wyznawców, którzy na każdym kroku mu ją okazali, niemal bałwochwalczo. Podobnie jak w Warszawie i tutaj dawało się zauważać kroczące po ulicach patrole, kolumny wojska, a na urzędach pyszniły się flagi ze swastyką. A jednak Alicja poczuła powiew swobody.

Zgodnie z informacjami udzielonymi Martinowi chodziła po sklepach, kawiarniach i zwiedzała miasto. Swoją ogon dostrzegła, gdy szła przez Potsdamer Platz. Kiedy zatrzymała się przed jedną z wystaw, dostrzegła mężczyznę, około czterdziestoletniego i elegancko ubranego, który nagle przystanął przy słupie ogłoszeniowym i zawzięcie studiował afisz teatru Metropol.

Alicja spodziewała się tego, ale poczuła zdenerwowanie. Jednak ten mały, usmarkany chłopak mówił prawdę. Nie miała kontaktów z komunistami, Łyszkińska nawet nie знаła, ale przecież mogli odkryć, że pracuje dla polskiego podziemia.

Weszła do domu towarowego i zgodnie z tym, czego ją uczono, udała się na dział z damską bielizną. Po kilkunastu minutach oglądania biustonoszy i fig przemknęła do części z sukienkami i nabyła sobie jedną z nich. Niebieską, lekką i dodającą jej smukłości. Swoją letnią kapelusik zamieniła na nieco inny fason i opuściła sklep. Wiedziała, że i tak przed hotelem, w którym się zatrzymała, ktoś będzie się kręcił, ale postanowiła spróbować swoich umiejętności i pozbyć się natręta. Zupełnie odmieniona opuściła dział z sukienkami i niemal pod nosem szpiegującego ją mężczyzny wyszła na ulicę. Podążając w kierunku hotelu, kilkakrotnie sprawdzała, czy ktoś za nią nie idzie, ale najpewniej zgubiła ogon, bo następnego podejrzanego mężczyznę zobaczyła dopiero w hotelowym foyer.

W dzień wyjazdu z Berlina z walizką wypełnioną nową garderobą, na którą wydała niemal wszystkie pieniądze podarowane przez Grossa, ruszyła w kierunku Dresdner Banku. Po drodze zaszła do apteki i sklepu zielarskiego, napiła się kawy w jednej z przytulnych cukierni i sprawiała wrażenie nieco chaotycznej turystki. Zgodnie z ustaleniami poczynionymi z „Sokołem” weszła do sali banku, odnalazła łysego jegomościa i ruszyła z nim na zaplecze.

– Chyba ktoś mnie śledzi – powiedziała złowróźnie, gdy znaleźli się w znanym jej pokoju.

– I co teraz? – zatrwożył się bankier.

– Hm... – Alicja zaczęła udawać, że intensywnie się zastanawia na tym, co w tej sytuacji powinna zrobić. – Chyba tym razem nie odbiorę przesyłki.

– Tak, tak, lepiej nie ryzykować. – Mężczyzna potaknął nerwowo i otarł krople potu, które pojawiły się na jego czole.

– Wyjdę jak zwykle, a po pieniądze przyjadę, gdy będę pewna, że nikt za mną nie idzie – powiedziała po chwili.

– W rzeczy samej. Rozumie pani, ja wiele ryzykuję – bąknął bankier.

– Nie za darmo pan ryzykuje. Sowiec pana za to wynagradzamy – złośliwie

odpowiedziała Alicja i opuściła bank.

Dotarła na dworzec, nawet nie zastanawiając się nad śledzącymi ją szpiclami gestapo. Wsiadła do pociągu i bacznie przyglądała się innym podróżnym. W przeciwieństwie do poprzedniego wyjazdu tym razem każdy wydawał się jej podejrzany. Starsza kobieta z małym pieskiem, młody żołnierz Wehrmachtu i siwy jegomość w okularach. A przede wszystkim dwóch mężczyzn w średnim wieku, którzy wyglądali jak urzędnicy.

Na granicy celnik sprawdził jej dokumenty, kurtuazyjnie zapytał o cel podróży i na szczęście nie był to ten sam człowiek, który kontrolował ją poprzednim razem.

– Proszę otworzyć bagaż – powiedział stanowczo.

Pasażerowie popatrzyli na nią z lękiem. Dlaczego wytypowali ją do kontroli, co w niej mogło wydać się podejrzane? Ktoś pomógł jej zdjąć walizkę i Alicja otworzyła ją. Celnik zaczął przeglądać jej zawartość, po czym zwrócił się do Alicji:

– Proszę zamknąć i udać się z nami. Walizkę proszę zabrać ze sobą.

– Oczywiście – odpowiedziała Alicja.

Kątem oka spojrzała na siedzącego nieopodal mężczyznę w jasnej koszuli. Miał prerażenie w oczach. Podniósł dłoń do czoła, niby poprawiając zsuwające się z nosa okulary, i drżały mu ręce. Alicja domyśliła się, że jest tą osobą, która kolejny raz chciała zapolować na górę pieniędzy wiezioną przez kurierkę. Tym razem jednak zamiast stosów banknotów ujrzał starannie poskładane damskie fatalaszki.

Celnicy wraz z Alicją udali się do osobnego przedziału, gdzie dokładnie sprawdzono jej walizkę, obmacano każdy jej zakamarek, by stwierdzić, że bagaż kobiety zawierał dokładnie to, co powinna wieźć przy sobie dobrze sytuowana dama.

– Skończyliście, panowie? – burknęła. – Mogę wrócić do przedziału?

– Tak – odpowiedział jej celnik. – Wszystko w porządku.

– Nie wszystko – odparła buńczucznie. – Pognetliście mi całą garderobę.

Po czym nieco urażona opuściła przedział i powróciła do siebie. Po kilkunastu minutach mężczyzna, któremu drżały dłonie, gdy celnik zaglądał do jej otwartej walizki, wstał z miejsca i wyszedł na korytarz. Po chwili Alicja dyskretnie podążyła za nim. Ten dotarł do wagonu restauracyjnego i przysiadł się do jednego ze stolików. Zamówił kawę i pochylił się w kierunku swojego sąsiada. Obaj siedzieli tyłem, więc nie mogła dostrzec tego drugiego, który z pewnością był współnikiem czyhającym na walizkę. Jej współpasażer zapewne przekazał mu również informację, że walizka wypełniona była nie tym, na co tak bardzo czekali. Stała chwilę na korytarzu, po czym ujrzała, że mężczyzna z jej przedziału wstał i idzie w stronę wyjścia. Alicja szybkim krokiem podążyła do toalety i poczekała, aż intruz opuści wagon restauracyjny. Gdy to uczynił, ona do niego weszła i skierowała się wprost do baru. Obejrzała się dyskretnie i zobaczyła siedzącego przy stoliku... Wiktora.

On również ją spostrzegł i Alicja ujrzała w jego oczach panikę. Usiadła naprzeciwko niego i powiedziała, udając jednocześnie zdziwienie i radość:

– To w końcu ciebie wysłali?

– Tak, tak, mnie – wydukał przerażony Wiktor.

– To dobrze, myślałam, że po ostatniej wpadce już cię nie przydzielą do tego zadania. – Uśmiechnęła się beztrąsko, po czym, widząc już uspokojonego partnera, powróciła do swojego przedziału.

Usiadła i zamyśliła się. A więc to Wiktor. Na Boga, dlaczego? Nurtowało ją

jeszcze coś... Czy jej uwierzył, czy ma świadomość, że wpadł w pułapkę zastawioną przez „Sokoła”? Wiktor nie był durniem, musiał się domyślić, że wszystko jest blefem, jak tylko jego kompan dostarczył mu informacje o tym, co ujrzał w walizce. Miała jedynie nadzieję, że jest tylko złodziejem i komunistą, a nie mordercą. Stawka była jednak wysoka. Dekonspiracja kosztowałaby go nie tylko brak informacji, ale mógłby dostać czapę.

Do końca podróży Alicja była niespokojna. Rozglądała się nerwowo i próbowała odnaleźć wzrokiem kogoś, kto mógłby być jej sprzymierzeńcem. Łudziła się, że może „Sokół” wysłał wraz z nią dyskretnego opiekuna, który zareaguje w razie problemów. Jednak nikogo ze znajomych jej osób nie zobaczyła. Być może jednak była to osoba jej nieznana, ktoś spoza ich kręgu, bo przecież to najbliżsi kompani mieli być sprawdzeni podczas tej misji, dlatego czujnie obserwowała wszystkich. Młodych mężczyzn, samotne kobiety, a nawet osoby w średnim wieku, wyglądające na stępcznych i znużonych długą podróżą. Nikt jednak nie sprawiał wrażenia, jakby miał być jej aniołem stróżem, natomiast czuła, jakby tych, którzy nastawiali na jej życie, było wielu. Ktoś się uśmiechnął, inny otarł o nią, przepychając się przez wąski korytarz pociągu, jakaś młoda dziewczyna zapytała, kiedy dotrą do stolicy. I każdy z nich był potencjalnym zabójcą lub porywaczem.

Wiktor znał wartość Alicji dla organizacji, wiedział, że jest cennym źródłem informacji, a dotarcie do wiadomości o terminie napaści Hitlera na Związek Radziecki stawiało ją niemal na piedestale polskiego wywiadu. Gdyby jego banda zaryzykowała i porwała ją, zapewne mogliby wynegocjować wysoką cenę za jej wolność. Wiktor ochroniłby życie, a organizacja, do której należał, zdobyłaby pieniądze, na które bezskutecznie chcieli zapolować. „Jeśli było ich tylko dwóch, nie ryzykowaliby konfrontacji, nie mając pojęcia, kto oprócz mnie jedzie tym pociągiem” – próbowała pocieszać się Alicja, ale niepokój nie opuścił jej aż do Warszawy.

Na szczęście nie musiała dalej snuć rozważań, bo na dworcu czekał na nią Martin z bukietem róż. Była w Grossie pewna dwoistość. Z jednej strony inteligentny, czytany, prawdziwy analityk, z drugiej – zakochany do nieprzytomności głupiec.

A może miłość jest prosta? Jeśli kogoś kochasz, widzisz w ukochanej osobie tylko to, co chcesz zobaczyć.

Salon fryzjerski prowadzony przez Leni Benert był ekskluzywny i bardzo drogi. Oczywiście wisząca w oknie tabliczka, umieszczona nad fotografiami pięknie wyondulowanych dam, informowała bezlitośnie, że ów elegancki salon jest „Nur für Deutsche”. Alicja jednak była kimś uprzywilejowanym i mogła korzystać z tego miejsca do woli. Pieniądze także nie stanowiły problemu, bo Martin rozpieszczał ją w sposób niewyobrażalny. A ona równie skwapliwie z tego korzystała. Tym razem jej wizyta w salonie Frau Benert była podyktowana czymś innym. Wiedziała, że żaden tajniak nie wejdzie do środka, ponieważ mężczyźni raczej nie zaglądali do damskich zakładów fryzjerskich. Oczywiście, mogli zapędzić do jej szpiegowania kobietę, ale Alicja łudziła się, że będą na nią czekali przed wejściem.

Tak jak to miała w zwyczaju, wybrała fotel w głębi zakładu, otrzymała ulubioną kawę z pianką i popielniczkę, na wypadek gdyby miała ochotę zapalić. Jedną z pracownic Frau Benert, Sabina, grzeczna i usłużna, zajęła się jej fryzurą.

Alicja musiała zgubić śledzących ją tajniaków, ponieważ czekało ją spotkanie z „Sokołem”. Wiedziała, że na zapleczu salonu fryzjerskiego znajduje się toaleta, a w niej było niezbyt duże okienko. Co prawda przybyło jej ostatnio kilogramów na wikcie okupanta, ale miała nadzieję, że zdoła się przez nie przecisnąć. Mimo że Sabina robiła to samo, co zawsze, Alicja co chwilę ją rugała. Była podenerwowana i niestety oberwało się biednej fryzjerce. Gdy ta już kończyła układać jej włosy, Alicja poczuła się niezręcznie i postanowiła wynagrodzić Sabinę sutym napiwkiem.

– I przepraszam, że nie byłam dla ciebie zbyt miła, moja droga. Mam fatalny dzień... – powiedziała ciepło Alicja.

Otrzymały napiwek najpewniej pozwolił Sabinie zapomnieć o obcesowym zachowaniu klientki, bo odparła ze śmiechem:

– Zdarza się, ja też miewam czasami trudne dni.

I wtedy Alicja wpadła na pomysł, jak wykorzystać sympatyczną fryzjerkę.

– Ach, moja droga. – Machnęła z rezygnacją ręką. – Kręci się taki jeden koło mnie. Zaprasza na kawę, kwiaty przysyła i ciągle za mną łązi. Nie dociera do niego, że nie umówię się z nim, bo już mam kogoś. Męcący typ. Teraz też pewnie przycupnął gdzieś na ławeczce i czeka, aż stąd wyjdę.

– Też miałam takiego jednego wielbiciela, straszny facet. Ale jak pani chce, mogę panią wypuścić drzwiami od zaplecza i niech sobie czeka do godziny policyjnej. – Zachichotała.

Alicja posłała jej perlisty uśmiech wdzięczności, ponieważ już widziała oczami wyobraźni, jak przeciska się przez wąskie okienko toalety i wypada z niego wprost do rynsztoka. O ile nie utknęłaby w nim. Sabina bez najmniejszych oporów wypuściła Alicję tylnym wejściem. Nie chciała się nawet zastanawiać, czy klientka powiedziała prawdę, ponieważ ta zostawiła napiwek wielkości jej dniówki.

„Sokół” nie był specjalnie zdziwiony informacjami na temat Wiktora. Po prostu sporządził krótką listę, z której wykreślał po kolei najbardziej pewnych ludzi. Pozostał Wiktor.

– Cholera jasna, przecież był z nami w Anglii. Życiorys bez skazy... Co się, u licha, stało? – pytał, jakby siebie.

– Dla mnie to również przykra niespodzianka. Razem lądowaliśmy, jeździliśmy na akcje... I kompletnie nie pasuje mi do tej zgrai czerwonych narwańców – mruknęła Alicja.

– Nie wiem, nie wiem... – Dowódca kręcił głową i załamywał ręce.

– Może ma jakieś dobre usprawiedliwienie. Chociaż... Oni gotowi byli mnie zabić, żeby tylko dorwać walizkę z pieniędzmi. Jestem rozgoryczona i na dodatek mam kłopoty – powiedziała cicho.

– Jakie kłopoty? – „Sokół” podniósł pytający wzrok na Alicję.

– Gestapo za mną łązi.

– Jesteś pewna?

– Bardziej niż tego, że jutro nie będzie końca wojny... Poza tym ktoś mnie ostrzegł. Nie wiem kto. Informację przekazał mi jakiś dzieciak... – Alicja zaczęła się denerwować.

– To niedobrze... – mruknął dowódca, co zdenerwowało Alicję jeszcze bardziej. Rozmawiał z nią jak z dzieckiem, a ona czekała na konkrety.

– Tak, wiem, że to niedobrze, tak, jestem pewna, że za mną chodzą, i co dalej? – rozzłościła się, bo nie miała pojęcia, co powinna w tej sytuacji zrobić.

„Sokół” przypalił sobie papierosa, nawet nie częstując Alicji, i wypuścił smużkę dymu. Nie zastanawiał się zbyt długo.

– Na razie zawieszamy nasze spotkania. Kontaktuj się z nami tylko w sytuacjach nadzwyczajnych. Informacje zostawiaj w Szpitalu Dzieciątka, ale pamiętaj, tylko w naprawdę ważnych sprawach, a najlepiej wcale.

– Na jak długo? – Alicja przełknęła ślinę.

– Do odwołania – powiedział stanowczo.

Była zawiedziona. Dowódca nie zaproponował jej żadnej pomocy. Na przykład ucieczki. Poczula, że została kompletnie sama. Organizacja była właśnie gotowa poświęcić ją dla dobra ojczyzny, broń Boże, nie narażając się na zdekonspirowanie. Jak to się mawiało: „niepotrzebni mogą odejść”. A co, jeśli już wiedzą o niej wystarczająco dużo, żeby ją aresztować? A co się stanie, jeśli nawet Martin Gross będzie miał za krótkie ręce, a ją będą katować jak Hankę albo zamkną na wiele miesięcy? Dopiero w tym momencie poczuła, jakby miała na szyi pętlę, która coraz mocniej się zaciskała.

Rozkaz oznaczał także, że nie będzie widziała Juliana, być może bardzo długo. A ona wciąż musiała tkwić przy Martinie i robić wszystko, żeby ją kochał. Cóż to był za paradoks, że to jedynie nazista mógł zapewnić jej bezpieczeństwo. Każdy pytał: „Co możesz zrobić dla swojej ojczyzny?”. A nikt nie myślał, że właśnie jej ojczyzna się na nią po prostu wypięła.

Wracała do mieszkania Martina i cała się trzęsła. Jakie to było dla „Sokoła” proste. Nawet nie zapytał, co ona by chciała teraz zrobić. A może rozwiązaniem była ucieczka od Martina i całkowite zejście do podziemia, zmiana tożsamości, wyglądu i miejsca zamieszkania? Może... Tylko że on jej tego nie zaproponował. Tak jakby życie z Grossem było pasmem szczęścia i radości. Ale nie było. Ona chciała być przy boku ukochanego mężczyzny, nawet kosztem gorszego życia. Nawet za cenę podłego jedzenia, kiepskich warunków bytowych i niebezpieczeństw, które czyhały na każ-

dym kroku. Jednak dla „Sokoła” była chyba tylko dziwką, która uwodzenie mężczyzn podniosła do rangi sztuki. „Zawieszamy spotkania, nie kontaktuj się z nami” – powtarzała w głowie, przepelniona ni to żalem, ni wściekłością.

Weszła na podwórko jednej z kamienic, usiadła na schodkach prowadzących do sutereny i rozplakała się. Po kilku minutach zobaczyła cień na schodkach. Odwróciła się gwałtownie i ujrzała stojącego przed nią Wiktora. Miał podkrążone oczy, kilkudniowy zarost i wymiętoszoną koszulę. Zerwała się i chciała uciec, ale złapał ją za rękę i powiedział cicho:

– Nie uciekaj, nie zrobię ci krzywdy. Chcę tylko porozmawiać.

Przestała się wyrywać i z powrotem usiadła na schodkach. Wiktor dołączył do niej, wyciągnął paczkę papierosów i poczęstował ją. Przez kilka minut milczeli, gdy w końcu z westchnieniem w głosie odezwał się Wiktor:

– Już wiedzą?

– Tak... – odpowiedziała cicho Alicja.

– I co ze mną zrobią? Czapa?

Alicja wzruszyła ramionami. Nie miała pojęcia, jaką decyzję podejmie dowództwo. Była przybita i nawet niespecjalnie interesowały jej dalsze poczynania w stosunku do Wiktora.

– Przepraszam, Alicja. Nie chciałem cię skrzywdzić – niemal załkał Wiktor.

– A co? Ukoronować? – Prychnęła.

– Posłuchaj... Bez względu na to, jak patetycznie to zabrzmie, kocham swój kraj. Ale uważam, że jedyna droga to równość, braterstwo i sojusz ze Związkiem Radzieckim. Mamy teraz wspólnego wroga... Powinniśmy trzymać się razem – wygłosił mowę Wiktor.

Alicja roześmiała się.

– Wiktor... I to właśnie braterstwo kazało ci mnie obrabować? To jest według ciebie równość, gdy zabierasz jednym i dajesz drugim? O jakim ty sojuszu mówisz, jeśli ci współbracia zagarnęli pół Polski? Naprawdę jesteś aż tak naiwny, czy po prostu wydaje ci się, że poklepię cię po plecach i powiem „rozumiem, stary”? A wiesz, że mogłabym to zrobić? I nawet nie próbowałabym cię przekonywać, że gadasz głupstwa. Nie chodzi mi o te twoje poglądy, nawet o to, że bawisz się w Juraja Janosika, ale ty sprzeniewierzyłeś się przyjaźni. Wycelowaleś we mnie, a tego nie mogę wybaczyć.

Wstała ze schodków i nie mówiąc już ani słowa, odeszła. Tak, sama nie była święta i robiła rzeczy, na które inni patrzyli z niesmakiem, ale nie poświęciłaby miłości czy przyjaźni w imię idei czy nawet ojczyzny. To były dla niej świętości. Nic innego nie było dla niej tak ważne. Wojny były rozgrywkami wielkich polityków, a oni jedynie pionkami, których zarzynano bezlitośnie. I gdzieś pośród tego wszystkiego byli ludzie, z którymi obcuje się na co dzień i którym nie jesteś obojętna. To dla nich Alicja budziła się o świcie i zasypiała wieczorami. Nie dla spraw wielkich, jak Bóg, honor i ojczyzna, ale tych wszystkich osób, którym mogła dać miłość i wsparcie. Układała to w swoim sercu i pewnie nikomu nie przyznałaby się do tego, że te wzniosłe ideały i ciągłe niebezpieczeństwo nie znaczyłyby wiele, gdyby nie bliscy jej ludzie. Dla nich była gotowa na wszystko i nie potrafiła wybaczać tym, którzy wybierali inny cel w życiu. Dlatego wiedziała, że ani dla „Sokoła”, ani dla Wiktora już niczego by nie zrobiła. Czowała, jakby ją zdradzili i nic jej nie obchodziło, jaki cel im

przyświecał.

Atmosfera w starym magazynie tym razem była bardzo napięta. Większość nie wierzyła w winę Wiktora, usiłując dorobić do całej sprawy jakąś mroczną historię. Być może był szantażowany, może Rosjanie przetrzymywali kogoś z jego bliskich na wschodzie i szukał wsparcia u polskich komunistów. A może znalazł się w pociągu zupełnie przypadkowo, omotany uczuciem do Alicji, które kazało mu czuwać nad jej bezpieczeństwem bez względu na rozkazy. Owe domysły i rozważania wydawały się niekiedy absurdalne, ale informacja o zmianie obozu przez Wiktora była równie fantastyczna.

Jedynie Julian przyjął tę wiadomość ze spokojem. Było mu przykro i mimo że nie darzył tego chłopaka sympatią, po ludzku smutno. Wierzył jednak, że jeśli Alicja przekazała dowódcy podobne informacje, to były prawdziwe i o żadnej pomyłce nie mogło być mowy. Chełmicki zastanawiał się, co poczuła Alicja. Wiktor był jej partnerem w wielu zadaniach, dopóki nie powróciła do Grossa. To musiał być dla niej policzek, bo ilekroć coś poszło nie tak, broniła go jak lwica swoje młode. Może nawet mieli się ku sobie, ale tę myśl i miotającą nim zazdrość odpychał ze wszystkich sił.

Ustalono zadania i wszyscy rozeszli się. Julian pozostał jedynie w towarzystwie „Sokoła”. Nie było to niczym niezwykłym, Chełmicki był jednym z najbardziej zaufanych jego ludzi i często pozostawali sami, by omówić sprawy, które nie powinny dotrzeć do uszu pozostałych.

– Co teraz będzie z Wiktorem? – zapytał z westchnieniem Julian.

– Czeka go sąd i wyrok. Nie wiem, jaki może w tym przypadku zapaść, ale obawiam się, że może spotkać go najwyższa kara. Nie sądzę, żeby na to czekał z założonymi rękami, najpewniej ukryje się, a jego towarzysze skwapliwie mu w tym pomogą – odpowiedział „Sokół”.

– Mam nadzieję, że gdy go znajdziemy, wyrok wykona ktoś inny... – mruknął pod nosem Julian.

– Nie wiem, to zajmie trochę czasu – na odczepnego odpowiedział „Sokół”.

Był trochę zdenerwowany i to nie tylko sprawą Wiktora. Oto musiał przekazać Julianowi informację, że Alicja ma kłopoty, i trochę obawiał się reakcji Chełmickiego. Nie spodziewał się żadnych dyskusji ani tego, że Julian zrobi coś nieodpowiedzialnego, ale chodziło bardziej o wagę sprawy, o której miał mu powiedzieć.

Po chwili milczenia odezwał się:

– Alicja zostaje wyłączona z działań. Wydałem zakaz jakichkolwiek kontaktów z nią, aż do odwołania.

– O co znowu Alicja jest podejrzana? – nieco obruszył się Julian.

– O nic. Jest poza naszymi podejrzeniami. Niestety, nie dotyczy to gestapo. Alicja jest pod ich obserwacją. To pewne. Dlatego nie będzie uczestniczyła przez jakiś czas w naszych zadaniach. – „Sokół” starał się, aby jego głos brzmiał stanowczo.

Chełmicki zerwał się na równe nogi.

– Gdzie jest teraz Alicja? Ma dobrą kryjówkę? – zapytał, zatrwożony.

– Pewnie jest tam, gdzie dotychczas. U Grossa – mruknął dowódca i spuścił wzrok, bo wiedział, że Chełmicki nie będzie zadowolony z podjętej przez niego de-

cyzji. Uznał jednak, że jest słuszna.

– Nie rozumiem... Zostawiliśmy ją samą? – zapytał wzburzony Julian.

– Posłuchaj, Julian. Taką podjąłem decyzję, Alicja otrzymała rozkaz i właściwie nie powinienem się przed tobą tłumaczyć – z naciskiem powiedział „Sokół”, poryżowany tonem Chełmickiego.

– Alicja zrobiła dotychczas więcej niż my wszyscy razem wzięci, a teraz, gdy jest w niebezpieczeństwie, po prostu o tym zapominamy? Umywamy ręce, bo stała się dla nas niewygodna?

– Uspokój się i pomyśl na chłodno. Jeśli jej nie aresztowali, a jedynie obserwują, to znaczy, że nie mają na nią nic, co mogłoby ją zdyskredytować w oczach Grossa. Myślę, że ją po prostu sprawdzają. Niemiecki oficer z Ministerstwa Wojny i kochanka Polka to sytuacja dość nietypowa i niebezpieczna. Są czujni. Pochodzą za nią, okaże się, że nie robi nic, co mogłoby zaszkodzić Trzeciej Rzeszy, i zostawią w spokoju. Jeśli teraz zniknie, już nigdy nie będzie mogła wyjść z ukrycia, bo zarówno gestapo, jak i jej kochanek nie ustaną w staraniach, by ją odnaleźć i po prostu zlikwidować, uprzednio zamieniając jej życie w piekło. O tym, że może wtedy wsypać całą siatkę, nawet nie wspomnę. Nie tacy twardziele pękali na przesłuchaniach, a co dopiero mówić o słabej kobiecie... – próbował tłumaczyć swoją decyzję „Sokół”, bo mimo iż on wydawał rozkazy, nie chciał być źle odebrany przez Chełmickiego.

To, co mówił, było dla Juliana dość logiczne, ale nim targały zbyt silne emocje i strach, że stracą z oczu Alicję. W razie niebezpieczeństwa po prostu będą zbyt daleko, by jej pomóc, a kto wie, może nawet się o tym nie dowiedzą.

– Ale Alicja tak postanowiła? – drażył temat Julian.

– Nie. Ja tak postanowiłem.

– A ona? Jak zareagowała? – Chełmicki nie dawał za wygraną.

– Ona? W przeciwieństwie do ciebie nie dyskutuje z rozkazami – warknął „Sokół”, już nieco rozzłoszczony, bo czuł się jak na przesłuchaniu, a do tego nie był przyzwyczajony. Mógł się tłumaczyć przed swoimi dowódcami, a nie przed tymi, którym wydawał rozkazy.

Julian wiedział, że dalsza dyskusja jest pozbawiona sensu. Może w istocie było to najbezpieczniejsze wyjście, ale pozbawione ludzkiego podejścia. Alicja była teraz niczym łowna zwierzyna wpuszczona w stado drapieżców. Nawet ktoś tak niezłomny, jak ona nie miałaby szans w tym starciu, gdyby zrobiła chociaż jeden fałszywy ruch. Wiedział również, dlaczego gestapo zainteresowało się Alicją, ale nie miał zamiaru informować o tym dowódców. To była ich tajemnica. On rozumiał jej motyw, dla innych byłyby one nie do zaakceptowania. Tak, w tym momencie zrozumiał ją bardziej niż w chwili, gdy mu o tym powiedziała. Zniknęły wzniosłe i patriotyczne hasła, i piękne idee. W tej chwili nie liczyło się nic, oprócz Alicji. Poprosiła o pomoc Grossa, Hanka odzyskała wolność, ale wściekłe psy już popędziły za zapachem krwi. Może w istocie ta izolacja okaże się dla niej zbawienna, ale myśl, że nie będzie przy niej w tych trudnych chwilach, doprowadzała go do rozpacz. Alicja lubiła chadzać własnymi ścieżkami, niekiedy pokrętnymi i niebezpiecznymi, ale jeśli nie była do czegoś przekonana, popełniała błędy. Zwłaszcza gdy w grę wchodziły emocje, nad którymi niekiedy nie panowała. Wróciła do Grossa, by ratować przyjaciółkę, objechała całą Europę, żeby go odnaleźć, nie myśląc o konsekwencjach. Pewna siebie, odważna i przekonana, że szczęście nigdy jej nie opuści. Nie ma jednak człowieka,

któremu wiecznie sprzyja los, i Julian obawiał się, że to może nastąpić tym razem. Nie miał pojęcia, jak dać jej znak, że będzie czuwał i będzie tak blisko niej, jak tylko to możliwe i bezpieczne.

Miłość jest prosta. Jeśli kogoś kochasz, chcesz, żeby wiedział: „Cokolwiek się stanie, jestem przy tobie”.

19. Magnuszew, 1941

Niewielkie miasteczko oddalone kilkadziesiąt kilometrów na południe od Warszawy było spokojne i senne. Rytm dnia wyznaczało bicie kościelnych dzwonów, stukot wozów na brukowanej ulicy, wschody i zachody słońca, gdy chłopcy wyruszali w pole i powracali z niego, naznaczeni ciężką fizyczną pracą i palącym słońcem. Wyjazdy po sprawunki, nabożeństwa w kościele i powroty wozami z punktów skupu lub piechotą z pastwisk, z gromadką krów i krążącymi wokół stada psami czujnie pilnującymi inwentarza, były jak film zatrzymany w kadrze.

Hanka poczuła się, jakby nigdy nie wyjeżdżała ze wsi. Nawet Bocianowo nie kojarzyło jej się tak bardzo z domem rodzinnym, bo posesja należąca do Łyszkinów stała na skraju lasu, dość znacząco oddalona od innych siedzib ludzkich. Tutaj, gdy wychodziła przed front domu, obserwowała ludzi, niekiedy jakiś samochód, wozy i idące kobiety z chustkami na głowach, niosące sprawunki lub gwarzące w małych grupkach na niewielkim rynku. Było także kilka sklepów, mała piekarnia, z której wydobywał się zapach świeżo upieczonego chleba, i niewielki budynek, gdzie siedział okupant, niemrawo zarządzający miasteczkiem, które mimo wojny żyło swoim własnym tempem.

Był też w okolicy dworek, w oddalonym o kilka kilometrów Trzebieniu, będący niegdyś własnością magnacką rodziny Zamoyskich, teraz częściowo zniszczony i zamieniony na kwatery dla Niemców. Krążyły też po mieście plotki, podobnie jak w Chełmicach, jednak w przeciwieństwie do jej rodzinnej miejscowości dotyczyły ludzi już zmarłych, niekiedy tragicznie, których duchy podobno błąkały się po dworku, strasząc swoją obecnością okupanta, i może dlatego, z obawy przed zemstą sił nadprzyrodzonych, nie był tak okrutny dla mieszkańców.

Hance zdawało się niekiedy, że tego miejsca wojna nie dotyczy, jak gdyby rozrywany okrutną pożogą świat istniał gdzieś poza tą społecznością. Czasami przybywali tutaj obcy, by kupić jedzenie od chłopów. Przemykali niepewni, wciąż oglądając się za siebie, jakby wypatrywali luf karabinów wycelowanych w ich głowy. Oni zapewne zaznali tego strachu, gdy niebezpieczeństwo czało się na każdym kroku, a śmierć urządziła sobie polowania. Tutaj było inaczej.

Kiedy zaś Hanka wychodziła na drugą stronę drewnianego domu, tuż za niewielkim podwórkiem bezkresne pola i łąki ciągnęły się aż do Wisły, której brzegi porastały powykrzywiane od naporu wody wierzby.

To miejsce do rozpoczęcia nowego życia znalazł dla nich profesor. Miał w okolicy rodzinę, bywał tu często i któregoś razu po prostu zabrał swoje lokatorki do Magnuszewa. Owa wyprawa była męcząca, a miasteczko odcięte od świata szeroką rzeką, po której pływały chwiejące się promy i zdezelowane łodzie. Niegdyś stał tutaj most, ale wrześnieowa pożoga zabrała mieszkańcom jedyną stałą przeprawę przez Pilicę.

Gdy przybyli późnym popołudniem i nieco odpoczęli u wiekowej ciotki Litwińska, ten pokazał im mały domek, który stał pusty od przed wojny. Licha to była chatka, odkupiona za grosze od uciekającej żydowskiej rodziny przez miejscowego fel-

czera. Teraz, gdy nie wiodło mu się zbyt dobrze, chętny był, żeby ją podnając spokojnej rodzinie. W przeciwieństwie do oglądanych jeszcze w towarzystwie Alicji kwarter, był to dom samodzielny, z własną kuchnią i niewielkim podwórzem. I ten fakt chyba zdecydował, że Hanka postanowiła pozostać w Magnuszewie. Żal jej było Warszawy, nawet tej pogruchotanej przez naloty, ale musiała zadbać o Nadię, Irenę i przyszłego potomka, bo jej przecucia się sprawdziły i w istocie była przy nadziei. Pogodziła się więc z losem i gdy obejrzała posesję, nie przyszło jej to nawet zbyt trudno.

Dawno już wyrosła z pasania krów i hodowli kurcząt, ale Irena „Wariatka” zdawała się być w swoim żywiole, gdy doglądała ich skromnego inwentarza. Ubrana w kwiecistą spódnicę i szare gumofilce, nosiła wiadra z wodą, ziarno dla kur i trawę dla kilku królików, z których zamierzała w przyszłości robić potrawy dla Nadii. Jednak za każdym razem, gdy Hanka patrzyła w ich śliczne, ciemne oczka, odwoździła Irenę od tych planów. „Wariatka” rezygnowała z zalem z uśmiercania królików, nie do końca rozumiejąc opory Hanki, i jedyne, co mogło ją udobruchać, to kilka piosenek, które Lewinówna wykonywała z taką samą wirtuozerią, jak niegdyś na scenie.

Powoli zaczęła się zaokrąglać i w końcu przyznała się Irenie, że nosi w brzuchu drugie dziecko. „Wariatka” uśmiechnęła się jedynie na tę wieść, pogłaskała Hankę po niewielkiej wypukłości, po czym zapytała, zupełnie rozbijając Hankę:

– A co to trzeba zrobić, żeby też tak mieć w brzuchu dziecko?

– Chłopa trzeba mieć, Irena. – Roześmiała się.

– A przecież ty nie masz chłopca. – Irena wydeła wargi.

– Ale miałam... – Posmutniała na wspomnienie o Igorze.

– A... bo to chyba trzeba męża mieć – błyskotliwie zauważyła Irena. – Męża miałaś?

– Miałam. Ale wyjechał – westchnęła Lewinówna. – Był hrabią.

– A listy przysyła? – wciąż pytała Irena.

– Nie, nie przysyła. Wojna jest.

– To ja już nie wiem. – Irena wzruszyła ramionami. – Listów nie przysyła, a ty masz w brzuchu dziecko.

– Ale od pisania listów brzuch nie rośnie. – Znów się roześmiała i dodała: – Jak się jaki koło ciebie zakręci, to ci powiem, jak to się odbywa.

– A pani Hanka to zgrywna jest. A kto by mnie tam chciał. – Zarumieniła się i poszła z kwadrą do obórki, żeby wydoić ich krowę, którą nazwała Maryską.

– Znajdzie się jakiś i dla ciebie. – Hanka uśmiechnęła się i pozdrowiła sąsiadkę wieszającą w ogrodzie pranie.

– Przyjdzie pani dzisiaj? – zapytała sąsiadka. – Będę robić zapasy kawy z marchwi.

– Teraz idę nad rzekę, ale po obiedzie przyjdę na pewno – odpowiedziała Hanka, po czym ruszyła z Nadią w stronę rzeczki, która była pozostałością po dawnym wylewie Wisły.

Pani Latoszek była dla Hanki istną skarbnicą wiedzy w dziedzinie gotowania i przyrządzania rarytasów, do których nie było dostępu. Dyniowe ciasta, kawa z żółdździ i suszonej marchwi czy potrawy z ziemniaków przygotowywane na dziesiątki sposobów. Hanka pobierała te nauki z chęcią i otwartością, ponieważ w tej dziedzinie na Irenę liczyć nie mogła, bo ta ani gotować za bardzo nie umiała, ani też specjalnie

się do tego zajęcia nie garnęła.

Przeszły polami do rzeczki i Hanka rozłożyła niewielką derkę, gdzie usadowiły się z Nadią, by rozkoszować się spokojem, ciszą i pięknymi widokami. Lubiła tutaj przychodzić bez Ireny, bo gdy Nadia zasypiała, zmęczona harcami, Hanka oddawała się marzeniom, wspomnieniom i rozważaniom. Postanowiła, że gdy wojna się skończy i odnajdzie Tomasza, natychmiast się z nim rozwiedzie. „I co dalej? – zastanawiała się. – Powrót na scenę, małżeństwo z bolszewikiem Igozem?”. Tak, ta druga opcja bardzo jej się podobała. Była przekonana, że Łyszkin będzie dla małej Nadii niczym prawdziwy ojciec, a drugie dziecko, być może syn, owocem ich pięknej i trudnej miłości. Nie myślała o powrocie na wielką scenę i pierwsze strony „Kuriera”, ale może jakiś spokojny, niewielki teatr dałby jej angaż. Z nostalgią wspominała obskurny teatrzyk na Nowym Świecie, gdzie warunki lokalowe były okropne, ale atmosfera pełna radości. Był to świat widziany oczami szalonej młodości. Potem przyszła chęć na dostatnie, jeśli nie luksusowe życie. Dzisiaj jednak ten mały, zapuszczony teatrzyk, z którego niegdyś tak bardzo pragnęła uciec, jawił jej się jako bezpieczna przystań. Tak, w tej chwili spokój najbardziej był w cenie. Móc wyjść bez lęku do parku czy sklepu, nie drzeć, słysząc pukanie do drzwi, i cieszyć się bez skrępowania prostymi rzeczami. Jednak teraz, w tym cichym miejscu, myślała o najbliższych. O Igorze, który teraz pewnie walczył w swoim kraju w wielkiej wojnie, szalonej Alicji, miotającej się między nazistą Grossem i patriotą Chełmickim, czy wreszcie o bracie, który kochał wygodne życie i musiał przejść wiele upokorzeń, by znaleźć się tam, gdzie zaplanował. Gdy jednak wybuchła wojna i on musiał zmienić swoje spojrzenie na życie i zadbać o swoje bezpieczeństwo. Był już ojcem i narzeczoną, miał swoją rodzinę i musiał ją chronić przed całym złem świata.

Nie była już tą samą przerażoną Hanką, los dał jej lekcję pokory i nauczył, że mimo obaw i trosk trzeba żyć normalnie i nie dać się wpędzić w koszmarnie i pełne lęku myśli. Przypominała sobie, jak bardzo była kiedyś sparaliżowana strachem, niemal w każdej minucie, odkąd usłyszała z megafonów na ulicach Warszawy, że oto mamy wojnę. I cóż dał jej ten paniczny strach? To, co Hiobowi, gdy patrzy w niebo i z wyrzutem mówi do Boga: „Spotkało mnie to, czego najbardziej się bałem”. Jak gdyby tymi wizjami przyciągnęła je do siebie z całą mocą swojej duszy, by mogły się ziścić i przybrać materialną formę. Nie potrafiła cieszyć się chwilą, która trwała, bo czekała na nadejście najgorszego, które w istocie nadeszło. Dzisiaj chwila była na wagę złota. Każda minuta spokoju, miłości i błogiego snu była cennym darem, który należało szanować, jak każdy grosik, który wrzucamy do dzbanka, by po pewnym czasie spostrzec, że owa skarbonka jest nimi wypełniona po brzegi. Zrozumiała, że życie to te właśnie moniaki ciułane po troszku, chwile tak cenne, jakby miały trwać wiecznie, i pogodne myśli, które sprawiają, że nie zauważa się mankamentów otaczającego nas świata.

20. Moskwa, 1941

Chwila, na którą Igor Łyszkin i jego kompani czekali z niecierpliwością, w końcu nadeszła. Gdy wybuchła wielka wojna ojczyźniana, ich kontakt z niemieckimi znajomymi się urwał, ale właśnie Irina przyniosła pokrzepiające wieści. List przyszedł z Kijowa. To w tym mieście, jak i niemal na całej Ukrainie, Niemcy czuli się jak u siebie w domu. Byli przekonani, że ludność cywilna jest im przychylna i nie będzie mowy o takich aktach oporu i sabotażu, jak w Polsce. Być może nie zdawali sobie sprawy, że Stalin nie odda im Ukrainy, nawet za bardzo wysoką cenę. Odbicie Kijowa było dla niego priorytetem. Przyczyna była prosta. Związek Radziecki ponosił klęskę za klęską, a żołnierze Armii Czerwonej, gdzie jedynie co czwarty rekrut miał broń, byli miażdżeni przez hitlerowski walec, który był lepiej uzbrojony, bardziej wyszkolony i posiadający dobrych strategów. Wojska niemieckie zbliżały się do stolicy, bastionu Stalina, a tam panował chaos i panika. Budowano okopy, linie obronne, wielki wódz w końcu przemówił, nawołując wszystkich do walki w obronie „matki Rosji”, ale to wszystko stało się o wiele za późno. Tempo błyskawicznej operacji „Barbarossa” nie dawało szans na to, że Moskwa będzie gotowa na odpór ataku wroga. Należało zatem skoncentrować większość wojska w innym miejscu, by tam zatrzymać największe niemieckie siły.

Była to jakaś metoda, chociaż wróg nadciągał także z zachodu i północy, ale Stalin postanowił poświęcić Kijów, by lepiej przygotować się do obrony Moskwy. Skierował ponad sześćset tysięcy żołnierzy w kierunku Kijowa, żeby tam zatrzymać napór niemieckiego wojska. Stalin musiał wiedzieć, że istnieje wysokie prawdopodobieństwo, że i ta bitwa będzie przegrana. Tak też się stało. Setki tysięcy żołnierzy trafiło do niewoli, a w mieście zadomowiali się Niemcy. Łyszkin czasami zastanawiał się, czy musiało do tego dojść. Do tak druzgocącej porażki. Pomyślał jednak, że trwająca bez mała dwa miesiące bitwa zatrzymała na ten czas najazd na stolicę.

W Związku Radzieckim największymi zasobami były bogactwa naturalne i ludzie. Dlatego w pewnym momencie cenniejszy był karabin niż człowiek. Całe gromady żołnierzy były bezlitośnie unicestwiane, a kolejne, które nadchodziły, szukały wśród pól usłanych ciałami towarzyszy jedynie broni. Nie było czasu na refleksję, że to są ludzie, którzy mieli zapewne rodziny, przyjaciół i marzenia. Ale nikt wówczas o tym nie myślał, oprócz matek czekających na synów, żon wypatrujących w oknach mężów czy sióstr i braci kierujących swoje myśli ku tym, którzy poszli na rzeź.

Łyszkin przybył do Kijowa pod koniec września, gdy nowi gospodarze rozpoczynali tam swoje rządy. Było podobnie jak w Warszawie i nic nie zapowiadało nadciągającej katastrofy.

Znalazł się na najbardziej reprezentacyjnej ulicy tego miasta, Chreszczatyku. Gdzieniedzie na budynkach powiewały swastyki, po ulicach jeździły niemieckie samochody, a ludzie zdawali się przyzwyczajać do obecności okupanta. Najeźdźca był dumny z kolejnego zwycięstwa, pyszny i pewny siebie. Oto największe państwo świata ugięło się przed aryjskimi nadludźmi.

Łyszkin był zdruzgotany kolejną klęską swojej ojczyzny, ale nie tracił nadziei,

że sytuacja może się w końcu odwrócić. Nie chciał uwierzyć, iż ten potężny kraj i ich największy, po Włodzimierzu Leninie, przywódca nie poradzi sobie w końcu z tą szaloną machiną wroga.

List, który dotarł do Iriny Szeremietiew, oprócz lakonicznych pozdrowień zawierał również adres niewielkiego sklepu z artykułami żelaznymi koło Dworca Kazańskiego w Moskwie, gdzie Igor niezwłocznie się udał. Tam otrzymał notkę z datą i miejscem spotkania oraz nowiutki niemiecki paszport z niezbędnymi przepustkami. W końcu ryba chwyciła haczyk. Najpewniej wywiad niemiecki był zdezorientowany poczynaniami Rosjan, które z jednej strony sprawiały wrażenie kompletnie nieprzeemyślanych, z drugiej doszukiwali się jakiegoś drugiego dna. Aby je odkryć, potrzebowali takich ludzi jak kapitan Armii Czerwonej, cieszący się zaufaniem najwyższych dowódców i nienawidzący nowego porządku w swoim kraju.

Igor dyskretnie przemknął przez hol hotelu Nacional, by udać się na drugie piętro, do pokoju zajmowanego przez łącznika z Abwehry. Przywitali się i oficer zapytał, uśmiechając się ironicznie:

– Wciąż pan nie rezygnuje z chęci współpracy?

– Nie, wojny jeszcze nie wygraliście – odciął się Łyszkin.

– Nie widzi pan, co się dzieje? Rozgnietliśmy waszą armię jak robaka. Tyle tysięcy ludzi, a jednak to my triumfujemy i nie sądzę, by mogło się to odwrócić – dumnie odpowiedział oficer, nalewając do kieliszków koniaku. Jeden z nich podał Igorowi.

– Zatem jeśli ta pewność jest tak granitowa, co ja tutaj robię? – nieco sztucznie uśmiechnął się Łyszkin.

– Powiedziałem „nie sądzę”, co nie oznacza wcale pewności. Dopóki nie zdobyliśmy Moskwy, a tego drania, Stalina, nie powiesiliśmy na placu Czerwonym, wciąż nie czujemy się w pełni zwycięzcami – odpowiedział już bez ironii oficer.

– Tak. Czekam na ten widok, jak na zbawienie. Bolszewizm to zaraza ludzkości – zapewnił gorliwie Igor.

– Zatem obaj czekamy, panie... Może lepiej bez nazwisk. Nasza operacja będzie nazywała się „Szachy”, a pan otrzyma pseudonim „Goniec” – odpowiedział oficer i dodał: – Sklep żelazny przy Dworcu Kazańskim należy do naszego człowieka. Tam będzie pan zostawiał dla nas wiadomości. Teraz jednak chciałbym dowiedzieć się czegoś innego i mam nadzieję, że zdoła pan dotrzeć do tych informacji. Nasi informatorzy z Kijowa dostarczyli nam dane o wielkiej aktywności NKWD w Kijowie, gdy nasze wojska zajęły Żytomierz. Podobno ukrywali jakieś potężne archiwa, które wynosili z tutejszego oddziału. Robili to wręcz w panice. Chciałbym wiedzieć, czego dotyczą te archiwa, że zostały w takim pośpiechu ukryte. No i gdzie one są.

Igor Łyszkin zamyślił się. Nie miał pojęcia o tym, jakoby w Kijowie znajdowały się jakieś wyjątkowe archiwa. A oni wiedzieli.

– Spróbuję się czegoś dowiedzieć, tutaj na miejscu. Ale nie mam zbyt wiele czasu. Jestem potrzebny w Moskwie i ledwie wyzbrałem kilka dni wolnego, żeby spotkać się z umierającą matką – mruknął Igor.

– To doprawdy adekwatne określenie, bo matka Rosja, jak to ją nazywa Józef Stalin, w istocie dogorywa... – złośliwie odpowiedział oficer.

Igor również się uśmiechnął, co przychodziło mu z niemałym trudem. Najgorsze, że ów bezczelny oficer był bliżej prawdy niż kiedykolwiek. Po chwili doszedł do

równowagi i zaczął się zastanawiać nad tajemniczymi archiwami. Nie miał pojęcia, o co może chodzić, dlatego napomknął delikatnie:

– Jeszcze jedno... Nie pracuję w NKWD. Oni robią swoje.

– Ale gdzieś ktoś pociąga za wszystkie sznurki. Nie mówię o samym Stalinie, on zapewne wrywa sobie włosy z głowy, ale ktoś to koordynuje. Beria z Żukowem albo na przykład z Chruszczowem. Da pan radę zejść aż tak wysoko?

– Wciąż awansuję, kieruję jednym z odcinków obrony Moskwy. Ale to wciąż tylko wojska kwatermistrzowskie. Znam kolejne ruchy, bo wiem, gdzie mnie wysyłają z rozkazami, ale nadal jestem pionkiem. Więc proszę nie nastawiać się na aż takie rewelacje – próbował tłumaczyć Igor, zdziwiony indolencją swojego rozmówcy. Być może miał go za idiotę i próbował sprawdzać, co ten ich nowy nabytek jest w stanie im obiecać.

Posiedzieli jeszcze kilka minut, delektując się markowym koniakiem, gdy nagle usłyszeli huk, a następnie wyleciały szyby z okien. Po chwili nastąpiły kolejne eksplozje, krzyki i wycie syren. Wybiegli z pokoju i skierowali swoje kroki w stronę schodów, gdzie już tłoczyli się przerażeni oficerowie i cywilna obsługa. Jakiś wysoko postawiony gestapowiec wrzeszczał w panice:

– Co jest, do cholery?! O co chodzi?!

Ktoś, cały zakrwawiony, stał u podnóża schodów i krzyczał:

– Wszystko płonie... Cała ulica i dalej!

Zdezorientowani ludzie nie wiedzieli, co robić. Jedni zbiegali na parter, inni cofali się przerażeni na wyższe kondygnacje. Łyszkin przecisnął się przez tłum na schodach i wybiegł przed budynek. To, co ujrzał, przypominało apokalipsę. Mimo późnej pory było zupełnie jasno, jak gdyby ktoś zrobił niesamowitą iluminację, niebo przybrało różowy kolor, a z większości budynków wysuwały się ogromne języki ognia. Co chwilę dochodziło do kolejnej eksplozji, w powietrzu unosiły się niczym konfetti wyrzucane siłą wybuchu elementy wyposażenia budowli. Jednak najgorszy był widok ludzi. Zakrwawione postacie wybiegały z budynków, małe dzieci krzyczały w rozpacz, a gdzieś tam ktoś próbował ratować się skokiem z okna.

Zobaczył wóz strażacki, przy którym stali bezradni pracownicy, próbując pompować wodę na płonące domy. Ale była to raczej desperacka próba niż rzeczywiste działanie.

– Dlaczego nic nie robicie, do cholery? – krzyknął Igor do jednego z nich.

– Ujęcia wody zablokowane, przepompownia wysadzona, węże pocięte! – przekrzykiwał gwar strażak.

Łyszkin spostrzegł, że mężczyzna płacze z bezsilności. Po chwili zakrył twarz rękoma i wyjęczał:

– Całe miasto płonie, domy, fabryki, elektrownia. Te niemieckie skurwysyny wszystko puścili z dymem.

W ułamku sekundy spostrzegli spadającą belkę stropową. Igor popchnął strażaka na środek ulicy i sam odsunął się w pośpiechu. Płonąca belka roztrzaskała się o wóz strażacki.

Na alei robiło się coraz ciasniej, bo ci, co ocalili, usiłowali uciec jak najdalej od tego piekła. Łyszkin podążył wraz z nimi w stronę rzeki, która dawała nadzieję na ratunek.

Wydostał się z płonącej części miasta i szedł przed siebie w kierunku jednego

z dworców, by jak najszybciej opuścić Kijów. Wciąż oglądał się za siebie, patrząc na ogromną łunę. Najpiękniejsza część tego miasta zamieniła się w słup ognia, trawiąc tysiące ludzi. Nie mógł zrozumieć, jak to się stało, że doszło do takiej katastrofy. Przecież zginęli nie tylko Ukraińcy, ale także ludzie z niemieckiej administracji, która zajęła rządowe budynki. Po co to zrobili, gdy Kijów już był ich, a armia radziecka zdziesiątkowana lub zamknięta w niewoli? Jaki był sens tych poczynań właśnie teraz...?

Dotarcie do Moskwy zajęło mu dwa dni. Z uwagi na ogrom zniszczeń i masowe ucieczki z miasta wydostanie się z tego ognistego kręgu było nie lada wyzwaniem. Pomógł mu niemiecki paszport i wyjechał z Kijowa niemiecką ciężarówką wiozącą prowiant na front. Gdy w końcu znalazł się po stronie, gdzie nie dotarli jeszcze Niemcy, wsiadł do pociągu i udał się do Moskwy.

Kolejne miasto pokazało mu lekcję okrucieństwa. Jak Neron niegdyś podpalił Rzym, tak teraz ktoś wydał rozkaz, by spłonął Kijów. A przy tym postarano się, żeby nie został ugaszony, dopóki nie zostanie tam kamień na kamieniu.

Następnego dnia Igor szedł na spotkanie z Golikowem i wciąż cały się trząsał. W totalnym rozbiciu psychicznym niemal zapomniał, że wróg ma swoich ludzi w Moskwie i musi być dyskretny i czujny.

Golikow nie krył słów uznania, że przynęta chwyciła i akcja „Klasztor” zaczęła przynosić efekty. Nie tylko Igorowi udało się zmylić przeciwnika, ale kilku innych agentów już z powodzeniem działało w szeregach wroga.

– Co dalej? – zapytał Igor, czekając na dalsze instrukcje.

– Oddelegujemy was w okolice Kijowa. Będzie tam stacjonować nasz oddział zwiadowczy, a wy, Łyszkin, zajmiecie się ich lokowaniem. A swoich nowych pracodawców po prostu będziecie informowali o poczynaniach Armii Czerwonej. Instrukcje będziemy wam zostawiać pod tym adresem. – Golikow podał mu kartkę i dodał: – Wasza dziupla będzie znajdować się nieopodal. Musicie mieć uszy i oczy otwarte, jesteście nam tam potrzebni również do oceny bieżącej sytuacji w Kijowie.

– Ale muszę im dać coś na początek, żeby nie nabrali podejrzeń, że oto nagle wysyłają mnie do Kijowa – mruknął Igor, bo przedstawiona propozycja wydała mu się szyta grubymi nićmi. – Dostali od miejscowych informatorów szyfrogram, że przed wkroczeniem Niemców do Kijowa NKWD oczyszczało i chowało w pośpiechu jakieś niesłychanie ważne archiwa.

– Dobrze się spisali nasi chłopcy. – Golikow uśmiechnął się półgębkiem. – I tak się dowiedzą, więc możecie im przekazać, że to nie były żadne archiwa, tylko dosłownie zaminowaliśmy całe miasto, by wykurzyć z niego tych drani. Nie są idiotami, mają swoje służby i rychło odkryją pozostałości po skrzyniach z dynamitem albo znajdą się tacy, którzy im o tym doniosą.

– A więc ta pożoga... – jakby do siebie zaczął szeptać Łyszkin – to robota NKWD?

– Taaak... – powoli i z pewną dumą odpowiedział Golikow. – Akcja przeprowadzona po mistrzowsku. Niech zobaczą, jak ich witamy. A Ukraińcy może w końcu przejrzą na oczy, gdy zobaczą, do czego są zdolni ci barbarzyńcy.

A zatem o to chodziło. Zrównać z ziemią Kijów, poświęcić ludność cywilną,

by potem zrzucić odpowiedzialność na Wehrmacht. Pomysł szatański, bo Igor nie wierzył, że pozostanie bez echa i Niemcy nie podejmą działań odwetowych. Było oczywiste, że dojdą szybko do tego, kto za tym stoi. Jeśli nie oni wywołali pożar, musiała to zrobić ta druga strona.

Wyszedł od Golikowa i kupił w kiosku gazetę. Na pierwszej stronie „Prawdy” widniał tytuł: „Wróg spalił Kijów”. Nie musiał czytać zbyt wnikliwie, żeby wiedzieć, co zawiera artykuł. Autor pisał o niewymownym cierpieniu mieszkańców Kijowa, które Niemcy spalili, niemal równając z ziemią. W mocno patetycznych słowach zagrzewano w nim do walki z wrogiem i straszono, że może to samo spotkać także Leningrad i Moskwę, jeśli Rosjanie dopuszczą do rozplenienia „hitlerowskiego robactwa”. Może gdyby tam nie był, może gdyby nie widział pożaru na własne oczy, uwierzyłby. Tak samo, jak w to, że wkraczający Niemcy zamordowali wszystkich więźniów politycznych w Brygidkach we Lwowie czy na kijowskiej Bykowni. A teraz podpalili bez skrępowań to stare i piękne miasto.

Naród radziecki płacił wysoką cenę w tej wojnie i Łyszkin zaczął dostrzegać pewne pęknięcia w idealnym systemie. Rozumiał walkę do ostatniej kropli krwi, obronę ojczyzny, ale zaczęło do niego docierać, że Beria robi to kosztem własnych obywateli. Nie chodziło o poświęcenie kilku jednostek dla dobrej sprawy, to byłby w stanie zrozumieć, ale o świadome ludobójstwo na masową wręcz skalę. Dziesiątki tysięcy „politycznych” i tak zapewne spotkałaby kara śmierci, ale zwykli ludzie, starcy i dzieci, całe rodziny niemające nic wspólnego z wielką polityką, po prostu spaleni tylko po to, żeby obwieścić światu, jak postępuje wróg na ich terenie... Nawet jemu taka propaganda wydała się zbyt okrutna.

Spreparował notkę i pozostawił w sklepie żelaznym przy Dworcu Kazańskim, po czym powrócił do swojego mieszkania na Arbacie i upił się niemal do nieprzytomności. Czuł, jakby to, w co wierzył, nagle runęło z hukiem. Dotychczas patrzył na wszystkie polityczne morderstwa ze zrozumieniem, na tę całą inżynierię społeczną dziesiątkującą wrogów ojczyzny i nowego porządku, ale teraz doszedł do wniosku, że sprawy zaszły za daleko. Cóż jednak mógł zrobić? Wykrzyknąć, że Rosjanie to barbarzyńcy, tacy sami jak Niemcy? Przejść na stronę wroga, która była równie bezwzględna, czy strzelić sobie honorowo w łeb? Rozumiał teraz swojego kolegę po fachu, Wanię, który po prostu nie wytrzymał i postanowił skończyć z całą tą farsą. Może siedział teraz gdzieś w Kazachstanie albo na dalekiej Syberii, w jakiejś małej, zacofanej wiosce, i prowadził proste życie u boku najbliższych.

Tak, na to szaleństwo była metoda. Patrzeć z boku, najlepiej z daleka, mieć koło siebie Hankę i Nadię i czekać, aż dwaj dyktatorzy w końcu zakończą ten wyścig po władzę. Martwił się o swoje dziewczyny, jak je zwykł nazywać w myślach, bo i w Polsce nie było zbyt wesoło, ale nie spodziewał się, że w jego ojczyźnie może być jeszcze gorzej. Miał jedynie nadzieję, że jego rodzice są już w bezpiecznym miejscu, gdzie wojna jest jedynie echem docierającym ze wschodu.

20. Warszawa, 1941

– Oszalałaś? – Martin Gross patrzył ze zdziwieniem na Alicję.

– Nie oszalałam. Rozumiem, że jesteś zazdrosny, ale wysyłanie za mną szpicli jest po prostu elementarnym brakiem zaufania – blefowała Alicja.

Postanowiła, że opowie Grossowi o śledzących ją mężczyznach, udając, że zostali nasłani przez przezornego kochanka. Wiedziała, że to nie jego sprawa, ale życzyła sobie, żeby jakoś zareagował i użył swoich wpływów, aby pozostawiono ją w spokoju.

– Kochanie... – jęknął. – Jestem poważnym mężczyzną i realistą. Jeśli będziesz chciała mnie zdradzić, oszukać, porzucić, to żadna siła ci w tym nie przeszkodzi. Tak, jestem o ciebie zazdrosny. Tak, obawiam się, że pewnego dnia wrócę do domu, a ciebie już w nim nie będzie, ale nie mam zamiaru być twoim policjantem.

Alicja usiadła obok niego, wciąż trochę naburmuszona, i pogłaskała go po dłoni.

– Martinie, ja się boję. Ktoś mnie szpieguje, łązi za mną i nawet taka ignorantka jak ja to zauważyła. Jeśli nie ty, to kto? Gestapo? – zapytała, udając naiwną.

– A może to Polacy, którym nie podoba się, że żyjesz z Niemcem? Ci twoi rodacy to zawzięte skurczybyki – mruknął.

– Nie wiem. – Wzruszyła ramionami, po czym dodała, nieco urażona: – A co to za różnica, do cholery. Jak mi strzelą w łeb, to będzie mi wszystko jedno, czy to gestapo, czy polscy terroryści.

– Dobrze, sprawdzę to. A ty na wszelki wypadek nie wychodź sama na miasto – westchnął Martin, nie do końca wierząc Alicji. Uważał, że ze strachu zaczyna cierpieć na manię prześladowczą.

– Ciebie nie ma całymi dniami, a ja mam siedzieć tu jak w więzieniu? – obruszyła się.

– Skarbie, tylko kilka dni, dopóki nie sprawdzę, czy w istocie coś ci grozi. A potem i tak wyjeżdżamy do Peenemünde.

– Dobrze – powiedziała słodko i zaczęła wodzić palcami po udzie Martina.

Odłożył trzymaną w dłoni gazetę i zdjął okulary. Przytulił Alicję i powiedział:

– Jak tylko wojna się skończy, rozwiędę się i ożenię z tobą. Dodasz tylko „G” do swojego scenicznego nazwiska. To musiał być jakiś znak... – Uśmiechnął się do niej.

Przełknęła ślinę. Martin naprawdę ją kochał. Szkoda, że ona nie mogła pokochać jego.

– Poczekaj z tymi oświadczeniami, aż będziesz wolny – mruknęła i wstała z kanapy, niby urażona, że wspomniał przy niej o żonie.

Naprawdę chciała się w spokoju rozplakać, tak żeby nikt tego nie widział. Przełknęła ślinę i zamknęła się w łazience. Usiadła na klozecie i zapaliła papierosa. Wiele by dała, żeby zamiast Grossa na tej kanapie siedział Julian i snuł podobne wizje dotyczące ich wspólnej przyszłości. Tymczasem nawet nie będzie miała tych krótkich chwil, gdy widywali się w starym magazynie, los zabrał jej nawet to. Krót-

kie uściski dłoni, spojrzenie mówiące tak wiele, jego stanowczy ton, gdy rozdzielał kolejne zadania, i tęsknotę w głosie, gdy mówił tylko do niej. Była silną kobietą, ale nie aż tak, by pogodzić się z taką udręką czekania.

Czekała na Chełmickiego od trzynastego roku życia, od dnia, gdy zobaczyła go jadącego bryczką ze swoją matką. Jak zawsze się uśmiechał, ale wtedy, gdy to zrobił, coś w jej sercu drgnęło. Jakby miało skrzydła, które nagle zaczęły trzepotać, wywołując drżenie na myśl o tym pięknym chłopcu. Teraz miała już dwadzieścia sześć lat, ale ten trzepot wciąż nie ustawał, bez względu na to gdzie była i z kim była.

Następnego dnia Martin Gross wkroczył do biura Gerharda Keniga. Doszedł do wniosku, że jeśli Alicja nie myli się i w istocie ktoś za nią chodzi, zapewne są to Polacy. Zatem szef gestapo powinien się tym zainteresować i złapać przy tej okazji kilku bandytów. Kenig jednak uśmiechnął się tylko na te słowa i zaczął uciekać wzrokiem przed czujnym spojrzeniem Grossa.

– To nasi ludzie – powiedział w końcu szef gestapo.

– Nie rozumiem – zimno powiedział Gross. – Czy moja przyjaciółka jest o coś podejrzana?

Kenig zmieszał się. Gdyby te obserwacje przyniosły jakieś efekty albo przyłapano by ją na czymś, sprawa byłaby prosta. Ale w tej chwili miał bardzo niewiele danych. Jedno zdjęcie ze znajomym z rodzinnej miejscowości to była marna poszlaka. Porozmawiali przez chwilę i to wszystko. A że się znali, a ów mężczyzna kiedyś służył w wojsku polskim i był synem polskiego ziemianina, nie tworzyło wiarygodnego potwierdzenia, że panna Rosińska wykorzystuje Grossa do działalności szpiegowskiej. Również znajomość z Hanką Lewin-Niechowską nie świadczyła o niczym takim. Przyjaciółki od dzieciństwa – to wszystko. Oczywiście, mieli swoje metody, aby sprawdzić tę kobietę w inny sposób, na przykład torturami, ale jednak to była kochanka Grossa, a to oznaczało delikatność w postępowaniu. Grossowie, zarówno syn, jak i ojciec, byli zasłużonymi i wpływowymi członkami SS.

– Wybacz, Martinie. Musieliśmy być czujni i sprawdzić twoją przyjaciółkę. W końcu jest blisko związana z Hanką Lewin, a ta, jak wiadomo, z bolszewickim szpiegiem. Ale możesz spać spokojnie, panna Rosińska nie zrobiła nic, co mogłoby świadczyć o jej złych intencjach. Już wczoraj podjąłem decyzję, żeby zakończyć obserwację.

– Dlaczego mnie nie poinformowałeś? – Głos Martina nadal był lodowaty.

– Och, Martinie. Masz chyba ważniejsze sprawy na głowie. – Kenig machnął ręką, chcąc zbagatelizować całą sprawę.

– W istocie, mam ważniejsze sprawy. Gestapo chyba również. Polscy terroryści grają wam na nosie, całkowicie przestali się was bać. Zapewne dlatego, że wygodniej jest marnować potencjał pańskiej służby na szpiegowanie mojej przyjaciółki, niż narażać się na konsekwencje ze strony polskiego podziemia. Myślę, że gubernator Fischer będzie niepokieszony, jeśli mu opowiem, na co marnujecie czas i pieniądze Trzeciej Rzeszy – stanowczo powiedział Gross i wstał z fotela.

– Martinie, Martinie, zrobiliśmy to dla twojego dobra i bezpieczeństwa. – Kenig próbował załagodzić sytuację.

– Pozwolisz, Gerhardzie, że o swoje dobro zadbam sam. Ty postaraj się, żeby

bandyci nie panoszyli się w Warszawie. Wówczas wszyscy będziemy bezpieczni – złośliwie dodał Gross i opuścił gabinet Keniga.

Kenig dopił duszkiem koniak i podniósł słuchawkę telefonu.

– Wezwijcie do mnie tego idiotę, Schwartza – wycedził przez zęby.

Zanim Schwartz pojawił się w jego gabinecie, Kenig przemierzał pokój, kipiąc z wściekłości. Ten kretyn, Jürgen, miał wybrać najlepszych i najbardziej zaufanych ludzi, tymczasem chyba wysłał na obserwację kompletnych amatorów. Było jasne, że jeśli kochanka Grossa odkryła, że ma ogon, nie robiła nic, co mogło budzić jakiegokolwiek kontrowersje. Dlatego raporty, które do niego trafiały, dotyczyły wizyt w salonie fryzjerskim, spotkań z żonami niemieckich oficerów w stołecznych kawiarniach czy wreszcie męczącej marszruty po najlepszych berlińskich sklepach. Czyli jedno wielkie gówno.

Kilka minut później wszedł Schwartz, zameldował się i stał jak słup soli, czekając na kolejną reprimendę od swojego szefa. Kenig jednak zdążył przez ten czas oczekiwania dojść do względnej równowagi, dlatego wycedził przez zęby:

– Rozumiem, że panna Alicja Rosińska jest czysta jak łza i możecie zwolnić ludzi z jej pilnowania?

– Tak jest – odmeldował Schwartz.

– A ten jej znajomy, Chełmicki? – zapytał z nadzieją w głosie.

– W rodzinnej miejscowości go nie ma. Tam zastaliśmy jedynie jego schorowanego ojca i stukniętą matkę. Zarówno stary Chełmicki, jak i służba twierdzą, że Julian Chełmicki opuścił Polskę i najpewniej przebywa w Szwajcarii – odpowiedział drżącym głosem Jürgen.

– A jakie jest twoje zdanie? – Kenig coraz mocniej zaciskał zęby, bo widmo zdyskredytowania Grossa i wkupienie się w łaski gubernatora Fischera oddalało się coraz bardziej.

– Nie mamy go w swoich kartotekach, nigdzie nie jest zatrudniony ani zameldowany. Jakby zapadł się pod ziemię. Więc być może uciekł... Ci Chełmiccy to bogaci ludzie. Starego stać byłoby na wysłanie jedynaka nawet do Ameryki – bąknął Schwartz.

– Posłuchaj, jeśli po kampanii wrześnieowej uciekł za granicę, a potem powrócił do kraju, to nie po to chyba, żeby znowu z niego wyjeżdżać. Mógłbym założyć, że przybył tylko dlatego, żeby zobaczyć się ze swoimi rodzicami, ale zatem co robił w Warszawie? Przyjechał ukulturalnić się do opery? Moim zdaniem działa w podziemiu i od dawna nie nazywa się Chełmicki. W przeciwnym razie zostawiłby po sobie jakiś ślad, istniałaby chociaż kenkarta. Musimy jednak być ostrożni, bo jeśli w istocie nie istnieje żaden związek między tym człowiekiem a panną Rosińską, Gross rozszarpie nas na strzępy. – Kenig mówił bardziej do siebie niż do podwładnego.

– To co mamy robić? – bezradnie zapytał Schwartz.

– Poczekajcie trochę, niech panna Rosińska poczuje się pewniej, a potem powróćcie do jej obserwacji. Tylko dyskretnie tym razem. Nie może mieć nawet cienia podejrzenia, że ktoś za nią chodzi.

– Tak jest, Standartenführer. Czy coś jeszcze?

– Tak. Wynoś się – burknął Kenig.

Renate Zoll nigdy wcześniej nie rozważała, jak to jest, gdy myśli się bez przerwy o mężczyźnie. Po prostu nigdy wcześniej nie była zakochana. W czasie, gdy jej rówieśnice przeżywały pierwsze uniesienia i rozczarowania miłosne, ona zastanawiała się, jak pogodzić naukę i prace w gospodarstwie domowym. Dla siebie nie miała czasu prawie wcale. Jej ojciec i bracia pracowali w kopalni i oczekiwali po powrocie z szychty, że będą obsługiwani jak książęta w pałacu. Nie rozumiała dziewczyn, które prawily o szybkim zamążpójściu. Do czegoż im się tak śpieszyło? Do stania przy garach, prania w balii i ciągłego mycia podłóg? Takie miała skojarzenia z małżeństwem, bo tak żyła jej matka, a później ona. Życie z mężczyznami polegało na ciągłym usługiwaniu im, a tak zwana miłość była jedynie haczykiem, by zdobyć kobietę i zrobić z niej swoją niewolnicę. Gdy w końcu wyrwała się z domu, by pełnić służbę w Warszawie, dopiero poczuła smak wolności i prawdziwego życia. Nikt jej nie mówił, kiedy i czy w ogóle ma gotować, jak się ubierać i czy jest posprzątane. Wychodziła z domu, kiedy chciała i gdzie chciała, i miała poczucie, że jest panią swojego życia. Podobało jej się to. Równie mocno jak to, że miała władzę nie tylko nad własnym losem, ale także nad innymi. Ileż to razy słuchała utyskiwań ojca i braci, że pieczeń jest za sucha, podłoga nie dość czysta i nie ma niedzielnego ciasta na stole. Niech teraz sobie pogadają i popatrzą na nią. Mogła nawet zabić, znęcać się do woli i tylko raz musiała odpuścić, co zepsuło jej humor na kilka dni. Nie chciała się wiązać z żadnym mężczyzną ani zakochiwać się. Bo to oznaczało utratę kontroli nad własnym życiem, o którą przez parę ładnych lat walczyła. Nie wierzyła bowiem, że może być inaczej, a ona nie stanie się męskim popychadłem. Wybierała więc kochanków, najczęściej przystojnych i męskich, by po kilku nocach wyrzucać ich ze swojego życia. Gdy tylko zaczynała czuć coś więcej niż tylko pożądanie, po prostu uciekała.

Podobnie było z Emilem. Nie chciała się angażować, bo zrobił na niej wrażenie swoim uporem. Ale im bardziej o nią zabiegał, tym ona mocniej chłodziła swoje serce. Tymczasem najwyraźniej to działało na niego jak afrodyzjak, bo nachodził ją w domu, niekiedy czekał z bukietem kwiatów w bramie i w pewnym momencie robił się wręcz nachalny. Myślała, że pozbędzie się Emila, gdy ujrzała gestapo na ulicy, ale rychło go wypuścili i powrócił do swoich dawnych zwyczajów. Od czasu do czasu brała go do łóżka, by potem odprawiać bez większego żalu. Nie chciała niczego o nim wiedzieć ani poznawać go lepiej. Poza igraszkami w łóżku nie obchodził jej kompletnie. Z czasem i w sypialni zaczęła odczuwać nudę i zapragnęła mieć kogoś nowego. Pewnego sobotniego wieczoru postanowiła zapolować na jakąś inną apetyczną zdobycz.

Sobotniego wieczoru udała się do jednej ze stołecznych kawiarni, zamówiła kieliszek wermutu i ciastko z wiśniami, i obserwowała niemieckich oficerów wchodzących do środka. Wybrała strategicznie miejsce, w lekkim półcieniu, aby mieć doskonały widok na salę, samej nie będąc zbyt dobrze widoczną. Nie chciała, aby zaczepiali ją przypadkowi mężczyźni, to ona chciała wybrać i obmyślić ewentualną

strategię uwiedzenia.

Minęło już kilkanaście minut i gdy znudzona Renate doszła do wniosku, że nikt nie jest wystarczająco frapujący, dostrzegła go. Przystojnego oficera SS, który wszedł do kawiarni, usiadł samotnie przy barze i zamówił pięćdziesiątkę wódki. Wyglądał na przybitego – łatwa zdobycz, która w jej ramionach znajdzie pocieszenie. Podeszła do baru, z odwagą, jaką miewają jedynie prostytutki, i usiadła na stołku obok. Wyjęła z paczki papierosa i zapytała cicho sąsiada:

– Mogłabym prosić o ogień?

Mężczyzna wyciągnął z kieszeni elegancką zapalniczkę i przypalił Renate papierosa. Patrzyła na niego uwodzicielsko, ale on zdawał się nie być nią zainteresowany. To była ta chwila zawodu, której panna Zoll bardzo nie lubiła. Była seksowna, apetyczna i piękna. Zatem powinna wzbudzać zachwyt w każdym, a tymczasem jej towarzysz po podaniu ognia zdawał się kompletnie ją ignorować.

– Ja też mam dzisiaj zły dzień – westchnęła.

Mężczyzna popatrzył na nią i uśmiechnął się smutno.

– Ja od dawna mam „zły dzień” – mruknął.

– Może chciałby pan komuś o tym opowiedzieć?

– Raczej nie...

– To chociaż napijmy się razem. Mam na imię Renate.

– Walter – bez entuzjazmu przedstawił się i wzniosł kieliszek do góry na znak zawartej znajomości.

Siedzieli przez jakąś godzinę, pijąc i wymieniając zdawkowe uwagi, częściej zaś milczeli, wpatrzeni w przestrzeń. Renate niecierpliwiła się coraz bardziej. Podniecał ją ten przystojny oficer i chciała jak najszybciej z nim wyjść, by zakończyć wieczór w łóżku. Tymczasem mijały kolejne leniwe minuty, a ich znajomość nie stawała się ani o milimetr bliższa.

W pewnym momencie w kawiarni rozległ się huk. Z okien powylały szyby, a stojące za barem butelki pospadały z półek, jak kostki domina. Walter w jednej chwili złapał za rękę Renate i ściągnął na podłogę, osłaniając swoim ciałem. Tuż obok nich runął żyrandol i rozległy się strzały z broni maszynowej. Słychać było też krzyki wystraszonych gości i jęki rannych. Wszystko trwało zaledwie trzy minuty, po czym napastnicy wybiegli z lokalu.

Walter von Lossow podniósł głowę i zobaczył koszmarny widok. Jeszcze kurz dobrze nie opadł, ale można było zobaczyć zakrwawione ciała i nieruchome oczy ofiar. Dotknął ramienia swojej nowej znajomej i zapytał:

– Nic pani nie jest?

Renate Zoll podniosła się powoli i rozejrzała dookoła, po czym odwróciła głowę i wtuliła się w Waltera.

– Uratował mi pan życie – wyszeptała.

– Zrobiłem to odruchowo... Po prostu to jeszcze nie był nasz czas – odpowiedział, uśmiechając się do Renate.

– Ale gdyby nie pan... – Popatrzyła na niego i chyba po raz pierwszy w życiu spojrzała na mężczyznę z czułością.

– Proszę wstać, na podłodze jest pełno szkła. Pewnie będziemy musieli poczekać na policję i wezwać ambulans. – Walter starał się być rzeczowy.

Był zdziwiony, że kobieta z takim spokojem patrzyła na zmasakrowane zwłoki

i zrujnowane pomieszczenie. Jego ten widok niemal zemdlił, nigdy wcześniej nie widział tylu trupów naraz, porozrywanych ciał i krwi. Była wszędzie, na białych obrusach, parkiecie, a nawet na ścianach i fortepianie. I to wszystko można było dostrzec nawet w świetle latarni, których światła docierały do pomieszczenia przez otwory okienne. Pomyślał, że może i dobrze się stało, iż niemal natychmiast zgasły lampy i żyrandole, bo mógł sobie jedynie wyobrazić, jak wyglądałaby ta krwawa jatka przy jasnym oświetleniu.

Wyszli z Renate do holu, gdzie panowało już niemałe zamieszanie. Ktoś krzyczał, jakaś kobieta szlochła, zapalono świece i oczekiwano na przybycie służb. Lossow wiedział, że musi się przemóc i wejść z powrotem na salę, gdzie nastąpił wybuch. Ktoś mógł przeżyć i potrzebować natychmiastowej pomocy. Wziął od jednego ze stojących mężczyzn latarkę i ruszył przed siebie. Świecił w twarze ofiar i czuł narastającą chęć, żeby zwymiotować. Usłyszał czyjś jęk i podążył w kierunku mężczyzny, który próbował się podnieść spod sterty ciał. Miał urwaną do łokcia rękę, z której obficie tryskała krew. Walter na chwilę przymknął powieki, po czym chwycił leżący obrus, zawinął nim rękę mężczyzny i wyprowadził go do holu.

Na szczęście chwilę potem przybył ambulans i funkcjonariusze gestapo. Nastąpiły znużone przesłuchania i Lossow powrócił do domu prawie nad ranem. Rozebrał się, wykapał i próbował zasnąć. Nie myślał o pięknej Renate ani o tym, kto dopuścił się tego barbarzyńskiego czynu. Wciąż miał przed oczami jedynie ofiary wieczornej masakry.

W przeciwieństwie do Waltera Renate Zoll nie koncentrowała swoich rozważań na krwawych ofiarach zamachu, ale myślała jedynie o oficerze SS, który uratował jej życie. Może w istocie zareagował instynktownie i zachowałby się w ten sposób bez względu na to, kto siedziałby obok, ale dla niej znaczyło to bardzo wiele. Poczula, jakby mur, którym oddzieliła się od świata zaczął mieć rysy i pęknięcia. Mógł runąć, jeśli zbliży się do niego zbyt mocno, ale jakaś przedziwna siła pchała ją w tamtą stronę. Niczym dziecko wkładające palec do ogniska, by sprawdzić jego niszczycielską moc, tak ona teraz chciała dotknąć czegoś więcej niż tylko męskiego ciała.

Następnego dnia, gdy wiedziała o swoim wybawicielu dużo więcej niż poprzedniego wieczoru, wkroczyła do pokoju, w którym pracował. Redagował notki prasowe i komunikaty radiowe w biurze propagandy. Podniósł głowę znad zawalonego papierami biurka i przywitał się, zmieszany. Renate była bardzo piękna, ale wiele równie urodziwych kobiet miało okazję spotkać w swoim życiu. Owszem, poszedłby z nią do łóżka, w innych okolicznościach nawet dość chętnie, ale nie wierzył, że mogłaby zagościć w jego sercu na dłużej. Po Holly Evans nie chciał angażować się emocjonalnie. Przynajmniej dopóki trwała wojna. Nie chciał kolejny raz kogoś polubić, by potem patrzeć na jego śmierć. Tak było bezpieczniej.

– Chciałam panu podziękować – powiedziała Renate, stojąc przed biurkiem Waltera jak pensjonarka przed siostrą przełożoną.

– Już wczoraj mi pani dziękowała. – Uśmiechnął się nieśmiało.

Renate otworzyła torebkę, wyjęła z niej fajansową figurkę anioła i postawiła na jego biurku.

– Pan był wczoraj moim aniołem, niech ten będzie pańskim – niemal wyszeptowała.

Miała świadomość, że ten dziecinny gest i patetyczne słowa trącą kiczem i takim obrazkiem, ale ona chciała zrobić coś, czego nie robiła w młodości, zajęta pracami domowymi, i wówczas, gdy podobne chwile przeciekały jej między palcami.

– Jest uroczy – powiedział nieco zawstydzony Walter.

– Pan również. – Odwzajemniła uśmiech.

Von Lossow patrzył na Renate i nie powiedział już ani słowa. Nie zaproponował jej kawy czy spotkania, tylko bąknął:

– Przepraszam, panno Zoll, ale jestem bardzo zajęty. Dziękuję za prezent.

Renate wiedziała, że tego dnia już niczego więcej nie wskóra. Oczywiście, mogłaby zaryzykować i jak to miała w zwyczaju prosto z mostu zaproponować mu wspólną noc, ale nie była w stanie. Nie chciała, żeby myślał o niej jak o łatwej dziwce. Pragnęła, żeby ją lubił i szanował. I to wszystko, co skrywała pod eleganckim ubiorem i pięknym ciałem.

Nachyliła się nad biurkiem Waltera i powiedziała:

– Pracuję jako strażniczka na Pawiej. Gdyby kiedykolwiek pan czegoś potrzebował, proszę zadzwonić albo przyjść. Na pewno nie odmówię. A chętnie się odwdzięczę, chociaż doprawdy nie wiem, jaka przysługa mogłaby zrównoważyć uratowanie życia.

– Dziękuję, panno Zoll – powiedział Walter, po czym wstał zza biurka i szarmancko pożegnał się z Renate.

Kilka dni później, gdy zapragnął kobiety, przypomniał sobie atrakcyjną pannę Zoll i postanowił, że odnajdzie ją i być może wypełni jeden ze swoich samotnych wieczorów.

Renate szła do mieszkania Lossowa jak na skrzydłach. Pierwszy raz złamała zasadę i to ona zamierzała spędzić noc w cudzym łóżku, a nie jak dotychczas w swoim własnym. Nie zastanawiała się, że propozycja Waltera była w zasadzie jednoznaczna i mało subtelna. Nieraz rozkochiwała w sobie mężczyzn po jednej nocy, tak jak tego Polaczka, Emila, więc łudziła się, że i tym razem może być podobnie.

Von Lossow przygotował kolację i butelkę pierwszorzędnego wina, zapalił nastrojowe światło i włączył gramofon z romantycznymi melodiami. Taki był, chciał, żeby jego kobiety czuły się wyjątkowe, nawet te na jedną noc, bo wówczas dawały z siebie wszystko i nawet luksusowe prostytutki nie potrafiły być tak dobre w łóżku, jak omamione romantyzmem zwyczajne kobiety. Renate Zoll nie różniła się wiele od nich. Zachwycała się muzyką i winem, i śmiała się z dowcipów Waltera, każdym gestem dając do zrozumienia, że jest gotowa na spędzenie z nim nocy.

Von Lossow nie miał pojęcia, że dla panny Zoll podobne zachowania były nowością, a tkliwość ostatnią cechą, jaką można było w niej odnaleźć. Tym razem jednak Renate pozwoliła sobie wpaść w podobny stan, jakby była kompletnie bezwolna i nie panowała nad sobą. Walter nie był kolejnym kochankiem, w każdym razie nie takim, jakich miała do tej pory. Pierwszy raz w życiu wystarczyła jej tylko obecność mężczyzny i nawet gdyby tej nocy jej nie dotknął, byłaby równie szczęśliwa.

Gdy nocą kochali się, łaknęła nie rozkoszy, ale czułości. Ciało było gdzieś obok, ona chciała, żeby Walter dotknął jej duszy. Dał inny rodzaj radości niż czerpana z chwilowej przyjemności. Pewnie był kompletnie nieświadomy rodzących się uczuć Renate, zupełnie jej obcych i nieznanym. Takich, które wyśmiewała, tłumiała i nie chciała wydobyć ze swojego wnętrza. Ze zdziwieniem stwierdziła, że podoba jej

się ta własna bezradność wobec tkliwości, jaką odczuwała, zdanie się na drugą osobę, od której będzie zależało jej szczęście lub rozpacz. Wiedziała, że w tym momencie jej poczynania są niczym gra w ruletkę, a wygrana równie pewna, co przegrana, ale postanowiła, że tym razem postawi i zagra bez względu na to, ile ją może kosztować porażka. Była jednak zbyt dumna, by żebrać o uczucia, za bardzo zamknięta w sobie, żeby otworzyć się przed kochankiem. Musiała czekać na werdykt.

Dla von Lossowa Renate Zoll była taką samą kochanką jak wiele innych. Nie poczuł burzy zmysłów ani nieuchwytniej tęsknoty za romantyczną miłością jak wówczas, gdy siedział w Adrii z Holly Evans. I mimo że Renate była daleko bardziej pojętna niż rumiana Holly z potarganymi i nieładnymi włosami, to jednak nie mogła się z nią równać. Być może to przedwczesna i tragiczna śmierć tej dziewczyny sprawiła, że w oczach Waltera istniała jako kobieta idealna, której nie zamieniłby na żadną inną. Zapewne gdyby poznał ją lepiej, okazałaby się taka sama jak większość kobiet, ale los nie dał mu takiej szansy, dlatego tkwiła w jego sercu jako kwintesencja tęsknoty za idealnym uczuciem, które potrafi przetrwać nawet śmierć.

22. Warszawa, 1941

– To szaleństwo... – wyszeptała Weronika, patrząc z przerażeniem na Juliana.

– Jesteś moją jedyną nadzieją – powiedział cicho.

– Wszędzie Niemcy, ludzie zdychają na Pawiaku i na tyfus, a ja biorę udział w jakichś romantycznych historiach. Nie rozumiesz, że teraz jedynie życie się liczy? Na całą resztę należy po prostu poczekać – próbowała tłumaczyć się Weronika.

Bardzo praktycznie chciała podejść do prośby Juliana i pragnęła, aby owa przezorność i stanowczość argumentów brzmiała w jej głosie. Nie chciała, aby Julian, znany jej jako Robert, odkrył, że kieruje się nie tylko troską o jego bezpieczeństwo, ale zwykłą kobiecą zazdrością. Mimo wszystko wciąż była kobietą, która pod lekarskim kitlem kryła swoje pragnienia i uczucia. Ta wojna mogła zmienić wartości i priorytety, ale nie zmieniła ludzkich uczuć i emocji. Poza tym tak po prostu nie polubiła Alicji i uważała, że kompletnie nie pasuje do Juliana. Po pewnym czasie zaczęła zadawać sobie pytanie, czy gdyby w sercu Chełmickiego zagościła inna kobieta, potrafiłaby być obiektywna, czy szukałaby wciąż wad, po to, by wytłumaczyć niechęć do rywalki. Oszukiwała się dość długo, że skądże, potrafiłaby docenić urodę i finezję, ale po pewnym czasie doszła do wniosku, iż zazdrość wzięłaby w końcu górę na obiektywną oceną. Za nic w świecie jednak nie odkryłaby tego przed mężczyzną, który jej się podobał. Była damą, a takie kobiety ukrywały swoje emocje, niczym skarby w szkatułce, do której zaglądały, gdy była ku temu pora, miejsce i niktogo w pobliżu.

– Proszę cię, to właśnie chodzi o jej życie, a nie jakieś schadzki – obruszył się Julian.

– Wobec tego powtórz raz jeszcze. Mam spotkać się z panną Alicją, zaprosić ją w ustronne miejsce, byś mógł się z nią bez przeszkód spotkać? A najlepiej gdybym położyła ją do siebie na oddział, tak? – Weronika wciąż była zła.

– Tak, powiesz jej, że ma się do ciebie zgłosić z jakąś dolegliwością, a potem położysz ją na oddział. Gdy załatwię sprawę, po prostu ją wypiszesz. Nie takie rzeczy robiłaś, leczylaś rannych chłopaków, znajdowałaś dla nich mieszkania albo ukrywałaś w pralni, w magazynku. Proszę, Weroniko, zrób to dla mnie, to ważne. – Po chwili irytacji Julian zmienił ton na niemal błagalny.

– Ale ja naprawdę nie mam czasu, żeby uganiać się za twoją dziewczyną – burknęła.

– Jeden dzień. Proszę. Być może okazja trafi się po godzinie czy dwóch i będziesz wolna. – Julian nie rozumiał uporu Weroniki.

Zamyśliła się. Nie miała argumentów. Jeśli Julian twierdził, że to kwestia czyjegoś życia bądź śmierci, to mimo że nie do końca w to wierzyła, nie mogła odmówić.

W istocie, cała sprawa zajęła jej mniej czasu, niż myślała. Złapała Alicję u szewca, gdzie dziewczyna odnosiła do naprawy swoje eleganckie pantofle. Cały jej ubiór był szykowny, kapelusz modny, a kostium idealnie dopasowany do sylwetki. Weronika nie odebrała tego pozytywnie, w jej odczuciu ta dziewczyna musiała dobrze

kombinować, żeby pozwolić sobie na podobną ekstrawagancję.

– Dzień dobry – powiedziała gromko Weronika, gdy weszła do niewielkiego pomieszczenia w suterenie jednej z kamienic. – Poznaje mnie pani?

Alicja bez najmniejszego trudu przypomniała sobie piękną twarz pani doktor, która wzbudzała w niej niechciane emocje.

– Tak, oczywiście, pani doktor – powiedziała chłodno.

– Pamięta pani o wizycie u mnie w dniu jutrzejszym? – zapytała Weronika, licząc na błyskotliwość Alicji.

Ta zmarszczyła czoło, ale po chwili zrozumiała przekaz.

– Tak, jak najbardziej. Zjawię się punktualnie – odparła.

Zanim szewc zdążył zapytać uroczą Weronikę, czym może jej służyć, ta zniknęła z jego skromnego zakładu.

Alicja zdenerwowała się. Musiało stać się coś bardzo poważnego, jeśli wysłano za nią lekarkę. Może jakaś straszna rzecz przytrafiła się Julianowi? A może „Sokół” zmienił zdanie i doszedł do wniosku, że zachował się bardzo nie w porządku w stosunku do niej?

Po powrocie z miasta rozpoczęła symulację dolegliwości, która musiała wytłumaczyć jej wizytę w szpitalu. Ból w podbrzuszu nadawał się do tego idealnie. Zmyła makijaż i położyła się do łóżka.

Kiedy późnym popołudniem w drzwiach sypialni stanął Martin, leżała w pozycji embrionalnej, z grymasem na twarzy.

– Coś ci jest, kochana? – zatrwożył się Martin.

– Nie wiem, bardzo boli mnie brzuch. Już od południa... – jęknęła.

– Może jesteś w ciąży? – zapytał cicho.

– Nie wiem. Nie, chyba nie. Dlaczego miałby mnie tak boleć brzuch?

– Nie wiem. – Uśmiechnął się. – Podobno czasami boli. Może pojedziemy do szpitala? Zbada cię ktoś. Jeśli to wyrostek, należałoby jak najszybciej zrobić zabieg.

– Jeśli do jutra mi nie przejdzie, pójdę do lekarza. Do Dzieciątka Jezus – wystękała, wciąż udając przejmujący ból.

– Mogłabyś pójść do Olafa. To najlepszy lekarz, jakiego znam – zaproponował z czułością w głosie.

– Wolę do polskiego lekarza... Martinie, poradzę sobie. Nie jestem małym dzieckiem – obruszyła się.

– Zrobię ci gorącej herbaty – mruknął Martin i nieco urażony opuścił sypialnię.

Następnego ranka udała się do szpitala i odnalazła gabinet Weroniki Sarnowskiej. Ta przyjęła ją chłodno i z dystansem, po czym zaordynowała rzeczowo:

– Musi pani pozostać na obserwacji kilka dni. Za chwilę wskażę pani salę. Nie jest to izolatka, ale postaram się, aby była tam pani sama. Ten pomysł z bólem brzucha był doskonały. To może być coś poważnego. Czy powinnam kogoś teraz powiadomić?

– Jeśli udostępni mi pani telefon, sama to zrobię – burknęła.

Weronika wskazała dłonią aparat. Niechęć między tymi dwiema kobietami była wręcz namacalna. A jeszcze większą poczuła Weronika Sarnowska, gdy Alicja poprosiła do telefonu jakiegoś Szwaba, Obersturmbannführera Martina Grossa, i świergocząc po niemiecku, zakomunikowała mu tę przykrą wiadomość. Jednocześnie poinstruowała go, że może ją odwiedzić jutro po południu, ponieważ wcześniej

będzie poddawana różnym badaniom.

– Robert chciałby się z panią zobaczyć. Nie wiem jednak, czy to właściwe, jeśli zaraz możemy mieć tu na głowie oficera SS – warknęła Weronika, gdy Alicja odłożyła słuchawkę.

– A nie wie pani, że najciemniej bywa pod latarnią? – odpowiedziała z sarkazmem Alicja, bezczelnie patrząc Weronice w oczy.

Ta nie odpowiedziała już nic, tylko zaprowadziła Alicję do jednej z pielęgniarek, by ta wskazała jej łóżko i dopełniła formalności.

Wieczorem, siedząc przy stole, Weronika powiedziała do Juliana z westchnieniem:

– Sprawa załatwiona, jutro przed południem możesz odwiedzić swoją... – Zrobiła krótką pauzę. – ...przyjaciółkę.

– Dziękuję, Weroniko. Z całego serca. – Chełmicki rozpromienił się i chciał dotknąć dłoni Weroniki, ale ta odsunęła się. – O co chodzi? – zapytał.

– Czy wiesz, że twoja przyjaciółka powiadomiła jakiegoś Szwaba, że leży w szpitalu? – wyszeptwała.

– Nie wiem, ale to możliwe. Musiała zmylić... Nie mogę ci nic więcej powiedzieć, ale wszystko jest w porządku – uspokajająco powiedział Julian.

– Mam nadzieję, Robercie, że nic nie kombinujesz i nie masz zamiaru zrobić na moim oddziale jatki – mruknęła.

– Weroniko... Proszę. Będzie tak, jak ci obiecałem. Spotkam się z Alicją, porozmawiam i odejdę. Przypominam, że dla obcego księdza byłaś bardziej wyrozumiała – z wyrzutem powiedział Julian.

– Tak. Bo był mi obcy i nie wnikałam, jak bardzo ryzykuje. I ta kobieta podobna do tej śpiewaczki, Hanki Lewin. Ale jeśli ty chcesz popełnić jakieś szaleństwo, nie jest mi to obojętne – odparowała, coraz bardziej rozżłoszczona.

Nie wiedziała, czy w istocie ta złość była skierowana w stronę Alicji, utrzymującej kontakty z oficerem niemieckim, czy w Juliana, który zbyt mocno się narażał, a ją przy okazji.

Alicja nie była w stanie zmrużyć oka. Nie wiedziała, czy spowodowane to jest miejscem, czy podekscytowaniem, że następnego dnia zobaczy Chełmickiego. Zasnęła, gdy za oknem zrobiło się szaro, co zwiastowało rychłe nadejście świtu. Nie pamiętała, ile spała, ale chyba niezbyt długo, bo dotarły do jej uszu dźwięki porannego szpitalnego zamieszania.

Weronika zajrzała do niej podczas obchodu, pomamrotała coś pod nosem w lekarskim żargonie i opuściła salę.

Julian Chełmicki pojawił się o dziesiątej, ubrany w biały kitel. Trzeba przyznać, że było mu w nim bardzo do twarzy. Gdyby nie stojąca obok niego Weronika, Alicja z pewnością wyskoczyłaby z łóżka i rzuciła mu się na szyję. Jednak przy tej kobiecie zdobyła się jedynie na uśmiech.

– Możesz zostawić nas samych? – powiedział Julian, zwracając się do Weroniki.

– Tak... – odpowiedziała, zmieszana. – Oczywiście.

Opuściła salę, a Julian usiadł na krześle stojącym obok łóżka Alicji. Wziął jej

dłoń i pocałował czule.

– Kochana moja... – powiedział cicho.

Alicja nie miała pojęcia, dlaczego właśnie wtedy się rozkleiła. Płakała, bo miała dosyć. Życia z Martinem Grosse i tego, że jej miejsce przy boku Juliana zajmowała ta wredna doktorka.

– Nie chcę już tak żyć. Nie wytrzymam tego dłużej. Nie mogę patrzeć na niego. Błagam, zrób coś. Zabierz mnie od niego i zamieszkajmy razem. Wiem, że będziemy musieli się ukrywać, że będzie nam ciężko, ale nie mam już siły. Po prostu nie mam. Nie mogę znowu go opuścić i żyć spokojnie, bo on po raz drugi nie wybaczy mi tego. Zniszczy mnie. Czuję, jakbym doszła do ściany... Julianie, proszę, pomóż mi. Przekonaj tego cholernego drania, „Sokoła”, że on mi wcale nie pomaga...

– Posłuchaj, Alicjo, zrobię wszystko, co możliwe, żeby zmienić swoją decyzję. Wiem, że podjął ją, bo chciał, żebyś była bezpieczna i nie musiała ciągle uciekać, ale myślę sobie, jak bardzo musisz się czuć samotna i opuszczona. Przysięgam ci, nie stracę cię z oczu. Jak tylko wrócę ze swojej misji, znajdę dla nas jakieś mieszkanie, załatwię nowe dokumenty i nigdy więcej nie pozwolę, żebyś do niego wróciła. Chciałem cię zobaczyć, żebyś wiedziała, że... jestem. – Julian mówił wolno, spokojnie, niemal terapeutycznie.

Alicja zaskoczyła go. Nie sądził, że aż tak bardzo złamała ją ta cała sytuacja. Gdyby wiedział, nie wyszedłby tego dnia ze szpitala sam. Wyszliby razem. Teraz jednak nic nie było przygotowane, a on miał rozkaz wyjazdu na co najmniej dwa tygodnie. Musiał udać się do tajnego ośrodka na wyspie Uznam i zwerbować pracownika miejscowego zakładu zbrojeniowego. Podobno Niemcy testowali w tym ośrodku jakieś nowoczesne rakiety, ale nikt nie potrafił powiedzieć, jak bardzo są niebezpieczne. A on musiał się tego dowiedzieć.

– Wytrzymasz? – zapytał.

Pokiwała głową i usiadła na łóżku. Wytarła nos w leżącą na stoliku ligninę i szepnęła:

– Jeśli wrócisz, a nie pomożesz mi uciec od Grossa i ukryć się przed nim, nigdy ci tego nie wybaczę.

„Moja ukochana powraca do formy” – pomyślał Julian i pocałował Alicję. Miała słone od łez usta, którymi jeszcze przed chwilą się zalewała.

– Ja też dłużej tego nie zniosę. Nie chcę, żebyś się narażała, żebyś z nim żyła i dzieliła łóżko. Wrócę i od razu zajmujemy się naszym nowym życiem. Mam nadzieję, że przekonam dowódcę i zaaprobuje to, a może nawet nam pomoże. Ja wiem, że musimy walczyć o wolną Polskę, nadstawiać karku i być gotowym na śmierć, ale gdzieś w tym wszystkim są ludzkie uczucia, obawy i marzenia. Przepraszam cię, bez względu na to, co się z nami stało, że w ogóle zaproponowałem ci ten układ. Dzięki temu zrobiłaś tak wiele dla naszej sprawy, ale cena, jaką płacimy oboje, jest zbyt wysoka. – Julian mówił ze spuszczoną głową.

Dobijało go poczucie winy. Chociaż Alicja zapewne i tak wróciłaby do Martina Grossa, z powodu Hanki Lewin, on nigdy nie powinien jej podobnej rzeczy proponować, a tym bardziej namawiać ją na to. Jeśli ktoś inny chciał to zrobić, trudno, ale on czuł się jak ostatni drań.

– Tak, miałam ogromny żal do ciebie o tę sprawę, ale i tak dla Hanki bym to zrobiła. Wydawało mi się, że będzie prościej, że dam radę, ale już nie daję. Chcę

mieć chociaż nadzieję, iż pewnego dnia opuszczę go i tę złotą klatkę. Ale tak bardzo się boję, że zostanę z tym wszystkim sama... Będę musiała wciąż uciekać, ukrywać się i na nikogo nie będę mogła liczyć. Może i „Sokół” wykazał się praktycznością, wydając ten rozkaz, ale, do cholery, nie jestem z kamienia – powiedziała z wyrzutem.

– Pamiętaj, nie jesteś sama. Masz mnie. Bez względu na to, co będzie potem. Może nadejdzie czas, że wyjaśnimy sobie wiele spraw i zapomnimy o wszystkim, co było złe – stanowczo odpowiedział Chełmicki.

– Oboje mamy sobie co wybaczać... – westchnęła Alicja.

– Wszystko będzie dobrze...

Julian uściskał dłoń Alicji, mocno przytulił i powoli wyszedł z sali szpitalnej.

Szedł korytarzem w kierunku gabinetu Weroniki i bił się z myślami. Czy zdąży pomóc Alicji? Czy da radę znaleźć dla niej bezpieczne miejsce? Nie chciał z nikim rozmawiać, musiał pomyśleć. Dlatego zdawkowo podziękował Weronice, zostawił w jej pokoju lekarski kitel i opuścił szpital. Nawet nie widział smutku w oczach uroczej pani doktor ani tego, że stała w oknie, wpatrując się, jak odchodzi.

Alicja po wyjściu Juliana płakała przez dobrą godzinę. Ledwie zniknął za progiem, a już tęskniła. Tak bardzo, że myśl o Martinie wydawała jej się odstręczająca, a wiedziała, iż niebawem pojawi się w szpitalu, pełen troski i niepokoju. Już nie chciała się zastanawiać, w jakiej rozpaczycy go pograży, gdy pewnego dnia od niego ucieknie. Była pewna, że Gross się kiedyś z tego dźwignie i spróbuje żyć bez niej. I to będzie uczciwsze w stosunku do niego niż ciągle udawanie uczuć, których nigdy w sobie nie odnalazła.

23. Moskwa, 1941

W pokoju Igora Łyszki i Jurija Sacharowa panowała nabożna cisza. Obaj studiowali otrzymane z różnych stron szyfrogramy. Od czasu do czasu popijali łyk gorącej herbaty, żeby nieco się rozgrzać, bo z zimna drętwiały im palce. Niezbyt szczelne okna obłożyli kocami i starymi gazetami, ale i tak porywisty wiatr sprawiał, że z godziny na godzinę robiło się coraz zimniej. Igor wciąż czekał na rozkaz wyjazdu do Kijowa, ale ten nie nadchodził. Było mu to na rękę. Ostatnia rzecz, jakiej pragnął, to znalezienie się kolejny raz w tym mieście. Chciał jednak działać i miał nadzieję, że w końcu coś drgnie.

– *Jebanaja zima.* – Jurij chuchnął w dłonie.

– Powinniśmy się cieszyć, dzięki niej Wehrmacht zaczyna słabnąć. Niezwyčajne panicyzki, żeby na takich mrozach walczyć. – Igor uśmiechnął się i dodał z westchnieniem: – Już mnie nuży ta robota. Pod Moskwą giną nasi żołnierze, sytuacja zmienia się jak w kalejdoskopie, a my siedzimy na dupach i przygotowujemy jakieś bzdurne informacje. Mam wrażenie, że niewiele dajeta cała dezinformacja kuzyna Iwana.

– Myślę, że na efekty trzeba poczekać, a może dowiemy się o nich dopiero, gdy damy łupnia Hitlerowi? – Jurij machnął ręką i zaśmiał się. – A ja tam wolę siedzieć i popijać herbatkę ze stakana niż wódkę w krzakach pod Moskwą.

Kilka minut później drzwi do pokoju otworzyły się i stanął w nich jeden z oficerów.

– Iwan Szeremietiew, wzywają was na Łubiankę. Samochód czeka.

– Już idę – odmeldował Igor i sięgnął po kurtkę.

Przed budynkiem wsiadł do służbowego auta NKWD i zanim dotarł do placu Łubiańskiego, zdążył wymyślić już kilka scenariuszy spotkania. Jeden z nich likwidował operację „Klasztor” z uwagi na kiepskie wyniki, inny nakazywał zaostrzyć dezinformację wroga albo dotyczył wyjazdu do Kijowa. Okazało się, że kompletnie nie przewidział tego, co może go spotkać. Golikow wykluczył go z „Klasztoru”, pozostawiając temat na głowie Sacharowa, a jego osobę przekazał do dyspozycji niejakiego Pawła Sudopłatowa, generała porucznika NKWD.

– A co z Iwanem? I raportami zostawianymi w sklepie przy Dworcu Kazańskim? – zapytał Golikowa.

– Sacharow się tym zajmie. Zna temat, włączy Irinę i podmienimy kuzyna na kogoś innego. – Wzruszył ramionami, niezbyt uradowany faktem, że traci jednego ze swoich najlepszych ludzi.

– Tak jest – odpowiedział Łyszkin.

– No, idźcie już. Mieczkin zawiezie was do ośrodka pod Moskwą, byliście tam już kiedyś. Podobno mają dla was coś specjalnego. Dobrze mi się z wami pracowało, ale cóż... widać potrzebują was na innym odcinku – westchnął Golikow i uściśnął dłoń Łyszki.

W przeciwieństwie do Golikowa generał Sudopłatow miał przyjemny wyraz twarzy i miało się wrażenie, że rozmowa będzie przebiegała niemal w rodzinnej atmosferze. Łyszkin słyszał jednak, że Sudopłatow był mistrzem pozorów i zapewne dlatego powierzono mu po agresji na Związek Radziecki kierowanie Zarządem Zadania Specjalnych przy NKWD. Nigdy wcześniej się nie spotkali, ale Łyszkin dostarczał mu po wrześniu 1939 roku dokumenty wywiadu II Oddziału Sztabu Głównego Wojska Polskiego. Między innymi dzięki Igorowi aresztowano wówczas wielu polskich agentów i oficerów chcących sabotować działania Związku Radzieckiego. Łyszkin nigdy nie dowiedział się, co stało się z tymi ludźmi, ale nie taka była jego rola. On miał być skuteczny w zdobywaniu potrzebnych informacji umacniających pozycję Związku Radzieckiego w Europie.

– Igor Łyszkin... – przywitał się Sudopłatow.

– Melduję się. – Igor stanął na baczność.

– Usiądźcie – mruknął jego nowy dowódca i zaczął przyglądać mu się badawczo. Wstał zza biurka, przekręcił głowę Łyszkiną, by zobaczyć jego profil, po czym powiedział: – Wspaniale.

Igor nie miał pojęcia, o co chodzi i na czym miałyby polegać jego rzekoma wspaniałość. Nie podejrzewał także generała o jakieś przedziwne skłonności.

– Jakie języki znacie? – zapytał.

– Rosyjski, oczywiście, polski i niemiecki – odpowiedział Łyszkin i dodał: – Angielskiego także się uczyłem.

– Mieliście prywatnych nauczycieli – bardziej stwierdził, niż zapytał Sudopłatow.

– Tak. Niemieckiego uczył mnie rodowity Niemiec, chociaż wciąż mam nieco słowiański akcent – odpowiedział Łyszkin.

– I bardzo dobrze. W takim razie przejdźmy do rzeczy. Mamy u siebie bardzo interesującego jeńca. Zatrzymaliśmy go koło Równego. To porucznik Einsatzgruppen 4a, SS-Standartenführera Paula Blobela, Otton Kriege. Urodzony w Królewcu, w tysiąc dziewięćset piętnastym roku, syn leśnika, Wilhelma Kriego. Ten ostatni zdążył zginąć w bitwie pod Tannenbergiem i nawet nie dane mu było zobaczyć syna. Matka była na służbie w majątku na Mazurach, u grafa Josefa von Stromma. Młody Otton również tam pracował, dopóki nie wyjechał do wojskowej szkoły w Berlinie. Potem wstąpił do SS, trafił pod skrzydła Blobela i wraz z jego jednostką wyjechał na Wschód. Jego matka, co warto wspomnieć, była Rosjanką, stąd u Ottona lekki akcent, którego nie pozbył się mimo kilkuletniego pobytu w Berlinie. Chciałbym, żebyście go obejrzeni – powiedział Sudopłatow i ruszył ku drzwiom gabinetu.

Łyszkin poszedł za nim. Zeszli do piwnic budynku, generał otworzył okratowane drzwi, kilka metrów dalej kolejne i weszli do niemal pustego pomieszczenia. Stał tam jedynie stolik, dwa proste krzesła i na jednej ze ścian widniało przeszklenie. Igor domyślił się, że to lustro fenickie i siedzący obok w celi mężczyzna nie będzie w stanie ich zobaczyć. Sudopłatow zgasił światło i obaj usiedli. Chwilę potem zobaczyli Ottona Kriego. W istocie Łyszkin był trochę do niego podobny. Równie wysoki i dobrze zbudowany, o jasnych włosach i lekko skośnych oczach. Otton był krótko ostrzyżony, zaś Łyszkin nosił nieco dłuższe włosy z opadającą na jeden bok grzywką, ale fryzura nie stanowiła problemu. Bardziej martwił się swoim akcentem, ale Sudopłatow uspokoił go.

Do celi obok wszedł mężczyzna i rozpoczął zdawkową konwersację z więźniem. Jego głos docierał do Łyszkiną przez niewielki głośnik umieszczony nad lustrem.

– Rzeczywiście trochę zaciąga... Koledzy się z niego nie śmiali? – z sarkazmem zapytał Igor.

– Pewnie trochę tak, dlatego trafił do miejsca, gdzie liczyły się inne atuty. Bez względu na sadyzm. Krótko mówiąc, Einsatzgruppen 4a to po prostu brutalni mordercy. Egzekutorzy, najgorsi z najgorszych, bo taka jest ich rola. Zamordowali co najmniej kilkanaście tysięcy ukraińskich Żydów w Babim Jarze pod Kijowem. Strzelali do nich z karabinów maszynowych, a dobijali pistoletami. Który z nich więcej ludzi zastrzelił, tym większa go nagroda spotkała. Gdy pojawiają się w jakimś mieście albo wsi, panuje totalny popłoch, bo już chyba każdy Ukrainiec wie, czym to pachnie.

Łyszkin przełknął ślinę i zapytał z nikłą nadzieją w głosie:

– Jakie jest moje zadanie?

– Chyba się domyślacie – odpowiedział Sudopłatow.

Niestety, domyślił się już w chwili, gdy generał zaczął recytować życiorys Ottona Kriegera.

– Mam zostać Ottonem Kriegerem – niemal wyszeptał.

– Tak właśnie. Nie martwcie się, dobrze was przygotuję do tej roli. Ryba psuje się od głowy i my musimy się do tej głowy dobrać. A żeby się do nich dobrać, musimy podejść najbliżej jak to tylko możliwe. Pionki nas nie interesują, to jedynie bydlęta wykonujące rozkazy – stanowczo powiedział generał. – Posiedźcie tu trochę i poobserwujcie go. Posłuchajcie, jak i co mówi. Nauczcie się jego gestów, sposobu poruszania i mimiki.

Tak, Igor dobrze wiedział, co musi robić. I nie obawiał się tego. Potrafił się wcielić w różne role, uczono go tego. Martwiło go jednak coś innego. Einsatzgruppen 4a była najkrwawszą formacją w SS. Co będzie, jeśli pewnego dnia będzie musiał okazać się takim samym potworem, by uwiarygodnić swoją rolę? Już sama myśl, że będzie musiał spotykać się z tymi ludźmi, wywoływała w nim odruch wymiotny. Mógłby zabić z zimną krwią każdego z nich, ale co się stanie, jeśli będzie miał przed sobą swojego rodaka albo kobietę czy dziecko?

Rozkaz jednak był rozkazem i musiał go wykonać. Mógł oczywiście słabo się starać i wypadać niewiarygodnie, by zwolnili go z tego zadania, ale takich rzeczy NKWD nie wybaczało. Skończyłby w podmoskiewskich okopach albo w więzieniu na Łubiance. Żadna z tych ewentualności nie wydawała się mu przyjemna. Zbyt wiele wiedział, by z hartem ducha przyjąć na siebie możliwość walki na froncie. Armia Czerwona była kiepsko uzbrojona i zdarzało się, że tylko co czwarty żołnierz dostawał jakąkolwiek broń do ręki. Całe połacie kraju usłane były ofiarami radzieckich chłopców. Zatem nie miał innego wyjścia, jeśli chciał żyć.

Przyglądał się Ottonowi. Mężczyzna miał kanciaste ruchy, jakie zwykle mają otyli osobnicy, wykrzywił twarz w dziwnym grymasie i często pocierał nos. Siadał przygarbiony z szeroko rozstawionymi nogami, a gdy kładł się na pryczy, podkładał ręce pod głowę i patrzył w sufit. W takiej pozycji również zasypiał, lekko pochrapując. Jadł posiłki szybko, ale prawidłowo trzymał sztucce, a wodę popijał niewielkimi łyżkami. Jedynie wódkę wlewał w siebie szybko, krzywił się i wytrzępy-

wał krople ze szklanki. Najwyraźniej kilka miesięcy na Ukrainie nauczyło go pić alkohol na słowiański sposób, bo nie sądził, że owej praktyki nabrał w berlińskiej szkole albo w pałacu grafa.

Po kilku dniach Igor Łyszkin tak bardzo wsiąkł w nowe zadanie, że przestawał zastanawiać się nad tym, co go może spotkać, gdy już znajdzie się na Ukrainie. Miał kolejny raz powrócić do Kijowa. Tak jak wszystkie drogi prowadziły niegdyś do Rzymu, tak jego kręte ścieżki wciąż wiodły na Ukrainę.

24. Peenemünde, 1942

– Obyśmy w przyszłym roku zdobyli Moskwę! – krzyknął ktoś i wtedy wybiła północ.

Strzeliły korki od szampana, posypało się konfetti, a mały band zagrał marsza. Martin Gross stał z Alicją w tłumie gości i wznosił toasty za wielką Rzeszę, wygraną wojnę i chłopców na froncie wschodnim. Jakiś podchmielony oficer stojący w pobliżu Alicji szepnął jej do ucha:

– Szkoda, że go tam nie było i nie widział, co się dzieje.

Alicja odwróciła się zde gustowana w stronę mężczyzny, żeby dać mu do zrozumienia pełnym dezaprobaty wzrokiem, że jego komentarze są nie na miejscu, ale ten nie dał się zbić z tropu.

– Proszę się tak nie patrzeć na mnie, miła pani. Stoimy tu sobie, w ciepłej sali hotelowej, popijamy szampana, żarcia mamy tyle, aż się stoły uginają, a nasi chłopcy umierają z głodu i zimna – powiedział bełkotliwie i czknął.

Alicja odsunęła się od niego i przysunęła do Martina. Ten objął ją i cmoknął w policzek.

– Jest cudownie, prawda? – zapytał.

– Wolalabym już wrócić do Warszawy – mruknęła.

– Tak, wiem, kochanie, że latem byłoby tutaj znacznie przyjemniej, ale przynajmniej jesteśmy w Rzeszy i nie umieram z niepokoju, gdy wychodzisz do miasta – powiedział Martin.

– Do miasta... – westchnęła. – Te kilka uliczek na krzyż uważasz za miasto?

– Już dobrze, dobrze. Wiem, że trochę się to przeciągnęło, ale jeszcze tydzień, dwa i wrócimy do Warszawy. – Gross próbował udobruchać Alicję.

Około drugiej nad ranem, gdy zabawa sylwestrowa wciąż trwała w najlepsze, do ich stolika podszedł młody oficer i zdyszczanym głosem zaczął mówić do ucha Martinowi:

– Mamy problem, Obersturmbannführer Gross – powiedział zdenerwowany młody oficer.

– Co się dzieje? – zaniepokoił się Martin.

– Złapaliśmy sabotażystę w naszym zakładzie. Wynosił tajne informacje i przekazywał jakiemuś szpiclowi. Ten drugi uciekł, ale obstawiliśmy całą wyspę. Mysz się nie prześlizgnie. Nie wiemy tylko, jak długo trwał proceder i ile informacji trafiło w ręce wroga – wysapał żołnierz.

– Gdzie go trzymacie? – zapytał rzeczowo Martin.

– Na terenie zakładu. W południe gestapo zabierze go do Berlina – odmeldował oficer.

– Będę tam za kwadrans – odpowiedział zmęczonym głosem Gross i zwrócił się do Alicji: – Wybacz, kochanie, ale obowiązki mnie wzywają.

Alicja nic nie odpowiedziała. Była zbyt apatyczna, żeby w jakikolwiek sposób to skomentować. Wciąż tkwiła na wyspie Uznam, niczym księżniczka uwięziona w wieży. Mieścina i cała wyspa były ciche, małe i przeraźliwie nudne. Gross całymi

dniami przebywał na terenie zakładu zbrojeniowego, a jej pozostało jedynie czytanie książek i odwiedzanie lokalnego zakładu kosmetycznego. Może gdyby aura była nieco inna, nie byłoby tak źle, ale mroźny wiatr przeganiał ją z nadbrzeża, gdzie niekiedy spacerowała. Poza tym jej pobyt na wyspie wciąż oddalał ją od ukochanego i ich wspólnego planu ucieczki. Miała tutaj przyjechać tylko na dwa tygodnie, ale Martinowi wciąż przedłużano pobyt i nie chciał nawet słyszeć, że Alicja go opuści i powróci sama do Warszawy.

Gdy Martin wyszedł z sali balowej jedyne hotelu w miasteczku, Alicja nalała sobie kolejny kieliszek szampana, a potem następny. Lubiła szampana, kojarzył jej się z przedwojennymi czasami, gdy brylowały z Hanką na warszawskich salonach. Dzisiaj jednak chciała się po prostu upić i nie myśleć o niczym, a już najmniej o Martinie Grossie i Julianie Chełmickim.

Powiodła wzrokiem po tańczących parach. Chociaż uwielbiała taniec równie mocno, co szampana, teraz nawet na to nie miała ochoty. Wpatrywała się więc bezwiednie w tych, których nadal to bawiło, i trwała tak, aż butelka szampana została opróżniona. Poszukała wzrokiem kelnera, ale jak na złość wszyscy rozplłynęli się jak we mgle. Wstała więc i chwiejnym krokiem podążyła w stronę baru, starając się iść prosto i omijając parkiet. Chwilę potem znalazła się przy kotarze prowadzącej na zaplecze sali hotelowej i nagle poczuła szarpnięcie. Ktoś wciągnął ją za zasłonę i zatkał dłonią usta. Obejrzała się i zobaczyła twarz... Juliana. Gdy ich oczy się spotkały, Chełmicki puścił ją i wyszeptał:

- Szczęśliwego nowego roku, najdroższa.
- Boże... Julian. Kochanie... Co ty tutaj robisz? – wybełkotała.
- Mam kłopoty – powiedział.
- Czy to ty jesteś tym szpiegiem, który odbierał tajne dokumenty od jednego z pracowników zakładów w Peenemünde? – zapytała, zatrwożona.
- Tak, to niestety ja. – Spuścił głowę.
- Obstawili całą wyspę. Przekopią każdy metr, żeby cię złapać – jęknęła.
- Wiem... I nie mam pojęcia, co robić. Pomyślałem, że pożegnaj się z tobą na wypadek, gdybym zginął, bo żywego na pewno mnie nie złapią. Chciałem, żebyś wiedziała, że jesteś miłością mojego życia – powiedział smutno.
- Byłeś tutaj, na wyspie, przez cały czas?
- Tak, kochanie. Widywałem cię, jak spacerowałaś po uliczkach albo szłaś do restauracji z tym... – Nie dokończył.

Popatrzył jeszcze przez chwilę na Alicję, pocałował ją w usta i powiedział:

- Muszę iść...
- Dokąd? – zatrwożyła się.
- Nie wiem... Nie mam pojęcia. Gdyby było lato, rzuciłbym się w odmęty Bałtyku. Może przeżyłbym. Teraz nie mam ani pomysłu, ani szans. Ale musiałem cię zobaczyć.

Mimo wypitej butelki szampana Alicja wciąż intensywnie myślała, jak wyostać Juliana z wyspy. Miał rację, on już był więźniem, a wyspa całą, z której nie było ucieczki. Jednak wpadła na pewien pomysł. Dzięki niemu miałoby szansę. To mogło kosztować życie Martina Grossa, ale po prostu nie miała wyboru.

– Nie, Julianie. Nie możesz zginąć i nie możesz mnie zostawić samej. Poczekaj na mnie tutaj. Wyjdziemy razem.

– I co dalej? Chcesz umrzeć razem ze mną? – zapytał z rezygnacją.

– Nie, Julianie. Nie chcę ani swojej śmierci, ani twojej. Pójdziemy do mnie i poczekamy na Grossa. A gdy wróci, zmusimy go, żeby nas stąd wywiózł – odpowiedziała stanowczo.

– A potem zaalarmuje całe gestapo. – Julian nie uważał, że jest to dobry pomysł.

– Nie zaalarmuje. Gdy opuścimy wyspę, po prostu zginie. Po to, żebyśmy my mogli żyć. – Alicja spuściła głowę.

– Kocha cię i pomógł ci. Naprawdę chcesz jego śmierci? – zapytał Julian, bo obawiał się, że Alicja może mieć skrupuły.

– Nie chcę. Ale nie mam wyboru – wyszeptała.

Alicja powróciła do swojego stolika i oznajmiła towarzyszącym jej osobom, że idzie do domu, ponieważ wypijała zbyt dużo, poza tym bez Martina nie potrafi się tak dobrze bawić, jak z nim. Jeden z oficerów zadeklarował gorliwie, że odprowadzi ją, ale zatrzymała go gestem ręki.

– Proszę się bawić, nigdy nie wiadomo, gdzie rzuci pana los w przyszłym roku. Odprowadzi mnie chłopak z obsługi, Martin to załatwił.

– Wobec tego dobrej nocy pani życzę – uklonił się oficer i złożył pocałunek na jej dłoni.

Wyszła przed budynek. Julian już na nią czekał. Wyglądał na zmęczonego i zdenerwowanego, ale idealnie pasował do roli wymizowanego portiera, któremu przypadł w udziale obowiązek odholowania do domu lekko wstawionej partnerki Obersturmbannführera Martina Grossa, którego wezwały obowiązki służbowe. Szli ośnieżoną ulicą, patrząc w okna mieszkań, gdzie świętowano powitanie nowego roku. Wyjątkowego, bo wedle wiedzy Niemców wojna na wschodzie była pasmem sukcesów, a III Rzesza miała wkrótce pokonać największego konkurenta w wyścigu o panowanie nad światem, Józefa Stalina. Nie mówili wiele, skupieni na tym, co ich czekało, ale oboje żalowali, że nie mogą beztrudnie cieszyć się ze swojej obecności, pięknej, zimowej nocy i tego, że zmierzają do mieszkania Alicji po to, by przeprowadzić niepewny i być może dramatyczny w skutkach plan.

Weszli do mieszkania i poczuli ulgę, że po drodze nic złego się nie wydarzyło, a mijane patrole nie zatrzymywały ich. Julian rozejrzał się dookoła. Lokum nie było duże, ale nad wyraz przytulne i urządzone ze smakiem. Dostrzegł przez otwarte drzwi sypialni ogromne łóżko i zacisnął zęby ze złości. To w nim właśnie jego ukochana sypiała z tym zbrodniarzem. Jeszcze bardziej niż kilkadziesiąt minut temu miał ochotę go zabić, i nie tylko dlatego, żeby ratować własną skórę i tajne dokumenty, które zaszył pod podszewką kurtki.

– I co teraz? – zapytał.

– Przebiorę się i położę do łóżka. Ty ukryjesz się w łazience. A potem przywitamy Martina i opowiemy mu, czego od niego oczekujemy – spokojnie powiedziała Alicja, która pod wpływem zdenerwowania całkiem wytrzeźwiała.

– Będzie miał broń przy sobie – zatroskał się Julian.

– Tak. Poczekam, aż zdejmie mundur i kaburę, wtedy wyciągnę go do salonu, a ty wyjdiesz z łazienki. – Wciąż była rzeczowa.

– Jesteś siłą spokoju, Alicjo – wyszeptał.

– Jestem kłębkim nerwów – odpowiedziała mu równie cicho.

Obersturmbannführer Martin Gross powrócił z zakładów zbrojeniowych Heeresversuchsanstalt około czwartej nad ranem. Był zmęczony i bardzo zmartwiony. Wypląnęły bowiem informacje, które nigdy nie powinny wydostać się poza obręb Peenümunde. Pracowali nad nową bronią, której nie posiadało żadne państwo na świecie. Rakiety o zasięgu mogącym zniszczyć Londyn, a kto wie, może nawet Nowy Jork. Pracownik zakładów, niejaki Stolzman, wynosił po kawałku owoce pracy najlepszych niemieckich inżynierów i przekazywał za sutą opłatą jakiemuś Polakowi, który bezczelnie kręcił się po najlepiej strzeżonym obiekcie w Rzeszy. No tak, tylko Polacy mogli być tak zuchwali, żeby próbować podobnych rzeczy. Martin wierzył jednak, że złapanie szpiega będzie jedynie kwestią czasu. Całe nabrzeże było obstawione przez wojsko i nawet szczer miałby problem by opuścić wyspę.

Wszedł do mieszkania, zdjął ciężki wojskowy płaszcz i odpiął kaburę. Zobaczył na wieszaku futerko Alicji i ucieszył się, że wróciła już z sylwestrowej zabawy. Miał nadzieję, że bawiła się dobrze, chociaż ostatnio coraz częściej narzekała na nudę w tym ospałym miasteczku, gdzie oprócz funkcjonowania Heeresversuchsanstalt niewiele się działo. Jeszcze kilka godzin wcześniej łudził się, że niebawem powrócą do Warszawy, ale w tej sytuacji nie było na to szans.

– Martin! – zawołała Alicja.

Nie chciała czekać, aż sam się zjawi w sypialni, bo obawiała się, że najpierw zechce skorzystać z łazienki.

– Jestem, kochanie – odpowiedział czule i wszedł do pokoju.

Zapaliła lampkę przy łóżku, wyciągnęła spod poduszki pistolet, który towarzyszył jej, odkąd opuściła Anglię i wycelowała w Martina.

– Co ty wyprawiasz, do cholery? – zapytał, bardziej zdziwiony niż przestraszony.

Wstała z łóżka i podeszła do niego.

– Przejdź do pokoju, Martinie. Musimy porozmawiać – powiedziała drżącym głosem, bo jednak celowanie do Grossa okazało się trudniejsze, niż myślała.

Wciąż zszokowany Martin skierował się do saloniku i usiadł na kanapie, nawet nie próbując nic zrobić, żeby odebrać Alicji pistolet czy obezwładnić ją. Zastanawiał się, jaki to głupi, noworoczny żart wymyśliła Alicja. Ona, mimo wcześniejszych zapewnień, straciła animusz i krzyknęła, żeby Julian wyszedł z łazienki. Wkrótce Chełmicki stanął w progu pokoju. Gross skierował wzrok najpierw na Juliana, potem na Alicję i powiedział z rezygnacją:

– A więc ten człowiek to nie tylko twój stary znajomy z rodzinnej miejscowości. Oficer wojska polskiego nadal próbuje z nami walczyć.

– Tak, zgadza się. Żołnierzem nie przestaje się być tylko dlatego, że wróg jest silniejszy – stwierdził Chełmicki.

– Rozumiem pana, także jestem żołnierzem – odparł Gross i z żalem w głosie zwrócił się do Alicji: – A ty kim jesteś, piękna Alicjo?

Spuściła wzrok i powiedziała cicho:

– Nie utrudniaj mi tego...

– Podaj mi chociaż jeden powód, dla którego miałbym ci w tej sytuacji cokolwiek ułatwiać – prychnął.

– Jest jeden. Mam w rękach twoje życie – odparła cicho.

– Więc czego chcesz? – warknął.

– Wywieziesz nas stąd. Przez most do Zinnowitz, a potem zobaczymy – powiedziała stanowczo Alicja.

– Wiesz, że od tej chwili będziesz musiała już tylko uciekać, ukrywać się niczym szczur w kanałach, a jeśli zostaniesz złapana, umrzesz. Masz świadomość, jak wygląda takie życie? Na każdym kroku będziesz oglądała się za siebie, nie zaznasz ani chwili spokoju. A mogłaś być taka szczęśliwa, tak bardzo cię kochałem... Jak nikogo innego... – westchnął Martin.

– Dobrze, Gross. Skończ te ckliwe opowieści. Ruszamy – wtrącił się Julian.

– A jeśli was wywozę, to co potem? Zwróćcie mi wolność? – zapytał Martin.

– Tak – mruknął Julian, mając świadomość, że skłamał.

– Na pewno uwierzę. To strzelaj teraz, żołnierzu. Ja i tak zginę, ale przynajmniej nie wyciekną dokumenty, które nigdy nie powinny opuścić tego miejsca – z kpina w głosie powiedział Gross i zwrócił się do Alicji: – Albo zrób to ty. Tak, popatrz mi w oczy. Tak samo, jak wtedy, gdy mnie oszukiwałaś, mówiąc o miłości, jak pieprzyłaś się ze mną niczym marcowa kotka. No, śmiało...

– Przestań, Martinie. Przysięgam ci, że puścimy cię wolno, jak tylko będziemy mieli szansę, żeby uciec bez twojej pomocy – błagalnie odpowiedziała Alicja.

– Znowu kłamiesz... – westchnął.

Chełmicki postanowił wtrącić się i zablafować:

– Tych dokumentów i tak już nie ma na wyspie. Chyba nie myślisz, że jestem aż tak głupi, żeby nosić je przy sobie. W waszych szeregach jest więcej skorumpowanych zdrajców, niż jesteś w stanie sobie wyobrazić. Zbieraj się, dopóki nie straciłem cierpliwości – warknął Julian, wściekły na Grossa za to, co powiedział o Alicji.

Najgorsze było to, że mu wierzył. Alicja musiała go czymś oczarować, zwozdić, by rozkochać w sobie. I chociaż to była gra, jednak nie umiał tak po prostu się z tym pogodzić.

– I tak wiem, że mnie zabijecie. Ale wiesz co, Alicjo, ja cię naprawdę kocham. Tak bardzo, że pozwolę ci uciec, bo wiem, co by było, gdyby cię tutaj złapano po moim zabójstwie. Będziesz miała jakąś szansę, w Peenemünde – żadnej.

Odwróciła wzrok. Chciało jej się płakać. Nie chciała go krzywdzić, chociaż był Niemcem. Ale był też człowiekiem, z którym spędziła wiele miesięcy. Mężczyzną, który o nią dbał, rozpieszczał ją i kochał tak, jak jeszcze nikt. Nawet Julian, jej Julian, nie darzył jej takim uczuciem jak Martin. A ona właśnie zniszczyła mu życie.

Przed budynkiem, gdzie Martin Gross mieszkał z Alicją Rosińską i gdzie przeżył swoje najpiękniejsze chwile, wsiedli do opla i ruszyli w stronę mostu prowadzącego do Zinnowitz. Julian Chełmicki ukrył się w bagażniku. Alicja przez cały czas trzymała Martina na muszce, co kwitował kpiarskim uśmiechem. W końcu mogli porozmawiać tylko we dwoje.

– Daj spokój, Alicjo. Schowaj ten pistolet, bo jeszcze zrobisz sobie krzywdę. Powiedziałem, że pomogę ci uciec, i dotrzymam słowa. W przeciwnym razie nie wyciągnęlibyście mnie żywego z domu. Kochasz go?

– Przestań, Martin. On leży skulony w bagażniku... – wyszeptała.

– Chcę wiedzieć, co tobą kieruje, że robisz takie rzeczy – upierał się Gross.

– A może to jest prostsze, niż myślisz. Zachowujesz się tak, jakby nie było wojny, tylko małżeński trójkąt, w którym kochanek postanawia zamordować męża swojej wybranki. Ty jesteś nazistą, nie takim sobie zwykłym Niemcem wychodzą-

cym o świcie do fabryki, by stanąć przy taśmie. Planujesz kolejne podboje, piejesz z zachwytem nad każdym zdobytym ruskim miastem, a tortury i morderstwa na ludności cywilnej kwitujesz wzruszeniem ramion. To nie jest ważne, czy Kocham Juliana, Heńka czy Stefka. Po prostu nie chcę żyć w kraju, gdzie panuje głód i terror, a językiem urzędowym jest niemiecki. Nie uznaję was jako nadludzi, ale barbarzyńców, którym się wydaje, że należy im się jakieś szczególne miejsce w świecie. Tak, Martinie, to jest prostsze. Jesteś wrogiem, a z takimi trzeba walczyć. – Alicja wygłosiła monolog, nie do końca uczciwie, ale jednak było w nim jakieś niewielkie ziarno prawdy.

– Alicjo, Alicjo... Jak widać nie do końca cię przejrzałem, ale trochę cię znam. Mogę uwierzyć, że robiłaś różne rzeczy, żeby ratować przyjaciół, ale nie wciskaj mi tych patriotycznych bzdur. Jesteś zbyt wygodna, żeby poświęcać się dla idei. Ja zresztą też. Nie zastanawiam się, czy to, co robimy, jest słuszne, czy nie. Chciałem odnieść sukces, zrobić karierę. Reszta jest na dalszym planie. Dlatego bardziej boli mnie to, że nigdy mnie nie kochałaś i byłaś wyrachowana do szpiku kości, niż frazezy o miłości do ojczyzny. Tacy jesteśmy, każdy buduje swój własny krąg uczuć i emocji, nawet ci, którzy tak bardzo wierzą w potęgę Trzeciej Rzeszy, gdzieś na końcu widzą swój własny interes. – Martin przemawiał jak do niezbyt uważnej uczennicy.

– Pewnie masz trochę racji, ale gdyby nie wojna i wy, nie musiałabym każdego dnia zamartwiać się o swoich bliskich i o siebie. Życie w zniewoleniu, jak gorszy gatunek człowieka. Wolność jest ważna. Dla tego warto się narażać, Martinie – burknęła.

– Każdy z nas ma swoje cele w tej rozpaczliwej machinie, ale kiedyś nasze drogi się skrzyżowały, a jesteśmy ludźmi, którzy mają w sobie potrzebę kochania. Dla ciebie to była gra, dla mnie coś ważnego. Kto wie, może najważniejszego w życiu. Miałbym z tego zrezygnować albo czekać, aż opadnie kurz, a sytuacja polityczna się ustabilizuje? Przecież to nie ma sensu... – próbował tłumaczyć się Martin, ale musiał zakończyć swoje wywody, bo zbliżali się do patrolu strzegącego wjazdu na most prowadzący do Zinnowitz.

Żołnierz przejrzał dokumenty Grossa i Alicji, po czym stwierdził z żalem w głosie:

– Ma pan szczęście, przez to zamieszanie na wyspie nikt nie dostał noworocznego urlopu.

– Jaki tam urlop, wiozę raporty do Generalnego Gubernatorstwa, do Warszawy – mruknął Gross i dodał: – Cały dzień w samochodzie, żadna rozrywka.

Żołnierz pokiwał głową ze zrozumieniem i nakazał im jechać. Gdy oddalili się już kilkanaście kilometrów od najbardziej strzeżonego miejsca w Rzeszy, Alicja nakazała Martinowi zatrzymać się przy leśnej zatoczce i wypuścić Juliana z bagażnika.

– Teraz on poprowadzi, a my usiądziemy z tyłu – mruknęła.

– Będziemy siedzieć sobie jak para gołąbków, a twój kochanek będzie podglądał nas w lusterku – z sarkazmem powiedział Gross, ale wypełnił polecenie Alicji.

Chełmicki wygramolił się z bagażnika, rozprostował się i uśmiechnął szeroko.

– Udało się, udało...

Martin wykrzywił twarz i posłusznie zajął miejsce na tylnym siedzeniu. Alicja z Julianem jeszcze chwilę rozmawiali, by ustalić szczegóły przejazdu przez granicę Generalnego Gubernatorstwa, gdy tę chwilę nieuwagi wykorzystał Gross. Wyciągnął

dyskretnie broń ze skrytki samochodu umieszczonej między siedzeniami i powoli wysiadł z auta, celując w kierunku Chełmickiego.

– Odłóż broń, Alicjo, bo rozwalę mu łeb – warknął.

Spanikowana i kompletnie zaskoczona Alicja rzuciła pistolet w śnieg i patrzyła z przerażeniem na dalszy rozwój wypadków. Było jeszcze ciemno, jedyne światło pochodziło z reflektorów samochodu, ale biel śniegu idealnie kontrastowała z ich ciemnymi postaciami. Gdyby zaczęli uciekać, Martin nie powinien mieć problemów z trafieniem w cel.

– Naprawdę myślałaś, że pozwolę wam poprowadzić się jak prosię na rzeź? – zwrócił się do Alicji i dodał: – Pożegnaj się ze swoim kochankiem i wsiadaj do samochodu. Z tobą pomyślę, co zrobić.

Alicja milczała, a jej serce waliło jak oszalałe. Miała świadomość, że zabicie jej może być dla Grossa zbyt trudne, ale Julian był mu obcy i na dodatek podejrzewał go, że jest konkurentem do jej serca, a to zmniejszało jego skrupuły. Jak zwykle w takich wypadkach Alicja zdała się na instynkt. Nie zdążyła pomyśleć, jak bardzo jest to ryzykowne ani rozważyć szans powodzenia. Udając, że wsiada do samochodu, z całej siły popchnęła drzwi i uderzyła nimi Grossa. Ten zachwiał się i na chwilę stracił równowagę. Jego broń wystrzeliła, ale nie trafiła Chełmickiego, który jednym susem rzucił się na ziemię i próbował dosięgnąć pistoletu Alicji. Ta jednak była bliżej, podniosła go i trochę na oślep zaczęła oddawać strzały w kierunku Martina. Musiała go trafić, bo upuścił trzymaną w dłoni broń i osunął się na ziemię. Wszystko działo się bardzo szybko i mogli już poczuć się bezpieczni, ale nagle do Alicji dotarło, co zrobiła. Podeszła do Martina Grossa i uklękła przy nim. Trafiła go w pierś, ale wciąż żył i jęczał z bólu.

– Martinie, przepraszam. Błagam, wybacz mi. Proszę, nie umieraj, za chwilę znajdziemy lekarza. Boże, co ja zrobiłam? – zaczęła łkać, kompletnie spanikowana.

Nie czuła się tak, jak wtedy, gdy zabiła marynarza w Casablance, teraz była zupełnie rozbita. Bez względu na wszystko Martin Gross był jej bliski, dobry dla niej i kochał ją tak, jak żaden mężczyzna.

– Alicja... – wyrzęził z żalem w głosie i poszukał jej ręki. Ścisnął ją na tyle, na ile mógł wykrzesać z siebie siły i oddychając z trudem, zamknął powieki. Chwilę potem jego uścisk zelżał, a dłoń zwiotczała.

Alicja ze spuszczoną głową wciąż klęczała przy Grossie i płakała głośno, ze skargą w głosie, nienawidząc siebie za to, co zrobiła. Chełmicki podszedł do niej, nachylił się i próbował podnieść ją z klęczek, ale wyrwała mu rękę, wciąż łkając. Chyba pierwszy raz w życiu obecność Juliana nie zadziałała na nią kojąco. Nie byłby w stanie jej zrozumieć. Nie miał pojęcia, jaki był dla niej Martin i jak bardzo go wykorzystwała, by na końcu zamiast miłości dać mu śmierć. Były chwile, gdy go nienawidziła, ale był dla niej cholernie dobry i to on zdjął z jej karku gestapo, gdy w tym samym czasie jej kompani nie zrobili nic. Wciąż łudziła się, że unikną tego i puszczą go wolno, pomimo ryzyka, jakie to za sobą niesło dla Chełmickiego. Bo dla niej i tak to byłby koniec normalnego życia. Tak jak teraz. W tym momencie jej los będzie naznaczony ciągłym uciekaniem i ukrywaniem się. I dopóki stanowiło to czystą abstrakcję, myślała sobie, że dla Chełmickiego jest gotowa na podobne poświęcenie. Gdy jednak stało się to faktem, nagle poczuła ogromny lęk przed czekającą ją przyszłością. Bo nie było Martina...

Chełmicki postanowił działać. Nie mogli stać tutaj bez końca, nad ciałem martwego oficera SS. Niemal siłą odciągnął Alicję od Grossa i wepchnął ją do samochodu. Potem zdjął z niego zimowy, skórzany płaszcz, tylko trochę od wewnątrz nasiąknięty krwią, nałożył na siebie i sięgnął po leżącą nieopodal oficerską czapkę. Sprawdził mu kieszenie munduru, po czym przeciągnął ciało w głąb lasu. Przykrył je gałęziami i obsypał śniegiem. Ślady krwi przy drodze także przysypał śniegiem, po czym usiadł za kierownicą.

Tak dotarli w pobliże granicy Rzeszy. Alicja wciąż milczała, otępiła i pogrążona we własnych, ponurych myślach. Julian także milczał. Wiedział, jak wiele kosztowało go zabicie konfidenta, którego twarzy i martwych oczu nie mógł wymazać z pamięci, dlatego rozumiał Alicję. Nie chciał się zastanawiać, czy było w tym coś więcej. Wolał nie myśleć, że jego ukochana rozpacza za Martinem Grossem jak za oddanym kochankiem. Jego już nie było, a on musiał zrobić wszystko, żeby zapewnić im bezpieczeństwo.

Porzucili samochód w jednym z gęstych lasów i dalej ruszyli piechotą, w cywilnych ubraniach. On miał porządne papiery, ale Alicja wciąż swoje własne, a to mogło ściągnąć na nich niebezpieczeństwo. Przedzierali się więc przez las, grzęznąc w głębokim śniegu, przemarznięci i głodni. Alicja nie miała co prawda na sobie balowej sukni i delikatnych pantofli, ale wciąż ubrana była jak kobieta, która najdłuższą drogę musi przebyć z bramy kamienicy do samochodu. Oddał jej swój sweter, w którym niemal się zatopiła, i grube skarpety, a głowę owinał szalikiem, ale i tak miał wrażenie, że to wciąż zbyt mało, aby zapewnić jej ciepło. Gdy minął dzień i przekroczyli granicę, Julian postanowił, że muszą gdzieś odpocząć, nawet jeśli musiałby sterroryzować mieszkańców jakiejś chałupy. Szkolenia, jakie odbył w Anglii, nie brały pod uwagę polskich zim i te wszystkie rady okazywały się niewiele warte w obliczu takiego żywiołu, jak siarczysty mróz i głębokie po kolana zasy.

Wyszli z lasu i ujrzeli pola pokryte śniegiem, a w oddali niewielką osadę z kilkoma chałupami mającymi na tle bieli i światła księżyca, niczym fatamorgana na pustyni. Zdawało się, że to tak blisko, zaledwie kilkaset metrów, ale brnęli przez zasy bardzo długo, a otwarta przestrzeń sprawiła, że podmuchy arktycznego wiatru przenikały ich na wskroś. Alicja była jak automat. Stawiała kolejne kroki pewnie, ale coraz wolniej i coraz częściej zatrzymując się w poczuciu niemocy.

– Kochanie, jeszcze trochę, jeszcze kilka kroków – niemal błagalnie mówił Julian, widząc, że za chwilę Alicja podda się żywiołowi i skończy przysypana śniegiem, podobnie jak kilkanaście godzin wcześniej jej kochanek.

– Nie mam siły, nie dam rady – jęknęła. – Zostaw mnie, idź sam. Błagam, odejdz i ratuj się, a ja tu zostanę.

Julian jednak nie słuchał, wiedział, że Alicja mówi to ze zmęczenia i wyczerpania. Nie była zahartowana jak on, gdy przemykał niczym pantera na spotkania ze swoim informatorem niekiedy kilka godzin albo gdy uciekał przed niemieckimi patrolami. Ona żyła spokojnie, rozpieszczana, wożona samochodami, jadająca smaczne potrawy i wylegująca się w wannie, gdy zmęczyły ją wędrówki po sklepach. Minęło wiele czasu, odkąd ukończyła kurs w New Forrest i gdy tułała się po Europie, by dotrzeć do Anglii. I nagle musiała przemierzyć kilkanaście kilometrów lasów i pól, zatapiając się niekiedy po pas w śniegu i walcząc z uporczywym mrozem, który był wyjątkowo siarczysty jak na ten region Europy.

Dotarli do osady. Julian pozostawił Alicję przed jedną ze stodół, wyjął broń i udał się do domostwa. Miał nadzieję, że nie będzie musiał jej używać, a wystarczy jednie prośba i trochę pieniędzy. Starsze małżeństwo, chociaż patrzyło podejrzliwie na elegancko ubraną kobietę, w istocie nie czyniło problemów, by udzielić zziębniętej parze schronienia, a te kilka dolarów zapewne także spełniło swoją rolę. Gospodyni przygotowała dla nich kluski na mleku, a jej mąż dołożył polan do kuchni, która ogrzewała izbę. Alicja siedziała na drewnianej ławce, przytulając plecy do ciepłych ścianek komina i opierając bosc stopy na drewnianym podnóżku. Julian siedział nieopodal i masował je, by przywrócić im właściwe krążenie.

– Janek napali w tamtej izbie i tam się prześpicie – zaordynowała gospodyni.

– Dziękuję – niemal szeptała Alicja, wciąż nie mogąc dojść do siebie po męczącej wędrówce.

– A wy na pewno małżeństwo? – zatroskała się gospodyni. – Bo tam tylko jedno łóżko.

– Tak, na pewno – uśmiechnął się Julian.

– A to chyba od niedawna, bo pan tak masujesz te nogi, jakbyś dopiero się o wianek starał. – Gospodyni zarechotała i wyszła do sieni, żeby poszukać jakichś odpowiedniejszych butów dla Alicji.

Julian i Alicja wymienili spojrzenia i pierwszy raz, odkąd opuścili mieszkanie Grossa w Peenemünde, Alicja uśmiechnęła się.

Gdy już nieco posilili się i ogrzali, właściciel domostwa nagrzał w ogromnym saganie wody, po czym przelał ją do drewnianej balii, by przybysze mogli się umyć. Zapewne dostrzegł plamy zaschniętej krwi na dłoniach i ubraniu Juliana, które ten nieudolnie próbował usunąć śniegiem.

Gospodyni przyniosła do kuchni buty i jakieś stare ubrania, a jej mąż powiedział stanowczo:

– Jak się wymyjeta, stare ciuchy do pieca wrzućta.

Po chwili oboje z żoną udali się do drugiego pokoju, by przygotować posłanie dla gości i jeszcze dołożyć do pieca, bo kolejna noc zapowiadała się mroźnie. Izba była wyziębiona i przepalano w niej jedynie po to, by na ścianach nie pojawił się grzyb.

– Tak zrobimy. – Julian pokiwał głową i zaczął zdejmować z siebie ubranie. – Umyj się pierwsza – zaproponował. – Ja poczekam. Mam się odwrócić?

Alicja kolejny raz uśmiechnęła się delikatnie, po czym, wciąż patrząc na Juliana, zaczęła zdejmować ubrania. Gdy była już naga, weszła do niewygodnej balii i sięgnęła po karbolowe mydło przygotowane przez gospodynię. Było jej ciasno i poczuła się dość nieporadnie, ale Julian podszedł do niej, wyjął z jej dłoni mydło i zaczął nacierać nim ciało Alicji. Przymknęła oczy. Jej myśli o Martinie na chwilę odfrunęły, a ona rozkoszowała się faktem, że nareszcie dotykają ją dłonie Juliana, czuje jego zapach i słyszy ten najpiękniejszy na świecie głos. Cokolwiek się wydarzyło, w tym momencie czas zatrzymał się w miejscu, a jej dusza uspokoiła się nagle, jakby czekała od dawna na tę chwilę. Nieważne było, że chałupa była skromna, balia mała, a mydło nie wydzielalo żadnego aromatu. Nieistotne, iż dłonie Juliana były szorstkie od mrozu, a jego zapach zdradzał brak kąpieli od dobrych kilku dni. Miała go tuż obok, czuła jego obecność i wiedziała, że gdy dokończą toaletę, poczuje go w sobie, jak wtedy, gdy spotkali się w zamku Beaulieu.

Tej nocy nie chciała zastanawiać się, co będzie później ani co ich czeka. Ukryła się w ramionach Juliana, zostawiając za sobą wizję umierającego Martina. Wiedziała, że ten obraz będzie do niej powracał, ale teraz nie chciała już o tym myśleć ani zastanawiać się, czy było jakieś inne wyjście. Wybrała życie Juliana i nie wyobrażała sobie, że mogła postąpić inaczej. I ponownie kierowała żal do losu, że wiódł ją ścieżkami, gdzie należało podejmować tak skrajne decyzje.

Ale miłość jest prosta. Jeśli kogoś kochasz, nie wahasz się ani przez moment, czy ratować mu życie.

25. Warszawa, 1942

– Ty, Lewin, przestań myśleć fujarą jak mente fijoło tej swojej Grecie z grabem. Nawijam ci, jak się mamony szybkiej dorobić – burknął Franek, który po kilkudziesięciu operacjach związanych z przemysłem żywności nabrał ochoty na większe pieniądze.

– Nie samym chlebem żyje człowiek... – filozoficznie odpowiedział Emil, głośno wzdychając i wspominając z czułością spotkanie z Renate. Wciąż była oschła i niedostępna, ale Lewin łudził się, że w końcu i ona ulegnie jego urokowi.

– Nawijasz mi tu jakiś makaron na uszy, a czym ma żyć jak nie chlebem? Może być i ze szyneczką – zarechotał Franek.

– To opowiedz, jaki masz plan – powiedział Emil, nie chcąc dyskutować z Frankiem o rzeczach, o których ten nie miał pojęcia.

Franek, chcąc zaznać rozkoszy cielesnych, korzystał z usług podrzędnych prostytutek, chwając się potem, czy je brał „na talerzyk” czy „od zakrystii”. A Emil, odkąd spotkał piękną pannę Zoll, ponownie uwierzył w romantyczne uniesienia i w to, że może się znowu zakochać i być kochanym. Teraz już nie był byle kim, miał pieniądze i mógł pozwolić sobie na wygląd godny dżentelmena, zatem łudził się, że tym razem nie zostanie potraktowany jak niegdyś przez piękną Adriannę Daleszyńską. Nawet jeśli ponętna Renate była zimna i nieco go odpychała, uznał, że po prostu droczy się z nim. A może trochę obawiała się tego, iż jest Polakiem. On jednak nie był taki jak inni. Uważał, że jest kimś i nie miała znaczenia narodowość, ale majątność i sposób zachowania. A te ponownie stały się nienaganne. Nawet obcując z Frankiem i jego kompaniami, starał się mówić poprawnym językiem, nieskalanym złodziejską gwara, szlifował niemiecki i nade wszystko miał tę pewność siebie, której do tej pory mu brakowało.

– Wiesz, Emil, miarkuję, co by na pejsakach trochę zarobić. Na pewno mają mamonę za szlabanem, a żarcia jak na lekarstwo. A jak nie mają hajsu w getcie, to pewnikiem gdzieś skitrali. Jak im będziemy przemycać jedzenie, oddadzą wszystko. Złoto, dolary, świecidełka. Kapujesz, jaka to przebitka? – powiedział „Diamantowa Rączka”.

– Ty wiesz, Franek, jak ciężko się tam dostać? Przecież wiesz, bo mi przepustkę jednodniową za ciężkie pieniądze organizowałeś. Pewnie i tak by się opłacało, ale na szlabanach obmacają cię i jak coś znajdą, od razu kulka. – Emil machnął ręką.

– Znalazłem dojście przez jedną z kamienic. Wielki chłop się nie precieśnie, ale chudy dzieciak i owszem. Pójdzie się z niczym, pozbiera zamówienia, ustali ceny, a Szymek przelizie i żarcie im doniesie. – Franek popukał się w skroń na znak, że ma głowę nie od parady.

– Nie będę narażał dzieciaka – zaprotestował Emil, bo polubił Szymka i nie chciał ryzykować jego życia.

– A bo to twój dzieciak, żeś się takie szelki zrobił? – burknął Franek i dodał ugodowo: – Obcykamy wszystko, żeby mu nawet jeden włos ze łba nie spadł.

– Dobrze – zgodził się po chwili Emil. – Ale pamiętaj, jeśli uznam, że ryzyko

jest za duże, wycofuję się.

– No co ty, Emil – obruszył się Franek. – Za kogo ty mnie masz? Jak będzie cykoria, to odpuszczamy.

– To pokaż mi to tajne przejście, a potem pomyślimy – mruknął Emil.

Nie był przekonany do pomysłu Franka. Nie dlatego, że miał opory przed sprzedażą towarów do getta, ale z uwagi na Szymka. Przywiązał się do tego małego gówniarza, chyba dlatego, że ten uważał go za autorytet niemal w każdej dziedzinie życia. Podziwiał go, próbował naśladować i robił wszystko, co kazał mu Emil. A gdy otrzymywał pochwały, był z siebie dumny i wołał je bardziej niż garść miedziaków.

Weszli do zrujnowanej przez bombardowania kamienicy sąsiadującej z gettem z jednej strony i murami więzienia na Pawiej z drugiej.

– Na głowę to nam się nie zawali? – zapytał niepewnie Emil, idąc ostrożnie za Frankiem.

– Spokojna twoja rozczochna, Lewin. Zaraz zejdziemy do piwnicy, a tam prawie wszystko zdrowe. Mury nietknięte – uspokajał go „Diamantowa Rączka”.

– Oszalałeś? – zdziwił się Emil. – Gdzie ty tu znajdziesz zejście do piwnicy, przecież to wszystko zagruzowane.

– Makówkę mam nie od paradejki, zasłoniłem właz, co by żaden farmazon nie zwąchał interesu – pochwalił się Franek i zaczął odkładać cegły spod jednej ze ścian.

Kilka minut później ujrzeni fragment schodów prowadzących w głąb piwnicy. Zeszli powoli i znaleźli się w ciemnym, zakurzonym korytarzu. Franek zapalił latarkę i poszedł przodem, aż dotarł do jednego z boksów. Otworzył drzwi i ujrzeni kompletnie puste pomieszczenie, w którym zapewne niegdyś składowano węgiel, sądząc po brudnych od sadzy ścianach. Na jednej z nich znajdowało się niewielkie okienko, przykryte zakurzoną, kwiecistą zasłonką. „Diamantowa Rączka” podszedł do okiennego otworu i odsunął zasłonę. Po drugiej stronie znajdowało się inne pomieszczenie, niemal w całości przysypane gruzem.

– Jak Szymek przelezie na drugą stronę, znajdzie dziurę w ścianie. A tam już będzie w getcie – powiedział Franek dumnie.

– A może by tak znaleźć zaufanego kuriera, który będzie odbierał od Szymka jedzenie przez dziurę i dawał fanty? – zapytał Emil, wciąż nieprzekonany do wysyłania dzieciaka za mur getta.

– Niby taki oblatany gość jesteś, a nic ci kiepeła nie pracuje. Zaufany kurier? W getcie? A jak nadamy, gdzie jest przejście na drugą stronę, to istne pielgrzymki będą się tam kręcić i próbować dać dyla. I zaraz Szwaby zwąchają. Spróbujemy z Szymkiem, a jak jaki szprynt będzie, to się zmyjemy – przekonywał Franek.

Lewin pomyślał przez chwilę. W getcie musiała być jeszcze większa przebitka na jedzeniu niż na Kercelaku. A pejsaki nawet tam musieli mieć jakieś dobra, których w końcu musieli się pozbyć, żeby nie umrzeć z głodu.

Kilka dni później przemierzali to miasteczko ludzkich cieni, ubrani w robocze stroje hydraulików. Emil czuł się nieswojo, widząc żebrzące dzieci, martwych ludzi leżących pod ścianami budynków, których nie nadążano uprzętać, i wśród zapachu wszechobecnej śmierci. Wydawało mu się, że spowija go swoimi mackami, szepcze szyderczo do ucha i mami brutalnymi widokami. Było tu jeszcze gorzej niż wówczas, gdy również jako hydraulik szukał Jakuba Mozela. Franek najwyraźniej nie miał podobnych myśli, bo próbował znaleźć wzrokiem ludzi, z którymi mógł dobić interesu,

omijając tych, którzy ledwie powłóczyli nogami. Dla nich nie miał oferty. Jeśli wyglądali aż tak źle, oznaczało to, że pozbyli się już wszystkiego, co mieli i pozostało im jedynie oczekiwanie na śmierć.

Jakiś młody człowiek stał w bramie i czujnie przyglądał się obcym. Postanowili go zaczepić i zaproponować interes. Zgodził się oddać złoty zegarek po dziadku za trzy bochenki chleba i dwa kilogramy szpondra. Pod koniec dnia, gdy mieli opuścić getto, mieli już całkiem pokaźną listę zamówień, formę płatności i miejsce spotkania. Wiedzieli jednak, że nie mogą puścić chłopaka ze wszystkimi zamówieniami naraz, bo gdyby tylko ktoś wyczuł, że ma przy sobie większą ilość jedzenia, mógłby zostać okradziony, co nie byłoby jeszcze taką straszną tragedią, ale istniało prawdopodobieństwo, że padłby ofiarą śmiertelnie wygłodzonych ludzi. Emil postanowił jednak, że zgodzi się na ten interes tylko wówczas, gdy Szymek nie będzie miał żadnych obiekcji.

Chłopak jednak z ekscytacją przyjął propozycję. W końcu mógł się wykazać i zdobyć uznanie swojego guru, Emila Lewina, a przy okazji zarobić porządne pieniądze. Już minęła mu ochota na zostanie doliniarzem, wymarzył sobie, że uzbiera na dobrą szkołę i wykształci się na kogoś ważnego, kto dobrze zarabia i ma szacunek w społeczeństwie. Może na doktora albo adwokata. Tego mały Szymek Wielopolski nie wiedział, ale zrozumiał jedno: że chce być taki, jak pan Emil Lewin, który przygarnął go pod swój dach, dał mu porządne odzienie i trzy solidne posiłki dziennie.

Na tę robotę jednak musiał powrócić do ubioru nieco skromniejszego, żeby nie wyróżniać się zbytnio wśród tłumu wynędzniałych dzieci w podobnym wieku. Założył starą kapotę i nieco sfatygowane buty, a na ramię naciągnął opaskę z gwiazdą Dawida. Pętko kielbasy oraz dwa bochenki chleba i płat słoniny schował pod palto i przeszedł na stronę getta. Wydostając się na drugą stronę, doszedł do wniosku, że nawet gdyby miał na sobie czyste ubranie, po przejściu przez gruzowisko i tak byłoby brudne i zakurzone.

Wyszedł na jedną z zatłoczonych ulic getta i ciekawie rozglądał się dookoła. O tym miejscu krążyły opowieści mrozące krew w żyłach i Szymek chciał na własne oczy się przekonać, czy są prawdziwe. Mijał mnóstwo ludzi, niekiedy widział jakiegoś żołnierza niemieckiego, a niekiedy straż żydowską patrolującą ulice. Tutaj wyglądało jak na Muranowie przed wojną. Był wtedy całkiem mały i żyli jego rodzice, ale pamiętał mężczyzn z długimi brodami, ubranych w chałaty, kobiety w perukach lub obwiązane chustami, a wszyscy mówili w dziwnym, niezrozumiałym dla niego języku albo charakterystycznie przeciągali sylaby. A jednak coś różniło to miejsce od przedwojennych dzielnic żydowskich – ludzie byli wychudzeni i chodzili jak lunacy. Zapytał jednego z nich o adres zapisany przez Emila na kartce. Człowiek wskazał mu drogę zupełnie zobojętniały na otaczającą go rzeczywistość.

Wszedł do kamienicy i zapukał do właściwych drzwi. Po chwili otworzyła mu dziewczynka w podobnym do niego wieku. Miała długie warkocze i ogromne ciemne oczy, patrzące z lękiem na przybysza. Szymek stwierdził, że dziewczynka, choć Żydówka, jest bardzo ładna.

– Szukam Mojsze Goldberga – uprzejmie zakomunikował Szymek.

– A coś ty za jeden? – zapytała podejrzliwie dziewczynka.

– Powiedz panu Mojsze, że od „Rączki” przychodzę – odpowiedział, wciąż grzecznie, bo ta ładna dziewczynka po prostu go onieśmiałała.

– Zaczekaj – fuknęła i zamknęła mu przed nosem drzwi.

Chwilę potem stanął w nich około czterdziestoletni mężczyzna i zapytał nerwowo:

– Masz?

– A co mam nie mieć, panie Goldberg. Ale najpierw zapłata – stanowczo powiedział Szymek.

– To zdzierstwo tyle za chleb i kawałek słoniny brać – mruknął.

– Nie chce pan, to trudno. Ja na klientelę nie narzekam.

Chłopak wzruszył ramionami. Czuł się w tym momencie jak dorosły, jak Emil Lewin, który w podobny sposób wyrażał się, dobijając targu z interesantami.

– Dobrze, już dobrze – mruknął mężczyzna i drżącą dłonią podał Szymkowi zawiniątko.

Ten wziął do ręki nieco brudną chustkę i rozwinął. Znajdowały się w niej dwie małżeńskie obrączki.

– Miał być jeszcze zegarek – stanowczo powiedział Szymek.

Mężczyzna popatrzył na niego ze złością i zaczął zdejmować z dłoni stary zegarek.

– Krwio pijcy, pazerne goje – burczał pod nosem.

Chłopak jednak nie zwracał uwagi na obelgi mężczyzny, tylko schował zapłatę do wewnętrznej kieszeni kurtki, po czym zaczął odpinać pasek, na którym wisiały przyniesione przez niego dobra. Zanim zdjął ostatni chleb, mężczyzna zdążył już wcisnąć do ust niemal pół bochenka poprzedniego. Po chwili wziął wszystkie artykuły, włożył w pośpiechu za pazuchę i zniknął za drzwiami mieszkania. Szymek zaczął schodzić po schodach budynku, gdy usłyszał głos.

– Hej, ty, zaczekaj chwilę.

Odwrócił się i zobaczył dziewczynkę z ciemnymi warkoczami, która mu otwierała. Zatrzymał się i poczekał, aż zejdzie do niego.

– Słuchaj no ty – powiedziała hardo dziewczynka – a czekoladę to byś dał radę załatwić?

– Pewnie – odpowiedział, wzruszając ramionami.

– A ile by kosztowała? – zapytała niepewnie dziewczynka. – Moja mama ma za tydzień urodziny. Jest bardzo chora i słaba, i chciałabym jej zrobić taki piękny prezent.

– A masz jakieś pieniądze albo fanty? – zapytał rzeczowo.

Dziewczynka dotknęła kołnierzyka i wysupłała spod niego cienki złoty łańcuszek zakończony serduszkami.

– Wystarczy na czekoladę? – zapytała smutno.

Szymek popatrzył najpierw na łańcuszek, potem na piękną buzię dziewczynki i puszczając do niej oko, powiedział:

– Wystarczy... A jak ci na imię?

– Noemi – odpowiedziała cicho.

– Mnie wołają Szymek. Będę u ciebie za trzy dni. Z czekoladą – powiedział z uśmiechem, chcąc nieco uradować dziewczynkę, ale ta jedynie pokiwała głową i uciekła do mieszkania.

Powrócił na drugą stronę getta po kolejną partię towaru. Emil Lewin stał w brudnej piwnicy i przypalał jednego papierosa od drugiego. Bał się, czy jego pod-

opieczny poradzi sobie i powróci zza murów cały i zdrowy. Więc gdy ujrzał w okiennej wnęcie uśmiechniętego i zadowolonego Szymka, po prostu spontanicznie go uściaskał i ucałował. Chłopak nie mógł sobie nawet wyobrazić większej nobilitacji w oczach swojego patrona.

Kilka dni później Emil pozostawił tę część biznesu młodemu adeptowi, upominając go, by nie brał więcej niż dwa zlecenia naraz i miał nadzieję, że tak jak było dotychczas, chłopak go posłucha. Nie mylił się, Szymek za nic w świecie nie złamałby danego Lewinowi słowa. Ono było dla niego świętością.

– Proszę pana, a czy ja mogę sobie kupić czekoladę? – zapytał na trzeci dzień.

Emil roześmiał się.

– Szymek, zarabiasz pieniądze jak dorosły, więc sam możesz decydować, na co je wydasz. Ale wiesz co? Nie kupuj czekolady, dostaniesz ją ode mnie.

– Dziękuję – odpowiedział chłopak i z wdzięcznością wziął podarunek od Emila.

Schowwał czekoladę do kieszeni i ruszył, objuczony wiktuałami, do zrujnowanej piwnicy w okolicy getta. Postanowił, że zrobi prezent ślicznej Noemi i da jej czekoladę, a łańcuszek będzie mogła sobie zachować. Bardzo mu zależało, żeby go polubiła, i chciał, żeby spotkała się z nim nie tylko przy okazji zakupów.

– Proszę. – Szymek podał czekoladę Noemi, gdy spotkali się w umówionym miejscu.

I wtedy po raz pierwszy się do niego uśmiechnęła, po czym powąchała smakołyk i ostatkiem sił schowała do kieszeni, chociaż tak bardzo chciała sama ją zjeść. Zaczęła odpinać łańcuszek, ale Szymek zatrzymał ją gestem ręki.

– Nie chcę łańcuszka. To prezent ode mnie. Żebyś mogła dać swojej mamie. A dla ciebie też coś mam. – Wygrzebał z kieszeni zawiniątko z kilkoma landrynkami i podał dziewczynce.

Noemi od razu wzięła kilka i upchnęła do buzi, po czym przymknęła powieki, żeby delektować się w skupieniu ich smakiem. Po chwili jednak wypluła je z powrotem do papierka, zawinęła i włożyła do kieszeni obok czekolady.

– Zaniosem bratu, ma pięć lat i nigdy nie jadł landrynek – powiedziała ze smutkiem.

Szymek patrzył na swoją nową koleżankę i chociaż nie miał pojęcia, jak wiele kosztowało Noemi wyplucie owych landrynek, by podzielić się ich smakiem z bratem, zrobiło mu się przeraźliwie smutno. Była w getcie ze swoją rodziną, jak w więzieniu. Nie mogła nawet nic zrobić, tak jak on, żeby polepszyć swój byt. Musiała tkwić w miejscu, gdzie ciągle umierali ludzie i oddawali wszystko, co najcenniejsze, by nasycić żołądki. Postanowił, że jeśli tylko Noemi zechce go widywać i roznosić z nim towar, on będzie jej przynosił różne smakołyki zupełnie za darmo. Bardzo chciał, żeby częściej się uśmiechała, bo wtedy wyglądała jeszcze ładniej.

Wkrótce zaprzyjaźnili się i polubili. Noemi opowiadała mu o swoim życiu, gdy jeszcze mieszkali w swoim domu na Muranowie, on o swoim dzieciństwie, kiedy żyli rodzice i zabierali go co niedzielę na karuzelę albo do cukierni na śmietankowe lody. Oboje żyli wspomnieniami, jeszcze zbyt mali, by mieć konkretne plany i marzenia, tęsknili za beztróskim dzieciństwem brutalnie odebrany im przez wojnę. Szymek wiedział, że Noemi go polubiła, i nie tylko dlatego, że przynosił jej jakieś kanapki albo słodczyce, na które wydawał zarobione przez siebie pieniądze. Cieszył się, że jest

zaradny i będąc tak młodym, może zarabiać. Czuł też, iż powinien zaopiekować się tą dziewczynką. Nigdy wcześniej nie miał bliskiej koleżanki. Najpierw był mały i wolał bawić się z chłopcami, potem był tylko obszarpańcem z zielonym gilem. Teraz jednak był już zupełnie kimś innym i ową przemianę zawdzięczał jednemu człowiekowi, Emilowi Lewinowi.

Miejscowy felczer, od którego Hanka Lewin wynajęła dom, dotykał, osłuchiwał i opukiwał jej coraz większy brzuch. Niepokoił go fakt, że jego pacjentka coraz częściej odczuwa bóle, których nie powinna, wszak do rozwiązania pozostały przynajmniej dwa miesiące. Nakazał jej leżeć w bezruchu, nie denerwować się i zaordynował jedynie jakieś zioła. Hanka, mimo że nie lubiła zanadto leżenia w jednym miejscu, posłuchała felczera, bo myślała, że mogłaby stracić dziecko Igora, doprowadzając ją do czarnej rozpacz. Na szczęście miała przy sobie Irenę „Wariatkę”, która zajęła się Nadią i całym gospodarstwem. Niekiedy myślała nad zrzuceniem losu, który postawił na jej drodze tę kobietę. Cóż ona by teraz bez niej poczęła, gdyby musiała sama zajmować się córką, oporządzić inwentarz i nosić drewno do opalania chałupy? Poza tym dzięki niej nie czuła się samotna i polubiła Irenę całym sercem. Mimo okazałej postury, siły tura i wieku przekraczającego trzydziestkę „Wariatka” miała serce małego dziecka. Jej emocje były proste, a uczucia tak bardzo oczywiste. Dla każdego życzliwa, uczynna ponad miarę, wszystko brała za dobrą monetę. Nawet gdy okoliczne dzieciaki biegały za nią, śmiejąc się z niej i nazywając „stukniętą”, ta szczerzyła zęby i śmiała się razem z nimi. Kiedy ktoś odsuwał się od niej z lękiem, ona także zaczynała się bać, nie rozumiejąc, że to ona może być obiektem owego strachu. Płakała na pogrzebach obcych jej ludzi, bo inni płakali, jak również w chwilach, gdy Nadia zrobiła sobie krzywdę, i wylewała ogromne łzy niewspółmierne do wydarzenia, w jakim uczestniczyła. Słuchała z otwartą buzią opowieści Hanki z czasów, gdy występowała na scenie, chichotała, kiedy mowa była o wielbicielach i wielkich miłościach w artystycznym świecie i stłukła grubym kijem bezpańskiego psa, który ugryzł Nadię.

Ale za to wszystko Hanka uwielbiała Irenę, bo świat jej uczuć i osądów był szczerzy. Bez zażenowania mówiła, że coś jest ładne albo brzydkie, nie zastanawiając się nad konwenansami. W pobliskim sklepie na cały głos powiedziała, że stojąca przed nią kobieta „ma łeb pełen wszy”, felczerowi, że jest gruby jak ich beczka na deszczówkę, a księdzu, że widziała, jak umizgiwał się do Bolki Janczarowej. Ludzie więc uciekali od Ireny, bo nigdy nie było wiadomo, co wypali. Mimo że w razie potrzeby mogli na nią liczyć, to woleli nie najeść się wstydu, niż korzystać z jej uczynności.

Dla Hanki były to sytuacje komiczne, z których chichotała w zaciszu domowym, zazdroszcząc swojej przyjaciółce takiego podejścia do życia. Obawiała się jedynie, że pewnego dnia Irena trafi na kogoś, na przykład na Niemca, który ukarze ją za tę szczerą graniczącą z bezczelnością, nie zważając na ułomność jej rozumu ani dobroć serca.

– A ten Felek, co pod lasem mieszka, to chciał, żebyśmy mu majtki pokazała – powiedziała zupełnie poważnie Irena, zaplatając sobie warkocz.

Hanka aż usiadła na łóżku.

– Chryste Panie... I co, pokazałaś? – zapytała, zatrwożona.

– A gdzie tam – odpowiedziała Irena i dodała coś, co zmroziło Hankę: – Prze-

cież zimno jest. Jeszcze bym katar złapała.

Głowa Hanka opadła z powrotem na poduszkę. I co ona miała zrobić? Najchętniej poszłaby obić gębę temu pijusowi, ale przecież nie mogła się ruszać, by nie narażać dziecka na zbyt wczesne przyjście na świat. A co będzie, jeśli ten typ zwabi Irenę do swojej chałupy i wykorzysta? Przecież ona nie miała pojęcia o męskich zachciankach ani o tym, że potem może zająć w ciążę.

– Posłuchaj, Irenka – powiedziała stanowczo. – Jak Felek jeszcze raz poprosi, żebyś mu majtki pokazała, to lej go po mordzie i nie patrz, która godzina. Zrozumiałaś?

Uśmiechnęła się.

– Zrozumiałam, zrozumiałam. Przecież nie chcę się rozchorować.

Następnego popołudnia, gdy siedziały przy piecu i piły herbatę z malinami, ktoś zapukał do drzwi. Otworzyła Irena i do środka weszła żona Felka.

Hanka zapytała, nieco wystraszona:

– Co panią do nas sprowadza, pani Rybakowa?

– Ta pani wariatka męża mi pobiła. Stracił dwa zęby i ma tak spuchnięte jedno oko, że nic nie widzi – z wyrzutem powiedziała Rybakowa.

– Ma przecie drugie – bystro zauważyła Irena.

– Idźże, ty głupi kocmołuchu, bo na policję pójdę – burknęła żona Felka.

– Pani Rybakowa – z westchnieniem powiedziała Hanka – może gdyby pani częściej z mężem sypiała, to nie chciałby Ireny majtek oglądać. To ja jej kazałam lać go po gębie, jeśli jeszcze raz ją o to poprosi.

Rybakowa otworzyła buzię, po czym po chwili ją zamknęła. Podeszła do Ireny „Wariatki” i zaczęła ją obcałowywać.

– Dobra kobieto, jak dobrze żeś go po tej zapijaczonej mordzie naląła. Odechce mu się, kurwiarzowi, na baby chodzić. Pani kochana... – Oderwała się od Ireny i zwróciła w stronę Hanka: – Ja krzyż pański z nim mam. Jak se tylko popije ten mój chłop, to zaraz go na amory zbiera. Ale żeby tak do mnie, to nie, pani. Już chyba we wsi wszystkie panny nagabywał, a i niejedna mu uległa, jak ta zdzira od aptekarza i jedna służąca z dworku. A jak, pani, teraz po gębie dostał, aż mu dwa zęby z przodu wyleciały, to mu się bab odechce. Zresztą bez tych zębów to i żadna na niego nie polecie. Teraz wszystkim w Magnuszewie opowiem, jaka to z Irenki porządna i dobra kobieta. No, gdybym ja wiedziała, że za to po gębie dostał, to w życiu bym z pretensjami nijakimi nie przychodziła...

Rybakowa pożegnała się i obiecała nawet przynieść w niedzielę po mszy placek drożdżowy z marmoladą. Tak więc Irena została bohaterką, bo pobiła zdradzieckiego męża i lokalnego uwodziciela. Miało to jednak tę złą stronę, że każdy chłop we wsi, czy żonaty, czy kawaler, omijał ją szerokim łukiem, nie chcąc stracić zębów. A to drastycznie zmniejszało szanse Ireny na znalezienie fatyganta, a w przyszłości być może i męża.

Kilka dni później, gdy nastał wieczór, kolejny raz usłyszały natarczywe pukanie do drzwi. Hanka popatrzyła na Irenę, ale ta tylko wzruszyła ramionami i zapewniła:

– Nikogo nie zbiłam.

Po chwili wstała z drewnianej ławy przy piecu, poprawiła pierzynę w łóżeczku Nadii i bez najmniejszych objawów lęku poszła otworzyć drzwi. Hanka poczuła po-

wiew mroźnego powietrza, które dostało się do wnętrza, i chwilę potem ujrzała okutą w grube chusty kobietę. Kiedy nieznajoma odsłoniła twarz, oblicze Hanka rozpromieniło się.

– Boże, Alicja. Wszelki duch Pana Boga... – powiedziała uradowana i podniosła się z posłania.

– Niech Hanka się nie podnosi – warknęła Irena. – Bo dziecko Hance wypadnie na podłogę.

– Nie gadaj tyle, Irenka, przecież to Alicja. Ugrzej wody na herbatę lepiej i jakieś jedzenie przygotuj – zaordynowała Hanka i raz jeszcze spojrzała z uśmiechem na przyjaciółkę. Mina jej jednak zrzędała, bo Alicja wyglądała jak siedem nieszczęść. – Alicja, kochana moja, co się dzieje? – zapytała z trwogą w głosie i podeszła do przyjaciółki.

Alicja nic nie mówiła, drżała jej broda, a w oczach miała łzy. Przytuliła się do Hanka i zaczęła łkać.

– Haniu, mogę tu zostać u ciebie kilka dni? – zapytała cicho.

– Pewnie, że możesz – zapewniła gorliwie, po czym zapytała: – A ten twój niemiecki absztyfikant wie, gdzie jesteś?

Alicja zaprzeczyła i usiadła na drewnianym taborecie.

– Martin nie żyje. A ja muszę się ukrywać. Wracam z Chełmic, chciałam rodzinę ostrzec. Wyjechali do dalekich krewnych pod Kielce. Może tam ich nie znajdą. Pobędę tu trochę, a potem wracam do Warszawy i tam gdzieś się zadekuję. Julian ma wszystko zorganizować... – powiedziała z westchnieniem.

– Na miłość boską, co się stało? – zapytała przerażona Hanka, bo nagle życie jej przyjaciółki zmieniło się bardziej, niż była w stanie to sobie wyobrazić.

Alicja spojrzała znacząco na Irenę. I tak zbyt wiele przy niej powiedziała, miała jednak nadzieję, że krzątająca się „Wariatka” nie słuchała jej zbyt uważnie.

– Irenka, pójdę z Alicją do pokoju i przygotuję jej łóżko, a ty tymczasem porób tu wszystko – powiedziała Hanka i zwróciła się do Alicji: – Zimą to wszystkie w kuchni śpimy, bo cieplej, ale zaraz i w pokoju podhajcujemy, więc w nocy nie zmarzniesz.

– Hanka, ty lepiej to zostaw, bo ciężarna jesteś. A dlaczego ma ci dziecko wypaść? To chyba jeszcze nie czas? – zatroskała się Alicja. – Jednak dobre miałaś przecucia i ten bolszewik zmajstrował ci dzieciaka.

– Tak... I jestem bardzo szczęśliwa z tego powodu. Martwię się tylko, bo jakoś ta ciąża nie przebiega tak, jak powinna i dziecko pcha się na świat trochę za szybko. No, ale ty mów. Opowiadaj.

– Nie powinnam... Nie chcę cię narażać, tyle już przeszłaś, że ci wystarczy – mruknęła Alicja, bo z jednej strony nie powinna takich spraw omawiać z Hanką z uwagi na jej bezpieczeństwo, z drugiej tak bardzo chciała się komuś wyżalić. Julian może i zrozumiałby jej rozterki, ale nie chciała go ranić swoimi dylematami.

– No, mówże, do diabła – wysyczała Hanka.

– Zabiłam Grossa – wyłkała Alicja. – Zastrzeliłam go, a Julian zakopał go w lesie.

– Chryste Panie! – Hanka przeżegnała się i usiadła na jednym z łóżek.

– Hanka, ja wiem, że teraz będą mnie ścigać jak zwierzynę, ale mnie nie to dręczy. Tylko to, że go zabiłam – jęknęła Alicja.

– Był Szwabem... – bez przekonania próbowała ją pocieszyć Hanka.

– Wiem, że nie miałam wyboru, bo on chciał zabić Juliana, ale nie umiem się z tym pogodzić. Że zabiłam, że jego już nie ma... Tak bardzo nienawidziłam go, gdy z nim byłam. Cierpiałam, że nie jest Chełmickim, a teraz tak bardzo mi go brakuje. Jego miłości, troski i tego poczucia bezpieczeństwa, jakie mi dawał. Tyle rzeczy wydawało się prostszych, gdy był. Bo miałam poczucie, że cokolwiek zrobię, on mi wybaczy. Teraz myślę, że nawet kiedy jeszcze żył, zrobiłam mu wielką krzywdę, a na końcu pozbawiłam życia...

Alicją wciąż miotaly wyrzuty sumienia, mimo że minęło już kilka tygodni, odkąd to zrobiła. Udawała przed Julianem spokój i to, że pogodziła się ze swoim czynem, ale w głębi duszy wszystko w niej krzyczało i nawet obecność ukochanego nie działała na nią kojąco.

– Alicja, pewnego dnia stałam w lesie naprzeciwko mojego mężczyzny i widziałam, jak gestapowcy zbliżają się do niego, by go aresztować. Znalazł się w tym miejscu, bo ja go tam zwabiłam, mamiona obietnicą odzyskania córki. Musiałam wybrać i wybrałam. Dzisiaj zrobiłabym dokładnie tak samo. Mimo ogromnego cierpienia, jakie to za sobą niesło. Więc pomyśl, że czas się cofa, a ty możesz kolejny raz dokonać wyboru. Co byś zrobiła? Ratowała Juliana czy Grossa? – spokojnie powiedziała Hanka, bo wiedziała, że upłynie jeszcze wiele czasu, zanim dotrze do Alicji fakt, iż nie miała wyjścia.

– Oczywiście, że Juliana... – westchnęła Alicja.

– Więc daj już spokój i pogódź się z tym. Oplakuj Martina, tak jak ja oplakiwałam Igora, sądząc, że nie żyje, ale nie wyrzucaj sobie tego, co zrobiłaś. Czasami nie ma prostych rozwiązań. A może los chciał ci coś powiedzieć? Że już był czas, żeby wyjść z tego zaklętego kręgu. Co by się stało, gdyby Martin przeżył, a wiedziałby o Julianie? – Hanka nie dawała za wygraną.

– Nie wiem, co by zrobił. Pewnie chciałby się go pozbyć z naszego życia...

Wzruszyła ramionami, bo jadąc z nim z Peenemünde, sama się nad tym zastanawiała. Nie chciała jego śmierci, ale pytała wówczas samą siebie: „Co dalej?”. Z nimi, z Julianem, z faktem, że Martin Gross odkrył jej prawdziwe oblicze? Wiedziała, że już nie musi odpowiadać na te pytania, bo Martin nie żył i nie mógł nic zrobić.

– Mnie bardziej martwi to, że będą cię szukać. Może zostaną tutaj, aż sprawa przycichnie, a niechby nawet do końca wojny? To spokojna miejscina, jak Chełmice. Mamy krowę i kury, trochę zagonów. I jeszcze zostały dolary po Łyszkinach. Z głodu nie zdechniemy i jakoś przetrwamy – uspokajająco powiedziała Hanka.

– Nie mogę, Haniu. Muszę być w Warszawie. Przy Julianie i tych wszystkich rzeczach, które mogą sprawić, że ta cholerna wojna szybciej się skończy – westchnęła Alicja i dodała, po raz pierwszy się uśmiechając: – Ale posiedzę wam parę dni na karku i... odzyskałam Juliana.

– Ciebie to znowu dupa swędzi. – Hanka również się uśmiechnęła, bo wiedziała, że nie byłaby w stanie zatrzymać przyjaciółki.

– Takie słowa w twoich ustach? Nie wierzę, Hanka – powiedziała nieco złośliwie Alicja.

– Irena nauczyła mnie paru ciekawych zwrotów. – Puściła do niej oko.

Pierwszy raz, odkąd Alicja opuściła wyspę Uznam, zasnęła spokojnym, twar-

dym snem i spała do rana, nie budząc się ani razu. Miała przy sobie Hanę i to dawało jej siłę do dalszego życia. Bo przecież takich trzech jak one dwie nie było ani jednej.

27. Warszawa, 1942

Szef warszawskiego gestapo kolejny już raz w tym roku przekraczał progi ogromnego gabinetu gubernatora Fischera. Ostatnim razem, gdy w nim był, gubernator nie szczędził mu pochwał. I chociaż był nad wyraz zasmucony faktem, że tak zaufany człowiek, za jakiego uchodził Martin Gross, okazał się zdrajcą, Kenigowi należało się wyróżnienie, pokaźna premia i siedem dni urlopu. Gerhard Kenig spędził je w Nicei, pięknym nadmorskim kurorcie, w ogromnej willi w stylu śródziemnomorskim, otoczony dziwkami i morzem szampana. Z żalem powracał do Warszawy, gdzie wciąż panowała surowa zima. W drodze do Fischera zastanawiał się, cóż tym razem wspaniałego powie mu gubernator, ale gdy zobaczył jego minę, nieco się przstraszył.

Gubernator Fischer milczał przez chwilę, nie zaproponował Kenigowi, żeby usiadł ani lampki pierwszorzędnego koniaku, jak to miało miejsce ostatnim razem. Na jego twarzy malowała się wściekłość, gdy wpatrywał się w rozłożoną na biurku teczkę.

– Zrobiliście ze mnie idiotę! – warknął.

– Nie rozumiem... – bąknął Kenig.

– Odrąbiliście wielki sukces, pogrążyliście jedną z najbardziej szanowanych rodzin w Rzeszy, a tymczasem... – Fischer przesunął teczkę w stronę Keniga.

Ten podszedł nieśmiało bliżej biurka i zerknął na znajdujące się w teczce fotografie. Widniał na nich martwy mężczyzna i Kenig rozpoznał w nim Martina Grossa. Nie odzywał się, bo doznał szoku. Cała układanka, nad którą pracował wiele miesięcy, wydawała się taka oczywista. Wystarczyło zdobyć dowody. Oto szanowany Martin Gross sprzedawał informacje polskiemu podziemiu i sowieckiemu agentowi. Pomagała mu w tym niejaka Alicja Rosińska, powiązana poprzez Hankę Lewin z sowieckim szpiegiem i z polskim podziemiem, podlegającym pod rząd w Londynie, za pośrednictwem oficera wojska polskiego, Juliana Chełmickiego. A gdy zrobiło się gorąco, a gruchająca parka uzbierała dość pieniędzy od każdej ze stron, po prostu wyfrunęła, by cieszyć się życiem i sobą. Każdy element tej układanki pasował wręcz idealnie. Zdjęcia, zeznania i wreszcie ucieczka z Peenemünde, gdy jeden z pracowników zaczął sypać.

Tymczasem ta misterna siateczka nagle okazała się dziurawa. Martin Gross nie żył. Kenig miał swoją teorię. Został zlikwidowany, bo przestał być potrzebny, a kochanka ulotniła się z forszą, ale bał się nawet wspomnieć o podobnych domysłach Fischerowi.

– Pracownik zakładów na Uznamie sprzedawał informacje komuś z polskiego podziemia. Grossa bał się jak ognia. Zresztą w jakim celu Gross miałby korzystać z pośredników, jeśli sam posiadał wszystkie tajne informacje? Jeśli zaś sprzedawałby je Polakom, po co przekupywali kogoś innego? A teraz, uważasz, mam powiedzieć staremu Grossowi, że jego syn nie był szpiegiem i zdrajcą, ale zginął, bo moi ludzie to idioci? Kenig, jeśli w ciągu miesiąca nie złapiesz tej polskiej dziwki i jej współników, możesz pożegnać się ze swoim stołkiem – przez zaciśnięte zęby cedził Fischer.

– Tak jest, gubernatorze! – donośnie odpowiedział Kenig.

– Za dwa dni przywiozą ci do Warszawy tego pracownika z zakładów w Peenemünde, postaraj się, żeby rozpoznał tego rzezimieszka. Jestem przekonany, że ma coś wspólnego z piękną panną Ross czy jak jej tam. I jeszcze jedno, ojciec Martina Grossa rozszarpie cię na strzępy za zrobienie z jego syna zdrajcy, więc lepiej będzie, żebyś się postarał, bo utrata stołka będzie najprzyjemniejszą rzeczą, jaka cię spotka.

Kenig opuścił siedzibę gubernatora i cały się trząsał ze zdenerwowania. Nie mógł pojąć, jak to się stało, że jego ludzie nie odkryli żadnych powiązań szpiega z wyspy i tej dzidzi od Grossa. Tymczasem panna Ross zniknęła, szpiega nie złapano, a Gross był zamrożonym trupem.

Dotarł do swojego biura, nalał koniaku do pękatego kieliszka i wypił duszkiem. Potem zapalił papierosa, zaciągnął się mocno i doszedł do wniosku, że tą sprawą musi zająć się sam, bo Schwartz kolejny raz udowodnił, że nadaje się jedynie na front wschodni, by tłuc Sowietów.

Wykonał kilka telefonów i w parę godzin później wręczył Jürgenowi Schwartzowi rozkaz przeniesienia do Kijowa.

– Dlaczego? – zapytał z rozpaczą w głosie Schwartz, mimo że nie zwykł dyskutować ani komentować rozkazów. W tym momencie jednak kompletnie się załamał. Wystarczająco dużo się nasłuchiwał o tym, co się tam dzieje. Tym bardziej że trwała zima, która dziesiątkowała nieprzyzwyczajonych do rosyjskich mrozów Niemców.

– Rozkaz to rozkaz, Schwartz – bąknął Kenig.

– Ale niedawno dostałem awans i urlop w nagrodę, a teraz takie coś... – jęknął Jürgen.

– To po prostu druga część nagrody. – Kenig uśmiechnął się nieszczerze.

– Nagroda? Każdy wie, że wschód to najgorsza kara.

– Powiedz to tym w Berlinie – mruknął szef gestapo i odprawił swojego podwładnego.

Nie miał zamiaru kolejny raz mówić mu, jakim jest idiotą i że dali się wykołować jak dzieci. Zsyłka na Ukrainę była wystarczającą informacją, że popadł w niełaszkę.

Gdy Schwartz opuścił pokój Keniga, ten kolejny raz sięgnął po słuchawkę. Nie mógł czekać na następcę Schwartz, musiał działać. Jakiemuś kompletnie podrzędnemu funkcjonariuszowi kazał przyprowadzić na Szucha niejakiego Emila Lewina. Ten polski konfident mógł się okazać jego prawdziwym kluczem do sukcesu.

Kenig musiał przemyśleć wiele spraw i działać metodycznie. Zapewne kochanka Grossa dysponowała pieniędzmi, które pozwoliłyby jej wyjechać nawet bardzo daleko. Ale być może miała tutaj kogoś, na kim jej zależało. Powinien też otrzymać dodatkowe informacje od pracownika zakładów zbrojeniowych, a przede wszystkim zagłębić się w raporty z Peenemünde i prześledzić każdy krok Martina Grossa. Jeśli chodzi o rodzaj informacji, jakie wypłynęły z zakładu, zostawił to na głowie Abwehry, ale schwytywanie zabójców Grossa było jego zadaniem.

Otworzył akta sprawy. Martin wraz z kochanką opuścili wyspę około piątej nad ranem. Żołnierzom patrolującym most powiedział, że wraca do Warszawy i w istocie jego zwłoki znaleziono w pobliżu drogi prowadzącej do granicy z Generalną Gubernią. Jednak tragedia rozegrała się zbyt blisko Uznamu, żeby stwierdzić,

dokąd mogli udać się mordercy i gdzie, do cholery, podział się samochód Grossa.

Kilka godzin później w progu gabinetu zjawił się Emil Lewin i miętosząc w dłoniach beret, niepewnym krokiem podszedł do biurka Keniga. Tym razem jednak szef gestapo nie był tak uprzejmy, jak ostatnim razem.

– Czy wiesz, Lewin, co grozi za przemyt i nielegalny handel w Warszawie? – zapytał bez przywitania.

– Ale... – Emil próbował coś powiedzieć, lecz Kenig przerwał mu.

– Kara śmierci. Czy naprawdę myślisz, Lewin, że my nie wiemy, czym ty się zajmujesz? Że jesteśmy idiotami, którym można pod nosem przewozić wagony jedzenia? Ale mówię, zostawcie tego człowieka, to nasz współpracownik, niech się chłop dorobi na szmuglu, bo zdaje się na niczym innym nie potrafi. Bo myślę sobie, ja przymknę oko, uczynię Lewina zamożnym, a on mi pomoże złapać kilku polskich bandytów. Tymczasem Lewin się bogaci, a terroryści jak się panoszyli, tak robią to nadal. Ostatnio w biały dzień, w środku miasta, w sercu Europy, zastrzelili zastępcę szefa referatu, który przyjechał z Krakowa. Podjechali furgonetką, wyskoczyli z karabinami i zanim ktokolwiek zdążył zareagować, po prostu zrobili sito z samochodu oficera niemieckiego. I wcale się nie przejęli, że rozstrzelaliśmy w lesie stu cywilów. Ich współbraci, warszawiaków. A ty, Lewin, nic nam nie mówisz, wieści żadnych nie przynosisz, więc mam rozumieć, że już nie jesteś nam potrzebny i możemy przestać przymykać oko na twój proceder? – wygłosił tyradę Kenig.

Lewin struchlał. Wydawało mu się, że jest po prostu przebiegły i sprytny, gdy tymczasem Szwabry doskonale wiedziały, czym się zajmuje. Co teraz, u licha, miał zrobić?

– Ja po prostu nie miałem zbyt wiele czasu, a i kontakty mam raczej nie tego... – zaczął się jękać.

– Ale Alicję Ross vel Rosińską znasz dobrze. – Kenig wciąż nie zmieniał tonu.

– Trochę... – bąknął Lewin.

– Wiesz, Lewin, my też chcielibyśmy się z nią zapoznać. I z jej kompaniami.

– Nie widziałem jej już od dawna... – cicho odparł Emil.

– Może ci i wierzę, ale chcę, żebyś teraz wrócił do domu, wziął kartkę i napisał o niej wszyściutko, co wiesz. Odkąd wyrosła z warkoczy. Jej rodzina, znajomi, przyjaciele, kochankowie. Wszystko. Każdy najdrobniejszy szczegół, jaki przyjdzie ci do głowy – stanowczo powiedział Kenig i odprawił Lewina.

Emil wyszedł z budynku na Szucha i poczuł, że znalazł się w potrzasku. Różne rzeczy wiedział o Alicji, zwłaszcza z czasów, gdy wychowywali się w Chełmicach, ale jakie one miały teraz znaczenie? Ostatni raz ją widział, gdy przyszła go ostrzec. Potem był u niej Szymek, ale nie przyzna się do tego nigdy w życiu. Co miał zrobić? Nie dość, że podziemie wydało na niego wyrok, to teraz Kenig go straszył rozwałką. W tej sytuacji nie mógłby już chronić Alicji. Chciał żyć. Problem tylko polegał na tym, że nie miał pojęcia, gdzie przebywa. Nie wiedział nawet, gdzie zadekowała się jego siostra, jedyna osoba, której Alicja ufała bezgranicznie. Musiał ją znaleźć i po dać tym szwabskim gnojom na tacy. Wtedy dopiero mógłby się poczuć bezpiecznie.

Im bardziej zbliżał się do swojego obskurnego mieszkania na Woli, tym bardziej był przybity. Miał trzy dni na napisanie życiorysu Alicji i pewnie kilka kolejnych, by ją odnaleźć i wydać Niemcom. Może w Chełmicach powiedzieliby mu coś? Gdy już był przy bramie, znalazł jeszcze jedno powiązanie. Swojego brata, Juliana

Chełmickiego. Gdyby go odszukał i wydał Niemcom, może zostawiliby go w spokoju, a sprawę Alicji rozwiązałyby jego ukochany braciszek. Ale o nim także nic nie wiedział, oprócz tego, że powrócił do kraju, odwiedził starego i spotykał się z Alicją. Nie miał pojęcia, czy tylko ten jeden raz, gdy zostali uwiecznieni na zdjęciu, czy więcej, ale musieli mieć ze sobą jakiś kontakt. Ktoś musiał mu pomóc. Może Franek albo Adrianna? Tak postanowił. Opíše życiorys Alicji, a potem zajmie się poszukiwaniem Chełmickiego.

Adrianna wciąż była osowiała. Nie powitała go w progu, nie opowiadała, jak minął jej dzień, tylko bez słowa postawiła na stole talerz zupy i koszyk z chlebem, po czym usiadła w fotelu i powróciła do swojej szydełkowej robótki. Tak było, odkąd Emil wyjawiał jej, że nie żywi ojcowskich uczuć do Karolka, gdy tymczasem Szymka, przybłędę, traktował z sympatią i życzliwością. Przez ten cały czas Lewin nie zważał na humor Adrianny ani nie interesowało go, co czuła i jak bardzo jej było źle. Po prostu nie obchodziło go to, ale teraz potrzebował sprzymierzeńca albo kogoś, kto go nie potępi i pocieszy w trudnej chwili. Wiedział jednak, że dopóki nie przeprosi jej i nie wyciągnie ręki do Karolka, może zapomnieć o jakimkolwiek wsparciu. Nawet duchowym.

– Karolek śpi? – zagadnął Adriannę.

Popatrzyła na niego, zdziwiona.

– Zawsze o tej porze śpi – burknęła.

– Trzeba mu jakieś nowe ubrania kupić, bo rośnie jak na drożdżach – powiedział z życzliwością w głosie.

Kolejne zdziwione spojrzenie.

– Malewscy oddają mi rzeczy po swoich bliźniakach. Za chleb, a jak coś porządniejszego, to za kawałek słoniny. – Jej głos nieco złagodniał.

– A co to nas nie stać, żeby dzieciak w nowych ubraniach chodził? – zapytał z uśmiechem.

– Oszczędzam każdą złotówkę, a Karolek tak szybko rośnie, że nawet nie zdążę się obejrzeć, jak mu rajstopki się robią za małe – powiedziała Adrianna, uradowana, że Emil w ogóle wymienił imię syna.

– Ale na mszę to mu trzeba jakieś nowe odzienie sprawić. Nie będzie chodził, jakby był z ochronki – mruknął ugodowo i dodał: – Weźmiemy go na Kercelak, to mu wdzianko prosto z Paryża kupimy. Jak tylko wstanie, to go ubierz ciepło i się przejdziemy – zarządził.

Adrianna podniosła się z fotela i podeszła do Emila. Przytuliła się i zaczęła płakać. Tak bardzo chciała dać Emilowi jeszcze jedną szansę.

– Emil, jak mi Bóg miły, Karol to twoje dziecko. Wiem, co mówię. Jakbym ja z kim innym w ciąży była, to bym sobie płód spędziła, nawet wieszakiem.

Pogłaskał ją po włosach.

– Już dobrze, już dobrze. Jakoś się ułoży. Chyba że zdechnę... – mruknął.

– Co ty wygadujesz, Emil? – zatrwożyła się Adrianna.

– Ech... – Machnął ręką. – Diabli nadali i tego bolszewika od Hanki, i tę całą Alicję. Gestapo ich szuka i myśli, że ja coś wiem. A ja ciemny jak tabaka w rogu. Jak im nic nie dam, to biznes mi zlikwidują, a mnie pod ścianą postawią.

– Boże... – jęknęła. – A ta twoja siostrunia to przypadkiem nic nie wie o tej zdzirze?

– Nie wiem, gdzie jest Hanka. – Emil wzruszył ramionami.

– A gestapo też nie wie? – zapytała naiwnie.

– Jakby wiedzieli, to by sami ją w obroty wzięli. Mnie by do szczęścia nie potrzebowali – mruknął.

– Poczekaj, poczekaj... Mnie się coś tak majaczy w głowie, że ja gdzieś tę twoją Alicję widziałam. Dawno, jakoś tak z rok temu będzie. Wychodziła z jakiejś kamienicy. Ale głowy nie dam, czy tam jakiś sklep jest, czy zakład, czy tylko mieszkania – powiedziała z zadumą Adrianna.

Lewin aż wyprostował się na krześle.

– Na Boga, kobieto, przypomnij sobie. Przecież od tego zależy moje życie – jęknął.

Ta zamyśliła się przez chwilę, szukając w pamięci, gdzie była owa kamienica, z której wychodziła Alicja. Zakochana po uszy w Chełmickim pannica, która romantyczne uczucie zamieniła na praktyczne pieprzenie ze szwabskim oficerem.

– Wiem, gdzie to było... Na Krakowskim. Jedna z niewielu kamienic ocalałych po wrześniu. Po obu bokach ruiny, a ona całkiem nieźle się trzymała. Pamiętam, że padał deszcz i rozłożyła piękny parasol. Zwróciłam na niego uwagę, bo odkąd matka połamala na mnie swój, jakoś zwracam uwagę... Ale ten szkop to nie na Krakowskim mieszkał? – zatroskała się Adrianna.

– Nie, na pewno. Wiem, bo tam byłem, jak przyszedłem u tego Szwaba łaskę dla Hanki przebłagać. Po drodze na rynek pokażesz mi ten dom.

W Lewina wstąpiła nowa nadzieja. Już on znajdzie sposób, żeby zdobyć informacje, co i u kogo tam robiła Alicja. Kolejny raz postanowił wysłużyć się Szymkiem. Dzieci zapewne dobrze znały mieszkańców i były jeszcze na tyle niewinne, by mówić prawdę za garść cukierków.

Następnego ranka Szymon Wielopolski, zaopatrzony w fotografię Alicji, pieniądze i słodycze, udał się na rekonesans. Zdjęcie nie było idealne, zrobione po jakimś występie. Stały obie, Alicja z Hanką, i uśmiechały się promiennie do obiektywu. Po dwóch godzinach Emil zaczął się martwić, a po trzech postanowił poszukać Szymka. Gdy już nakładał palto, ten wrócił.

– Zmarzłem jak pies – powiedział ze złością.

– Wiesz coś? – nie wytrzymał Emil.

– A co mam nie wiedzieć? Tylko w taką pogodę to dzieciaki nie bardzo na podwórko lubią wychodzić. Poczeakać trochę musiałem. I w końcu trafił mi się jeden, co po węgiel do szopy lazał. Jak zobaczył landryny, to mu się patrzyły zaświeciły, jak kiziorowi na flaszkę. – Szymek pociągnął nosem.

– No, mówże! – zdenerwował się Lewin.

– Obie tam mieszkały. Jedna krótko, druga długo. Ta, co długo, to małe dziecko miała i była tam jeszcze taka jedna, podobno stuknięta. Pod szóstką mieszkały, u jakiegoś profesora – z dumą relacjonował Szymek, po czym wyjął pomięte zdjęcie i popukał w nie palcem.

– O ta, w tym zwierzaku na szyi, to ponoć ta z dzieckiem. A ta obok, podobnie ruda jak wiewiórka, to tylko chwilę tam była. Mówił, że zapamiętał, bo aliganka taka była, jak kapeluszcza spod Bristolu, i że duże cycki miała. A tej stukniętej to tutaj na zdjęciu nie ma – perorował dalej Szymek, wycierając nos rękawem.

– Chusteczki nie masz? – zapytał ze śmiechem Lewin, uradowany informacja-

mi od Szymka, po czym podszedł do kredensu i wyciągnął z niego metalowe pudełko z fikuśnymi ciasteczkami.

– To dla ciebie. Prosto z Reichu. Zasłużyłeś – powiedział Emil i zmierzwił włosy na głowie Szymka.

Szymek wyciągnął z pudełka jedno ciastko, po czym zamknął wieczko i pomyślał, że podaruje je Noemi. Zaniósł je do kuchni i wsunął pod połowe łóżko, na którym sypiał.

– Jutro na getto idę. Towar mi będzie potrzebny – powiedział do Lewina.

– Nadal chcesz tam łązić? To nie jest bezpieczne miejsce – zatroskał się Emil.

– Nie capną mnie... Tam tylko łapią takich, co cykora mają, a ja, panie Emilu, nie mam – powiedział Szymek, trochę bez przekonania.

Nie chciał się przyznać, że chce tam chodzić, bo poznał pewną miłą koleżankę, którą bardzo polubił.

To było jak sen wariata. A udawanie kuzyna Iwana – niczym teatrzyk dla przedszkolaków. Od chwili, gdy Igor Łyszkin otwierał oczy, do momentu, gdy je zamykał, ćwiczył swoją nową rolę. Najpierw schodził do piwnic ośrodka, by przyglądać się Ottonowi Kriegemu. Kazał wstawić tam duże lustro i pryczę, żeby móc obserwować swoje postępy. Po trzech godzinach wkładał sportowe ubranie i biegł do lasu. Brał na ramiona drewniane kłody i brnąc w śniegu przemierzał kolejne metry. Następnie czekało go strzelanie. Ze wszystkich dostępnych rodzajów broni. Uważał, że to przesada, ale takie otrzymał rozkazy. Celował do wszystkiego, a niekiedy na oślep i trochę bezładnie, jak czynili to bohaterowie westernów. Wracał do ośrodka na obiad, który spożywał w celi obok Kriegera, a potem ćwiczył mówienie, a nawet pisanie listów. Pod wieczór przynoszono mu kolejne dane z życiorysu Ottona, które wkuwał jak uczeń przygotowujący się do egzaminu.

Po tygodniu zaprezentował się generałowi Sudopłatowowi. Był z siebie dumny, bo wydawało mu się, że przez tydzień wzniósł się na wyżyny swojego talentu.

– Jesteś za wąski w ramionach. Codziennie dwie godziny siłowni – zaordynował.

– Tak jest – powiedział Igor, czekając na jakąś pochwałę.

Ale Sudopłatow nie należał do tych dowódców, którzy lubili chwalić swoich podopiecznych. Zwłaszcza po tygodniu ćwiczeń. To był za krótki czas, nawet dla kogoś tak zdolnego, jak Łyszkin.

– Popracuj nad końcówkami, są za miękkie. On mówi inaczej. Jak wstajesz z krzesła, robisz to zbyt energicznie. I nie dotykaj zbyt często czoła, twoja grzywka już zniknęła – fukał.

Tych uwag były dziesiątki. Igor przyjął je z pokorą, ale poczuł się nieco rozczarowany, ponieważ po tych zarzutach zdawało mu się, że już niczego nie robi dobrze. Nie chodziło o splendor, ale jeśli postanowił, że wcieli się w rolę Ottona Kriegera, chciał to zrobić perfekcyjnie.

Kiedy nadchodził wieczór, już nie myślał o niczym, zbyt bardzo był zmęczony, zarówno psychicznie, jak i fizycznie. Odpływał w sen niemal natychmiast. Jednak nie dane mu było wyspać się porządnie, bo w środku nocy do pokoju wchodził Sudopłatow i krzyczał mu nad uchem:

– Jak się nazywał twój najlepszy kolega ze szkoły w Berlinie?

Igor przetarł oczy i wybełkotał:

– Johann...

– Twoja pierwsza miłość, z majątku grafy?

– Ernesta...

– Nazwisko?

– Ernesta Beger... Miała trzynaście lat i była ruda. Jej ojciec był kowalem, a matka kucharką. Gotowała najlepsze szpecle w okolicy. Miała przepis od jakiejś ciotki spod Monachium. – Łyszkin przebudził się na dobre.

Sudopłatow odwrócił się do towarzyszącego mu asystenta.

– Wyłączyć nagrywanie.

I tak niemal każdej nocy o porach bardzo różnych wyrywano go ze snu, by pytać o najróżniejsze szczegóły z życia Ottona. Łącznie z takimi, jak przystrojona była choinka w ich domu. Tymi samymi pytaniami zarzucano go zniecka, gdy właśnie wyciskał sztangę na siłowni albo czołgał się pod zasiekami z kolczastego drutu. Jeśli tylko była taka techniczna możliwość, nagrywano go.

Pod wieczór Sudopłatow puszczał mu kolejne kawałki i rugał jak krnąbrnego uczniaka:

– Nie kontrolujesz sytuacji. Słyszysz to? Zapytałem o popijawę z Johannem i wizytę w burdelu. Zmieniłeś akcent. A tutaj... – Puścił kolejny kawałek. – Wybrnąłeś dobrze, ale niepotrzebnie. Wieszaliście na choince suszone jabłka, nie musisz pamiętać pierników i ciastek. Nie wychodź przed szereg. Mów tylko to, co masz zapisać. prostytutka o imieniu Marlen miała wielki tyłek, koniec i kropka. Nie musisz dodawać nic o koronkowym gorsecie. Jasne?

– Jasne – bąknął Igor, ale miał kompletnie odmienne zdanie niż jego przełożony. Uważał, że fakt, iż umie improwizować, nawet wyrwany ze snu, jest atutem. Ale być może jego nauczyciel wiedział, co robi.

Nieliczne tylko chwile poświęcał na inne sprawy niż wcielanie się w rolę Ottona Kriegera. Musiał stwierdzić, że im bardziej był rugany przez swojego zwierzchnika, tym bardziej starał się być doskonalszy. Wciągnęła go ta gra i chciał ją wygrać. Wiedział, że jego głównym zadaniem będzie likwidowanie najważniejszych osobistości III Rzeszy, które skierowano na teren Związku Radzieckiego. To była jego misja i wkład w wielką wojnę ojczyźnianą. Wydawało mu się, że to, co robił dotychczas, było tylko przygrzywką, teraz czekało go odegranie symfonii. I chociaż niekiedy powracały do niego obrazy ze Lwowa i Kijowa, chciał się przyczynić do zakończenia tej wojny. Mógł zginąć albo być zdemaskowany, ale śmierć była wszechobecna. Poczł to w Polsce, gdy sadystyczny Jürgen Schwartz wypróbowywał na nim swoje wyszukane tortury. Miał nadzieję, że kiedyś się spotkają. Twarzą w twarz, a Schwartz nie będzie miał za sobą murów i strażników. Czekał na ten dzień nie tylko z uwagi na krzywdy, jakich doznał ze strony tego sadysty, ale z uwagi na Hankę, jego kobietę. Jeszcze bardziej bezbronną niż on. Niewinną osobę, której jedynym przewinieniem było uczucie do bolszewika. Miał świadomość, że to, czego doznała jego miłość na brutalnych przesłuchaniach, będzie w niej tkwiło do końca życia. Rana, po której pozostanie blizna, póki nie wyda ostatniego tchnienia. I za to Jürgen Schwartz zapłaci mu kiedyś najwyższą cenę. Za rok, dwa czy za dziesięć, ale dopadnie tego gnoja i zabije. Ale zanim zdechnie ten oprawca, spotka go wszystko, co on uczynił jemu i Hance. Już widział oczami wyobraźni, jak błaga o litość, słyszał, jak tłumaczy się, że wykonywał jedynie rozkazy. Ale dla Igora miało znaczenie tylko to, co wycierpiała z jego łap Hania. Jego ukochana, jego kobieta.

Wybaczył jej to, że go wydała. Wiedział, że zrobiła to dla Nadii. On miałby jakąś szansę, dziecko nie. Nie zdążył jej powiedzieć wówczas, że ją okłamują i ta świnia Schwartz po prostu wykorzystał jej miłość do dziecka. Wierzył, że gdyby wiedziała, nigdy nie poszłaby na taki układ za cenę świętego spokoju. Miał nadzieję, że Hanka sobie poradziła i udało jej się wyciągnąć schowane przez niego pieniądze. Wierzył, że jest teraz w bezpiecznym miejscu, z dala od miasta, od gestapo i tego potwora w ludzkiej skórze, Jürgena Schwartz.

Tak postanowił. Jeśli tylko jego misja na Ukrainie dobiegnie końca, powróci do Polski i zniszczy Schwartza, a swojej ukochanej pomoże uciec za granicę. W miejsce, gdzie nie ma wojny. A on? Kochał ją tak bardzo, że pragnął jedynie jej dobra, nawet kosztem własnego.

Miłość jest prosta. Jeśli kogoś kochasz, pragniesz jego szczęścia, mimo własnego bólu i tęsknoty.

29. Magnuszew, 1942

– No i jak wyglądam? – zapytała Alicja, dokonując prezentacji przed Hanką i Ireną.

Musiała zmienić kolor włosów, bo jej ruda czupryna zbyt rzucała się w oczy. Zastosowała czarną hennę, która kompletnie odmieniła jej dotychczasowy wygląd. Podcięła włosy z przodu, by utworzyły grzywkę i jedyne, co ją martwiło, to fakt, że można ją było wziąć za Żydówkę.

Hanka bacznie przyglądała się Alicji, nie chcąc sprawić jej przykrości zbyt dosadnym określeniem, ale Irena nie miała takich oporów.

– Jak czarownica – skwitowała.

– Irena... – jęknęła Hanka, ale „Wariatka” nawet nie zwróciła na nią uwagi.

– Ma rację – westchnęła Alicja. – Wypisz, wymaluj, można mną dzieci straszyc.

– Najważniejsze, że nie jesteś podobna do siebie, tylko do zupełnie kogoś innego – pocieszyła ją przyjaciółka.

– Do czarownicy. Przecież mówię – upierała się Irena.

– To dobrze – mruknęła Alicja. – Zrezygnuję z makijażu i pies z kulawą nogą mnie nie rozpozna. Boję się tylko, że jak mnie Julian zobaczy, to zaraz poleci do tej swojej lekareczki.

– Alicja... Grozi ci czapa, a ty martwisz się Chełmickim? Opamiętaj się – ze zgrozą powiedziała Hanka.

– Chcę mieć z nim dziecko, a z takim kocmołuchem to nie będzie chciał do wyrka iść – westchnęła.

– Na miłość boską, co ty pleciesz. Już naprawdę, Alicja, mogłabyś zejść na ziemię, jak i ja zesłam. Nie pora ci teraz dziecko mieć – zrugła ją Hanka.

Jakby nagle zamieniły się rolami i to Alicja okazywała się mniej praktyczna i bardziej sentymentalna.

– Jakaś ty mądra. A kto mówił, jakie szczęście cię spotkało, chociaż gestapo cię szukało i tego twojego komunisty? Ale jak ci pozazdrościłam i też chciałabym mieć swoje maleństwo, to zaraz olaboga – warknęła Alicja.

– Ja nie zrobiłam tego, co ty. I powiadam ci, siedź na tyłku i nie błąkaj się po Warszawie, bo nieszczęście na siebie ściągniesz. Oni wiedzą, że Igor uciekł i pewnie nie pojawi się w Polsce do końca wojny, zwłaszcza że Ruskie teraz mają swoją. I to, że niczego nie wiem. Choćby mnie kołem łamali, to co im powiem? Wystarczająco długo mnie lali, a potem trzymali w zamknięciu, żeby się przekonać, że jakbym co wiedziała, to wyśpiewałabym wszystko lepiej niż pieśni w paryskiej Olimpii – próbowała przekonywać Hanka.

Alicja zakryła twarz rękoma. Wiedziała, że przyjaciółka miała rację, ale ona nie mogłaby tak żyć, wiedząc, że Julian jest w Warszawie narażony na niebezpieczeństwo, a ona spokojnie siedzi na wsi. Jeśli złapali tego pracownika zakładów i ten sypał, było kwestią czasu, by go rozpracowali. Nie byli głupcami. Niestety.

Dołożyła polan do pieca, usiadła na łóżku obok Hanki, a potem położyła się,

kładąc głowę na kolanach przyjaciółki. Czuła się przy niej bezpiecznie i dobrze, ale w Warszawie czekał na nią Julian i wiele spraw do załatwienia. Przysięgała walczyć, nawet kosztem utraty życia, i chciała to zrobić, by ta cholerna wojna się skończyła, a ona była wolna. Jej życie się zmieniło, odkąd nie było Martina. Zdawało jej się, że dotychczas to była zabawa, igranie z ogniem, by czuć adrenalinę i udowodnić coś Chełmickiemu. A teraz nagle jakby dorosła i jakiś wewnętrzny głos jej szeptał: „Ali-cja, żarty się skończyły”.

Postanowiła, że spędzi u Hanki jeszcze tydzień, uspokoi skołatane nerwy i będzie cieszyła się drobiazgami. Wciąż rodziły się w niej pytania, czy właśnie takiego życia chciała. Pozbawiona wygód i poczucia bezpieczeństwa. Zaszczuta, wciąż uciekając i ukrywając się, gdzie jedyną rekompensatą była obecność Juliana. Obawiała się, czy w tej szalonej pogoni za chwilą spokoju, w tym wszechobecnym strachu niemal w każdej sekundzie życia, nie umrze między nimi to piękne, chociaż zbyt wyidealizowane uczucie. Jeśli każdego dnia będą walczyć o przetrwanie, czy nie zgubią po drodze tego, co najpiękniejsze. Życie we dwoje w normalnym świecie zdawało się karkołomnym wyzwaniem, a co dopiero w sytuacjach tak ekstremalnych, gdzie kradnie się życiu jedynie chwile radości. Krótkie, ale podszyte lękiem. Piękne, ale obdarte z romantyzmu. Łatwiej było tęsknić i pragnąć Juliana, mając ciepłe łóżko, trzy posiłki dziennie i za plecami takiego człowieka jak Martin. Ale nie chciała żyć podszyta wiecznym strachem. Bo to nie było żadne życie. I nie chciała rezygnować z Juliana Chełmickiego.

Miłość jest prosta, jeśli kochasz, ryzykujesz i stawiasz wszystko na jedną kartę.

Następca Jürgena Schwartza, Erich Vader, zrobił dobre wrażenie na Gerhardzie Kenigu. Był ambitny, zdeterminowany i przede wszystkim inteligentny. Został oddelegowany z Krakowa, gdzie tamtejsze gestapo mogło się pochwalić skutecznością i wynikami daleko lepszymi niż oddział w Warszawie. Jednak po zapoznaniu się z aktami spraw Vader uznał, że Martin Gross był jedynie ofiarą swojej kochanki. Kenig nie dyskutował z nim, a nawet przyznał mu rację, ale w duchu wciąż pragnął udowodnić swoją teorię. Miał nadzieję, że gdy tylko dopadną pannę Ross, zdobędzie stosowne dowody i Martin nie okaże się wcale taki lojalny wobec III Rzeszy, jak to się wszystkim wydawało. A może pokutowała w nim myśl, że kobiety z natury są mniej inteligentne i pewnych rzeczy nie zrobiłyby bez pomocy mężczyzn? Nie mógł sobie wyobrazić eleganckiej panny Alicji skradającej się nocą do biurka Grossa i wyciągającej z niego akurat te akta, które stanowiły dla drugiej strony jakąś wartość. Nie sądził także, że tak oddany swojemu zajęciu Martin rozrzucał beztrąsko swoje dokumenty. Gdy przeszukali jego mieszkanie, każdy służbowy kwitek spoczywał w jego sejfie, ewentualnie w zamkniętej na klucz solidnej szufladzie biurka. Wśród rzeczy Alicji Ross przeważała luksusowa garderoba, frywolna bielizna i niezliczona ilość kosmetyków umieszczonych na toalecie w sypialni. Ot, zwykła dziwka, tyle że bardzo luksusowa. Widywał ją niekiedy w Café Clubie w towarzystwie Martina i nie sprawiała wrażenia osoby, która mogłaby bez jego wiedzy prowadzić pod nosem podobny proceder. Zdawało mu się, że ten Polaczek, Lewin, miał rację. Zwykła latawica, jakich pełno było w Warszawie. A jednak zniknęła z wyspy, a szpicel kupujący dane od Stolzmana zapadł się pod ziemię.

Usłyszał pukanie do drzwi i chwilę potem w jego przestronnym gabinecie zameldował się Vader.

– Powiedział coś sensownego ten Stolzman? Wzięłeś go w obroty? – zapytał Kenig.

– Nie musiałem, Stolzman współpracuje bez żadnych oporów – powiedział młody funkcjonariusz.

– To co w takim razie strzeliło mu do głowy? Dobrze zarabiał... – warknął Kenig.

– Ma długi hazardowe. Lubił sobie pograć w ruletę... A ma na utrzymaniu żonę i trójkę dzieci. Liczy, że jeśli będzie współpracował, dostanie łagodny wymiar kary – westchnął Erich.

– Tak... Łagodnie zostanie rozstrzelany i nawet pozwolimy mu przedtem porozmawiać z kapelanem. Coś ciekawego odkryłeś? – Kenig przeszedł do konkretów.

Vader wyciągnął spod pachy tekturową teczkę i podał Kenigowi.

– Tak. Wiem, jak wyglądał szpieg z wyspy. To ten człowiek ze zdjęcia.

Kenig otworzył teczkę i rozpromienił się. Więc jednak niejaki Julian Chelmiczki nie był tylko starym znajomym z rodzinnej miejsciny panny Ross, ale również aktywnie działał przeciwko III Rzeszy. Ten fakt wciąż nie wyjaśniał roli Martina Grossa, ale rozpoznanie szpiega z Peenemünde stanowiło krok milowy. W końcu ten Po-

laczek, Lewin, przydał się na coś Kenigowi, bo gdyby nie on, z pewnością zignorowałyby zdjęcie Ross i Chełmickiego. Podobnych zdjęć, na których Alicja rozmawiała z rozmaitymi ludźmi, w tym płci męskiej, było sporo. W kawiarniach, sklepach czy na ulicy. Może gdyby przytulali się do siebie albo całowali, zatrzymałby się przy nim na dłużej, ale na zdjęciu w istocie wyglądali jedynie jak para znajomych. Poza tym podobna fotografia już się nie trafiła w gąszczu wielu innych. Być może wynikało to z nieudolności jego podwładnych, ale na szczęście Emil Lewin właśnie na to zdjęcie zwrócił uwagę. Niebawem znowu miał się zjawić w jego gabinecie i Kenig miał nadzieję, że tym razem dowie się nieco więcej o Julianie Chełmickim i jego roli w tym szpiegowskim trójkącie.

Tym razem Emil nie był tak wystraszony jak poprzednio. A wszystko dlatego, że pojawiła się iskierka nadziei. Miał zamiar niebawem odwiedzić nobliwego pana profesora i dowiedzieć się o miejscu pobytu Alicji Rosińskiej. A wtedy droga do Juliana Chełmickiego będzie prosta. Sytuację komplikował jednak fakt, że jego siostra również pomieszkiwała w domu Litwina, i dlatego postanowił załatwić sprawę sam, zanim gestapo weźmie w obroty tego człowieka. Na razie miał w kieszeni elaborat na temat Alicji, ale obawiał się, że informacje, które zapisał, ani o krok nie ruszą sprawy jej odnalezienia. Podał Kenigowi złożoną kartkę, którą ten jedynie omiół wzrokiem, nie wczytując się w nią zbyt skwapliwie. W tym momencie szefa gestapo interesował bardziej Julian Chełmicki. Postanowił zburzyć spokój swojego gościa. Niezbyt mu się spodobało, że Lewin czuje się tak pewnie.

– Rodzina panny Rosińskiej z Chełmic rozplynęła się we mgle, panie Lewin. Czy ma pan coś wspólnego z tym faktem? – zapytał ostro Kenig.

Emil potarł nos, co było oznaką lekkiego zdenerwowania, i powiedział drżącym głosem:

– Nie byłem w Chełmicach od lat. Nawet nie wiem, czy krawiec Rosiński nadal mieszka i ma zakład pod tym adresem, co zawsze.

– Do niedawna prowadził aktywnie swój zakład. A nad nim miał niewielkie mieszkanie. Ale moi ludzie nie zastali Rosińskich w domu. Gdy go otworzyli, stwierdzili, że państwo Rosińscy albo się wyprowadzili, albo wybrali w daleką podróż. Nie znaleziono żadnej walizki, a szafy były częściowo opróżnione. W kuchni nie było jedzenia, w zakładzie żadnego nieładu czy przygotowanych zleceń. Sąsiedzi twierdzą, że kilka dni po tym, jak panna Ross opuściła Uznam, krawiec z rodziną i stosem bagaży opuścił dom. Raczej nie wiedzą, dokąd udała się rodzina Rosińskich. Zatem zostali ostrzeżeni. I chciałbym wiedzieć przez kogo?

– Nie przeze mnie – mruknął Lewin. – Zresztą chyba chodźcie za mną, więc dobrze wiecie, że nie opuszczałem Warszawy.

– Ależ, panie Lewin... – Kenig uśmiechnął się sztucznie. – Mamy do pana zaufanie. Dlaczego mielibyśmy pana pilnować?

Lewin nie wierzył Kenigowi ani trochę. I nawet zastanawiał się, jak umknąć gestapo, by bez przeszkód i nieproszonych towarzyszy dostać się do kamienicy na Krakowskim Przedmieściu.

– Postaram się zdobyć więcej informacji do następnego naszego spotkania. Może koleżanki Alicji z Café Clubu coś mi powiedzą? – rzucił na odczepnego, mając

świadomość, że każda z nich już zapewne miała przyjemność odbyć rozmowę z którymś z funkcjonariuszy gestapo. Po chwili dodał: – Czy to wszystko, Standartenführer Kenig? Mogę odejść?

– Posłuchaj, Lewin – wysyczał Kenig – to ja ci powiem, kiedy będziesz mógł odejść. Nie, to nie jest koniec naszego spotkania. Chcę wiedzieć wszystko o tym oficerze wojska polskiego, Julianie Chełmickim.

– Wszystko, co wiedziałem, powiedziałem poprzednim razem. Myślę jednak, że jego będę w stanie znaleźć szybciej niż pannę Rosińską – powiedział pewnie.

– Tak? A możesz nam zdradzić w jaki sposób? – zapytał słodko Kenig.

– Mam swoje znajomości na Kercelaku, ale wolę, żeby gestapo się za mną nie kręciło. Pana funkcjonariusze nie są zbyt subtelni i dyskretni. Jeśli Chełmicki domyśli się, że za mną chodziecie, może ukryć się jeszcze bardziej. A póki nie wie, że został rozpoznany jako znajomy Alicji, śpi nieco spokojniej i zapewne znajdę do niego dojdzie – wyjaśnił Lewin.

– Bystry jesteś, Lewin. Kto wie, może w innych okolicznościach zostalibyśmy nawet przyjaciółmi – z uśmiechem stwierdził Kenig.

– Schlebia mi pan... – odpowiedział także z uśmiechem Lewin.

– Zatem do dzieła. My będziemy robić swoje, a ty rób swoje. – Wyciągnął dłoń w kierunku Emila i mocno ją uściśnął, co było w tym przypadku wielką nobilitacją.

Emil Lewin opuścił gmach na Szucha i skierował swoje kroki na bazar. Porozmawiał o interesach z Frankiem i wmieszał się w tłum, który jak zwykle licznie się zgromadził na Kercelaku. Po godzinie wyszedł na ulicę, złapał riksę i udał się do kamienicy na Krakowskim Przedmieściu.

Dotarł pod drzwi z numerem podanym przez Szymka i zapukał. Po kilku chwilach w szparze drzwi zabezpieczonych łańcuchem ukazała się twarz siwego staruszka z okularami na nosie. Popatrzył z lekkim przestraszeniem na intruza i zapytał:

– Pan do kogo?

– Profesorze, nie poznaje mnie pan? – Uśmiechnął się do Litwina.

– Nie bardzo... – bąknął profesor.

– Był pan moim wykładowcą – zablefował Lewin.

Po minie profesora odgadł, że ten nie ma najmniejszego zamiaru zaprosić go do środka, bo po prostu nie rozpoznał w Emilu swojego studenta. Postanowił więc zagrać inaczej. Mocnym kopniakiem uderzył w drzwi, licząc na to, że łańcuch zabezpieczający pęknie, a on dostanie się do środka. Tak się w istocie stało i drzwi stanęły otworem. Mężczyzna stał w korytarzu, przestraszony, a Emil wszedł do mieszkania i zamknął za sobą drzwi.

– Przepraszam, profesorze, ale musimy porozmawiać – łagodnie powiedział Emil.

– A o czym? – mruknął Litwin.

– Jestem bratem Hanki Lewin, mieszkała tutaj, u pana, z małą dziewczynką. – Lewin wciąż był uprzejmy, by zdobyć zaufanie profesora, ale fakt, że siłą do niego wtargnął, wcale mu w tym nie pomógł.

– To ta śpiewaczka? Znałem ją jedynie z desek teatru. Pan mnie z kimś pomylił – odpowiedział profesor z udawanym zdziwieniem.

Lewin wyciągnął z kieszeni fotografię Hanki i Alicji, i podsunął Litwinowi

pod nos.

– Pan wie, o kogo mi chodzi... – Emil zaczął się powoli irytować.

Staruszek pokręcił przecząco głową, ale zdradzał objawy zdenerwowania.

– Panie profesorze... – Lewin zacisnął zęby, żeby nie wybuchnąć. – To moja siostra. Muszę ją odnaleźć i ostrzec, że jej przyjaciółce grozi śmiertelne niebezpieczeństwo.

– Naprawdę nie wiem, jak mógłbym pomóc. Nie znam tych pań – bąknął profesor.

Lewin nie wytrzymał. Złapał profesora za krawat i zaczął przesuwać wiązanie w stronę jego grdyki.

– Mów, człowieku, zanim się zdenerwuję. A nie chciałbyś przekonać się, jak to jest, gdy wpadam w złość... – wysyczał Emil.

– Nic nie wiem. Ale proszę, zabij mnie. Jestem już stary i pogodzony ze śmiercią, więc jeśli chcesz mieć mnie na sumieniu, zrób to. – Starzec patrzył Emilowi prosto w oczy.

Emil wiedział już, że nie puści pary z ust i był gotowy umrzeć, byle nie powiedzieć prawdy. Profesor i jego wiedza były jedyną nadzieją Lewina i nawet jeśli ten nic mu nie powie, być może odnajdzie w jego mieszkaniu jakieś rzeczy, które naprowadzą go na ślad Hanki albo Alicji. Wprowadził staruszka do pokoju i posadził w fotelu. Znaleźli się w salonie. Było to przestronne pomieszczenie z wysokimi sufitami, umeblowane elegancko, ale bez specjalnego blachtru. Kwiecista kanapa, duży okrągły stół pośrodku, ogromny kredens i kilka mniejszych komód stanowiły wyposażenie pokoju. Jedną ścianę niemal całkowicie zajmował regał z książkami. Na półkach i w kredensie nie stało zbyt wiele bibelotów. Kilka ramek, a w nich fotografie przedstawiające profesora w towarzystwie swoich studentów.

– Nie ruszaj się, sam tu sobie porządę – ostro powiedział Emil i zaczął plądrować pokój profesora.

Ten siedział spokojnie, od czasu do czasu patrząc na wiszący nad kanapą zegar albo skupiając wzrok na widoku za oknem. Tymczasem Lewin wyrzucał z szuflad i szafek rzeczy profesora, niemal jak gestapo podczas rewizji. W pewnym momencie wziął do ręki szmacianą lalkę, leżącą na jednej z półek, obok paczki świec i szczyptę do knotów.

– Bawi się pan lalkami? – zapytał złośliwie, podstawiając zabawkę pod nos profesora.

– Należy do córki mojej kuzynki. Była u mnie w odwiedzinach i zostawiła ją. Zapewne znajdziesz kilka innych dziecięcych rzeczy w moim domu. Przed wojną były u mnie częstymi gośćmi – spokojnie odpowiedział profesor, siląc się na swobodny ton.

Lewin nie wierzył mu ani trochę. Zapewne lalka należała do jego siostrzenicy. Powrócił do plądrowania pokoju. Litwin wciąż siedział nieruchomo i zachowywał się tak, jakby kompletnie nie interesowały go poczynania intruza. Mijały kolejne minuty, przerywane co pół godziny biciem zegara. Za oknem powoli robiło się szaro.

Emil podszedł do jednej z komód i zaczął przeglądać leżącą na niej korespondencję. Wziął do ręki kartę pocztową od jakiejś ciotki z Magnuszewa i miał ją już odłożyć na leżący obok stosik kopert, gdy nagle starzec zerwał się z fotela i rzucił na Lewina. Profesor jednak był starym człowiekiem i cios, jaki zaserwował mu Emil,

kompletnie go obezwładnił. Z jego nosa zaczęła sączyć się krew. Próbował się podnieść, ale przychodziło mu to z wielkim trudem. I wtedy Lewin doznał olśnienia. Profesor siedział spokojnie, dopóki Emil nie wziął do ręki pocztówki, zatem to ten fakt go tak zdenerwował i sprawił, że staruszek rzucił się na niego, chociaż wiedział, że jest bez szans.

Lewin odwrócił kartkę i raz jeszcze przeczytał. Zawierała pozdrowienia od ciotki Felicji z Magnuszewa i informację napisaną zamaszystym pismem, że „dziewczyny czują się dobrze”. Schował pocztówkę i podszedł do starca. Nie mógł zostawić po sobie śladu. Jeśli profesor ukrywał Alicję i Hankę, musiał mieć kontakty z polskim podziemiem, a wtedy Emil znalazłby się w jeszcze większym niebezpieczeństwie.

Staął obok profesora, ocierającego ciekącą z nosa krew, odwiązał mu krawat, następnie owinął nim szyję Litwina i zadzierzgnął. Twarz starca zrobiła się czerwona, zaczął charczeć, ale nie próbował się nawet bronić. Patrzył wciąż w oczy swemu zabójcy, aż do chwili, gdy uszło z niego życie. W pewnym momencie ciało profesora zwiotczało i osunęło się na parkiet obok fotela. Lewin odczekał chwilę i sprawdził, czy profesor na pewno wyzionął ducha.

– Przepraszam, profesorze, ale nie mogłem inaczej – powiedział cicho i opuścił mieszkanie na Krakowskim Przedmieściu.

Kolejny raz udusił człowieka. Najpierw hrabiego Jana Niechowskiego, potem Jakuba Mozela. Teraz na drodze stanął mu profesor matematyki. Żał mu było swojej ostatniej ofiary. Zapewne staruszek wiele ryzykował, ukrywając u siebie Hankę, a tymczasem on, jej brat, tak mu za to podziękował. Rozgrzeszył się jednak, dochodząc do wniosku, że ratował własne życie i po prostu nie miał innego wyboru. Chciał żyć. I dlatego Litwin musiał umrzeć.

Miał także nadzieję, iż znaleziona kartka będzie właściwą wskazówką, Julian Chełmicki rychło trafi na gestapo, a on będzie mógł bez przeszkód funkcjonować i bogacić się. Już czuł podniecenie na myśl, że będzie miał w ręku życie znieprawionego brata, a jego ojciec zostanie przez niego pokonany.

Szymek Wielopolski za każdym razem, gdy przeciskał się na stronę getta, miał poczucie, jakby przechodził do innego świata. Obładowany towarami pukał do drzwi mieszkań i nie widział w oczach tych ludzi strachu, ale rezygnację. Jak gdyby przestali wierzyć, że ich los może się odmienić. Jeśli miałby jednym słowem określić getto, byłoby to słowo „smutek”. Zdawało mu się, że jedyną osobą, która się uśmiecha, jest Noemi. Czasami towarzyszyła mu, gdy dobijał interesu, a niekiedy czekała w załomie budynku, aż skończy swoje obowiązki. Szli wówczas za jeden z obskurnych domów i siadali na pokruszonym murku, który był pozostałością po jakimś budynku gospodarczym. Ponieważ było zimno, Szymek przemycił nawet starą derkę, by nie ciągnęło od niemal lodowatych cegieł.

– To dla ciebie. – Szymek wyciągnął zza pazuchy pudełko Sucharda.

Zajrzała do środka i przytknęła nos do ciastek. Tak ładnie pachniały. Zresztą dla niej wszystko, co nadawało się do jedzenia, miało cudowny aromat.

– Trzy dni temu umarła moja mama – powiedziała spokojnie i zanurzyła dłoń w pudełku, by wyjąć jedno z ciastek.

– Na pewno jest ci smutno – wyszeptał Szymek.

– Trochę tak, a trochę nie – bąknęła Noemi.

Popatrzył na nią zdziwiony. Pamiętał, jak bardzo on przeżył śmierć swojej matki, tymczasem Noemi mówiła o tym fakcie z taką obojętnością, jakby opowiadała o jakimś niewiele znaczącym epizodzie z codziennego życia.

– A dlaczego trochę nie? – zapytał. – Twoja mama nie była dla ciebie dobra?

– Była bardzo dobra i bardzo ją kochałam, ale gdy leżała słaba i chora, wciąż mówiła, że byłaby szczęśliwa, gdyby umarła. Uważała, że gdy odejdzie, znajdzie się w świecie, gdzie nie ma chorób, głodu i cierpienia. Pamiętasz, jak dałeś mi czekoladę? Gdy poszłam z nią do mamy i składałam jej urodzinowe życzenia, powiedziała, że jeśli dobrze jej życzę, powinnam modlić się o rychłą śmierć dla niej. Więc jestem smutna, bo mamy już nie ma, i niesmutna, bo spełniło się to, czego pragnęła – powiedziała Noemi.

– Gdyby to było wiadomo, co nas tam czeka po śmierci, to by lepiej było. Bo ja to nie wierzę, że jest jakieś niebo albo piekło. Miarkuję tak sobie, że i jedno, i drugie na ziemi mamy. Jak kto bogaty i gdzie za granicą mieszka, to ma niebo, a tutaj, za murami, gdzie Szwaby jeść nie dają, to piekło – powiedział z westchnieniem Szymek i dodał: – Albo jak w piwnicy ze szczurami spałem, to też tak sobie kombinowałem, że u diabła w domu siedzę.

– A teraz gdzie jesteś? – Uśmiechnęła się smutno.

– Teraz to ja w drodze do raj. Z piekła się wydostałem i pnę się do góry. – Również się uśmiechnął.

– Uważaj, cobyś nie spadł z tej drabiny. – Noemi zwróciła się do niego trochę sarkastycznie, bo zazdrościła mu. Ona i jej rodzina żyli w piekle, ale nie mieli ani siły, ani sposobności, żeby jak Szymek szukać spokoju, błogości i szczęścia.

– Spokojna makóweczka. – Zarechotał. – Trzymam się pazurami i nie popuszczę, dopóki do dobrobytu nie doleżę. Ale jak chcesz, mogę zabrać cię ze sobą.

– Mam niecałe dwanaście lat. Co ja pocznę tam, za murami. Stąd ludzie nie uciekają, bo po drugiej stronie wcale nie jest lepiej. Zresztą... został mi jeszcze tata i mały braciszek. Jakże ja bym mogła tak bez nich... Ale wiesz, wyszłabym tak na trochę. Chociaż po parku pochodzić albo do jakiejś cukierni na lody pójść. Ale tak na zawsze, to nie da rady.

– To chodź. – Wyciągnął do niej rękę.

– Ale potem wrócę, tak? – zapytała, nieco zląkniona.

– Pewnie. Sam cię odprowadzę pod drzwi. Tylko musisz coś nabajać ojcu, bo pewnie tak prędko nie wrócimy – ugodowo powiedział Szymek.

– Tato to już nie ma siły, żeby mnie pilnować. Byle bym w ogóle wróciła. Bo to wiadomo, na kogo się trafi? Jak na takiego jednego pryszczatego, to można już nie wrócić. Albo kopie, aż ktoś zemrze, albo od razu w głowę strzela z pistoletu. Jak idzie po ulicy, to wszyscy uciekają lub chowają się w bramach. Ja szybko biegam, to uciekam. Ale jak jestem z bratem, to się chowamy – powiedziała Noemi.

– Za gettem też się podobne franty trafiają, ale znam takie miejsce, gdzie nas nie capną. Są drzewa, ławki i nawet staw, ale teraz to tylko lód i zielone choiny – uśmiechnął się Szymek.

– Ale jak śniegu trochę leży, to na pewno jest pięknie – westchnęła Noemi.

– To chodźmy teraz – powiedział i zeskoczył z murku.

Podał dłoń Noemi i ruszyli w stronę kamienicy, gdzie znajdowało się przejście na drugą stronę. Pomyślał przez chwilę, że pan Emil pewnie by się gniewał, że komuś zdradził tajny korytarz, ale przecież to była jego serdeczna przyjaciółka, która od dwóch niemal lat nie widziała nic oprócz ponurych uliczek getta.

Przecisnęli się przez gruzowisko, zdjęli opaski i otrzepali się z kurzu. Świat, chociaż równie niebezpieczny, co w getcie, stanął przed nimi otworem. Noemi rozglądała się ciekawie po mieście, zatrzymywała się przy cukierniach i wdychała zapach świeżo upieczonego ciasta. Uśmiechała się radośnie do tych wszystkich obrazów, które pojawiały się przed jej oczami, chociaż Warszawa nie wyglądała już tak pięknie, jak przed wojną. Ale nie było tutaj takiego ścisku, trupów leżących pod ścianami budynków i wynędzniałych żebraków, którzy nawet nie mieli siły mówić, a jedynie z wysiłkiem wyciągali dłoń po jakiś grosz. Jednak gdy mijali niemiecki patrol albo jakiegoś oficera w mundurze, jej uśmiech gasł, spuszczała głowę i drżała ze strachu, że odkryją jej sekret i wymierzą surową karę.

Dotarli w końcu do miejsca, o którym opowiadał Szymek. Zaciszny skwer, chociaż niezbyt ładny o tej porze roku, dawał złudzenie nieskrępowanej wolności. Ślizgali się po zamrożonej sadzawce, niewiele większej od kałuży, bawili się w chowanego między kilkoma świerkami, obrzucali śnieżkami z resztek nieco już brudnego śniegu i patrzyli na różową poświatę nieba zapowiadającą nadejście zimy.

– To był najpiękniejszy prezent, jaki mogłeś mi zrobić – powiedziała Noemi, ciężko dysząc po kolejnej zabawie.

Miała zaróżowione policzki i błyszczały jej oczy. Szymek pomyślał, że Noemi jest najładniejszą dziewczynką, jaką kiedykolwiek widział i nie mógł pogodzić się z myślą, że niebawem jego przyjaciółka powróci do tego strasznego miejsca, jakim było getto. Wiedział, że tam umiera się szybko z głodu i rozmaitej zarazy, ale nie mógł nic zrobić. Był jedynie małym chłopcem zdanym na łaskę swojego dobrodzieja, Emila Lewina. Gdyby nawet Noemi zgodziła się na jego niefrasobliwą propozycję rzuconą przed kilkoma godzinami, nie mógłby jej pomóc. Musiałby poprosić o pomoc pana Lewina albo pana Franka, a oni niezbyt lubili Żydów, często się z nich naśmiewając.

On się nad tym nie zastanawiał, jak ktoś był miły i serdeczny dla niego, po prostu go lubił, ale gdy naśmiewano się niegdyś z niego, że ciągle mu lecą z nosa gile, miał ochotę kopnąć taką osobę, bez względu na to, kim była. Świat Szymka był prosty i chłopak definiował ludzi jedynie po ich stosunku do jego osoby. Dlatego na pana Emila patrzył bezkrytycznie, chociaż lepiej było nie wchodzić mu w drogę, gdy ten się złościł. Pokrzykiwał wtedy na pana Franka i innych znajomych, a nawet na panią Adrianę, która zawsze była uprzejma i serdeczna.

Odprowadził z żalem Noemi i razem przecisnęli się przez mur.

– Pójdę sama do domu, już późno się robi, zaraz będzie ciemno – powiedziała ze smutkiem Noemi.

– Jak chcesz, to chociaż postoję i poczekam, aż cię już widać nie będzie.

– Dobrze. – Pokiwała głową. Po chwili wysuwała spod szalika łańcuszek z serduszkami i zdjęła go z szyi. Podała Szymkowi i powiedziała: – Weź... Tyle prezentów od ciebie dostałam, a ty ode mnie żadnego. Nic więcej nie mam, co mogłabym ci podarować.

– Na pewno? Przecie to chyba złoto. – Szymek zmieszał się nieoczekiwanym

gestem koleżanki.

– Proszę... – wyszeptała.

Chłopiec wziął do ręki łańcuszek i schował go do kieszeni, uśmiechając się czule. Nie zależało mu na prezencie, ale wiedział, że Noemi musi go bardzo lubić, jeśli oddała mu jedyną cenną rzecz, jaką posiadała.

Noemi nagle podeszła do Szymka i pocałowała go w policzek, a chwilę później, nieco zawstydzona swoim czynem, odeszła szybkim krokiem. Patrzył za nią, jak idzie w wełnianej czapce, spod której wystawały warkocze, i w lichej kurtce, pocerowanej na rękawach. Gdy odeszła kilkadziesiąt metrów i Szymek zamierzał powrócić do domu, dostrzegł, że zrobiło się zamieszanie na ulicy. Jakiś mundurowy krzyczał głośno po niemiecku i zachowywał się, jakby był kompletnie pijany. W pewnym momencie zachwiał się i podparł o ścianę budynku. Noemi miała to nieszczęście, że akurat przechodziła koło pijanego żołnierza w chwili, gdy ten tracił równowagę. Wciąż oparty plecami o ścianę, chwycił Noemi za warkocz i przyciągnął w swoją stronę. Dziewczynka krzyknęła, ale żołnierz uderzył ją w twarz, a potem popchnął na chodnik i zaczął kopać ciężkimi wojskowymi buciorami. Szymek stał otępiały i nie wiedział, co robić. Ten funkcjonariusz był na pewno uzbrojony i gdyby chłopak się na niego rzucił, by ochronić Noemi, ten zapewne wyciągnąłby pistolet i zastrzelił go. Patrzył przerażony na swoją przyjaciółkę, słyszał jej płacz i jęki, i nie mógł nic zrobić.

– Noemi, Noemi – szeptał do siebie i trząsł się cały ze strachu.

Gdy ujrzał krew na chodniku, nie wytrzymał i ruszył w kierunku pijanego funkcjonariusza, nie zastanawiając się nad konsekwencjami. Zrobił kilka kroków i wtedy żołnierz wyjął z kabury pistolet, odbezpieczył go i wciąż chwiejąc się na nogach, oddał w kierunku Noemi kilka strzałów. Po chwili schował broń i zataczając się, oddalił. Wokół dziewczynki zrobiło się zbiegowisko, ktoś uklęknął przy niej i pokręcił przecząco głową, po czym ludzie zaczęli się rozchodzić bez słowa i w pośpiechu, by nie spotkał ich podobny los. Szymek wiedział, że za chwilę pojawią się inni Niemcy, zwabieni strzałami, jak również to, że Noemi już nigdy więcej nie uśmiechnie się do niego. Nie chciał wcale płakać, to było dla niego oznaką słabości, a on nie należał do mięczaków, jak to zwykł o sobie mówić, ale tym razem to było silniejsze od niego. Łzy same cisnęły mu się do oczu, a ogromny żal ścisnął za gardło. Nie miał już przyjaciółki i nie chciał nigdy więcej powracać do tego miejsca.

Ostatni raz przecisnął się przez mur, powrócił do domu Lewina i nie tłumacząc się ze swojej decyzji, oznajmił jedynie, że więcej na getto nie pójdzie. Skulił się na swoim łóżku połowym w kuchni, przykrył kocem i przeleżał tak aż do rana, ściskając w dłoni łańcuszek od Noemi. Sądził, że ktoś zapyta o powody jego smutku, ale ani pani Adrianna, ani pan Emil nie powiedzieli słowa, jakby domyślając się, że Szymek ujrzał w getcie coś strasznego. Powód był jednak inny. Adriannę całe popołudnie bolała głowa i siedziała z kompresem na głowie, co chwilę uspokajając Karolka, żeby nie pisał, a Emil dławił w sobie wyrzuty sumienia z powodu śmierci profesora Litwina. Popijał samotnie wódkę, zakąszając ogórkami i słoniną. Każdy z domowników, oprócz małego Karolka, zmagał się ze swoim bólem i rozterkami. Szymkowi to odpowiadało. Nie chciał z nikim rozmawiać o tym, co się stało. Ani o Noemi. Ona nie zdążyła wejść na tę wyimaginowaną drabinę do nieba. Pozostała za murami na zawsze.

31. Magnuszew, 1942

– A żeby cię, Emil, świnia powąchała – burknął Franek. – Żeby mnie, starego warszawiaka, w szwabski ancug ubrać.

– Przestań zrzędzić, wypełniasz właśnie wielce patriotyczną misję – skłamał Lewin.

– A to w normalnych fernefikсах już nie można patriotycznie się udzielać? – zapytał Franek, wciąż zde gustowany faktem, że musiał chodzić w niemieckim mundurze.

Siedzieli w gaziku, obaj przebrani, i obserwowali dom Hanki Lewin. Emil bardzo się ucieszył, że chociaż z daleka zobaczył siostrę, ale jego interesowała Alicja, której nieomal nie rozpoznał. Przekonał się, że to ona dopiero w chwili, gdy wracała z piekarni. Poruszała się z gracją tancerki, którą niegdyś była. Stawiała delikatnie stopy i ponętnie kręciła biodrami, zawsze wyprostowana jak struna i z wysoko podniesioną głową. Kobiety ze wsi tak nie chodziły, a jego siostra, co przyjął z ogromnym zdziwieniem, nosiła przed sobą ogromny brzuch świadczący, że niechybnie powije potomka. Zresztą widział ją tylko dwa razy, dosłownie przez chwilę. Pokręciła się ociężale przed posesją, po czym wracała do domu, podtrzymywana przez jakąś ogromną kobietę o szerokich biodrach.

Zameldowali się w Magnuszewie jako wysłannicy z Warszawy, dostali lokum w miejscowej szkole i całymi dniami kręcili się gazikiem w pobliżu domu Lewinówny.

– Długo będziemy na tej świecy sterczeć? – znowu niezbyt przyjemnym tonem odezwał się Franek, bo nie bardzo rozumiał, po co marnują czas, gapiąc się na leniwe miasteczko i obserwując jakieś trzy baby i jednego dzieciaka.

Emil sam tego nie wiedział. Powinien być zadowolony z efektu, w końcu odnalazł najbardziej poszukiwaną przez gestapo osobę, ale nie miał pojęcia, jak to rozegrać. Najprościej byłoby wykonać telefon do Keniga i sprowadzić do tej sennej miejsciny cały pułk wojska, ale nie o takie rozwiązanie tej sprawy mu chodziło.

Obawiał się, że ucierpi na tym Hanka. Świadomie czy nie, ale ukrywała u siebie Alicję, poza tym jej także szukano. Może z nieco mniejszą determinacją niż Alicji, ale dla Keniga upieczenie dwóch pieczeni na jednym ogniu byłoby dużym sukcesem. Co wówczas stałoby się z jego siostrzenicą? Jak przeżyłaby ciężarna Hanka kolejny pobyt na Pawiaku? Nie chciał przykładać do tego ręki. Wystarczająco paskudnie się czuł, gdy za pierwszym razem za jego przyczyną tam trafiła.

Kolejny problem, jaki go nurtował, to sama Alicja Rosińska. Wciąż czuł do niej wdzięczność za uratowanie życia. Gdyby nie ona, już dawno wachałby kwiatki od spodu. Poza tym zatrzymanie jej przez gestapo wcale nie oznaczało, że dopadną Chełmickiego. A to na jego upadku zależało mu najbardziej. Nie tylko z powodu starych zadr, ale dlatego, że ten polował na niego, wysługując się nie tylko polskim podziemiem, ale także szwabskim koleżką. Nie wierzył, że stary Chełmicki nie ostrzegł syna i ten żył w błogiej nieświadomości, życząc bratu wszystkiego, co najlepsze. Tak, Emil Lewin postanowił, że Julian zapłaci mu za to najwyższą cenę. A zanim

zdechnie, wycierpi swoje za wszystkie krzywdy, jakich za sprawą Chełmickich doznał Lewin.

I po kilku dniach nagle coś się zmieniło w codziennej rutynie kobiet. Alicja opuściła domostwo, targając ze sobą okazałych rozmiarów walizkę. Ubrana w sfilcowany płaszcz, owinięta wełnianą chustką, zegnała się przed bramą z Hanką i tą trzecią kobietą, która przerastała Alicję niemal o głowę.

– Dobra, Franek. Szykuj się – stanowczo powiedział Emil.

– Do czego? – mruknął „Diamentowa Rączka”. – Na grandę w dublecie idziemy czy co?

– Przebieraj się w normalne łachy i idź za tą kobietą. Gdziekolwiek pojedzie, masz nie spuszczać jej z oczu. To polska gnida, co się z takim jednym oficerem niemieckim puszczała. Mnie trochę zna, więc ja nie mogę za nią iść, ale ciebie w życiu na oczy nie widziała. Jak się dowiesz, dokąd pojechała, dasz mi znać, a ja nadam chłopakom. Kapujesz? – ostro powiedział Emil.

– A to nie mogłeś nadać im, jak na dupie siedziała w tej chałupie? – warknął Franek.

– Głupis. Tutaj moja siostra z małym dzieckiem mieszka, a z drugim jest w ciąży. Jeszcze jej się co stanie. A ona pojęcia nie ma, co jej przyjaciółeczka od serca wyprawiała. I po co ma wiedzieć i się przed położeniem denerwować? A nasi tak tę czarną lalę załatwią, że długo się nie dowie.

Kolejny raz Emil opowiedział bajeczkę Frankowi. Nawet jeśli ten mu nie uwierzył, był gotowy wypełnić polecenie. Lewin był mu potrzebny i to dzięki niemu „Diamentowa Rączka” zaznał dostatniego życia. Lepiej mu się powodziło niż przed wojną. Jak to mówił o Lewinie niekiedy, był z niego „cwany dzięcioł”. Franek podejrzewał także, że Emil smarował szkopom, żeby mogli bez przeszkód rozwijać swój biznes, i było mu to bardzo na rękę. On nie miał takich dojsć, poza tym chyba mu prędeż ręka odpadła, niżby miał ją szwabowi podać. Przebrał się więc pośpiesznie w swoje normalne ubranie, postawił kołnierz kurtki, mocniej naciągnął na głowę берет i ruszył za czarną kobietą z walizką w kierunku przeprawy promowej.

Emil tymczasem powrócił do ich kwatery, spakował rzeczy, odmeldował się na posterunku, że kontrola zakończona, i kilka godzin później ruszył w drogę powrotną do Warszawy.

Następnego dnia miał już dokładny adres mieszkania, w którym zadekowała się Alicja Rosińska. Lewin pomyślał sobie, że jest istną samobójczynią. Powrócić do miasta, gdzie znało ją wiele osób, w miejsce, w którym gestapo wręcz szalało, by ją dopaść, było dla Emila kuriozalne. Pomyślał sobie, że mógł być tylko jeden powód, dla którego jakakolwiek kobieta mogła się tak narażać i ryzykować życie. Chłop.

Od kolejnego poranka już zupełnie sam zaczął się kręcić w pobliżu mieszkania znajdującego się na warszawskiej Pradze. I nie musiał zbyt długo czekać, żeby ujrzeć w pobliżu człowieka, który od wielu lat spędzał mu sen z oczu, Juliana Chełmickiego. A więc młodzieńcza miłość Alicji Rosińskiej wciąż trwała i to dla niego gotowa była na tak wysokie ryzyko. Postanowił, że powiadomi gestapo, gdy Alicja oddali się na jakiś czas z mieszkania, a jego brat będzie w nim sam.

– Alicjo, to zły pomysł. Bardzo zły – mruknął Julian, przytulając Alicję.

Powrócił właśnie z kolejnej akcji, z której ledwie uszedł z życiem. Zaatakowali jednego z oprawców z Szucha w chwili, gdy wysiadał przed jedną z restauracji. Wydawało im się, że plan był dograny w najmniejszych szczegółach, ale w dużym, ruchliwym mieście zawsze mogło wydarzyć się coś nieprzewidzianego. Tak też było tym razem, bo oprócz tradycyjnej obstawy nagle wyłonił się zza zakrętu niemiecki patrol. Julian nie miał pojęcia, skąd nagle się tam wzięli, ale nie było już czasu na podobne rozmyślenia. Należało działać i zmierzyć się z dodatkowymi siłami wroga. Na szczęście żaden z nich nie zginął, ale jeden z jego kompanów został ciężko ranny i leżał teraz w piwnicy szpitala, w którym pracowała Weronika.

Zobaczył ją pierwszy raz od wielu miesięcy. Wyglądała na mocno przybitą. Nie miał czasu nawet zapytać, czy wszystko u niej w porządku, bo musieli szybko się ewakuować, ale bardzo zaniepokoił go jej stan. Nawet się nie spodziewał, że chmurne oblicze Weroniki spowodowane jest po prostu tęsknotą. Odkąd się od niej wyprowadził, nie potrafiła znaleźć sobie miejsca i wciąż czekała, aż Julian zapuka do jej drzwi.

I gdy wszystko zdawało się jakimś szaleństwem i ciągłą walką, nagle Alicja oznajmiła mu, że chciałaby mieć z nim dziecko. Teraz. W tej sytuacji, w jakiej oboje się znaleźli, chyba tylko ona mogła wpaść na podobny pomysł.

– Julianie, ta wojna może trwać wiele lat. Obiecuję, że jeśli tylko zajdę w ciążę, wyjadę z Warszawy i zadekuję się u swojego wuja pod Kielcami – upierała się.

– Nie ma mowy, Alicjo – odpowiedział Julian głosem nieznoszącym sprzeciwu.

Zakończyła temat. Wiedziała, że nie przekona Juliana. Zatem postanowiła, że postara się o to, niczego mu nie mówiąc. Gdyby była Hanką, zapewne wystarczyłaby jej jedna noc, ale ona najpewniej nie była tak szybka. Będąc z Martinem, zabezpieczała się, korzystając z wszelkich zdobyczy cywilizacji w tym zakresie, a pozycja i pieniądze Grossa sprawiały, że miała do owych zdobyczy wręcz nieograniczony dostęp. Teraz jednak nie chciała z nich korzystać, pragnęła mieć potomstwo i ta myśl była dla niej niczym udręka. Może dlatego, że zbliżała się do wieku, gdzie szaleją w kobietach instynkty macierzyńskie tak silne, że nawet trudne warunki nie są w stanie ich zagłuszyć. Wiedziała także, że gdy już ów fakt nastąpi i postawi Juliana przed faktem dokonanym, ten po prostu będzie musiał się z tym pogodzić. Tak, była taka jak jej babka Alutka. Jeśli coś sobie wbiła do głowy, żadna siła ani okoliczności zewnętrzne nie były w stanie jej od tego odwieść. Postanowiła działać i dopiąć swego, czy to się podobało Julianowi, czy nie.

Ani ona, ani Chełmicki nie mieli pojęcia, że są obserwowani przez Emila Lewina. Nie spodziewali się także, że cios nadejdzie z najmniej spodziewanej strony. Z ręki człowieka, w którym płynęła krew Chełmickich i któremu oboje kiedyś uratowali życie.

Trzynastu spadochroniarzy szkolonych przez NKWD wylądowało na tyłach wroga, w okolicach Równego na Ukrainie. To tam Niemcy zbudowali całe zaplecze dla frontu, urzędy, magazyny. I w tym niewielkim miasteczku rezydował najbardziej znienawidzony oficer, komisarz Rzeszy na Ukrainę, Erich Koch. Dziesięciu z lądujących spadochroniarzy pod dowództwem weterana NKWD, Dymitryja Miedwiediewa, miało pozostać w okolicach Równego, Igor Łyszkin, nazywany „Lisem”, wraz z trzema kolegami zostali oddelegowani w okolice Kijowa. Sudopłatow wciąż nie był do końca zadowolony z efektów wcielania się przez Igora w Ottona Kriego, ale sytuacja wymagała, aby zaryzykować i puścić go na akcję. Z tak zwanego zielonego obozu, skąd trzej mężczyźni wyruszyli przebrani za oficerów SS, było do Kijowa ponad trzysta kilometrów. Rzekoma jednostka Kriego znajdowała się w Boryspolu, oddalonym od Kijowa zaledwie o trzydzieści pięć kilometrów. Łyszkin pełnił tam funkcję oficera łącznikowego, co tłumaczyłoby jego ciągłe podróże pomiędzy Kijowem, Żytomierzem i Równem. Częste rezydowanie zaś w Kijowie podyktowane było posiadaniem ukraińskiej narzeczonej, Mariny Nowotnej. W rzeczywistości osiemnastoletnia Marina była wtyczką NKWD, naprawdę nazywała się Tamara, a jej mieszkanie było dziuplą radzieckiego wywiadu.

Poruszając się niemieckim gazikiem z kompaniami i dokumentami Ottona Kriego, Igor Łyszkin bez przeszkód dostał się do Kijowa. Miał również inny ważny atut. Pieniądze. Dzięki nim stawiał wódkę niemieckim żołnierzom, opłacał dyskretnie, ale wygodne noclegi i ani razu nie miał wrażenia, że jego osoba budzi jakiegokolwiek wątpliwości. Co by nie mówił Sudopłatow, on był z siebie dumny. Był doskonałą kopią Ottona Kriego i żałował, że nie od razu chciano go wysłać na poważne akcje. A lista oprawców przeznaczonych do zamordowania była długa.

Tymczasem miał rozpoznać teren Kijowa, zaprzyjaźnić się z żołnierzami oddziału Blobela, wyczuć nastroje w tej najbardziej znienawidzonej formacji i zdawać relacje swoim przełożonym, posługując się radiostacją umieszczoną w mieszkaniu Nowotnej. Łyszkin trochę się martwił lokalizacją dziupli, ponieważ budynek znajdował się w pobliżu Rynku Besarabskiego, patrolowanego przez wojsko niemieckie z dość dużą częstotliwością. Nie obawiał się kontroli i wpadki, czuł się pewnie w esesmańskim mundurze, ale niepokoiły go samochody namierzające radiostacje. Marina jednak uspokoiła go. To miejsce było dla wybrańców, którzy uznawali wroga za sprzymierzeńca, a Hitlera za wyzwoliciela. Dlatego również nikogo w tym miejscu nie dziwił fakt, że oto piękna Ukrainka wybrała oficera SS za swojego życiowego partnera.

– Wiesz, jest taka knajpa przy Teatrze Opery. Twoi obecni przyjaciele bardzo lubią tam się zabawiać. I nie tylko, również funkcjonariusze gestapo i oficerowie Wehrmachtu od czasu do czasu tam przychodzą, ale rzadko. Pracują tam podobno najpiękniejsze ukraińskie dziwki i żadna nie przekroczyła dwudziestki. Ludmiła Łapiejewa trzęsie tym interesem i jak tylko która z dziewcząt traci świeżość albo łapie trypra, po prostu wyrzuca ją na bruk. Nad knajpą ma ogromne mieszkanie, które zamie-

niła na ekskluzywny burdel. Chciała, żeby pijani i napaleni żołnierze mieli blisko. – Zachichotała.

Marina wydawała się Igorowi przeraźliwie infantylna, ale idealna uroda rekompensowała jej dziecinne zachowanie. Nie zastanawiał się nad tym, nie on decydował o wyborze udawanej narzeczonej. Jeśli dowództwo stwierdziło, że będzie doskonałą przykrywką, to trudno. Nie czuł się jednak zbyt bezpiecznie i komfortowo w towarzystwie paplającej i chichoczącej dziewczyny, dla której wojna zdawała się jakąś ciekawą grą.

– Za kilka dni tam pójde – mruknął. – Ale najpierw przejdziemy się na spacer i pokażesz mi, jak tam dotrzeć. Nie będę błąkał się wieczorem po mieście i pytał przechodniów o drogę do tego przybytku.

– Pójdziesz na górę? – zapytała z ciekawością.

– Nie wiem. Jeśli będzie taka konieczność – burknął.

– Wiesz, dziewczyny od Ludmiły nie są tanie, ale możesz sobie poużywać za służbowe. Rosjanie też potrzebują, no, wiesz...

– Sądziłem, że tego typu rozrywki będę miał zapewnione u swojej narzeczonej.

– Ostatnie słowo wymówił z naciskiem i znacząco spojrzał na Marinę. Chciał ją onieśmielić i pragnął z całego serca, żeby się w końcu zamknęła.

– Ja... Nie było takich rozkazów. – Popatrzyła na niego zdziwiona i uśmiech zniknął z jej twarzy.

– A jakby taki przyszedł, „rozładować napięcie oficera Kriegera”? – Wciąż się z nią droczył.

– Tobym rozładowała – odpowiedziała, naburmuszona.

W końcu sam zaczął się śmiać.

– Skąd oni cię, u licha, wystrasnęli? – zapytał.

– Nie mogę odpowiadać na takie pytania. To zakazane – odpowiedziała urażona Marina.

Łyszkin przewrócił oczami. Gdyby był wierzący, to chyba by się przeżegnał. Wyszli na miasto i Marina pokazała mu drogę do przybytku rozpusty. Omawiała każdy szczegół topograficzny miasta i Igor musiał przyznać, że była bardzo rzeczowa. Może ceniono ją jako współpracownika, bo idealnie nadawała się do wykonywania rozkazów. Postanowił, że w domu on ustali zasady, a jedną z nich będzie zakaz gadania pierdół.

– Twoje zdrowie, Otton. – Jeden z oficerów niemieckich wzniosł toast. – Ty nasz... Jak to jest po rusku...? *Drug!*

Igor wziął do ręki szklankę i wypił ją do połowy. Jego towarzysze przy stoliku byli już kompletnie pijani, gdy tymczasem on wciąż miał jasny umysł i nawet nie szumiało mu w głowie.

– Nie sądziłem, że tak polubimy wódkę. – Igor uśmiechnął się.

– W sumie ja wciąż nie lubię. – Jeden z oficerów, nieco rudawy, o piegowatej twarzy, czknął, zaglądając do pustej szklanki. – Ale piję, żeby nie zwariować.

– Rozumiem – mruknął Łyszkin, czekając na dalsze zwierzenia kompanów od kieliszka.

Sam również chętnie by się upił, bo opowieści, jakie przyszło mu usłyszeć,

były zbyt przerażające, aby mógł ze spokojem ich wysłuchiwać. Najgorsza jednak była bezradność.

Podpalenie Kijowa przez Rosjan miało swoje okrutne konsekwencje. Bez względu na informacje, jakie przesłał oficerowi łącznikowemu jako Iwan Szeremietiew, i tak było oczywiste, że Niemcy znajdą winnego. A stali się nimi kijowscy Żydzi, którzy zapłacili za tę akcję sabotażu najwyższą cenę.

– Ja zastrzeliłem trzystu w tym tygodniu. Podobno to mało... – Jeden z żołnierzy beknął głośno i dodał: – Ty pewnie dałbyś radę więcej, wyglądasz na chojraka.

– Jasne, że bym dał. Ale w tej dziurze, w której stacjonuję, to pewnie nawet tyłu Żydów nie ma. – Zarechotał.

– Chłopie! – Masywnej postury oficer z nosem pokrytym czerwonymi krostami złapał go za rękaw. – Żydokomuny to się trzeba pozbyć, bo nie odpuszczą. Jak wykopaliśmy doły w Babim Jarze, to, chłopie, tyle ludzkich kości w życiu nie widziałem. To niech zobaczą, co my potrafimy. Bolszewicy to zwierzęta, słyszysz? Może cię oddelegują do Kijowa na stałe, to sobie postrzelasz do Żydków. Najlepsi strzelcy dostają przepustki, urlopy i większe żołdy. Jeśli to lubisz, idealna sprawa.

– Kolego, chętnie bym odstrzelił kilka bolszewickich łbów, ale jestem jedynie „listonoszem”. – Znowu się roześmiał.

Mimo że zbierało mu się na mdłości od samych opowieści, musiał zachować zimną krew i wysłuchiwać bełkotu pijanego esesmana. Tego dnia była sobota, dzień egzekucji zakończony kolejną libacją, a on coraz częściej miał wrażenie, że poziom okrucieństwa przerósł nawet najbardziej sadystycznych oprawców.

Nagle ktoś w głębi sali zaczął rozdzierająco krzyczeć. Wszystkie oczy zwróciły się w tamtą stronę, także oczy pijanego żołnierza próbującego traktować swoje zajęcie jako odwet na Rosjanach.

– Patrzyła na mnie. Do końca. Miała wielkie oczy! – ryczał kompletnie pijany żołnierz o jasnych włosach i błędnym spojrzeniu. – A wtedy w moim domu, w Oldenburgu, moje dzieci zakładały bombki na choinkę! A ja strzelałem tym śmieciom w tył głowy i zamiast anielskiego włosia oglądałem tryskającą krew! Ja chcę, kurwa, do domu!

Ktoś próbował uspokajać żołnierza, tłumacząc, że święta już dawno się skończyły, mamy nowy rok, a niedługo Wehrmacht zdobędzie Moskwę i wszyscy powrócą do swoich rodzin.

– Zabierzcie go stąd! – krzyknął jakiś wyższy rangą oficer. – I niech zaprowadzą go jutro do doktora Maintza.

– Chłopaki nie wytrzymują ciśnienia. – Współtowarzysz Igora beknął i nalał mu kolejną porcję wódki. – Ale ja daję radę. A wiesz dlaczego? Bo trzeba oczyścić kraj z komunistów i Żydów. Zaś najgorsze połączenie to dwa w jednym. Człowieku, Żyd i komunista. Tak że ciesz się, że nie jesteś ani jednym, ani drugim.

– Sądziłem, że już skończyliście swoją robotę w Babim Jarze – wybełkotał Igor, udając coraz bardziej pijanego.

Jego kompan machnął ręką.

– Jeszcze trochę tych popaprańców zostało. Ale wiesz, przyjechał tu taki doktorek. I uderzył w takie tam gadki szmatki, że niedobrze na psychikę działa tak tylko do ludzi celować. Wiesz, ogromne doły wypełnione są zwłokami. Stawia się tak kilkudziesięciu i pach z automatu napieprza. Niedobitków, którzy przeżyli i próbują wy-

czołgać się spod stosu trupów, po prostu dobijamy strzałem w skroń lub w tył głowy. Wszystko krwią zapieprzone, flaki na wierzchu, to nie jest estetyczny widok. I niektórym chłopakom odbija. Rzygają w krzakach albo beczą jak dzieciaki. No i ten doktorek wymyślił takie furgonetki. Upycha się tych gnojów ile wlezie, odpala silnik, a rurę wydechową do środka i potem tylko się trupy wygarnia – perorował pijany oficer.

– Po co mi tu gadasz takie rzeczy? Nie lepiej o dziewczynkach porozmawiać, podobno tutaj są najładniejsze. – Łyszkin postanowił zmienić temat, nie mogąc już dłużej słuchać o krwi, ludzkich flakach i wypływających mózгах. Miał wrażenie, że ci żołnierze owe krwawe opowieści traktują jak terapię, by nie mieć koszmarów i nie skończyć w zakładzie dla wariatów.

– Niektórzy to tacy wrażliwi, że idą na górę i im nie staje – zarechotał oficer z czerwonym nosem. – Takie to delikatne.

Łyszkin nie dziwił się. Nikt normalny nie czerpałby przyjemności z ciągłego mordowania, ale być może sadyzm był jedną z używek, jaką niektórzy się upajali. Przypomniał sobie słowa Wani. Wśród Rosjan też byli tacy, którzy lubili w ten sposób rozładowywać napięcie.

Zarówno Igor, jak i jego przełożeni chyba nie wiedzieli o skali masowych mordstw, ale zapewne mieli świadomość, że to pokłosie ich akcji dywersyjnych. Liczył w głowie ofiary, bo dla jego nowego kolegi od kieliszka owe cyfry miały ogromne znaczenie. Wiązało się to nie tylko ze specjalnymi apanażami dla wyrabiających wyśrubowane normy, ale najwyraźniej stanowiło powód do dumy. Dodawał więc w myślach kolejne setki i tysiące, prawdziwa rzeź, linia produkcyjna do mordowania. Nie dziwił się, że niektórzy po prostu wariowali.

Rozejrzał się po sali. Do środka weszła grupka funkcjonariuszy gestapo, zajęli jeden z narożnych stolików i przywołali kelnerkę. Nie zainteresowali go i już miał odwrócić wzrok, gdy jego serce zaczęło walić jak oszalałe. Jednym z oficerów był nie kto inny, jak Jürgen Schwartz. Bez względu na to, jak dobrze Igor wcielił się w rolę Ottona Kriego, był przekonany, że Schwartz rozpozna go bez trudu. Najchętniej opuściłby lokal, ale stolik, przy którym usadowił się Jürgen, stał tuż przy drzwiach wejściowych. Ryzyko było zbyt duże, tak samo jak pozostanie w knajpie. Dlatego odezwał się do rudego oficera siedzącego obok:

– Którędy się idzie do Ludmiły?

– Tak jak do kibla. Tylko dalej. I schodami na drugie piętro. Tyle tu wisienek, a ty od razu pędzisz na pokoje. – Zarechotał.

– Dzisiaj nie mam ochoty na umizgi. Nie pieprzyłem od dwóch miesięcy, więc rozumiesz. – Puścił do niego oko.

Wstał od stolika w chwili, gdy gestapowcy zamawiali u kelnerki trunki i przedostał się do korytarza wiodącego do domu uciech pani Ludmiły. Wszedł na górę, otworzył drzwi i rozejrzał się po siedzących dziewczynach. Wszystkie były młode i ładne, dokładnie tak, jak mówiła Marina.

Wybrał szczupłą blondynkę o niewielkim biuście i w delikatnym makijażu. Wydawała mu się najmniej drapieżna ze wszystkich. Zapłacił kosmiczną kwotę za butelkę francuskiego szampana i poszedł za dziewczyną do ciasnego pokoju, gdzie miejsce znalazło jedynie łóżko i metalowa szafka z miską napelnioną wodą. Obok wisiał ręcznik i leżała kostka mydła. Podeszedł do okna i wyjrzał przez nie. Nie miał

szans wydostać się na zewnątrz. Nie było żadnych sąsiednich budynków, daszków, jedynie szeroka arteria miasta.

– Za gorąco ci, żołnierzu? – zapytała zdziwiona dziewczyna, tragicznie kalecząc niemiecki, i położyła się na łóżku.

– Nie lubię zapachu innych mężczyzn – wymamrotał pod nosem, uznając, że pewnie i tak nie zrozumie. Po chwili zapytał: – Którędy się stąd wychodzi? Tylko przez knajpę? Wiesz, powiedziałem kumplom, że spadam do domu, jak mnie zobaczą, znowu będą chcieli we mnie wlewać to ruskie ścierwo – mruknął.

– Aha, ty się wstydzisz kolegów. – Uśmiechnęła się, nie do końca rozumiejąc Igora.

Postanowił pójść tym torem i pokiwał głową, odwzajemniając uśmiech.

– Ty się nie wstydzisz. Żony daleko. Oni wszyscy tu przychodzą – powiedziała uprzejmie.

– Mój przyjaciel, *drug*, to mój szwagier. Brat *żeny* – wybełkotał.

– A... Ja rozumiem. Ja ci pokazać po miłości. – Dziewczyna pokiwała głową.

Nie pamiętał, kiedy ostatni raz zabawiał się z prostytutką. Z jakąkolwiek kobietą, oprócz Hanki. I mimo że trafił do burdelu, by zejść z oczu Schwartza bez konieczności mijania jego stolika, był zadowolony z takiego obrotu sprawy. Po kilku godzinach spędzonych w towarzystwie naprutyh morderców jego napięcie sięgało zenitu. A ta mała mogła być świetnym sposobem, żeby je rozładować. Gdy to uczynił, poczuł, że rozluźniają mu się mięśnie i pomyślał, że teraz jest gotowy do dalszego działania. A było nim zapolowanie na Jürgena Schwartza.

Po godzinie znalazł się na ulicy, wdychając mroźne powietrze Kijowa. Zdecydowanie wolał to niż zatechły pokój u Ludmiły, gdzie czuć było potem zmieszonym z zapachem spermy. Przeszedł powoli wzdłuż witryn lokalu. Schwartz i jego kompani wciąż siedzieli przy stoliku i raczyli się trunkami. Igor wiedział, że jeszcze trochę będzie musiał poczekać, zanim oprawca jego i Hanki wytoczy się na zewnątrz. Był na to gotowy. Jak również na to, żeby go zabić.

Kiedy już zdawało mu się, że jest przemarznięty do szpiku kości, ujrzał w drzwiach Schwartza. Ten pożegnał się wylewnie ze swoimi kompanami i chwiejnym krokiem ruszył w kierunku Uniwersytetu Narodowego. Chwilę potem skręcił w jedną z bocznych uliczek i wszedł do oficyny wysokiej kamienicy. Łyszkin ruszył za nim, myśląc złośliwie, że Schwartz ma bardzo blisko do tego miejsca rozpusty i zapewne dlatego w nim bywa, chociaż mawiało się, że lokal odwiedzany jest głównie przez SS.

W ciemnej i obskurnej klatce schodowej Łyszkin przyłożył pistolet do karku Schwartza.

– Idź do mieszkania – warknął.

– Kim jesteś? – zapytał wystraszony Jürgen.

– Dowiesz się w swoim czasie. Ruszaj się – ostrym tonem nakazał Igor.

Schwartz pokiwał głową i wszedł schodami na pierwsze piętro. Trzęsącymi się rękami odnalazł klucz i otworzył drzwi z odpryskującą farbą. Trudno było powiedzieć, że mieszkał w luksusach. Zapewne warszawskie lokum było bardziej eleganckie. Najwyraźniej Schwartz musiał komuś podpaść, bo zsyłka na Wschód była tym, czego najbardziej się bano. Być może nawet to były ostatnie dni pobytu Jürgena w Kijowie i czekało go prawdziwe pole walki, bo mieszkanie przypominało pokój

hotelowy, a niemal pośrodku leżał rozbebeszony wojskowy plecak.

Igor przekręcił włącznik światła i popchnął Schwartza na jeden z foteli. Gestapowiec odwrócił się, usiadł w fotelu i wtedy rozpoznał Igora. Jego twarz zrobiła się kredowobiała.

– Łyszkin... – wyjęczał ze zgrozą.

Wystarczająco dużo się nasłuchał o barbarzyństwie Rosjan, przy których on zdawał się delikatny i subtelny w swoich działaniach. I właśnie jednego z takich miał przed oczami. Człowieka, którego katował niemal bez przerwy przez trzy dni, o mało nie pozbawiając życia. Teraz żałował, że się na to nie zdobył. Jego kobietę także pewnego dnia ostro potraktował i zapewne ten drań doskonale o tym wiedział. Przełknął ślinę i już oczami wyobraźni widział, co go czeka, gdy ten bolszewik dobierze mu się do skóry.

– No cóż, nie spodziewałem się ciebie tutaj. Czym się tak naraziłeś szefom? Czyżby moja ucieczka ci tak bardzo zaszkodziła i przerwała błyskotliwą karierę w Warszawie? – zapytał złośliwie Łyszkin.

– Nie... – wybełkotał. – To przez taką jedną polską dziwkę...

– Mam nadzieję, że nie mówisz o pani Lewin?

– Nie... – jęknął Schwartz i wtedy kompletnie się rozkleił. – Wybacz, wypełniałem rozkazy, pani Hanki to nawet nie...

Nie zdążył dokończyć. Łyszkin z całej siły uderzył go w twarz. A potem kolejny raz. Z każdym zadawanym ciosem przewijały mu się przed oczami obrazy: udęzionej Hanki, jego zwisającego spod sufitu, ukrywającej się upośledzonej kobiety, trupów wrzucanych do ogromnego dołu w Babim Jarze... Nie widział twarzy Jürgena, tylko te ponure obrazy.

Wkrótce cała twarz Schwartza pokryta była krwią, a on sam cicho pojękiwał, nawet nie próbując się bronić, a jedynie osłaniał się przed ciosami. Igor włożył do kabury pistolet, wyciągnął z buta niewielki nóż i już miał wykłuć oczy temu bydlakowi, gdy nagle zatrzymał się, a nóż zawisł w powietrzu. „Co ty robisz, człowieku? – pomyślał. – Jesteś taki jak oni”. Odłożył nóż, wyciągnął broń i strzelił Schwartzowi w serce.

Wyszedł na ulicę. Z trudem łapał powietrze i chwiało się bardziej niż po popijawie przy Operze. Ruszył w stronę mieszkania, które dzielił z Mariną, i dotarło do niego, że ta wojna sprawiła, iż na moment przestał być człowiekiem.

Grób na warszawskich Powązkach należał do Aliny Pomianowskiej, nauczycielki z gimnazjum, która zmarła w 1938 roku i była kimś kompletnie nieznanym Alicji. Miała nadzieję, że nikt z rodziny nie zechce akurat w tym dniu odwiedzić jej grobu, ale na wszelki wypadek rozglądała się dyskretnie. I to nie tylko z uwagi na rodzinę nieboszczki, ale dlatego, że niemal w każdej minucie swojego życia czuła oddech niebezpieczeństwa i śmierci. Odkąd zastrzeliła Martina Grossa, jej życie uległo zmianie i było ciągłą walką z własnym strachem. Nie wiedziała, dlaczego tak bardzo się boi, skoro jeszcze do niedawna wykonywała misje, za które również groziło jej aresztowanie i czapa. Próbowwała prowadzić ze sobą rozmowy i czekała na ten moment, gdy coś w niej pęknie i powróci do siebie samej sprzed kilku miesięcy. Miała wrażenie, że stoi nad przepaścią i ogrania ją lęk, by zrobić krok naprzód. Ale czuła, że niebawem przekręci się w jej umyśle kluczyk i wieczny optymizm pozwoli jej normalnie funkcjonować. Teraz była kurierką, ale uważała, że to nie jest zajęcie dla niej. Chciała robić coś ważniejszego, jeśli i tak była skazana na ciągłą ucieczkę. A jednak „Sokół” uznał, całkiem słusznie zresztą, że nie jest jeszcze na to gotowa.

Julian także był poszukiwany, ale wciąż zachowywał się, jakby to jego nie dotyczyło. A ona umierała ze strachu o siebie i o niego. Gdyby powiedział chociaż jedno słowo: „uciekajmy”, nie zawahałaby się ani przez chwilę. Ale nie mogłaby siedzieć w odosobnieniu, nie mając pojęcia, co się w tym momencie dzieje z Julianem. Dlatego musiała stoczyć walkę. Najtrudniejszą, bo sama ze sobą.

Kobieta w średnim wieku, ubrana w płaszcz z czarnej krepy, stanęła tuż obok niej, przeżegnała się i podała hasło. Alicja wyciągnęła z torebki szarą kopertę, podała pośpiesznie kobiecie, po czym nie mówiąc ani słowa, oddaliła się od grobu emerytowanej nauczycielki.

Wracała do mieszkania na Pradze, ich wspólnego domu, jej i Juliana. Z powodu sytuacji, w jakiej się oboje znaleźli, nawet nie potrafiła się cieszyć z ich wspólnego gniazdka. Ale może kiedyś... Gdy wojna się skończy i oboje przeżyją...

Dochodziła właśnie do ulicy, gdzie mieszkali, gdy ujrzała przed ich kamienicą czarny samochód osobowy, ciężarówkę i szpaler niemieckich żołnierzy. Weszła do klatki domu znajdującego się naprzeciwko i obserwowała całe zajście. Jej serce waliło jak oszalałe. Poczwała strach, jakiego nigdy wcześniej nie doznała. I wtedy zgasła jej nadzieja, że nie przyszli po Juliana. Nadzieja, której złapała się niczym tonący brzytwy. Chełmicki wyszedł z założonymi na karku rękoma przed budynek, po czym został wepchnięty na tylne siedzenie samochodu osobowego. Po obu stronach wsiedli gestapowcy i chwilę później samochód odjechał.

Alicja zakryła twarz rękoma i zaczęła łkać. Nie miała już domu ani Juliana. Była zdruzgotana. Usiadła na schodach i wciąż płakała, jak gdyby składała się tylko z łez, które czekały na moment, by wydostać się na zewnątrz. Po kilkunastu minutach jakiś człowiek powracający do swojego domu zapytał ją, czy dobrze się czuje.

Wiedziała, że musi odejść. Problem polegał tylko na tym, że nie wiedziała dokąd. Poczwała się, jakby właśnie jej szczęśliwa gwiazda zgasła. Dotarła do niewielkie-

go skweru i przysiadła na zimnej ławce. Po jakiejś godzinie, gdy przemarzła niemal do szpiku kości, nagle poczuła ów magiczny kluczyk, który przekręcił się w jej sercu. Dotarło do niej, że nie wszystko stracone, bo Julian wciąż żyje, a ona musi coś zrobić, żeby tak było nadal. Nie mogła teraz uzalać się nad własnym losem, bo on potrzebował pomocy. Pomyślała przez chwilę. Musiała skontaktować się z „Sokołem”. Chełmicki był jego prawą ręką i najbardziej zaufanym człowiekiem. Niechże, na Boga, coś zrobi. Więźniów wozili na Szucha. A wtedy należało zaplanować odbicie więziennej furgonetki i uratować Juliana. Zerwała się z ławki, pociągnęła nosem i poszła szybkim krokiem w kierunku Szpitala Dzieciątka Jezus. Miała nadzieję, że Weronika Sarnowska jest na dyżurze i powiadomi czerwonym alarmem „Sokoła”.

Doktor Sarnowska w pierwszej chwili nie poznała Alicji w kobiecie, która nagle wtargnęła do jej gabinetu. Nie miała pojęcia, kim jest ta osoba, nawet wtedy, gdy ta wysapała:

– Juliana aresztowali.

– Kogo? – zapytała, mrużąc oczy i usiłując przywołać w pamięci kogoś o tym imieniu.

– O Boże... Roberta. Jaworskiego – wymamrotała Alicja.

I wtedy Weronika ją rozpoznała. Elegancką, bezczelną dziewczynę. Miłość Roberta Jaworskiego. W tej jednak chwili to było najmniej ważne. Najistotniejsza była pomoc i przekazanie informacji majorowi.

– Kończę dyżur o osiemnastej. Powiadomię kogo trzeba – powiedziała cicho, przybita wiadomością o zatrzymaniu jej przyjaciela. Po chwili jakby się zreflektowała: – Mieszkaliście razem?

Alicja pokiwała głową.

– Przenocuje pani u mnie. Potem coś znajdziemy – powiedziała stanowczo.

– To nie jest dobry pomysł. Mnie też szukają...

Doktor Sarnowska zamyśliła się na chwilę. Nie miała w tej chwili żadnego miejsca, w którym mogłaby bezpiecznie ukryć Alicję.

– Jedna noc, jutro coś wymyślimy. Dam pani klucze i adres. Spotkamy się wieczorem. I proszę się czuć jak u siebie w domu – powiedziała ze spokojem Weronika i nawet wykrzesła z siebie coś na kształt uśmiechu.

Chciała dodać otuchy tej dziewczynie, która zapewne nie spodziewała się, że ona potrzebuje jej w tym momencie równie mocno.

Gdy Alicja znalazła się w przytulnym mieszkaniu na Hożej, poczuła się dziwnie. Doktor Sarnowska przez wiele miesięcy dzieliła je z Julianem. Może nie tylko wspólny salon czy kuchnię, ale także ogromne łóżko stojące w sypialni. To jednak wydało się teraz tak mało istotne. Pewnie jeszcze kilka dni temu kipiałaby ze złości, snując ponure wizje splątanych ciał, ale teraz oddałaby wszystko, żeby poczuć w tym miejscu obecność Juliana. Gdy byli razem, ukrywając się przed gestapo, nie umiała się cieszyć z tego, o co tyle lat walczyła. A teraz wracała myślami do tych ulotnych chwil, które w tym momencie wydawały jej się najpiękniejszymi w jej życiu. Przebyli długą drogę, by być razem i tak krótko to trwało. Za krótko.

Usiadła w kuchni, zrobiła sobie prawdziwej herbaty i czekała na powrót Weroniki. Miała nadzieję, że po takiej informacji zapadną natychmiastowe decyzje, a ją „Sokół” wezwie na spotkanie, by mogła uczestniczyć w całej akcji. Gdy jednak leżarka powróciła do mieszkania, okazało się, że to nie jest takie proste, jak się jej do-

tychczas wydawało.

– Co teraz? – zapytała zniecierpliwiona Alicja.

– Musi się pani ukryć. I nie przychodzić na spotkania grupy. Na pewno przesłuchają mieszkańców kamienicy i rychło będą znali rysopis. Ja spróbuję nadać gryps na Szucha i spróbować się dowiedzieć, czy Robert Jaworski tam jest... albo Julian Chełmicki. Major uważa, że gestapo zna prawdziwą tożsamość Roberta. Nie wiem, skąd ma taką pewność, ale musimy mieć na uwadze oba nazwiska. Niestety, na Pawiaku nasz kontakt jest spalony. Nie mam pojęcia, co zrobić. – Weronika zakryła twarz rękoma.

– I tylko tyle? – warknęła Alicja. – Po prostu mamy czekać?

– A co byś chciała zrobić?! – krzyknęła Weronika, rezygnując z oficjalnej formy. – Podpalić Szucha czy wjechać czołgiem na Pawiak? Zejdź w końcu na ziemię, kobieto!

– A ty na mnie nie krzycz! – ryknęła Alicja. – Nie mogę siedzieć z założonymi rękami i czekać, aż go zakatują na śmierć! Nie wiem, może trzeba komuś zapłacić albo... Jest taki jeden konfident gestapo, jego brat przyrodni, może on się czegoś dowie.

– Ani się waż bratać z jakimiś zdrajcami. To najlepsza droga, żebyśmy wszyscy tam trafili. A wtedy nie pomożemy ani jemu, ani sobie. Jeśli Julian był dla nich ważny, to nikt się nie podłoży za żadne pieniądze. Myślisz, gówniaro, że ta sprawa mnie nie dotyka? On tu mieszkał, jest moim przyjacielem. Nie pozwolę ci niczego spieprzyć, bo ty chcesz już teraz i natychmiast coś zrobić. Cokolwiek. Ale cokolwiek może oznaczać Szucha dla nas wszystkich! – Weronika była naprawdę wzburzona.

Alicję tak oszołomił wybuch pani doktor, że zamilkła i wyszła z kuchni. Usiadła w salonie, bo nie bardzo wiedziała, gdzie wyznaczyła jej miejsce do spania Weronika, chociaż miała wielką ochotę trzasnąć drzwiami i opuścić elegancki apartament Sarnowskiej. Problem tylko polegał na tym, że nie miała dokąd pójść, a starego profesora Litwina za nic w świecie nie chciała narażać.

Weronika nieco ochłonęła, przyszła do pokoju i w lakonicznych słowach wyjaśniła Alicji, gdzie będzie spała, skąd ma wziąć ręcznik i ubranie na zmianę. Nie miała ochoty ani kontynuować kłótni, ani rozmawiać z Alicją o czymkolwiek innym. Chciała zostać sama ze swoim bólem. I nie obchodziło jej w tym momencie cierpienie Alicji. Ona także kochała Juliana.

Następnego dnia Weronika odesłała Alicję do bezpiecznego mieszkania w Konstancinie. Nie chciała ani chwili dłużej przebywać z tą kobietą pod jednym dachem. Rozumiała ją, ale nie miała siły jej pocieszać i o nią dbać. Musiała zadbać o siebie i o Juliana.

– To teraz poproszę wszystko po kolei. Od początku. Odkąd postawiłeś nogę na polskiej ziemi po powrocie z zagranicy. – Kenig mówił spokojnie, ale w środku wszystko w nim buzowało.

Julian Chełmicki od kilku dni wciąż nie powiedział ani słowa. Vader zamienił mu twarz w krwawą miazgę, wyrwał wszystkie paznokcie, a ten szpicel wciąż milczał. Początkowo Kenig starał się zastosować łagodniejsze metody i perswazją oraz szantażem zmusić Chełmickiego do mówienia, ale nie przyniosło to pożądanego

skutku. Nawet okiem nie mrugnął, gdy Kenig mówił mu, co spotka jego schorowanego ojca i znerwicowaną matkę. Po prostu jakby nie reagował na żadne wypowiedane słowa. Może gdyby mieli w rękach Alicję Rosińską, Kenig w końcu znalazłby wyłom w tym murze, ale niestety wciąż jej szukano.

Tymczasem Julian starał się w ogóle nie słuchać Keniga. Ani Vadera. Wyłączył umysł, żeby nie mieć żadnych dylematów. Postanowił nie mówić nic, nie odpowiadać na żadne pytania ani robić cokolwiek, co mogło go zdradzić albo jego kompanów. Miał świadomość nadchodzącej śmierci i chyba ta myśl mu pomagała. I tak zdechnie, więc nie było sensu się targować. Nie wierzył im ani przez sekundę, gdy obiecywali mu złote góry za informacje o Grossie, Peenemünde czy Alicji, a także o dowódcach polskiego podziemia. Dla Juliana Chełmickiego życie dobiegło końca i za każdym razem, gdy otrzymywał kolejny cios, myślał jedynie o tym, czy to już koniec jego pobytu na ziemskim padole. Wierzył głęboko, że jego milczenie ma sens, tak samo, jak jego walka o wolną ojczyznę. Był gotowy za to umrzeć i to od chwili, gdy po raz pierwszy znalazł się w pokojach przesłuchań na Szucha. Gdy padły pierwsze pytania, wiedział już, że nie złapali Alicji, i ta myśl dodawała mu sił. Żałował tylko, że jej nie uległ i ród Chełmickich zakończy się na jego osobie. Miał jednak nadzieję, że chociaż pamięć o nim pozostanie i o tym, co zrobił dla kraju i Europy. Kiedy przekazał zdobyte na wyspie informacje o raketach dalekiego zasięgu, Wielka Brytania zaczęła bombardować to miejsce, aby nie dopuścić do użycia tej strasznej broni. Nareszcie coś drgnęło i to dzięki niemu. Gdyby nie jego informacje, wszyscy wciąż żyliby w błogiej nieświadomości, traktując zakłady zbrojeniowe w Peenemünde jak każde inne. Miał nadzieję, że niebawem to miejsce zniknie z powierzchni ziemi, a Hitler przestanie się czuć już tak pewnie. Jakkolwiek Niemcy dobrze radzili sobie w Związku Radzieckim, tak już ze zdobyciem Moskwy nie szło tak łatwo. Ale Stalin dla Juliana był takim samym oprawcą jak Hitler i jedyna nadzieja była w tym, że powyrzynają się wzajemnie, a Polska odzyska niepodległość.

Tak, te wszystkie przemyślenia dodawały mu sił i nie przestawał mieć ich w głowie, dopóki nie tracił przytomności. Odpływał wtedy w nicość szczęśliwy, że umiera i jego gehenna dobiegła końca. Stracił nadzieję na odzyskanie wolności i uratowanie życia, i paradoksalnie to właśnie utrata nadziei pomogła mu zachować milczenie, bo nie miał już nic do stracenia.

Weronika nie mogła się skupić na żadnej sensownej czynności. Była do tego stopnia rozdygotana, że prowadzenie wszelkich operacji oddała w ręce kolegów, wymyślając naprędce jakąś dolegliwość, która nie miała nic wspólnego z rzeczywistością. Minęły cztery dni od aresztowania Juliana, a ona wciąż nie miała o nim żadnych wieści, podobnie jak „Sokół”. Był przejęty i wystraszony, czy Chełmicki wytrzyma brutalne przesłuchania, ale dopóki nie wiedzieli na pewno, gdzie go przetrzymywano, byli bezradni.

Stała przy oknie, wpatrywała się bezwiednie w uliczny zgiełk i myślała intensywnie o tym, co jeszcze mogłaby zrobić. W końcu usiadła przy biurku, otworzyła notes i sięgnęła po słuchawkę. Wiedziała, że to, co chciała zrobić, było niemal szaleństwem, ale bezczynność ją dobijała i powoli zaczynała rozumieć swoją rywalkę do serca Juliana, Alicję. Była gotowa zaryzykować, zaprzedać duszę diabłu, byle tylko

zobaczyć jeszcze kiedyś Chełmickiego. Po kilku minutach naznaczonych wątpliwościami, gdy na zmianę podnosiła i odkładała słuchawkę, w końcu wykręciła numer i poprosiła do telefonu Waltera von Lossowa.

– Dzień dobry – powiedziała drżącym głosem. – Nazywam się Weronika Sarnowska, jestem lekarzem w Szpitalu Dzieciątka Jezus, czy pan mnie pamięta?

Walter doskonale pamiętał lekarkę z tego szpitala, bo pamiętał dzień, w którym znalazł się w jej gabinecie. Wtedy zginęła Holly Evans.

– Tak, pani doktor. Oczywiście, że panią pamiętam. Czy mogę w czymś pani pomóc? – zapytał, bo pamiętał także to, że zrugął ją wówczas, obwiniając za śmierć Holly i szargany wyrzutami sumienia zaoferował pomoc, gdyby jej potrzebowała.

– Tak... – wyszeptała do słuchawki. – Gdzie moglibyśmy się spotkać?

Weszła do kawiarni, wciąż ogarnięta wątpliwościami, czy dobrze robi, spotykając się z niemieckim oficerem i prosząc go o taką przysługę. Przecież mógł donieść na nią do gestapo, a wtedy byłaby zgubiona. Przemawiała jednak przez nią desperacja i nie darowałaaby sobie, gdyby nie wykorzystała każdej możliwej szansy.

Von Lossow przyglądał się pięknej pani doktor i czekał, aż ta opanuje drżenie rąk i przekaże mu swoją prośbę. Musiało to być coś poważnego, bo lekarka była blada, miała podkrążone oczy i wydawała się kłębkim nerwów.

– Mam przyjaciela. Znamy się jeszcze z przedwojennych czasów. To ktoś bardzo mi bliski. Kilka dni temu zabrało go gestapo. Odchodzę od zmysłów, bo nie wiem, gdzie jest i co mu grozi. Czy byłby pan w stanie dyskretnie się tego dowiedzieć? Wiem, że nie powinnam o to prosić niemieckiego oficera, ale to dla mnie bardzo ważne – wydukała.

Walter zamyślił się. Niczym nie ryzykował, zdobywając podobne informacje. A gdyby okazało się, że ów przyjaciel lekarki jest kimś bardzo niebezpiecznym, po prostu powie jej, że nie udało mu się pozyskać tej wiedzy. Tak jak jej obiecał, postanowił jej pomóc, o ile nie będzie to stanowiło dla niego żadnego zagrożenia. Nie miał zamiaru narażać się na nieprzyjemności tylko dlatego, że jakaś obca kobieta prosi o przysługę.

– Jak się nazywa pani przyjaciel? – zapytał chłodno, aby nie rozbudzać w kobiecie nadmiernych nadziei. – Spróbuję pani pomóc.

– Julian Chełmicki, ale być może zatrzymali go pod nazwiskiem Jaworski.

Wypowiedziała te nazwiska z bijącym sercem, bo wiedziała, że teraz już niczego nie uda się cofnąć. Wystarczy, że młody, przystojny oficer podejdzie do kontuaru, przysunie aparat telefoniczny, podniesie słuchawkę i wykręci numer na Szucha. Oczami wyobraźni już widziała tę scenę, jak również inne, gdy zabierają ją na przesłuchanie i próbują z niej wyciągnąć wszystko, co wie o ludziach, z którymi współpracowała. Może zdąży uciec, korzystając z tej chwili nieuwagi, gdy Lossow podejdzie do telefonu, ale wtedy jej życie już nigdy nie będzie takie samo. Będzie musiała uciekać, ukrywać się i w każdej minucie być czujna. To były straszne scenariusze, ale musiała zaryzykować, by Julian Chełmicki miał jakąkolwiek szansę na wydostanie się z więzienia.

– Jak? – Von Lossow aż zachłysnął się kawą.

– Jaworski Robert... – jęknęła.

– Nie... Proszę powtórzyć to pierwsze nazwisko. – Walter wciąż był zszokowany.

– Chełmicki Julian – niemal wyszeptała, przerażona.

– W porządku – powiedział Lossow, siłąc się na stanowczość i próbując ukryć, że wymienione nazwisko nie jest mu obce. – Spróbuję pani pomóc. Jak się czegoś dowiem, zadzwonię do szpitala.

– Dziękuję panu. – Spuściła głowę.

Dotknął jej dłoni i delikatnie uściśnął.

– Proszę się nie załamywać. Trzeba mieć nadzieję – powiedział cicho i dość szybko pożegnał się z Weroniką, by ta nie dostrzegła, że informacja o zatrzymaniu Juliana Chełmickiego tak bardzo go obeszła.

Wyszedł na ulicę i postawił kołnierz płaszcz. Nie chciał informować pięknej pani doktor, że Julian Chełmicki to także jego przyjaciel. Nie łudził się, że to zwykła zbieżność nazwisk, jego kompan dostał się w ręce gestapo, a to oznaczało jedno – był w śmiertelnym niebezpieczeństwie.

„I co teraz mam zrobić, Holly?” – zapytał w duchu i popatrzył w niebo, jakby oczekiwał stamtąd nadejścia jakiejś odpowiedzi. Wiedział jednak, że ani Holly, ani niebiosa nie odpowiedzą mu. Tę decyzję musiał podjąć sam. Przestał już od dawna pochylać się nad obcymi ludźmi, przypadkowymi ofiarami tej wojny, ale Julian Chełmicki był jego przyjacielem. I tutaj nie było miejsca na wątpliwości. Istniało jednak ryzyko, które mogło kosztować go karierę i wygodne życie. „A w dupie z tym. Miałaś rację, Holly. Trzeba mieć w życiu jakieś wartości” – kolejny raz skierował oczy ku niebu. A przyjaźń i lojalność w stosunku do przyjaciela były jednymi z nich. Walter miał już nawet pomysł, co mógłby zrobić...

Renate Zoll była oszołomiona wizytą Waltera. Już prawie straciła nadzieję na długotrwały romans, gdy kolejną propozycję spotkania po prostu zbywał, a teraz był w jej pokoju, siedział w fotelu i pił przygotowaną przez nią herbatę. Tak wiele by dała, żeby ją pokochał. Już nie chciała uciekać przed miłością. Było jej dobrze w tym stanie zakochania i była gotowa niemal na wszystko, byle jej wybranek odwzajemnił jej uczucia. Nagle, nie mogąc znieść dłużej napięcia, jakie było między nimi, zapytała:

– Chcę z tobą być, Walterze. Zakochałam się. Nie chciałam tego, ale to się stało. Więc skróć moją udrękę i powiedz mi, czy mamy jakąś szansę.

Nie mieli. Walter von Lossow nie czuł do Renate nic oprócz sympatii. Jednak miał świadomość, że panna Zoll szaleje za nim i będzie gotowa na wiele, byle tylko dał jej nadzieję.

– Mam problem, Renate. Duży problem. Ale gdy go rozwiążę, powrócimy do tej rozmowy. Mnie także na tobie zależy. Nawet bardzo – skłamał Lossow.

– Mogłabym jakoś ci pomóc? – zapytała.

– Ach nie... – mruknął od niechcienia. – Gestapo zwinęło takiego człowieka, który za dużo o mnie wie. Nie mogę zdradzić ci szczegółów, ale to dość kompromitujące sprawy jeszcze sprzed wojny. Jeśli mnie wyda, jestem skończony i już nie będziemy mogli rozmawiać o naszej przyszłości. Bo nie będzie o czym.

Uklękła przy fotelu, na którym siedział, i ujęła jego dłoń.

– Kochany... Mój kochany. Jeśli siedzi na Pawiaku albo gdziekolwiek indziej, pójdę do jego celi i po prostu go zastrzelę, a ty odzyskasz spokój. Nie obchodzi mnie, co zrobiłeś, będę cię kochać bez względu na wszystko – powiedziała uradowana, że najpewniej będzie mogła pomóc ukochanemu.

– W tym problem Renate, bo on musi żyć. Jeśli zginie, pewna osoba od razu ujawni te... sprawy. – Walter wciąż brnął w wymyśloną przez siebie historię.

– Jak się nazywa ten łotr? – zapytała ze złością.

– Mogli zamknąć go pod nazwiskiem Jaworski albo Chełmicki... Kochana, nieważne już. I tak jestem skończony i muszę uciekać. Nie wiem, kiedy następnym razem się zobaczymy i czy kiedykolwiek się zobaczymy. Przyszedłem tutaj, żeby się z tobą pożegnać. Wrócę do Rzeszy i niech robią ze mną, co chcą – westchnął i wstał z fotela.

Pożegnał się wylewnie i opuścił mieszkanie, zastanawiając się, czy ryba połknęła haczyk. Wracając do domu, czuł się jak świnia. Zagrał na uczuciach Renate, wyzwolił w niej emocje, karmił nadzieją i wywołał lęk, że nigdy więcej się nie spotkają. Ale musiał dokonać wyboru pomiędzy życiem przyjaciela i złamanym sercem Renate Zoll.

Walter von Lossow miał wielką ochotę upić się tego wieczoru, by pozbyć się strachu o przyjaciela i wyrzutów sumienia, że tak bezwzględnie oszukał zakochaną w nim kobietę, ale nie mógł sobie na to pozwolić. Musiał być czujny i gotowy do działania.

Następnego dnia Renate Zoll weszła do gabinetu Hermana Rilkego, który zdążył awansować na szefa całego więzienia przy Pawiej. Usiadła naprzeciwko jego biurka, założyła nogę na nogę, zapaliła papierosa i powiedziała cicho:

– Muszę ci o czymś ważnym powiedzieć, Hermanie...

34. Magnuszew, 1942

– Co pan jej robi?! – darła się olbrzymia kobieta, pochylając się nad miejscowym felczerem. Krzyczała równie głośno, co rodząca.

– Chryste Panie... – westchnął felczer. – Ona tylko rodzi...

– To czemu tak krzyczy, a pan tam jej gmera między nogami, zamiast dziecko wyjąć i po krzyku. – Irena nie dawała za wygraną.

– Komplikacje są – wysapał spocony felczer.

– Że co jest? – Irena nie zrozumiała.

– Dziecko nie chce wyjść! – warknął zdenerwowany felczer.

– To niech tam siedzi. A bo to mu tam źle?

„Wariatka” wciąż była nieprzyjemna, bo była przekonana, że felczer robi jakąś krzywdę Hance i dziecku. Felczer nie miał jednak siły tłumaczyć się przed Ireną, zajęty ratowaniem dziecka, które nie bardzo mogło się zdecydować, czy opuścić łono matki, czy też pozostać w środku. Według jego obliczeń noworodek pchał się na świat trochę za wcześnie, ale jego pacjentka odczuwała silne bóle, wody płodowe odeszły i należało jak najszybciej wydostać jej potomka na świat.

Po trzech godzinach niemal heroicznym wysiłkom mały chłopczyk w końcu opuścił łono matki. Był mizerny i chuderlawy, ale żył, oddychał i zdawało się, że wszystko z nim w porządku, zwłaszcza gdy wydał z siebie ryk głośniejszy niż krzyk Ireny.

Hanka przestała stękać i oddychała z ulgą, kiedy poczuła, że jej dziecko w końcu przestało się opierać i zawitało na świecie. Uśmiechnęła się nawet, gdy usłyszała jego płacz, bo to oznaczało, że żyje. Towarzysząca felczerowi akuszerka wzięła dzieciątko, umyła w misce przygotowanej przez Irenę, po czym owinęła w prześcieradło i podała matce. Była zmęczona, ale szczęśliwa, że ręka felczera okazała się przydatna i oboje pomogli urodzić się kolejnemu mieszkańcowi Magnuszewa.

Hanka patrzyła na małe zawiniątko i dotykała czule rączek i główki dziecka. W porównaniu z Nadią jej drugi potomek był malutki, ale miała nadzieję, że szybko nabierze ciała i stanie się równie dorodny, jak jej córka.

– Jak mu damy na imię? – zapytała Irena.

– Grzegorz – powiedziała bez namysłu Hanka, posługując się imieniem, którym niegdyś zwracała się do Igora.

– Nawet ładnie – bez przekonania odpowiedziała „Wariatka”. Patrzyła na małego chłopczyka leżącego na piersi Hanki, ale nie poczuła takiej tkliwości, jak w dniu, gdy jej matka przyniosła do domu Nadię.

– Grzegorz Łyszkina – wyszeptała do siebie Hanka.

Była szczęśliwa, bo czuła, jakby trzymała w rękach jakiś kawałek ukochanego mężczyzny. Nie wiedziała, gdzie jest Igor ani czy w ogóle jeszcze żyje, ale miała jego namiastkę, która pozwoli jej przetrwać najgorsze chwile, zapomnieć o tęsknocie i mieć nadzieję, że kiedyś stworzą z Igorem i dziećmi wspaniałą, kochającą się rodzinę. Cieszyła się także z tego, że już nie będzie musiała leżeć beczynnym w łóżku, ale będzie normalnie funkcjonować i cieszyć się życiem.

Żałowała, że Alicja wyjechała i musiała żyć w Warszawie niczym szczury w kanałach, ale rozumiała ją. Teraz bardziej niż kiedykolwiek. Gdyby wiedziała, gdzie jest Igor, bez wahania spakowałyby manatki i wyruszyła do niego. Nie wiedziała, jak by przyjął Irenę, ale „Wariatka” była częścią tej rodziny, nawet jeśli nie łączyły ich więzy krwi. Zapewne przywykliby do siebie i może nawet polubili, chociaż Irena kochała Nadię i ją miłością tak zaborczą, że gotowa była nawet zabić, jeśli uznała, iż grozi im coś złego. Dobro i zło było w niej tak jasno podzielone, że jakiegokolwiek kompromisy nie wchodziły w grę.

Hanka przytuliła małego Grzesia, przymknęła powieki i marzyła o przytulnym domku na obrzeżach Warszawy, gdzie mogłaby cieszyć się otaczającą ją przyrodą, a jednocześnie miałyby tak blisko do miasta, gdzie znajdowały się kina, teatry i gwarne kawiarnie wypełnione artystami.

Nie zastanawiała się, czym zajmowałby się Igor i jak by przywykł do takiego życia. Ciekawa była jedynie, czy wciąż tak zawzięcie wierzyłyby w komunizm i Stalina. A może zrozumiałby, że każda ideologia jest niebezpieczna, bo wcześniej czy później musi prowadzić do wojny? A ona nie chciała już wojny, ale spokojnego i ustabilizowanego życia. Była jednak gotowa zaakceptować Łyszkina nawet z tym jego cholernym bolszewizmem.

Miłość jest prosta. Jeśli kogoś kochasz, akceptujesz go takim, jakim jest i nie próbujesz niczego w nim zmieniać.

Kuchnia przesympatycznej pani Majewskiej najwyraźniej nie służyła Alicji, bo kolejny raz po obiedzie musiała skorzystać z toalety i opróżnić swoje trzewia, wymiotując jak po przejażdżce na karuzeli. Bardzo to martwiło panią Majewską, która starała się jakoś zmniejszyć rozpacz swojej nowej lokatorki i pomyślała, że dobre jedzenie będzie najlepszym pocieszeniem w tak trudnych czasach. Jednego dnia przygotowała placki kartoflane smażone na łożu, drugiego pierogi z kozim twarogiem, a trzeciego naleśniki z konfiturami własnej roboty. Tymczasem ze zgrozą patrzyła, jak po każdym niemal posiłku Alicja robiła się blada i wybiegała z jadalni, zatykając usta dłonią. Po kilku dniach jednak wpadła Majewskiej do głowy inna myśl, wszak co jak co, ale gotować potrafiła wyśmienicie, wyczyniając cuda z tak ograniczonej ilości produktów, jakie miała do dyspozycji. Nie było wielką sztuką przygotowywać frykasy, gdy półki w spiżarni uginały się od zapasów, ale właśnie wtedy, gdy świeciły pustkami.

Weszła do pokoju, w którym sypiała Alicja, usiadła przy niej na kozetce i zapytała:

– Czy ty aby, moja droga, nie jesteś przy nadziei?

Alicja popatrzyła na nią i odparła:

– To byłby cud... A ja nie wierzę już w cuda.

– To źle – upomniała ją Majewska. – Całe nasze życie jest cudem, tylko trzeba w to wierzyć.

– Straciła pani jedyne go syna i została sama jak palec, a wciąż uważa, że życie jest cudem? – prychnęła Alicja.

– A jak inaczej wyjaśnisz, że tu jesteś? Że myślisz, czujesz. Cierpisz i radujesz się. Kochasz i nienawidzisz. Wierzysz i wąpisz. Czy jakakolwiek istota oprócz człowieka to potrafi? To cud, że możesz żyć. Bez względu na to, ile ów żywot potrwa. – Starsza kobieta z czułością pogłaskała Alicję po głowie.

Przypominała jej babcię Alutkę. Wieczną optymistkę bez względu na okoliczności. Kpiącą z życia i śmiejącą się mu w twarz. Tak, świat nie lubił mazgajów i słabeuszy. Cokolwiek się dzieje, zawsze jest nadzieja, że kolejny dzień przyniesie coś dobrego i pozytywnego.

A co jeśli naprawdę była w ciąży? Z Julianem, którego być może nigdy więcej nie zobaczy... Będzie miała jakąś jego część. Dziecko poczęte z wielkiej i tak trudnej miłości. Uśmiechnęła się do siebie i zasnęła.

Eleonora Majewska przykryła Alicję pledem i wyszła z pokoju. Minęło wiele lat i musiała dostać od życia łupnia, zanim doszła do punktu, w którym była. Ale świat się zmieniał i miała nadzieję, że jej nowa lokatorka zrozumie koleje losu szybciej niż ona. Nie wiedziała, iż życie Alicji wyglądało niegdyś zupełnie inaczej, a ona sama była kwintesencją optymizmu i brania życia, jakim było. Ale napotkała w swoim życiu miłość. I to zmieniło bardzo wiele.

Renate Zoll stanęła w progu mieszkania Waltera von Lossowa i z triumfem wręczyła mu czysty blankiet z pieczęciami, podpisany przez samego szefa więzienia na Pawiaku, Hermana Rilkego.

– Jesteś cudowna – wyszeptał Walter, nie mogąc uwierzyć, że Renate udało się zdobyć tak cenny dokument.

– Herman Rilke był szefem zmiany na oddziale kobiecym, gdy zaczynałam tam pracę. Trochę się lubiliśmy, trochę nie, ale ufał mi. Bez problemu przekonałam go, żeby na chwilę opuścił swój gabinet, zostawiając mnie w nim samą – powiedziała triumfalnie.

– Jak myślisz, kiedy możemy wywieźć stamtąd Chełmickiego? – zapytał rzeczowo.

– A chociażby i jutro. Z tego, co wiem, jest w fatalnym stanie. Informacja na blankiecie, że potrzebuje pilnej interwencji szpitalnej, będzie jak najbardziej na miejscu. Uda ci się zorganizować karetkę?

– Tak... – westchnął i przytulił Renate.

Tej nocy kochali się jak szaleni, a Renate Zoll w końcu poczuła, że jest dla Waltera von Lossowa kimś więcej niż tylko dziewczyną do łóżka. Niestety, dla Lossowa było to mniej oczywiste, ale postanowił, że pomyśli o tym dopiero wtedy, gdy jego przyjaciel będzie bezpieczny.

Kiedy o poranku Renate Zoll opuściła jego dom, Walter zerwał się na równe nogi i pobiegł do telefonu. Wykręcił numer do Szpitala Dzieciątka Jezus i poprosił do telefonu doktor Sarnowską.

– Jest na Pawiaku. Dzisiaj wieczorem będę potrzebował karetkę i dwóch uzbrojonych sanitariuszy – powiedział krótko.

– Jezu... – jęknęła Weronika, ale zaraz doszła do siebie po chwilowym szoku i dodała: – Będziemy na Pawiej o dwudziestej drugiej.

– Doskonale – powiedział Lossow i rozłączył się.

Weronika przez kilka minut stała osłupiała. Kolejny raz naszły ją wątpliwości. A jeśli to zasadzka? Co będzie, jeżeli podjedzie z chłopakami karetką, miną bramę i już nigdy nie wyjadą z powrotem? Ani z Julianem, ani bez Juliana. Kim był Lossow i co o nim wiedziała? Pracował w biurze propagandy, był tam kimś ważnym, ale to o niczym nie świadczyło. Oni wszyscy byli tacy sami. Nienawidzili Polaków i bali się ich.

Zastanawiając się nad intencjami Lossowa, doszła do wniosku, że nie zadawałby sobie trudu, by organizować na nią zasadzkę, nie wyglądał na przesadnego służbiście. Jeśli raz mu zaufała, pełna obaw i wątpliwości musiała zaryzykować kolejny raz.

Kilka minut przed wyznaczoną godziną Walter von Lossow czekał przy bramie na karetkę. Podjechała punktualnie i wysiadła z niej nieco podenerwowana Weronika.

– Co teraz? – zwróciła się do Waltera.

– Spokojnie. Wszystko pod kontrolą – powiedział Lossow.

Chciał, żeby wszystko poszło, jak trzeba, ale wiedział, że dopóki jego przyjaciel nie znajdzie się w bezpiecznym miejscu, nie odzyska spokoju ducha. Ale martwił się nie tylko o Juliana, ale także o siebie. Co będzie, jeśli wpadnie? W najlepszym razie wyślą go pod Moskwę, w najgorszym czekał go pluton egzekucyjny. Ale wolał nie myśleć, jak mógłby się czuć, gdyby nie pomógł przyjacielowi. Może nie był takim kompletnym duchowym bankrutem?

Po kilku minutach brama otworzyła się i karetka wjechała na dziedziniec. Renate Zoll stała w drzwiach i pokrzykiwała na dwóch funkcjonariuszy niosących nosze z niemal nieprzytomnym Chełmickim. Nie interesowało ją, czy Walter mówił prawdę i w istocie bał się tego człowieka, czy kierowały nim inne motywy. Chciała po prostu zrobić coś dla niego. Na tyle ważnego, że zagości w jego sercu na dłużej. Taka tajemnica łączyła na wiele lat, jeśli nie na zawsze. Poczwała, że właśnie tym czynem zostanie panią sytuacji. To ona będzie decydowała, jak potoczą się ich wspólne losy. Wiedziała, że od tej chwili miała w ręku Waltera von Lossowa.

– Szybciej, do cholery – warknęła. – Jak to bydlę wykituje, wszystkich nas poślą na front wschodni.

Ta groźba działała na każdego i w każdych okolicznościach. Strażnicy zaczęli się zważniej ruszać i z ulgą przekazali sanitariuszom z karetki nosze z rannym. Teraz, gdy więzień umrze, nie będą za to odpowiedzialni i widmo frontu wschodniego oddali się od nich.

Wewnątrz karetki, obok noszy z Chełmickim, siedzieli Walter von Lossow i Weronika Sarnowska. Lekarka od razu rozpoczęła opatrywanie ran Juliana, wykrzywiając twarz, jakby owe rany znajdowały się na jej ciele albo jakby pragnęła część cierpienia wziąć na siebie i dlatego jej twarz wciąż wyrażała ból.

Julian otworzył opuchnięte powieki i powiódł oczami po wnętrzu karetki.

– Jestem przy tobie, kochanie – zwróciła się do niego ciepło Weronika.

Uśmiechnął się do niej i skierował swój wzrok na Lossowa. Weronika obawiała się, że Julian wystraszy się niemieckiego munduru i powiedziała cicho:

– Nie bój się, to przyjaciel.

Chełmicki kolejny raz uśmiechnął się i powiedział z trudem:

– Wiem...

Sarnowska skierowała pytający wzrok na Lossowa, ale ten jedynie wzruszył ramionami.

– Dziękuję, panie Lossow. Nawet pan nie wie, jak bardzo... Ja... – Weronika nie potrafiła znaleźć właściwych słów. Bo takich, które w pełni oddałyby jej wdzięczność, po prostu nie było.

Walter nic nie odpowiedział. Był szczęśliwy, że cała akcja się udała i nie zastanawiał się nad konsekwencjami. Ani dla siebie, ani dla Renate. Postanowił, że tym zajmie się później. Nie wiedzieć czemu pomyślał o Holly Evans. „Byłabyś ze mnie dumna” – wyszeptał do niej w duchu.

– Muszę wysiąść – zwrócił się do zaabsorbowanej stanem Juliana Weroniki. – Wyrzucicie mnie przy Hożej.

Weronika pokiwała głową i dała znać kierowcy, żeby zatrzymał się w drodze do szpitala. Nie wiedziała, dlaczego ten oficer, którego prawie nie знаła, jej pomógł.

Przypomniała sobie, jak bardzo się bała poprosić go o przysługę. Cieszyła się, że jednak zaryzykowała, bo okazał się bardzo przyzwoitym człowiekiem.

Następnego dnia na Szucha i na Pawiaku zapanowało dantejskie piekło. Wszyscy, łącznie z Hermanem Rilke, zostali przesłuchani i dostali kary za brak czujności. Nie podejrzewano jednak żadnego z nich. Byli lojalnymi funkcjonariuszami i jedynie, co mogło budzić podejrzenia, to niefrasobliwość w wypełnianiu służbowych obowiązków.

Największy problem miał Rilke, ponieważ zarówno formularz, jak i pieczęcie były prawdziwe. Jedynie jego podpis budził wątpliwości, ale to miało niewielkie znaczenie. Istotne było to, że ktoś z Pawiaka mógł bez przeszkód wyciągnąć druki ścisłego zarachowania i równie bezproblemowo przystawić na każdym z nim pieczęć, a to już nie najlepiej świadczyło o ostrożności Rilkego. Stracił swoje stanowisko i został zdegradowany, ale na szczęście uniknął najgorszego – zsyłki na Wschód. Trafił do Krakowa, gdzie został szeregowym klawiszem w więzieniu Montelupich.

Ale dla szefa gestapo, Gerharda Keniga, sprawa nie była zakończona. Jego największy sukces w ciągu jednej nocy okazał się największą porażką. Nieważne, że Chełmicki przez cały czas milczał jak zaklęty, ale był w jego rękach. Żywy czy martwy, ale świadczył o jego profesjonalizmie i poważnym potraktowaniu ostrzeżeń gubernatora Fischera. Tymczasem w kilka dni po zatrzymaniu Chełmicki wyparował, nie mówiąc wcześniej ani jednego słowa, a miejsce pobytu Alicji Rosińskiej wciąż było nieznanne.

Postanowił kolejny raz przesłuchać wszystkie osoby, które miały tego dnia służbę na Pawiaku. Jednego dnia rozmowy przeprowadzał Vader, następnego on osobiście. I chociaż szanse na uzyskanie odpowiedzi na niektóre pytania były nikłe, chciał, żeby pozostał po zeznaniach pracowników jakiś ślad. Wiedział, że niebawem kolejny raz stanie przed gubernatorem i będzie musiał się tłumaczyć, więc na swoją obronę chciał mieć chociaż dokładne i rzetelne protokoły z przesłuchań personelu. Co jednak mógł zrobić, jeśli każda z tych osób miała swoje usprawiedliwienie? Bardzo dobre zresztą. A było nim podpisane przez Rilkego zlecenie natychmiastowego przewiezienia więźnia do szpitala. Widząc Chełmickiego, który nawet nie był w stanie siedzieć o własnych siłach, polecenie Rilkego było uzasadnione i nie budziło żadnych wątpliwości.

Kenig rozkazał przeszukać wnikliwie wszystkie szpitale i kliniki w Warszawie, ale i to nie przyniosło pożądanых rezultatów. Nakazał przestudiować wszystkie rejestry wyjeżdżających karetek, ale i te poszukiwania zakończyły się fiaskiem. Nalot gestapo nie ominął także szpitala, w którym pracowała Weronika Sarnowska. Spodziewała się tego i zdążyła ewakuować z niego pacjentów, którzy byli poszukiwani, albo nawet takich, którzy mogli budzić wątpliwości. Ze stoickim spokojem oprowadzała funkcjonariuszy po swoim oddziale, pokazywała im niemal każdy kąt i szydziła z nich w duchu: „A szukajcie, szukajcie, może znajdziecie w piwnicy zdechłego kota”.

Kipisz w szpitalu trwał kilka dni. Nie był to pierwszy raz, gdy gestapo robiło w nim nalot. Zawsze wprawiało to Weronikę w silne zdenerwowanie bez względu na to, czy miała akurat coś na sumieniu, czy też nie. Jednak tym razem była spokojna,

bo Julian był w bezpiecznym miejscu i powoli dochodził do siebie. I ta myśl sprawiała, że nic nie wydawało się straszne.

W końcu Gerhard Kenig uznał swoją porażkę i nawet słowa nie pisnął, gdy otrzymał rozkaz opuszczenia Warszawy i rozpoczęcia pracy na stanowisku zaledwie oficera śledczego w Skopje.

Alicja nie miała pojęcia, czy ma się śmiać, czy płakać. Była szczęśliwa, gdy ujrziała Juliana żywego i wolnego, ale też nieco załamana jego stanem. Weronika pocieszyła ją, że wyjdzie z tego, jednak Alicja, patrząc na opuchniętą i posiniaczoną twarz Chełmickiego, obandażowane dłonie i stopy oraz rękę na temblaku, wcale nie była tego taka pewna.

Julian otworzył oczy, uśmiechnął się i na zmianę spoglądał na kobiety siedzące przy jego łóżku. Obie patrzyły na niego z miłością i troską. On kochał tylko jedną z nich, nie chciał jednak urazić tej drugiej, więc szczerzył zęby do każdej po kolei. Przychodziło mu to z trudem, dlatego liczył na wyrozumiałość swoich przyjaciółek.

– Czy ten człowiek w karetce to był Walter von Lossow? – zapytał Weronikę, bo nie był pewien, czy dobrze rozpoznał w mężczyźnie ubranym w niemiecki mundur swojego przyjaciela.

– Znacie się? – zapytała ze zdziwieniem Weronika.

– Od lat... Chodziliśmy razem na dziwki – powiedział z trudem, ale wciąż się uśmiechał.

Weronika zmieszała się, ale dla Alicji nie była to żadna nowina. Pewnego wieczoru sama zamieniła się w jedną z nich.

– Aha... – mruknęła Weronika, nie bardzo wiedząc, co w tej sytuacji odpowiedzieć.

Alicja wierciła się niespokojnie na krześle. Chciała, żeby pani doktor w końcu zostawiła ich samych, ale ta zdawała się robić jej na złość i tkwiła przy Julianie, jak gdyby była przyklejona do krzesła. W końcu Alicja postanowiła, że nie będzie na nią zważać, tylko zakomunikuje Julianowi nowinę przy natrętej pani doktor.

– Julianie... – szepnęła – chyba będziemy mieli dziecko.

Weronika Sarnowska zrobiła się po tych słowach równie blada jak ściany w pokoju, wstała z krzesła i bez słowa wyszła, pozostawiając Chełmickiego i Alicję samych. Gdy tylko opuściła pokój, Julian uśmiechnął się.

– Cieszę się. Cholera, naprawdę się cieszę – powiedział słabym głosem, po czym kolejny raz zasnął pod wpływem morfiny zaaplikowanej mu przez Weronikę.

Wszystko wydawało się nierzeczywiste. Jakby wycięte z koszmaru. Najgorsze instynkty wyjęte z ludzkiej natury i osadzone na niewielkim spłachetku ziemi. Idealne miejsce na pokutę. Miasto osaczone przez wroga, zapomniane przez własną władzę, symbol wszystkiego, co najgorsze mogła przynieść wojna. Jedyne ogromne jezioro zdawało się ratunkiem dla pozbawionych pożywienia mieszkańców Leningradu. Ale kogo to obchodziło.

Po obu stronach byli ludzie, którzy mieli dość. I z każdym kolejnym dniem tracili złudzenia. Niemieccy żołnierze – na wpół ludzie, na wpół zamarzniete postacie, mimowolni kaci milionowego miasta. I Rosjanie, zwykli cywile, dla których pewnego dnia skończył się świat. Obaj dyktatorzy, którzy podjęli te sromotne w skutkach decyzje, liczyli na wzajemne wycieńczenie którejś ze stron. I byli bardzo blisko celu, nie zważając, ile istnień ludzkich to pochłonie. Natychmiastowa śmierć zdawała się w tym miejscu zbawienna, ale nawet kolejne festiwale upodlenia nie zmieniły natury człowieka, której instynkt przetrwania nakazywał przeżycie za wszelką cenę.

Po kilkutygodniowym pobycie w tym miejscu Walter von Lossow zrozumiał tę stronę człowieka bardziej niż kiedykolwiek wcześniej. „I co teraz z twoimi ideałami, Holly?” – pytał niekiedy w duchu nieżyjącej kobiety, która tak bardzo wpłynęła na jego życie. I co z tego, że go zmieniła, jeśli teraz miał ochotę to wszystko pogrzebać i powrócić do ciepłego mieszkania, w którym mógł liczyć na ciepłą strawę, przygotowaną przez uczynną sąsiadkę, i wygodne łóżko.

Nie chciał jednak Renate, w którą wstąpił nowy duch, i łudziła się, że Walter stanie się jej mężczyzną. Takim na całe życie. Nie potrafił wykrzesać w sobie takich uczuć. Miał jednak świadomość, jak bardzo ją oszukał i wykorzystał, a przede wszystkim zdał sobie sprawę, że został jej zakładnikiem. Mogła żonglować ich wspólną tajemnicą, a że była zdeterminowana, nie zważała na to, iż ona sama również może ponieść konsekwencje.

Dlatego, gdy kolejny raz przyszła do niego, żądając jasnych deklaracji, nie wytrzymał. Poszedł do swojego dowódcy i poprosił o przeniesienie na Wschód. Nigdy wcześniej nie widział tak zdziwionego przełożonego, ale uparł się i kilka dni później znalazł się w tym piekle. Nawet pomyślał sobie, że jeśli naprawdę po śmierci istnieje miejsce zwane przez chrześcijan piekłem, to nie może tam być aż tak źle, jak tutaj.

Był jedynie redaktorem w biurze propagandy. Nie musiał zabijać ani stać z karabinem w okopach, ale wystarczyło mu to, co zobaczył. Najpierw trafił do dulażu, obozu przejściowego dla jeńców wojennych, i miał sporządzić propagandową notatkę. Oczywiście pod hasłem: „My jesteśmy ci dobrzy, oni są ci źli”. Kilkuset mężczyzn powłóczyło nogami między byle jak skleconymi budynkami obozu. Ich spojrzenia były puste, ruchy spowolnione, a postury wychudzone. Oni nie chodzili, oni się snuli.

– Są jak dzikie zwierzęta – powiedział stojący obok Waltera wartownik.

– Nie wyglądają na takich – mruknął Lossow. – Moim zdaniem nie mieliby siły, żeby walczyć czy kogoś zabić.

– To zaraz zobaczysz – zarechotał wartownik i otworzył szlaban, przez który przejechała ciężarówka z posiłkami dla więźniów.

Dwóch żołnierzy wytaszczyło z samochodu ogromny kocioł parującej zupy, trzeci trzymał kosz z pociętymi na ćwiartki bochenkami chleba. Zanim zdążyli wejść za płot z siatki, zakończony kolczastym drutem, dało się zauważyć poruszenie wśród więźniów. Tak jakby wcześniej puszczano film w zwolnionym tempie, a za chwilę w przyspieszonym, równie nienaturalnym.

Żołnierze postawili kocioł z zupą, obok kosz z pieczywem i szybko opuścili teren obozu, zamykając bramę. Stanęli przy płocie i robili zakłady, jak gdyby właśnie byli na pokazie walki psów i obstawiali, który z nich wygra. Gromada więźniów rzuciła się pędem w kierunku miejsca z jedzeniem, tratując się nawzajem. Nie zważali, gdy ktoś się potknął i upadł. Deptali po nim, jakby nie czuli, że biegną po ludzkich ciałach. A gdy dopadli kotła i kosza z chlebem, rzucali wyzwiskami i bili się o każdy okruch i każdą kroplę. W istocie wyglądało to jak igrzyska śmierci.

Walter odwrócił się z niesmakiem. To było straszne, a on miał po powrocie z tego miejsca napisać, jakimi barbarzyńcami są Rosjanie. I nawet słowa nie napomknąć o tym, że ów niewielki kocioł zupy i jeden kosz chleba pojawiał się w obozie co drugi dzień i mógł co najwyżej zaspokoić głód kilkunastu rośliwych mężczyzn.

On też bywał głodny, niekiedy nawet bardzo, zwłaszcza gdy ruchoma polowa kuchnia utknęła gdzieś w śnieżnej zaspie albo samochód zamarzł po drodze, nie wytrzymując porażającej temperatury, jaka tej zimy nawiedzała Związek Radziecki. W tych chwilach, gdy żołądek domagał się strawy, był gotów zabić. Każdego, bez względu na płeć, narodowość czy wyznanie. Budziły się w nim nieludzkie instynkty, przy których błędy nawet najwznioślejsze hasła i ideały. Myślał niekiedy, jak zachowałyby się Holly w podobnej sytuacji, czy nadal tak chętnie biegłaby z pomocą i dzieliła się ostatnią kromką chleba. Był przekonany, że nie, a jej szczytne cele zostałyby utopione w misce cienkiej zupy.

Tak, w tej wojnie nic nie było oczywiste, a czarno-białe widzenie świata zamieniło się we wszelkie możliwe odmiany szarości.

KONIEC tomu II